

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/280-2/281

1971



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

POLSKI GRUDZIEŃ

AL. HERTZ : **MYŚLI O SUKCESIE I NIEPOWODZENIU**

AL. MATEJKO : **WOLSZCZYNA**

S. KWARC : **OJCIEC I SYN**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **Z CZARNEGO REJESTRU**

Aleksander Hertz:	<i>Myśli o sukcesie i niepowodzeniu</i>	3
Aleksander Matejko:	<i>Wolszczyzna</i>	25
Zbigniew Byrski:	<i>Postawa polityczna intelektualistów amerykańskich</i>	49
Zygmunt Haupt:	<i>Trzy</i>	61
Henryk Grynberg:	<i>Ojczyzna (dok.)</i>	69
Seweryn Kware:	<i>Ojciec i syn</i>	84
T. T. Jeż:	<i>Rewolucja O.K. — ale jaka?</i>	91

WIERSZE

Bolesław Kobrzyński:	<i>Złoty kubek</i>	97
----------------------	--------------------------	----

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z czarnego rejestru</i>	99
----------------------------	----------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Pierwszy rok lat 70-tych i Polska</i>	107
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	113
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	118
—	<i>Tekst Układu między PRL a NRF</i>	125

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	127
---------------	----------------------------------	-----

K R A J

Aleksander Zabrzeski:	<i>W cieniu układu Bonn-Warszawa</i>	134
—	<i>„Na martwej fali”</i>	139

SPRAWY I TROSKI

Hanna Chorażyna:	<i>O emigracji polskiej</i>	147
Nicolas Petersen:	<i>Emigracja polska we Francji</i>	151
Jolanta Dworzecka:	<i>Division: Blaski, cienie i nadzieje</i> ..	165
—	<i>Jeszcze o nowej emigracji w Izraelu</i> ..	173

KRONIKA KULTURALNA

Adam Sutkowski:	<i>Kompozytorzy polscy na obczyźnie — Adam Szulowski</i>	177
Marian Drozd:	<i>W sprawie żywych ludzi</i>	185
—	<i>Komunikaty</i>	190

KSIĄŻKI

Jerzy Kalinowski:	<i>O prawdzie</i>	191
Z. Ś. Siemaszko:	<i>Najwcześniejszy czas mówić głośno</i>	198
Jan Kowalik:	<i>„Dzieje słowa polskiego za granicą”</i> ..	206
Maria Danilewiczowa:	<i>Jest czym się niepokoić</i>	209
Stanisław Bóhr-Tylingo:	<i>„Skończcie jak najszybciej Polaków”</i> ..	216
Jerzy Szperak:	<i>Błaganie o korektę</i>	219
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	220



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	221
---	----------------------------------	-----

W. Nort, H. Paulson, Redakcja, St. Wygodzki, Uchodźcy w Göteborgu:	<i>Listy do Redakcji</i>	231
--	--------------------------------	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

Redakcja:	<i>Polski grudzień</i>	235
—	<i>Czarna lista</i>	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1971

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Nicolas PALEWSKI-PETERSEN, ur. 1938. Studia filozoficzno-etnograficzne w Polsce i we Włoszech; doktorant psychologii klinicznej (Sorbona i Institut d'Enseignement des Méthodes Psychothérapiques).

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Marian Barski, Buenos Aires, po raz trzeci	F. 55,00
G. M. Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 70,00
Wacław J. Fedorowicz, Rio de Janeiro, po raz czwarty	F. 25,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz siódmy	F. 75,00
A. G., Gossau, Suisse, po raz osiemnasty	F. 7,00
Koło Przyjaciół Paryskiej Kultury w Melbourne (Australia) ..	F. 914,85
Janusz Laskowski, Paryż, po raz siedemnasty	F. 30,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 44,00
Polak z Lozanny	F. 12,68
François Prause, Rangoon (Burma), po raz piąty	F. 100,00
Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 43,00
Wiktor Skiha, Meksyk, po raz trzynasty	F. 90,00
Franciszek Strociak, Chicago, Ill. (USA), po raz dziesiąty	F. 49,00
M. Stokon, South Strathfield, NSW. (Australia)	F. 61,00
B. Tomaszewski, Vanderhoof, B.C. (Kanada), po raz drugi	F. 27,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz piąty	F. 50,00
Anonimowo, Chicago, Ill. (USA)	F. 16,50
Anonimowo z Londynu: Pamięci tych co odeszli	F. 66,00
Bezimiennie z Brooklynu, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 22,00
Bezimiennie z Buffalo, N.Y. (USA) — <i>Zamiast kwiatów na grób Pawła Jasienicy, wielkiego pisarza politycznego</i>	F. 50,00
Bezimiennie z Izraela	F. 550,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz ósmy	F. 53,00
Bezimiennie z Niemiec, po raz jedenasty	F. 137,50
Bezimiennie ze Szwecji — <i>dla uczczenia pamięci Pawła Jasienicy, który ofiarnie przeciwstawił się moralnemu pogromowi Żydów w latach 1968-69</i>	F. 50,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

1971 W 451

Myśli o sukcesie i niepowodzeniu

I

Piszę to w roku 1970. Jest to rok, w którym w New Yorku umarł starzec o nazwisku Aleksander Kierenski. I jest to rok, w którym Sowiety i cały świat komunistyczny obchodziły stulecie urodzin Lenina. *The New York Times* poświęcił Kierenskiemu bardzo długie wspomnienie pośmiertne. Zaczynało się ono już na stronie tytułowej, co — zgodnie z regułami tego znakomitego pisma — jest bardzo wielkim wyróżnieniem. Ale ogólny ton wspomnienia był zarówno melancholijny, jak — i może jeszcze bardziej — współczująco protekcyjny. Kierenski był *a failure*, był tym który przegrał, nie był pobłogosławiony przez powodzenie. Kierenskiego historia odrzuciła, przeznaczając mu co najwyżej wzmiankę, że kiedyś był, że przegrał, sromotnie pobity przez tego, którego tryumfalne stulecie właśnie w tym roku było obchodzone.

Sowiecki „Tass” śmierć Kierenskiego zbył kilkunastoma notatką. Ze w wieku lat dziewięćdziesięciu zmarł w New Yorku Aleksander Fiodorowicz Kierenski, niegdyś przewodniczący Rządu Tymczasowego. Więcej pisać nie trzeba było i nie było warto. Co jeszcze o Kierenskim można było dodać, było całkowicie pochłonięte przez wspaniałość uroczystości leninowskich. Używając ulubionego powiedzenia komunistycznego, bankrut Kierenski został wyrzucony na śmietnik historii.

Na owym „śmietniku historii” znaleźli się i inni przeciwnicy zwycięskiego Lenina i bolszewizmu. Monarchiści wszelkich odcieni, K-Dci wszelkich odcieni, S-Rzy wszelkich odcieni, Mieńszewicy wszelkich odcieni itd. Niektórych z najwybitniejszych sądzono mi było poznać osobiście i mieć z nimi niejedną rozmowę,

niekiedy dość długą. Były wśród nich takie osobistości, jak Abramowicz, Dan, Wiktor Czernow. Coś w rodzaju intymności łączyło mnie z jedną z najciekawszych z tych postaci. Była nią staruszka Angelika Bałabanow, jedna z założycielek Kominternu, osoba bliska Leninowi (w pewnym okresie i Mussoliniemu!) i jedna z tych, którzy najwcześniej zerwali z komunizmem, inaugurując niejako niekończącą się listę ex-komunistów, nieubłaganych jego krytyków. Od niej chyba najwięcej usłyszałem o Leninie, o początkach komunizmu, o ludziach, którzy go zwycięsko stworzyli.

Wszystkie te postacie, które wymieniam, były ludźmi niepowodzenia, przegrali wielką stawkę w grze dziejowej. Całe ich życie wygnańcze było świadectwem ich klęski. Zachowały mi się w pamięci ich mieszkanka nowojorskie, ich wieczne kłopoty materialne, ich poniżenia, ich zależność od różnych protektorów. Ten „śmietnik historii”, na którym jakoby się znajdowali, tym bardziej podnosił ogrom zwycięstwa ich przeciwników, tym dobitniej wykazywał, że prawda, że słuszność dziejowa były po stronie Lenina i jego zwycięskiej rewolucji. Było to tak wyraźne, że przestano o nich nawet mówić, ograniczając się co najwyżej do krótkich pogardliwych wzmianek w podręcznikach historii, w encyklopediach, czy do wspomnień pośmiertnych.

I w gruncie rzeczy coraz szybciej są zapomniani i po stronie nie-komunistycznej. Gdy umierają (iluż z nich jeszcze się zostało!), otrzymują krótsze czy dłuższe wzmianki prasowe, które zgodnie stwierdzają ich niepowodzenia, wytykają ich błędy. Przegraną są zawsze w błędzie. Cóż bardziej świadczy o słuszności jakiejś sprawy, czy jakiejś idei, czy jakichś ludzi, niż tryumf, niż oczywisty, namacalny dowód jej sukcesu?

Są to sprawy gorzkie, rzeczy smutne, nieraz jakże bolesne. I są to sprawy, które skłaniają do pewnych refleksji. I może warto jest nad nimi się zatrzymać.

II

Powodzenie i niepowodzenie. Sukces i porażka... Nie zawsze zastanawiamy się nad tym, co to właściwie znaczy. Pojęcia te przyjmujemy jako coś oczywistego i nie wymagającego zdefiniowania. Powiodło mi się, bowiem osiągnęłem to, co osiągnąć zamierzałem, co sobie uplanowałem. Nie powiodło mi się, albowiem plany moje nie udały się, nie osiągnęłem tego, do czego zmierzałem. Ale czy w rzeczywistości jest to wszystko takie proste?

Etos amerykański sukcesowi przypisuje ogromne znaczenie. *The Bitch-Goddess Success* — nieelegancko mówił o tym Mencken.

Sukces tu ma swoje mierniki i fakt jego istnienia nie jest trudny do ustalenia. Wyraża się on w formach materialnych — w stopie dochodu, w rodzaju funkcji ekonomicznych, w pozycji społecznej, w mieszkaniu, w marce auta, w całej masie podobnych osiągnięć. Wyraża się dalej w dzielnicy w której mieszkam, w szkole do której posyłam swe dzieci, w osiągnięciu tego, co język angielski określa jako *respectability*. W rzeczywistości nie są to rzeczy czysto materialne. Jest to kombinacja wielu elementów, w których jednak materialne wyniki spełnianej działalności gospodarczej zajmują miejsce podstawowe.

Wyrasta to z podłoża tradycji purytańskich, które — choć zrodzone w Europie — w Ameryce miały wpływ szczególny na kształtowanie się etosu całej społeczności. Powodzenie, zwłaszcza materialne, jest widowym dowodem pozyskania łaski Bożej. A w ten sposób wyróżniony zdobywa rozległe możliwości służenia Bożej chwale. W filozofii purytańskiej pieniądź nie jest celem samym przez się. Jego akumulacja, jego tezauryzacja, nie jest żadną zasługą. Pieniądź jest środkiem rozwinięcia działalności jego posiadacza, jest narzędziem w tworzeniu dalszych wartości. Bogu służy się przez działanie. Działanie człowieka wyróżnionego ma na celu utwierdzenie i pomnożenie chwały Bożej. I następstwem tego jest dalszy sukces. Bóg sprzyja tym, którzy działając służą Jego chwale. Stąd osiągnięty sukces jest zarówno dowodem istnienia łaski jak i drogą jej utrzymywania przez służenie Bogu i Jego chwale.

Niewątpliwie dzisiejszy etos amerykański znacznie odszedł od czasów, w których żył Benjamin Franklin. Obok człowieka sukcesu coraz ważniejsze miejsce zaczął w nim zajmować *underdog*, ten któremu się nie powiodło, ten który sam był ofiarą powodzenia innych. Od Thoreau przez Menckena aż po nasze czasy idzie stale atak na konsekwencje tradycyjnego purytanizmu. W dzisiejszej literaturze amerykańskiej *underdog* — w różnych jego postaciach — jest ośrodkiem zainteresowania. Człowiek sukcesu staje się dziś raczej przedmiotem nieufności i pogardy. Nie jest rzeczą przypadkową, że właśnie ze świata sukcesu, ze świata odziedziczonych fortun, wychodzą reformatorzy społeczni i buntownicy, odrzucający — często bardzo gwałtownie — tradycyjny porządek rzeczy i tradycyjny etos. *Welfare state* jest praktyczną konsekwencją takich przeobrażeń moralnych.

Są to bezspornie ważne przeobrażenia. Nie jest to jednak całkowite odrzucenie tradycyjnej filozofii. Wiele się zmieniło w kulcie sukcesu, ale sam kult ciągle się utrzymuje. Szczególnie w najszerszych masach ludzkich. Powodzenie jest stale drogą do wyróżnienia społecznego, choćby dawne motywacje purytańskie w coraz większym stopniu zaczęły ulegać zapomnieniu czy lekce-

ważeniu. I zachowuje się wiara w doniosłość praktycznego działania, które — jeżeli niekoniecznie jest formą powiększania chwały Bożej i utwierdzeniem charyzmy — jest w każdym razie świadectwem słuszności tego co się robi, słuszności sprawy, którą się reprezentuje. Ameryka — jak dotąd — była wielkim sukcesem i to najlepiej mówi o słuszności jej ideałów i całej drogi, po której poszedł jej naród.

Trzeba stale pamiętać o tym, że Anglia i Ameryka są ojczyzną nam pragmatyzmu jako systemu filozoficznego i że — szczególnie w Ameryce — stał się on czymś znacznie więcej niż jednym z wielu systemów filozoficznych. Stał się postawą szerokich mas ludzkich, filozofią praktyczną, filozofią życia codziennego, ważnym składnikiem etosu całej zbiorowości. A pragmatyzm opiera się na idei powodzenia. Słuszne i prawdziwe są te idee, które się dają praktycznie zweryfikować, których życiowe zastosowanie przynosi praktyczne wyniki, daje twórcze bodźce naszej działalności. Stąd nieufność do wszelkich doktryn, oderwanych od praktycznego działania, niesprawdzalnych lub w sprawdzaniu zakończonych niepowodzeniem. Taka forma pragmatyzmu jest stale elementem dominującym w całym życiu zbiorowym narodów anglosaskich. I ona to sprawia, że nie-Anglosasom jest tak trudno zrozumieć właściwości życia powszedniego Amerykanów i Brytyjczyków. „*Grau, lieber Freund, ist jede Theorie*” — mówił wielki poeta niemiecki. Powiedział to właśnie Niemiec, ale pełny sens tego został przyjęty przez narody cywilizacji anglosaskiej.

Pragmatyzm jako system filozoficzny był synem angielskiego utilitaryzmu i wnukiem czy prawnukiem angielskiego empiryzmu. Ale szukając dla niego antenatów, można zejść jeszcze dalej, aż do starożytnej Grecji, do Zenona i Epikura. Ostatecznie w obu systemach miernikiem ich wartości było dojście do celów praktycznych, jakim miały służyć. W obu wypadkach celem tym było osiągnięcie przez człowieka szczęścia i w obu wypadkach warunkiem po temu było przyjęcie przez człowieka odpowiednich postaw wobec życia. Stoicyzm ujmował to bardziej ascetycznie, epikureizm — bardziej kontemplacyjnie. W jednym wypadku chodziło o wyzwolenie człowieka od namiętności, zakłócających jego spokój wewnętrzny i tym samym jego szczęście. W drugim o wyzwolenie go od obaw — lęku bogów i lęku śmierci — i tym samym znów zapewnienie mu spokoju wewnętrznego a tym samym — szczęścia. W ostatecznym wyniku były to systemy pragmatystyczne, weryfikujące swój sens i swoją wartość przez ich wyniki praktyczne. Był to pragmatyzm bardzo różny od pragmatyzmu anglosaskiego. Nie dążył do wzmoczenia praktycznej aktywności człowieka, przeciwnie — do jej pomniejszenia. Ale i w jego ujęciu zasadniczym celem było zapewnienie człowiekowi

szczęścia, i to było kryterium użyteczności każdego z tych systemów.

Konsekwencją we wszystkich wypadkach — anglosaskich i greckich — było sceptyczne ustosunkowanie się do doktryn absolutnych, uniezależnionych od swych konsekwencji życiowych, od swej praktycznej weryfikacji. Systemy były dobre, skoro mogły być sprawdzone w osiągnięciach człowieka — obojętne, czy wypowiadających się we wzmożonej aktywności, czy też w ascezie i kontemplacji. Każdy taki stan był człowieka osiągnięciem, świadczył o jego powodzeniu, o sukcesie. U Greków sukces ten był daleki od *Bitch-Goddess*, był arystokratyczny, nie dbał o dobra materialne i o wyróżnienie społeczne. Ale nie przestawał być sukcesem.

III

Ale ideał powodzenia jest czymś znacznie szerszym i powszechniejszym niż te czy inne systemy filozoficzne. Te co najwyżej sublimują pewne postawy i dążenia, dają im racjonalizację i pogłębione motywacje. Kult sukcesu jest czymś znacznie dalej sięgającym.

Zaden chyba z systemów religijnych nie rozwinął na taką skalę teologii Powodzenia jak purytanizm. Ale sprawa powodzenia zajmuje zasadnicze miejsce we wszystkich wierzeniach religijnych człowieczeństwa. Wytworzyły się całe systemy rytuałów, wytworzyła się bogata obrzędowość, mająca na celu pozyskanie sił wyższych dla sprawy osiągnięcia pomyślnych łowów czy pomyślnych urodzajów. Przychylność tych sił zapewni nam spełnienie naszych planów, osiągnięcie naszego przeżycia, naszego przetrwania, naszego tryumfu nad przeciwnościami losów czy wrogością naszych przeciwników. Bóg nam błogosławi, pomnażając nasze bogactwa, dając nam znaczenie, wielkość, wyróżnienie wśród innych. We wszystkich wierzeniach człowieka osiągnięcie stanu łaski wyraża się w naszych powodzeniach czy do nich prowadzi. Uzupełnieniem się charyzmy, dowodem jej istnienia jest Sukces.

Nie zawsze jest to proste i nie zawsze stan charyzmy jest tak uwidoczniiony, jak w purytanizmie czy w rytuałach pierwotnych łowców i rolników. Osiągnięcie charyzmy niekoniecznie musi być potwierdzone w doraźnych zdobyczach, szczególnie natury materialnej. Prorocy Izraela byli bezspornymi nosicielami charyzmy. Ale byli zarazem głosem wołającym na puszcy. Święci męczennicy chrześcijaństwa posiadając łaskę wykazywali przez cierpienia, przez ofiary swego życia. Etos judeo-chrześcijański wprowadził tu elementy nowe, obce wierzeniom przeważającym w tradycjach

wielkich zbiorowości ludzkich. Charyzma była wykazywana nie przez sukces doraźny, ale właśnie przez jego brak. Prorocy natrafiali na uszy głuche, święci przyjmowali koronę męczeństwa. Ale była to korona, ale prorocy i męczennicy byli wykonawcami woli Bożej, pomnażali chwałę Bożą i w ostatecznym wyniku ich było Królestwo Boże. I w tym sensie osiągalni oni najwyższy szczybel Powodzenia, choć było ono zupełnie różne od tego sukcesu, o który od zarania dziejów zabiegała ludzkość.

Sukces, wyrażający się w osiągnięciach wyraźnych, naocznych, tak wyraźnych że nie dających się zakwestionować, jest i zawsze był integralną i podstawową częścią wszelkich systemów charyzmatycznych. Politycznych i niepolitycznych, gospodarczych i niegospodarczych, osobistych i zbiorowych. Max Weber rozumiał te sprawy jak nikt inny, i nikt inny nie potrafił — jak dotąd — lepiej ich przemyśleć. Nie możemy mówić o tych sprawach, nie wracając stale do głębokich analiz wielkiego Niemca.

Istnienie charyzmy jest potwierdzone przez fakt stałego powodzenia. Chodzi tu zarówno o charyzmę indywidualną jak zbiorową. Sukcesy osiągane przez jednostkę są dowodem jej wybraństwa, są świadectwem że jest ona nosicielką prawdy. I tak samo o wybraństwie zbiorowości świadczą jej sukcesy, stwierdzają że słuszność jest po jej stronie, że jest na drodze do ostatecznego tryumfu.

Nie muszą to być sukcesy wolne od niepowodzeń. Były by tylko nie były to niepowodzenia katastrofalne, nieodwracalne. Ale niepowodzenia przejściowe, porażki związane z walką, mogą być właśnie dowodami istnienia charyzmy. Na tle porażek, przejściowych niepowodzeń tym wspanialej zaznacza się ostateczne zwycięstwo. Cóż może być większego od podźwignięcia się z upadku, od przejścia od porażki do ostatecznego tryumfu!

Uroczystości leninowskie, obchodzone tak wspaniale w Związku Sowieckim i w całym świecie komunistycznym, są zadokumentowaniem charyzmy Proroka-Twórcy i całego jego dzieła. I on i jego dzieło mają za sobą okresy porażek i poniżeń. Lenin był więziony i był na wygnaniu. Dzieło jego było zagrożone przez śmiertelnych wrogów, przechodziło przez okresy „błędów i wypaczeń”, przechodziło przez próby największych niebezpieczeństw. Jakże groźni, jak potężni byli wrogowie! I co zostało się z caratu? Jaki los spotkał wszystkich przeciwników i odstępców? Miłukow i Rodiczew, Denikin i Wrangel, Martow i Abramowicz, Kierenski i Czernow — gdzie są ich mogiły, mogiły wygnańcze, rozrzucone po różnych krajach, coraz szybciej zapominane? I co zostało się z Trockiego, Bucharina, Kamieniewa, Stieklowa, z całej masy innych heretyków i odstępców? Wszyscy zostali wyrzuceni na „śmietnik historii”, przegraną swoją wykazując wielkość

zwycięstwa Lenina i jego dzieła. I prawdziwość koncepcji Iljicza i słuszność jego sprawy.

Są wszelkie racje po temu, by tak wspaniale, tak dumnie obchodzić to stulecie. Jest ono świadectwem sukcesu, jakiemu równych w dziejach nie było. Komunizm zapanował na wielkiej części naszego globu. Związek Sowiecki stał się jedną z największych potęg tego świata. Może się wykazać osiągnięciami budzącymi podziw. Charyzma człowieka i jego dzieła znajduje tu pełne potwierdzenie.

Przy wszystkich swych pretensjach do racjonalizmu i naukowości komunizm nie przestaje być klasycznym przykładem systemu opartego na przyjęciu odwrotnej idei charyzmy. Na tym opiera się jego siła, ale w tym kryje się i jego słabość. Albowiem system ten musi udowadniać, że — wbrew przejściowym niepowodzeniom — w ostatecznym wyniku jest wielkim sukcesem. Stale jednak wisi nad nim zhora takiego niepowodzenia, które by w sposób niezbity było zaprzeczeniem jego wybraństwa. Dla Stalina i dla komunizmu widmo takie było bardzo konkretne w pierwszym okresie wojny. Później jednak przyszły zwycięstwa, które były wspaniałym potwierdzeniem trwałości charyzmy.

W zasadniczym obrachunku system musi wykazywać się sukcesami. I ta konieczność stałego udowadniania posiadania charyzmy jest piętą achillesową takich systemów. Idea nie może być tak skonfrontowana z rzeczywistością, by słabość idei mogła być ukazana w sposób niezbity wyraźny. Rzeczywistość jest zawsze największym wrogiem charyzmatyków i charyzmatycznych systemów. I dlatego to muszą one być stale w walce z rzeczywistością.

Widmo niepowodzenia, które by w sposób niezbity zakwestionowało fakt posiadania charyzmy, jest stałą zhorą takich systemów. O tym powiedziały nam dzieje Hitlera i hitlerizmu. Komunizm jest „skazany na wielkość” i to nie w sensie zdawkowego frazesu, ale w wyniku samej swej istoty. Stąd jego ruchliwość, jego nienasycone ambicje, jego nie zatrzymująca się aktywność, jego stała konieczność posiadania wrogów. Czy są przecież lepsze dowody posiadania charyzmy niż tryumf nad wraźnymi siłami, ośmielającymi się kwestionować wybraństwo wybrańców?

Razem jednak wzięte są to sprawy wysoce ryzykowne. Od nadmiaru sukcesów może zakręcić się w głowie, o czym już poważnie ostrzegał sam Lenin. Nieustająca aktywność, stale obliczona na dalsze sukcesy, powiększa szanse porażek, z których wyjścia już nie ma. Amerykanie, drugi naród o kulcie aktywności, ale naród coraz bardziej racjonalizujący tradycje charyzmy purytanizmu, coraz lepiej o tym wiedzą i coraz sceptyczniej zaczynają patrzeć na *Bitch-Goddess Success*. Ale też są pragmatystami i w swej olbrzymiej większości ze swej organizacji życia publicz-

nego starają się usunąć pozostałości mistyki i magicznego ideologizmu. Zwycięstwo wyborcze Republikanów w Stanach Zjednoczonych, czy Konserwatystów w Anglii nie jest ani bezpowrotną katastrofą dla Demokratów czy Labour'zystów, ani świadectwem charyzmy Nixona czy Heath'a. W obu krajach taka koncepcja byłaby przyjęta raczej humorystycznie. Ale w systemach komunistycznych i im pokrewnych koncepcja charyzmy, konieczność ciągłego osiągania sukcesu, strach przed niepowodzeniem — wszystko to stanowi samo założenie systemu i jego filozofii.

Czym jednak jest powodzenie i niepowodzenie, sukces i jego brak? W jakiej mierze mogą być one świadectwami słuszności czy jej braku? Są to sprawy godne przemyślenia. I skonfrontowania z rzeczywistością. Skonfrontowania mniej magicznego, ale bardziej — w granicach naszych ludzkich możliwości — racjonalnego.

IV

Pociągłem mnie pokonani, ci „wyrzuceni na śmietnik historii”, ci których klęska stała się pierwszym dowodem słuszności i wielkości leninizmu. Czytałem uważnie rosyjską literaturę emigracyjną, wiele godzin spędziłem nad rocznikami *Socjalistycznego Wiestnika*. Jak wyglądały ich oceny i przewidywania skonfrontowane z rzeczywistością, przez nich jedynie przewidywaną, a mnie już empirycznie wiadomą? Szczególnie ważny był w tym *Socjalistyczny Wiestnik*, to mieńszewickie wydawnictwo, z takim uporem przez tyle lat utrzymywane przez niedobitków pokonanego kierunku, najpierw w Berlinie, później w Paryżu, by wraz z resztą swych redaktorów i współpracowników umrzeć w New Yorku. Przedziwny upór i przedziwne wydawnictwo.

Ileż w nim było niespełnionych oczekiwań, błędnych przewidywań, nieuzasadnionych przez fakty sądów! Ale w całości ileż tam było słusznego, ile ocen trafnych, przewidywań przynajmniej w jakiejś mierze potwierdzonych przez rozwój wypadków historycznych! Jestem wielkim sceptykiem na punkcie prorocत्व czy przewidywania przyszłości. Ale uznaję, że mogą być wnikliwe analizy danej rzeczywistości, które — choćby nie były proroczymi — mogą trafnie dostrzec pewne tendencje rozwojowe, mogą uchwycić prawdopodobieństwo niebezpieczeństw wynikających z takiego czy innego oceniania rzeczywistości, z takich czy innych działań podejmowanych na tle takich czy innych ocen.

I ja, dla którego przyszłość tam przeczuwana czy przewidywana była już przeszłością, byłem wstrząśnięty trafnością uwag, ocen, przeczuć czy przewidywań tych, którzy zostali wyrzuceni na

„śmietnik historii”. Przecież w najistotniejszych sprawach oni — pokonani, wzgardzeni — mieli słuszność, a nie ich tryumfujący przeciwnicy. Przecież w ogromnej ilości wypadków rozwój wydarzeń poszedł tak jak przewidywali pokonani, a nie jak to widzieli zwycięzcy. I w tym świetle sprawa sukcesu i klęski zaczyna wyglądać inaczej.

Ale i dorobek pisarski zwycięzców bardzo mnie pociąga. Stale wracam do pism Lenina. A wśród nich broszura o rewolucji proletariackiej i renegacie Kautsky'm jest szczególnym przedmiotem mego zainteresowania. Jest to przecież dokument historyczny o nie byle jakim znaczeniu. W nim właśnie zawarte jest filozoficzne uzasadnienie ostatecznego rozłamu, który dawny socjalizm podzielił na dwa śmiertelnie wrogie obozy — komunistów i socjalnych demokratów. Na wielkich obszarach tego świata komunizm odniósł miażdżące zwycięstwo nad swym przeciwnikiem. Tam zaś, gdzie socjalna demokracja się utrzymuje i nawet od czasu do czasu dochodzi do władzy, jakże całym swym obliczem i postępowaniem zdaje się potwierdzać słuszność oskarżeń Lenina.

Ale czy naprawdę potwierdza? Czy Kautsky był renegatem, a Lenin prawdziwym prorokiem, nosicielem potwierdzonej przez historię charyzmy? Patrząc na to wszystko z perspektywy miniego półwieku, można mieć poważne wątpliwości.

Lenin był niewątpliwie marksistą, choć zapewne sam Marks miałby co do tego poważne zastrzeżenia. Ale — jak wiadomo — sam Marks samego siebie nie uważał za marksistę (*Je ne suis pas marxiste*) i nie bez nieufności odnosił się do swych rosyjskich wyznawców.

Nie miał też wątpliwości i co do tego, by urzeczywistnienie się socjalizmu mogło się zacząć od Rosji, jednego z ekonomicznie i społecznie najbardziej uwsteczniionych krajów Europy. Rewolucja rosyjska miała być tylko punktem wyjściowym dla światowej rewolucji proletariackiej, osiągającej swój szczyt w krajach najwyższego uprzedmiotowienia i rozwoju kapitalizmu — czyli na Zachodzie. I Lenin — szczególnie we wcześniejszych swych pracach — wcale nie wyznaczał Rosji miejsca naczelnego w świecie urzeczywistniającego się socjalizmu. Rewolucja w Rosji miała być jedynie bodźcem, zapoczątkowaniem przemiany, do której — zdaniem Lenina — były już gotowe masy robotnicze przodujących narodów kapitalistycznych. I w tym Lenin godził się z Trockim.

Ale bardzo prędko przyszły tu rozczarowania. Jednym z nich były wyniki pochodu Tuchaczewskiego na Polskę. Wodzowie bolszewicy byli przekonani, że polskie masy ludowe przyjmą z otwartymi ramionami niosącą im wyzwolenie Armię Czerwoną, że chwycą za broń w walce o socjalizm. W rzeczywistości chwyciły one za broń, ale przeciwko Armii Czerwonej. W masach robot-

nicznych i chłopskich elementy komunistyczne okazały się bardzo słabe, bez porównania słabsze wśród robotników niż socjaliści (P.P.S. wśród robotników polskich i Bund wśród żydowskich) i zupełnie bez znaczenia wśród chłopów.

Ale nie lepiej było i tam, dokąd Armia Czerwona dotrzeć już nie mogła. W czołowych krajach kapitalistycznych — w Niemczech, Anglii, Francji — były wśród robotników poruszenia rewolucyjne. Powstawały tam partie komunistyczne — najsilniejsza w Niemczech, najsłabsza w Anglii. Zjawiali się tam wybitni przywódcy, na miarę Róży Luxemburg, Karola Liebknechta czy Klary Zetkin. Ale olbrzymia większość robotników pozostała wierna tradycyjnym socjalnym demokratom, a lokalne ruchy rewolucyjne w rodzaju bawarskiego były bądź brutalnie stłumione przez siły skrajnie prawicowe, bądź okazywały się przejściowymi efemerydami. Jedyne w kraju tak słabo uprzemysłowionym jak Węgry doszło na czas krótki do powstania rządu komunistycznego, który znów okazał się tragiczną efemerydą.

Dla Lenina były to rzeczy nieoczekiwane, zaskakujące. Ale przewidywali je jego przeciwnicy z Kautsky'm na czele. Przewidywali je na samym początku Rewolucji Październikowej, jeszcze przed wynikami marszu na Warszawę. Lenin znalazł tu jednak odpowiedź prostą: wina była nie po stronie mas. Te były rewolucyjne, te były gotowe do podjęcia dzieła, rozpoczętego przez ich rosyjskich towarzyszy. Wina była po stronie przywódców, którzy zdradzili rewolucję, zdradzili masy, stali się renegatami.

Bez względu na to kto kogo zdradził, kto był i kto nie był renegatem, zasadnicza koncepcja rewolucji rosyjskiej jako punktu wyjściowego dla rewolucji światowej zawiodła całkowicie. W czasach następnych musiała ona ulec gruntownej rewizji, choć pozornie nie odbiegającej od zasadniczej idei Lenina. Była to koncepcja budowania socjalizmu w jednym kraju. Kraj ten miał się stać przywódcą sił rewolucyjnych całego świata, wzorem dla nich, ich natchnieniem, warsztatem, gdzie wykuwała się ich przyszłość. Idee Lenina zostały jedynie przystosowane do perspektywy znacznie dłuższego czasu. Ze w praktyce uległy one przy tym bardzo zasadniczej modyfikacji, było zupełnie inną sprawą.

I dziś, patrząc na te sprawy z perspektywy wiecznie weryfikującego idee czasu, musimy stwierdzić, że racja nie była po stronie Lenina, którego stulecie w roku 1970 jest tak wspaniale celebrowane. Racja była po stronie Kautsky'ego, po stronie Ottona Bauera, po stronie Maxa Adlera, po stronie Longuet'a, i po stronie Martowa i Abramowicza. Ci lepiej niż Lenin orientowali się w tendencjach owych czasów, trafniej je oceniali, lepiej przewidywali kierunki przyszłych tendencji. Nie zmieniło to jednak sytuacji, że dziś o nich tak mało się pamięta, że nikt ich rocznic nie

święci. Im się nie powiodło. *The Bitch-Goddess Success* nimi zuzgardziła.

V

Lenin doskonale znał Rosję, rozumiał ją, wyczuwał ją. I w tym przede wszystkim umiał się wyrazić jego geniusz polityczny. I dzięki temu mógł dojść do zwycięstwa. A doszedł do niego, gdyż ze swego rozumienia Rosji umiał wyciągać wnioski praktyczne i nie bał się tego.

Ale równocześnie Lenin wykazał uderzającą niezdolność rozumienia i odczuwania świata pozarosyjskiego. Nie znaczy to, by w tym świecie nie dostrzegał faktów i tendencji, rzeczywiście w nim zachodzących. Wykazał to choćby w swej pracy o rozwoju stosunków agrarnych w Stanach Zjednoczonych. Ale ostatecznie te fakty i tendencje nie były jego oryginalnym odkryciem, były niejednokrotnie dostrzegane i opisywane przez innych. Natomiast wnioski, jakie Lenin stąd wyciągnął, i jego dalsze przewidywania amerykańskich procesów. Lenin przeobrażenia amerykańskiej struktury agrarnej widział przez pryzmat przeobrażeń rosyjskiej struktury agrarnej. Tę znał i rozumiał.

Lenin szereg lat spędził poza Rosją, był politycznym emigrantem. Znał kilka języków obcych. Jako wybitny przywódca socjalistyczny był w szczęśliwej sytuacji emigranta politycznego, który bez trudu mógł nawiązywać bliskie kontakty z towarzyszami krajów swego pobytu. Poznał wielu zachodnioeuropejskich przywódców socjalistycznych, bywał na zjazdach i konferencjach międzynarodowych. To nie był — zdawałoby się — ów typowy emigrant polityczny, izolowany od otoczenia zewnętrznego, zamknięty w getcie, które sam sobie stworzył. Ale czy naprawdę nim nie był?

Emigracje polityczne w stopniu znacznie większym, niż zwykle emigracje zarobkowe, istnieją jako grupy zamknięte, izolowane i izolujące się od szerszego otoczenia, w którym przebywają. Getto emigracji zarobkowej jest wynikiem barier językowych, potrzeby zachowania dawnych tradycji, dawnych obyczajów. Jest formą bronięcia swej tożsamości przed naporem świata zewnętrznego, obcego i przez długi czas niezrozumiałego. W emigracji politycznej od tych momentów jeszcze ważniejsze jest poczucie swego posłannictwa wobec porzuconej ojczyzny, jest poczucie jej reprezentowania, jest prężność związana z przerwana działalnością w ojczyźnie i wiara w szybkie wznowienie tej działalności po powrocie. Każda emigracja polityczna jest przez swych uczestników traktowana jako stan przejściowy, chwilowy, obliczony na krótką metę. Nie zmie-

nia się to nawet w emigracjach bardzo długotrwałych, kiedy pokolenie młodych emigrantów stopniowo przetwarza się w pokolenie wymierających starców.

Emigrant polityczny może utrzymywać bliższe kontakty z ludźmi i grupami ideowo mu bliskimi w krajach osiedlenia. Monarchiści rosyjscy mieli liczne kontakty z konserwatystami zachodnioeuropejskimi i ze środowiskami arystokratycznymi. Rosyjscy Kadeci wyzyskiwali swe powiązania masonskie. Mieńszewicy utrzymywali przyjazne stosunki z zachodnimi socjalistami. To im nieraz umożliwiała materialne przeżycie. Zasadniczo jednak byli grupami zamkniętymi, izolowanymi, żyjącymi treściami, wspomnieniami i nadziejami własnego świata. Obcując z emigrantami politycznymi z różnych krajów — by nie mówić o emigrantach polskich — byłem zawsze uderzony tym jak słabo orientowali się oni w rzeczywistości krajów swego pobytu, jak obce były im zagadnienia i tendencje tych krajów. Najczęściej wykazywali nie tylko niezajomość historii krajów osiedlenia, ale niezajomość ich języków. Znałem emigrantów rosyjskich, którzy po dziesięcioleciach pobytu w Niemczech, Francji i Stanach Zjednoczonych nie opanowali nawet w stopniu elementarnym niemieckiego, francuskiego czy angielskiego. I nie zawsze byli to ludzie bardzo starzy. Co gorzej, na rzeczywistość krajów swego pobytu patrzeli przez pryzmat własnej ojczyzny, tej którą porzucili, nie biorąc pod uwagę zmian, jakie w niej zachodziły. Było w tym coś wysoce tragicznego i beznadziejnego.

W wypadku Lenina emigracja była rzeczywiście czymś przejściowym i stosunkowo krótkim. Ale była typową emigracją polityczną. Była miejscem, z którego można było patrzeć na Rosję, być z nią w najbliższym kontakcie. Była wygodnym punktem geograficznym, ułatwiającym podejmowanie akcji w samej Rosji. Co było dookoła, miało znaczenie podrzędne, jeżeli w ogóle miało jakieś znaczenie. Oczywiście Lenin żywo interesował się tym, co się działo w krajach, w których przebywał. Ale zainteresowania te były podporządkowane najważniejszemu, czy jedynie ważnemu: sprawie rewolucji rosyjskiej. I stąd Lenin świat pozarosyjski widział oczyma rosyjskiego rewolucjonisty, stąd fakty tam zachodzące mierzył miarą rosyjską. Tę miarę znał znakomicie, tylko dopasowywał ją do nieodpowiednich przedmiotów.

W czasach, kiedy Lenin był na emigracji, robotnik przodujących krajów kapitalistycznych zaczynał dopiero wchodzić na drogę, która go oddalała od proletariusza czasów Marksa i miała zaprowadzić do dzisiejszego *Welfare State* ze wszystkimi tego konsekwencjami. Już wtedy mógł się być poszczycić poważnymi osiągnięciami natury ekonomicznej, społecznej i politycznej. Zdobył w głównej mierze zawdzięczał swemu zorganizowaniu się —

politycznemu i zawodowemu. I o tym sam dobrze wiedział. Stał lojalnie w szeregach partii socjalistycznej i związków zawodowych. Nie obce mu były momenty ciężkich doświadczeń i porażek. Robotnik niemiecki miał w pamięci walkę z socjalizmem, jaką podjął Bismarck. Ale z trudnych doświadczeń socjalizm europejski wychodził zwycięsko, zapewniając klasie robotniczej dalsze osiągnięcia. I ostatecznie nawet w Niemczech polityka antysocjalistyczna była w porównaniu z carską Rosją dziecinną igraszką.

Oczywiście socjalizm zachodnioeuropejski nadal posługiwał się frazeologią rewolucyjną. „Manifest komunistyczny” był tu stałą księgą świętą, zawierającą wyznanie wiary. Potępiane były odstępstwa prawicowe w rodzaju rewizjonizmu czy reformizmu. Przywódcy socjalistyczni mogli w czasie obchodów pierwszomajowych mówić o nadchodzącej rewolucji proletariackiej, ale w praktyce życia codziennego byli pochłonięci taktyką parlamentarną frakcji socjalistycznych. Jaurès czy Bebel byli zarówno przywódcami mas robotniczych skupionych w ich partiach, jak i wielkimi osobistościami parlamentarnymi w skali ogólnonarodowej i wielkimi mistrzami gry politycznej, prowadzonej na terenie ciał przedstawicielskich. Na marginesie warto jest przypomnieć, że Jaurès jako historyk — a był on autorem poważnych prac historycznych — odnosił się bardzo krytycznie do materializmu historycznego i w tym nie mógł być uważany za marksistę. Ludzie ci umieli być bardzo gwałtowni w swej retoryce, ale w swej działalności praktycznej wykazywali znaczną ostrożność.

Czy byli renegatami, czy byli zdrajcami klasy robotniczej? W rzeczywistości ich umiarkowanie było pochodną umiarkowania tych mas. A w tych rewolucyjny *élan* był coraz słabszy, coraz bardziej sprowadzał się do parad pierwszomajowych. Wielu przywódców europejskiego socjalizmu w swych osobistych przekonaniach wykazywało znacznie większy stopień radykalizmu, niż masy partyjne. I stąd poważniejsi z nich ten swój osobisty radykalizm musieli poważnie moderować. Wybuch Pierwszej Wojny Światowej spowodował rozłam w socjalizmie niemieckim. Ale ogromna większość partii poszła za Scheidemannem. Na początku wojny tylko Liebknecht i w pewnej mierze Ledebour zajęli stanowisko wyraźnie antywojenne. Dopiero nieco później powstała Niezależna Partia Socjalistyczna, która w swej opozycji do wojny była daleka od rewolucyjności i starała się utrzymać w ramach akcji parlamentarnej.

Nie inaczej było i w innych krajach rozwiniętego kapitalizmu. Jaurès był zamordowany przed wybuchem wojny. Jak by się zachował w czasie wojny — na to odpowiedzi dać nie potrafimy. Ale wiemy, jak zachowała się olbrzymia większość socjalistów francuskich, włoskich, austriackich czy angielskich.

Było to oczywistym następstwem postaw szerokich mas robotniczych. Te były ogarnięte uczuciami patriotycznymi. Ci proletariusze mieli już swoje ojczyzny, przestawali być w nich pariasami, zaczęli odczuwać, że zajmują w nich jakieś miejsce, że coś w nich osiągnęli i że tego czegoś nie chcą stracić.

Koniec wojny przyniósł wszędzie poruszenia rewolucyjne. W gruncie rzeczy wojnę tę wszyscy przegrali. I pokonani i zwycięzcy. Upust krwi był straszliwy, zniszczenia kolosalne. I czy wojna ta w ogóle miała jakiś sens? Największymi w niej ofiarami były masy pracujące. A równocześnie w Rosji wybuchła rewolucja, rewolucja zwycięska, rewolucja niosąca takie obietnice.

Socjalizm światowy przeszedł przez rozłam, który okazał się trwały. Wytworzyły się partie komunistyczne, rywalizujące z tradycyjną socjalną demokracją. Dochodziło do wystąpień zbrojnych, do okupowania fabryk, do powstawania lokalnych rządów rewolucyjnych. W ostatecznym wyniku profitantami byli faszysty. A trzeba jasno powiedzieć iż jest legendą, by w faszyzmie robotników nie było. Anton Drexler był robotnikiem. Jakaś część robotników włoskich poparła Mussoliniego (on sam jeszcze nie tak dawno był przywódcą socjalistycznym!), opór robotników niemieckich wobec hitlerizmu był słaby i Hitler potrafił pociągnąć za sobą jakieś elementy bezspornie robotnicze. Jakkolwiek rzeczy te się oceni, były one jednak niezaprzeczalnymi faktami.

Już wtedy robotnicy europejscy przestawali być tą siłą rewolucyjną, jaką byli w oczach Marksa. A za jego czasów niewątpliwie nią byli. Tylko że od epoki „Manifestu Komunistycznego” i „Kapitału” jakieś zmiany zdążyły zajść. I z tego zaczęli sobie zdawać sprawę ówczesni przywódcy socjalistyczni, i to było zasadniczą — choć nie jedyną — racją ich pozycji wobec komunizmu. Ale zmiany te uszły uwagi Lenina. Albowiem w Rosji sytuacja wyglądała inaczej.

VI

Rosja roku 1914 była uważana za jeden z najbardziej uwstecz-nionych krajów Europy. Reformy roku 1905 nie dokonały zasad-nicznych przemian w jej ustroju państwowym, który nadal był anachronizmem i nadal był gruntownie skorumpowany. Prawną podstawą jej organizacji społecznej był nadal system stanowy. Jej kontrasty społeczno-gospodarcze były uderzające. Stopa życiowa jej ludności bardzo niska. Poziom jej uprzemysłowienia, choć wyraźnie postępującego, był nadal daleko w tyle za poziomem naro-dów Zachodu. Jej wieś była prymitywna, technika gospodarowa-nia żałosna. Odsetek analfabetów wśród ludności był jednym z najwyższych w Europie. W polityce wewnętrznej jej system

rządzenia prowadził politykę rusyfikatorską, skierowaną przeciwko grupom nierosyjskim, stanowiącym przecież większość zaludnie-nia olbrzymiego kraju. Wojna z Japonią zademonstrowała jej sła-bość militarną, wynikającą z anachronizmu jej urządzeń, prymity-wizmu kulturalnego i słabości gospodarczej.

Nie z samych jednak czarnych plam składał się obraz ówczes-nej Rosji. Jej twórczość literacka była wspaniała, jedna z najwięk-szych na świecie. Rosja wydała całą plejadę wielkich artystów, szczególnie w dziedzinie muzyki i teatru. Ten kraj powszechnego analfabetyzmu mógł się poszczycić intelektualistami najwyższej klasy, wielkimi uczonymi i myślicielami. Były to plamy jasne, tym mocniej odbijające od czarnego tła.

A i pod względem uprzemysłowienia Rosja nie była tak zaco-fana, jak się to zwykle przedstawia. Choć w porównaniu z Za-chodem nieliczne, powstawały tu ośrodki industrializacji, wielkie kompleksy przemysłowe, mogące być porównywane z zachodnimi. I była w Rosji klasa robotnicza.

Oczywiście nie można jej było porównywać z klasą robotniczą narodów Zachodu. W stosunku do zaludnienia olbrzymiego kra-ju była nieliczna. Nieznane jej były te osiągnięcia organizacyjne, jakie dały siłę i pozycję robotnikom Zachodu. Ale nawet w car-skich Dumach zasiadali posłowie socjalistyczni, reprezentujący robotników.

Historiografia komunistyczna przedstawia Mieńszewików jako garść przywódców, którzy nie mieli rzeczywistych związków z ma-sami robotniczymi i przez te masy odrzuconych. Nie ma to jednak oparcia w faktach. Mieńszewicy mieli bazę masową i to bardzo interesującą. Przede wszystkim mieli oni silne oparcie w pew-nych grupach etnicznych, gdzie hasła socjalistyczne spłotyły się w całość z aspiracjami narodowymi. Tak było szczególnie z Gruzi-nami, gdzie Mieńszewizm przez czas pewien był bezmała stron-nictwem ogólnonarodowym. Wśród przywódców mieńszewickich Gruzini odgrywali poważną rolę (Czcheidze, Cereteli, itd.). Ale bodaj jeszcze większą rolę w kierownictwie Mieńszewików odgry-wali Żydzi. Na terenie Rosji żydowski Bund był jednym z naj-ważniejszych składników partii mieńszewickiej. Wbrew popular-nym legendom antysemitki, kierownictwa stronnictw lewicow-ych nie-bolszewickich (włączając w to Kadetów) były znacznie bardziej „zażydzone” niż kierownictwo bolszewickie. Odnosi się to w szczególności do Mieńszewików, choć Żydów nie brakło i wśród przywódców s-rowskich i kadeckich.

Alle Mieńszewicy mieli poważną bazę masową i wśród robotni-ków czysto rosyjskich. O obliczu tych robotników napisano już bardzo dużo i w tej dziedzinie zebrano sporo cennych materiałów. Otóż byli to robotnicy, swym obliczem społecznym i charakterem

zawodowym najbardziej zbliżeni do robotników Zachodu. Po stronie Mieńszewików stała „arystokracja” robotnicza, robotnicy wyspecjalizowani i najlepiej zarabiający. W wielkich zakładach przemysłowych, swym typem produkcji i organizacją odpowiadających analogicznym zakładom Zachodu, wpływy mieńszewickie były bardzo silne. Jeżeli Mieńszewicy w całej swej filozofii i taktyce wykazywali pokrewieństwo z zachodnimi socjalnymi demokracjami, to wynikało to nie tylko z osobistych przekonań, ale i z bazy społecznej, na której się opierali. Baza ta miała bardzo wiele wspólnego z bazą zachodnich partii socjalno-demokratycznych.

Lenin i Bolszewicy zwycięstwo zawdzięczali zrewoltowanym masom żołnierskim, ofiarom przegranej wojny. Społeczną podstawą tych mas była wieś chłopska. Ta domagała się ziemi i pokoju. Bolszewicy zwycięstwo swe zawdzięczali dalej tym robotnikom, którzy z racji swego oblicza społecznego, funkcji gospodarczych i przygotowania zawodowego byli znacznie bliżsi robotnikom czasów Marksa niż początków wieku XX na Zachodzie. Od tej strony widziana rewolucja bolszewicka była bardziej rewolucją proletariatu w sensie tradycyjnym, niż rewolucją robotniczą w sensie nowych czasów. W rezultacie — wbrew przewidywaniom Marksa — siły historycznie najbardziej powołane do tworzenia socjalizmu były przeciwko Bolszewikom, którzy swój tryumf zawdzięczali siłom do socjalizmu najmniej przygotowanym.

Lenin z tego zdawał sobie sprawę. Ale też — stale to trzeba podkreślać — widział on w rewolucji rosyjskiej tylko punkt wyjściowy dla rewolucji światowej. Następcy Lenina, późniejsi zawodowi komentatorzy, włożyli największy wysiłek w wykazanie, że nie było sprzeczności między Leninem i Marksem. Trzeba było wykazać, że rewolucja socjalistyczna i budowanie socjalizmu było możliwe w kraju uwstecznionym i że właśnie dzięki rewolucji kraj taki może w pełni rozwinąć swe możliwości produkcyjne, dogonić i przegonić kraje kapitalistyczne i stworzyć nowy, doskonały ustrój sprawiedliwości społecznej. I że w ten sposób może stać się wzorem dla krajów kapitalistycznych.

Na tym założeniu oparła się cała teoria i praktyka Związku Sowieckiego. I stąd płynął zasadniczy rozłam między krajami, uważającymi się za socjalistyczne, i krajami tzw. kapitalistycznymi. I rozłam między komunizmem i socjalną demokracją. W historię tego rozłamu, w analizę zmian zachodzących po obu stronach, wchodzić tu nie będziemy.

Jest jednak godne podkreślenia, że — pomijając Czechosłowację — komunizm okazał się zwycięski w krajach, które — według Marksa — najmniej były przygotowane do przyjęcia socjalizmu. I że były to zwycięstwa jakże dalekie od przewidywań „Manifestu Komunistycznego”! W ogromnej większości wypad-

ków były one wynikiem okupacji wojskowych, w których okupanci narzucali zajętych przez siebie krajom określony ustrój polityczny i gospodarczy. Wyjątkiem są tu Chiny, w których — podobnie jak w Rosji — komunizm doszedł do władzy w wyniku wojny domowej i w których — znów jak w Rosji — podstawą były masy chłopskie. Niestety nie możemy przewidzieć, jakby Marks i Engels zareagowali na fakt zwycięstwa socjalizmu w Albanii czy w Mongolii. Zapewne byłiby bardzo zdziwieni. Z pism ich zgoła nie wynika, by prawdopodobieństwo czegoś podobnego brali pod uwagę.

Podjęmowane są nieraz dyskusje, czy rozwój potęgi, jaką dziś wykazuje Związek Sowiecki, nie nastąpiłby i bez Rewolucji Październikowej. Zwraca się uwagę na tempo i rozmiary rozwoju gospodarczego Rosji przedrewolucyjnej, na katastrofalne zahamowania okresów późniejszych, zahamowania spowodowane przez niezliczone „błędy i wypaczenia”. Są to dyskusje zupełnie jałowe — jak wszelkie dyskusje na temat „co by było, gdyby było”. Faktem jest, że Sowiety, świętujące stulecie Lenina, są jednym z dwóch super-mocarstw, że mogą się wykazać imponującymi osiągnięciami. Czy we wszystkich dziedzinach? To jest wielkim pytaniem. Bo ostatecznie postulat „socjalizmu o ludzkim obliczu” nie jest niczym innym jak nawrotem do starych idei socjalno-demokratycznych, tak bez powodzenia głoszonych przez tych, którzy zostali wyrzuceni na „śmietnik historii”. I nawrotem do tych idei są hasła rewizjonizmu i różne mniej lub więcej udolne próby reformowania rzeczywistości świata komunistycznego. I to stawia pod znakiem zapytania wielkość dzieła Lenina i jego wyznawców. I rehabilituje pokonanych.

VII

Rozpatrując analizy, obserwacje i przewidywania Lenina i konfrontując je ze znanymi nam późniejszymi faktami historycznymi, możemy ułożyć długą listę sytuacji świadczących o błędności jego myśli. Przytoczone dotąd przykłady fałszywych jego ocen mogą być wielokrotnie pomnożone. Ale na ten temat krytycy Lenina i komunizmu powiedzieli już bardzo dużo, chyba wszystko co było do powiedzenia.

Cały szereg najbardziej zasadniczych błędnych ocen i przewidywań Lenina był od razu dostrzeżony przez jego śmiertelnych wrogów — Mieńszewików i zachodnich socjalnych demokratów. Inne ujawnił najwyższy sędzia wszelkich teorii — nieubłagany czas. Można nawet powątpiewać, czy Lenin — gdyby zbudził się w swym mauzoleum na Placu Czerwonym — zaafirmowałby dzi-

siejszy komunizm i dzisiejszy Związek Sowiecki jako właściwe wcielenie w życie jego myśli i oczekiwań.

Popełnianie błędów nikogo nie dyskwalifikuje. Raczej z największą podejrzliwością należałoby patrzeć na nie błądzących — jeżeli tacy w ogóle istnieją. Życie w świecie ludzi nie popełniających błędów byłoby zaiste czymś przerażającym. Najwięksi geniusze popełniali błędy, choć były to błędy genialne. Patrząc z perspektywy dziejów na systemy filozoficzne Platona czy Arystotelesa, dostrzegamy w nich nagromadzenie błędów. W niczym to jednak nie pomniejsza wielkości Platona czy Arystotelesa. Albowiem były to błędy płodne. Błąd może być bodźcem i punktem wyjściowym dla szukania i znajdowania prawdy. Cały rozwój dziejów człowieka może być widziany jako niekończące się pasmo błędów.

I rzecz nie jest w tym, że Lenin robił błędy, że ogromna ilość jego ocen i przewidywań została zakwestionowana przez historię. Ani nawet w tym, że wielka ilość błędów Lenina była bardzo wczesnie dostrzeżona przez jego przeciwników, że w ogromnej ilości wypadków słuszność była po ich stronie, a nie jego.

Rzecz jest w tym, że w roku 1970 było wspaniale świętowane stulecie urodzin Iljicza i że przeciwnicy jego zostali wyrzuceni na „śmietnik historii”. Rzecz jest w sukcesie i w jego braku. Lenin — choć słuszność jego koncepcji może być tak zasadniczo zakwestionowana — zwyciężył; przeciwnicy jego — choć tyle mieli racji w swej krytyce — przegrali. I tu wracamy do zasadniczego punktu tych rozmyślań.

Piszący nekrologi Kierenskiego wysuwali na czoło fakt jego niepowodzenia, przypisując je błędom przez niego popełnionym. Błędy te — choć niezbyt precyzowane — sprowadzały się do rzeczy zasadniczej: że Kierenski był człowiekiem słabym, pełnym wahań, niezdolnym do podejmowania decyzji śmiałych i stanowczych. Pod tym wszystkim kryje się myśl podstawowa: Kierenski nie potrafił zrobić tego, co potrafił zrobić Lenin. W rzeczywistości zwycięstwo Lenina nie było wynikiem słuszności jego filozofii. Ta nie była słuszną, szczególnie w zakresie analizy rzeczywistości pozarosyjskiej. Ale Lenin znakomicie wyczuwając rzeczywistość rosyjską nie zawahał się wyciągnąć wniosków praktycznych, które dały mu zwycięstwo.

Lenin nie był jedynym, rozumiejącym fakt zasadniczy: że Rosja wojnę przegrała, że armia jej była w stanie rozkładu, że w masach rosyjskich załamała się wola walki, że masy te były rozgorzyczone, buntujące się. Wiedział to i Kierenski, i Eserzy, i Mieniszewicy, i Kadeci. Wiedziało to wielu monarchistów. W tych warunkach każdy, kto by rzucił hasło zaprzestania walki i dania ziemi masom chłopskim, mógłby być osiągnąć sukces. Na przeszkodzie

dzie stały skrupuły moralne i świadomość szalonego ryzyka wyciągania takich wniosków praktycznych. Lenin takich skrupułów nie miał i dlatego wygrał.

Hasło *wstia własť sowietam* nie było programem politycznym. Lenin mógł je traktować poważnie jako program, w czym znów popełniał jedną ze swych wielkich pomyłek. Dziś wiemy doskonale, jak dalece dalszy rozwój historii sowieckiej radykalnie odszedł od tej idei leninowskiej. Ale dla ówczesnych mas rosyjskich, dla buntujących się żołnierzy rozgromionych armii, dla głodującego proletariatu robotniczego i chłopskiego, dla wielu radykalnych inteligentów, hasło to było symbolem dla ich uczuć, dla ich goryczy i dla ich aspiracji. Sprowadzało się ono do rzeczy bardzo prostych i dalekich od kunsztownej filozofii „Gosudarstwa i Rewolucji”: zaprzestania katastrofalnej wojny, przeprowadzenia tych, którzy do niej doprowadzili i ją przegrali, dania ziemi, poprawy warunków życiowych, otrzymania swobód, bardzo zresztą mętnie rozumianych. Jako symbol, jako szeroka formuła racjonalizująca panujące nastroje, hasło to było znacznie prostsze, bardziej emocjonujące niż skomplikowane, przeintelektualizowane koncepcje Mieniszewików, Eserów czy Kadetów. Te mówiły o demokracji w kraju, w którym nie istniały nawet ślady tradycji demokratycznych, mówiły o systemie przedstawicielskim w kraju, w którym od niedawna dopiero istniała parodia takiego przedstawicielstwa w postaci Dumy. Na nieco starsze tradycje „ziemstw” nie można się tu powoływać. I żadna z tych grup — nawet antywojennie usposobieni Mieniszewicy — nie mogła przyjąć prostej prawdy, że pobita Rosja przestała być w obozie koalicyjnym czynnikiem o jakimś znaczeniu.

Geniusz Lenina nie polegał na wielkości czy prawdziwości jego zasadniczych koncepcji teoretycznych. Polegał on na rozumieniu ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej i na śmiałości podejmowania i wprowadzania w czyn decyzji, które w danych warunkach i w danym kraju mogły być zapewnić powodzenie. Bardzo jest możliwe, że takie powodzenie osiągnąłby każdy z oponentów Lenina, który by się zdobył na jego decyzje. Ale on jedyny na nie się zdobył. I choć robił błędy, umiał wyzyskiwać błędy swoich przeciwników. A to najzyczliwiej usposabia *The Bitch Goddess Success* i sprowadza jej błogosławieństwo.

VIII

Zdefiniowanie sytuacji życiowych ocenianych jako sukces i sytuacji życiowych uznawanych za niepowodzenie nie wydaje się czymś trudnym i wymagającym głębszego zastanowienia. W każ-

dym wypadku zakładamy sobie jakiś cel, oceniany przez nas jako wysoce pożądany, i staramy się go osiągnąć poprzez szereg takich czy innych działań, opartych na naszych ocenach i przewidywaniach. Jeżeli cel osiągamy, mówimy o powodzeniu. W wypadku przeciwnym — o niepowodzeniu. Rozmaitość celów, jakie sobie zakładamy i staramy się osiągnąć, jest nieskończona. Mogą to być rzeczy o wielkim znaczeniu dla nas i dla innych, i mogą to być rzeczy trywialne, bardzo osobiste, składające się na szczegóły naszego życia codziennego. Droga życiowa każdego z nas wypełniona jest przez większe i mniejsze cele, które staramy się osiągnąć, i tym samym przez powodzenia i niepowodzenia.

Często są to powodzenia częściowe i częściowe niepowodzenia. Wiemy też dobrze, że wyniki, o które zabiegamy, nie zawsze i niekoniecznie są następstwami trafności naszych sądów, wyboru właściwych środków działania, naszego charakteru czy uzdolnień. Decydujące znaczenie mogą tu mieć okoliczności od nas niezależne. Od początku swych dziejów człowiek starał się pozyskać dla swych celów życzliwość sił wyższych. Składał im ofiary, zabiegał o ich przychylną przez modlitwy i rytuały. I jakże często bez powodzenia! Pierścień Polikratesa mówi o zazdrości i stąd nieżyczliwości bogów wobec tych, którym powodziło się zbyt dobrze. Brak powodzeń był też tłumaczony bardziej racjonalnie: przez warunki społeczne, przez krzywdy i niesprawiedliwości wynikające z wad naszych form współżycia i z właściwości ludzkich w ogóle. Że ludzie nie są aniołami, że miłość bliźniego nie jest regułą powszechnie stosowaną — o tym mówi cała historia człowieka. Cierpienia, poniżenie, nienawiść, pogarda, zazdrość — wszystko to jest właściwością rodzaju ludzkiego. I wszystko to jest związane z powodzeniem jednych i niepowodzeniem drugich.

Powodzenie i niepowodzenie były też stale odczuwane jako coś zagadkowego, nie dającego się sprowadzić do prostych formuł. W takiej czy w innej mierze znajdowało to dla siebie wyraz w całej duchowej twórczości człowieka — w religii, w literaturze, w sztuce, w filozofii. Cierpienia człowieka, jego porażki i klęski są zasadniczym motywem wielkich pisarzy i wielkich literatur, wielkich muzyków, rzeźbiarzy czy malarzy.

I stale wracała myśl o tym, jak złudne mogą być powodzenia i niepowodzenia. Oczywiście jedno i drugie ma swoje mierniki obiektywne. Nie ulega wątpliwości, że P. J. Morgan był pobłogosławiony przez *Bitch-Goddess Success*. I że pobłogosławiła ona Leninowi, czego wyrazem są uroczystości jego stulecia. I że odmówiła swego błogosławieństwa niezliczonym zastępom nędzarzy, zastępom różnych Kierenskich ze wszelkich dziedzin życia ludzkiego i ludzkiej działalności. I że najczęściej wybraństwo bogini spotykało się z uznaniem społecznym. Albowiem nie tylko

w purytanizmie powodzenie jest widowym dowodem posiadania charyzmy. Purytanizm dał tu tylko jakąś postać racjonalizacji wierzeń tak starym jak rodzaj ludzki.

A jednak rodzaj ten najwięcej zawdzięcza tym, którym się nie powiodło. I jak często mylił się w ocenianiu dobrodziejstw nierządnej bogini! *Defeat may be victory in disguise* — pisał Longfellow.

Albowiem dla pełnego ocenienia powodzeń i niepowodzeń potrzebny jest czas, nieraz bardzo długi, a w każdym razie wystarczająco długi, by następstwa działań, uznawanych za uwiecznione powodzeniem lub odrzuconych jako niepowodzenie, mogły ujawnić się w sposób oczywisty. Tylko historia zdolna jest przeprowadzić weryfikację błogosławieństw nierządnej bogini. A i historia wcale nie jest sędzią nieomylnym. Ale jest sędzią jedynym.

Ileż to razy dramatycznie zakwestionowała ona powodzenia jednych i niepowodzenia drugich. Ilu bohaterów, heroizowanych za życia czy wkrótce po śmierci, zostało z czasem odartych z wielkości. Ilu uległo zapomnieniu. Ilu pisarzy głośnych, podziwianych, zostało z czasem uznanych za miernoty i odrzuconych. I ilu artystów, myślicieli, polityków, odkrywców.

Twórcy współczesnego przemysłu byli zazwyczaj (i tu zdarzały się wyjątki) ludźmi wielkich sukcesów. Osobiście zdobywali fortuny i rozgłos, następstwami swej działalności gruntownie przeobrażili oblicze naszego świata. A dziś coraz bardziej zaczynamy się niepokoić, że owocem ich osiągnięć może być całkowite zniszczenie życia na tej dziwnej i szaleńczej planecie, którą nazywamy Ziemią.

A wśród tych, którym się nie powiodło, iluż jest takich, którym zawdzięczamy najwięcej. W kulturze polskiej klasycznym przykładem był Cyprian Kamil Norwid. Całe jego życie było pasmem ciągłych niepowodzeń. Był odrzucony jako poeta, żył w nędzy, umarł w przytułku paryskim. Musiało upłynąć niemało czasu, zanim została mu przyznana wielkość. Jemu osobiście to już nie pomogło.

Takich przykładów można przytoczyć niezliczone ilości we wszystkich narodach, epokach i dziedzinach. Mozart za życia cieszył się pewnym uznaniem. Ale żył w biedzie, umarł w nędzy. Był pochowany we wspólnej mogile, gdzie grzebano nędzarzy. Cała życiowa działalność Leonarda da Vinci była pod znakiem stałych niepowodzeń. Doznawał zawodów nawet w tym, w czym zdobywał uznanie — w sztuce. Dzieł swoich nie kończył, posługiwał się innowacjami które zawodziły. Galileusz umarł w więzieniu. Wielcy impresjoniści francuscy byli wyśmiewani i żyli w biedzie. Cézanne uważał się za szczęśliwego, gdy za największe jego arcydzieła płacono mu sto franków. Dwieście lat musiało

upłynąć, zanim Benedetto Croce „odkrył” zupełnie zapomnianego profesorzyne neapolitańskiego nazwiskiem Gianbattista Vico. I tak dalej, i tak dalej, bez końca.

Dziwnie w swych błogosławieństwach kapryśna jest owa *Bitch-Goddess Success*. I wyroki jej stale są sprawdzane przez czas, przez historię, która odślania rzeczy niedostrzegane wtedy, gdy jedni byli darzeni powodzeniem, a drudzy — klęską.

Odczuwam stale zakłopotanie, gdy ferowane są wyroki o wielkości i małości moich współczesnych. Sądzę, że z wydawaniem ich byłoby bezpieczniej poczekać jeszcze jakieś lat pięćdziesiąt, albo sto, albo i więcej. I tak to odczuwam, gdy mnie samemu czasem przypada wydawać takie wyroki. Czy przyszłość wykaże ich słuszność? A jednak wyroki takie wydawać musimy, bo bez nich całe nasze współzycie ludzkie byłoby niemożliwe, bo bez nich działać byśmy nie mogli. Treścią naszej kultury, podstawą naszej zbiorowości są nasze sądy, oceny innych i samych siebie, oceny naszych działań i przewidywania na tym oparte. *The Bitch-Goddess Success* jest motorem naszego życia zbiorowego. Idee Powodzenia i Niepowodzenia są nierozdzielnie splecione z całym naszym istnieniem. To przyjąć musimy. Ale też musimy pamiętać, że sąd ostateczny będzie wydany nie przez nas, ale przez czasy które dopiero przyjdą; że o powodzeniu i niepowodzeniu niekoniecznie decyduje trafność naszych rozważań, obiektywna słuszność tego, w co wierzymy i co głosimy. Nasza ostrożność w tych sprawach byłaby szczególnie wskazana. Ale czy potrafimy się na nią zdobyć?

Takie myśli nasuwają mi się w roku, w którym tryumfalnie obchodzone jest stulecie urodzin Lenina, utwierdzone jest jego powodzenie osobiste i powodzenie jego dzieła. I w roku, w którym umarł ostatni z jego niegdyś głośniejszych i na krótko uwielbianych, a dziś zapomnianych przeciwników — Aleksander Kiereński.

Głos ostateczny należy do historii. Ale zaczyna już być do słyszalny. I w tym świetle powodzenie Lenina i jego dzieła wydaje się coraz bardziej wątpliwe. Tak przynajmniej mnie się wydaje. I w tym nie jestem odosobniony. Sądzę, że ostateczny werdykt, którego ja sam już nie doczekam, będzie bardzo różny od tej urzędowej retoryki, jaką władcy krajów komunistycznych karmią dziś miliony swych poddanych. I może wtedy przypominani zostaną ci, którzy byli wyrzuceni na „śmietnik historii”.

Aleksander HERTZ

Wolszczyzna

Uspółdzielczenie pracy najemnej, usunięcie źródeł społeczno-organizacyjnych wyzysku i znieważenia pracy ludzkiej, w warunkach prywatnego lub państwowego najemnictwa, przez wprowadzenie spółdzielczego samorządu pracowniczego, może niejednemu czytelnikowi wydawać się po prostu nierealną mrzonką. Przecież żyjemy w cieniu wielkich aparatów biurokratycznych, w obliczu których marginesowe społecznie inicjatywy tworzenia wspólnot pracy wytwórczej i usługowej (*co-partnerships* w Wielkiej Brytanii, spółdzielnie pracy rzemieślniczej we Francji, wspólnoty rolne w Izraelu, Meksyku i innych krajach) wydają się czymś nie mającym żadnych poważniejszych widoków na szersze powodzenie. Tam nawet, gdzie wspólnoty takie ze względów polityczno-ustrojowych — jak w ZSSR, Chinach, europejskich krajach tzw. demokracji ludowej i na Kubie — są bardzo liczne, zwłaszcza w rolnictwie i w usługach rzemieślniczych, poddano je tak daleko idącej kontroli aparatu państwowego i partyjnego, że faktycznie bardzo niewiele w nich jakiejś własnej identyczności. Znow zaś, gdy idzie o doświadczenie izraelskie, to przecież kibucce, jak dotąd, praktycznie są nieprzenaszalne na inny grunt społeczny. Inne eksperymenty w omawianym zakresie mają znaczenie zupełnie marginalne.

A przecież jednak ciągle w skali historycznej powraca (mimo tylu poprzednich niepowodzeń — fourrierowska wizja wspólnot pracy, w ramach których ludzie byłiby szczęśliwi właśnie nie tylko konsumując dobra, ale przede wszystkim wytwarzając je. Współczesne upowszechnienie pracy najemnej, którą podporządkowują sobie wielkie biurokratyczne aparaty, tym bardziej sprzyja odnowie romantycznego marzenia o kolektywach pracy radosnej i wolnej. Stalibyśmy się dużo uboźsi duchowo, gdyby marzenia tego rodzaju znikły bez reszty w świecie posłusznych robotów, bezmyślnych widzów telewizji i przeszkolonych psychologicznie przełożonych.

Na półkach w moim pokoju uniwersyteckim leżą różne podręczniki amerykańskie, uczące jak manipulować podwładnymi, podnosić morale pracownicze, dokonywać oceny podwładnych, studiować więzie pracownicze, itd. Jest to wiedza powszechnie uznana, już dziś bardzo stateczna, coraz wyżej ceniona i naśladowana także i na Wschodzie. Książki te mają bardzo dobry papier i staranną oprawę. Wydawcom opłaca się je tak właśnie wydawać, bo robią na nich doskonałe pieniądze. Jak się mówi w Polsce — jest to towar „chodliwy”. A obok tej obrosłej w dostojność literatury leży parę postrzępionych skryptów na ohydny papierze i o takim dźwięku, od którego bolą oczy. Zachowały mi się one z kraju, przeszły sporo wędrowek ze mną i są mi osobiście szczególnie drogie. Bo przedstawiają dorobek może już jednego z ostatnich na świecie romantyków pracy, Jana Wolskiego, utrzymującego się ze skromnej emerytury (Polska Ludowa go pod tym względem nie pokrzywdziła — ma jednak emeryturę dla zasłużonych) wraz z żoną na Żoliborzu. Chciałbym, aby jeszcze za jego życia (jako wolnomysliciel Wolski przecież nie liczy na pośmiertne zadośćuczynienie) ukazało się w druku to moje — przyjaciela — pokwitowanie jego dorobku, pogardliwie nazywanego przez stalinowców „Wolszczyzną”. Pisał mi kiedyś, że o tym dorobku zapominałem, że nikt właściwie nim się nie interesuje. Nie zapominałem.

Zresztą nie wydaje mi się, aby Wolskiemu stała się jakaś szczególna krzywda. Gdyby przypadło mu żyć w Rosji w okresie stalinowskim, nie żyłby już od dawna, albo w najlepszym przypadku wygłaszałby jako staruszek przemówienia drżącym głosem o zaletach zarówno ustroju, jak i ojca narodów. W Polsce Ludowej Wolski żyje, pobiera jaką taką emeryturę, ma mieszkanie państwowe, nawet zdołał opublikować parę skryptów w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Nie siedział w więzieniu, mimo że nieraz, za stalinowskich czasów, narzekał na system. Wolno mu słuchać radia zagranicznego, i pewnie nikt nie zechce zrobić mu jakiegokolwiek krzywdy.

Chodzi więc o coś innego — po prostu o los człowieka (zupełnie jak w tytule tego znanego filmu sowieckiego). I to o los nie takiego zwykłego człowieka, ale o romantyka. Z długą białą brodą. Z manierami szlachcica. Nie przebiegającego w słowach, gdy mowa o biurokratach i aparatchikach. Upominającego się ciągle, pod wszelkimi mijającymi w Polsce ustrojami, o polepszenie doli najemnika. Tego, którego nie cieszy dniówka w kopalni, bo mistrz ma na niego krzywe oko. Tego w biurze, który zamiast obsługiwać klienta czekającego za okienkiem, pije herbatę i rozmawia z kolegą o psich zarobkach. I tego nawet drżącego ze strachu, że go wyleją z doskonałej posady, bo niedość wczoraj podlażał się zwierzchnikowi. Polepszenie doli każdego najemnika. W kapitalizmie i socjalizmie. Wszędzie.

Nigdy w życiu nie lubiłem się narażać ani władzy, ani kolegom, ani nawet własnej żonie. Ale oczywiście nie da się żyć bez narażenia się zawsze komuś. A przeważnie wszystkim. Więc trudno.

Niech narażę się pisząc o losie i dorobku przyjaciela-romantyka. Nawet jeśli narażę się tym i jemu. Ale o romantykach zajmujących się sprawami socjologicznymi trzeba jednak pisać, bo ich po prostu prawie że nie ma. Zawodowi socjologowie, to ludzie stateczni, można bez obawy otwierać przy nich okno — nie wyfruną. A co do Wolskiego, to jednak lepiej okna nie otwierać. I może dlatego cały jego dorobek to tylko te kilka skryptów. Wielki Brat czuwa (to nie zaraz Związek Sowiecki, a po prostu ogólna przemożność!).

Zacznę o Wolskim od umiejscowienia go na tle podziałów socjalizmu, które datują się jeszcze od czasów Marksa i Bakunina.

Dwa modele socjalizmu

Rozważając rozmaite modele socjalizmu zapomina się nieraz o tym z nich, który swojego czasu stanowił poważną konkurencję socjalizmu marksowskiego. Mam na myśli tak zwany anarchizm, co do którego narosło zresztą wiele podstawowych nieporozumień. Roszczenia i nadzieje wielu czołowych anarchistów były rzeczywistością tak daleko idące, że nie mogły wytrzymać konkurencji historycznej z opartą na naukowym rozsądku doktryną marksowską. Słusznie twierdzi J. Joll, że „anarchizm jest nieuchronnie wiarą we wszystko lub nic i dlatego musiał mieć mniej szans na sukces w społeczeństwach, zapewniających nadzieję na zyskanie czegośkolwiek w ramach dotychczasowego układu”. Zdrowy rozsądek odrzucił od anarchizmu wielu intelektualistów, którzy początkowo byli mu bliscy, jak np. G. B. Shaw² lub B. Russell³. Poza tym anarchizm tak mocno zrosł się z wyobrażeniem chaosu, gwałtu i przemocy, że trudno teraz oddzielić jedno od drugiego. Przecież nawet w składną skrupulatną monografię E. Pyziura, Bakunin jest przedstawiony jako awanturnik i głosiciel gwałtu⁴. Sowiecka krytyka anarchizmu oczywiście wysuwa na plan pierwszy kwestię państwa, autorytetu i dyscypliny. „Federalizm anarchistyczny jest reakcyjną utopią, prowadzącą społeczeństwo z powrotem do barbarzyństwa”⁵ — stwierdza J. B. Zilberman. Automania jednostki, głoszona przez anarchizm, jest jednym z głównych przedmiotów ataku ze strony tego autora.

Między Marksem a Bakuninem były niewątpliwie bardzo duże różnice osobowości i światopoglądu. O ile pierwszy w zasadzie nie wykraczał poza przyjęte ówczesnie normy życia codziennego,

1. J. Joll, *The Anarchists*, Londyn: Eyre & Spottiswoode, 1964, str. 275.

2. Zob. *Fabian Tract No. 45*, Londyn: *The Fabian Society*, 1893.

3. Zob. B. Russell, *Proposed Roads to Freedom*, Londyn: George Allen & Unwin, 1919.

4. E. Pyziur, *The Doctrine of Anarchism of M. A. Bakunin*, Milwaukee: The Marquette Univ. Press, 1955, str. 126 i dalsze.

5. J. B. Zilberman, *Političeskaja teorija anarchizma M. A. Bakunina* (krytyczeskij očerok), Leningrad: Izd. Leningradskogo Universiteta, 1969, str. 100.

to drugi prowadził życie wysoce nieuregulowane, nigdy niczego nie doprowadzał do końca (stąd teksty przez niego pisane są z reguły nie dokończone), był wiecznie zadłużony, a co pożyczat to błyskawicznie trwonil (m.in. tak stało się z willą w północnych Włoszech, ofiarowaną mu nieprzezornie przez jednego z przyjaciół), nie odróżniał rzeczywistości od fantazji (stąd np. potrafił rozdawać ludziom legitymacje członkowskie nieistniejących związków rewolucyjnych), dawał się wciągać do współpracy ludziom nieodpowiedzialnym (stąd m.in. sławna afera Nieczajewa), jego zmiany postępowania były wprost nieobliczalne (znamienny jest pod tym względem jego pamiętnik, napisany w carskim więzieniu, który został znaleziony i opublikowany dopiero przez bolszewików). O ile Marks miał umysł chłodny i skrupulatny, zawdzięczając pod tym względem niewątpliwie wiele tradycjom mieszczańskim, to Bakunin pozostał przez całe życie arystokratą, czarującym ludzi swym żarem i wdziękiem osobistym, ale bynajmniej nie przywiązującym wagi do jakiegoś określonego dorobku. Jego żywiołem była rewolucja w konkretnym czynie, podczas gdy Marksa absorbowiała głównie taka analiza społeczeństwa, która w swych logicznych wnioskach miałyby uzasadniać rewolucyjne zmiany społeczne.

„Według Marksa rewolucja miałaby nadejść jako rezultat nieuniknionego procesu historycznego, realizowanego przez proletariat z jego pozycji w walce klasowej. Według Bakunina rewolucja miałaby zostać spowodowana przez garść fanatycznie oddanych przywódców, którzy wykorzystaliby nadarżające się okazje rewolucyjne”⁶.

Była to nie tylko sprawa różnic w taktyce, ale chyba również odmiennej mentalności: z jednej strony chłodny mieszczański umysł skłonny do analizy i do długofalowej kalkulacji, z drugiej niecierpliwość arystokraty, zrażonego do własnej klasy i pragnącego ujrzeć jeszcze za własnego życia nowy wspaniały świat socjalizmu.

Za tym wszystkim kryły się jeszcze różnice dużo głębsze i poważniejsze, dotyczące samej treści socjalizmu. O ile Marks i Engels przesuwalikwidację instytucji państwa w daleką przyszłość zrealizowanego socjalizmu, to Bakunin i inni anarchiści zaczęli właśnie od obalenia państwa i innych instytucji biurokratycznych w przeczeniu rosnącego wciąż podporządkowania im człowieka. Dla marksistów decydującą sprawą było li-tylko kto będzie państwem rządził. Stalin, już w swych młodych latach, przeciwstawiając anarchizmowi socjalizm marksistowski, gloryfikował dyktaturę proletariatu jako sprawiedliwą społecznie dyktaturę większości.

„Na czele takiej dyktatury stoją masy. Nie ma tu miejsca na kamaryle lub na tajemne decyzje; wszystko jest tutaj otwarte, dzieje się na ulicach i na publicznych zebraniach — dlatego, że jest to przeciw dyktaturze ulicy,

6. J. Joll, *op. cit.*, str. 108.

wykonywana przez masy, skierowana przeciwko prześladowcom. Marksisci w pełni popierają taki właśnie rodzaj dyktatury...”⁷.

Nie należy chyba przypuszczać, że Stalin pisząc te słowa w 1906 roku był po prostu cyniczny. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że naiwność jego ówczesnych poglądów na istotę państwa nie wytrzymała próby życia.

Trzeba natomiast przyznać anarchistom, że ich głęboka nieufność do wszelkich organizacji opartych na przymusie, a więc przede wszystkim do państwa, pozwoliła im już z góry przewidzieć co stanie się z socjalizmem, który nie będzie przywiązywał dostatecznej wagi do fundamentalnej kwestii wolności: zamiast kapitalizmu prywatnego — kapitalizm państwowy, zamiast zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa — rozwój totalitarnej koncepcji produkcji samej dla siebie, zamiast demokracji — niekontrolowane społecznie rządy pasożytniczych klik⁸. Bakunin bardzo wyraźnie określił swoje stanowisko w tej sprawie:

„Państwo, choćby nawet miało formalne cechy państwa ludowego, będzie zawsze instytucją dominacji i eksploatacji, dlatego zawsze pozostanie źródłem niewolnictwa i upodlenia [...] Teoria marksovska rozwiązuje ten dylemat w sposób uproszczony [...] Twierdzi mianowicie, że jarmzo dyktatury państwowej jest wprowadzenie nieuniknionym, ale tylko przejściowym środkiem uzyskania wolności dla ludu. Anarchia, to jest wolność, pozostaje jakoby nadal celem; państwo z jego dyktaturą jest tylko środkiem do celu [...] Odpowiadamy na to, że każda dyktatura ma tylko jeden cel: kontynuację swego istnienia”⁹.

Według Bakunina ujarzmienie mas przez elitę w państwie socjalistycznym jest czymś nieuchronnym, bo wynikającym z założeń. Widząc w Marksie czciciela takiego samego kultu państwa jakiemu hołdował Bismarck¹⁰, Bakunin ostrzega przed złowieszczyimi konsekwencjami centralizacji władzy.

„Nie ma nic bardziej niebezpiecznego dla osobistej moralności człowieka jak zwyczaj komenderowania innymi. Nawet człowiek najlepszy, najbardziej inteligentny, czysty w swych intencjach i bezinteresowny, w sposób wręcz nieunikniony ulegnie zepsuciu gdy komenderuje innymi. Pogarda dla masy i przecenianie własnych zasług zawsze towarzyszą sprawowaniu władzy i rodzaju demoralizacji”¹¹.

7. J. Stalin, *Anarchism or Socialism*, Moscow: Foreign Language Publications House, 1950, str. 102.

8. Zob. krytykę socjalizmu marksovskiego z pozycji anarchistycznych w K. J. Kenafick, *Michael Bakunin and Karl Marx*, Melbourne 1948 i R. Rucker, *Anarcho-Syndicalism*, London: Secker and Warburg, 1938. Zob. również H. Meyer, *Marx and Bakunin: A Neglected Text* i K. Marx, *Marginal Notes on Bakunin's „Statism and Anarchy”*, *Etudes de Marxologie*, październik 1959.

9. Cyt. z M. Bakunina w E. Pyziur, *op. cit.*, str. 127.

10. Zob. na ten temat M. Bakunin, *Marxism, Freedom, and the State* (red. K. J. Kenafick), London: Freedom Press, 1950, str. 28.

11. *Ibid.*, str. 37.

Władza deprawuje zarówno tych, którzy ją sprawują, jak i tych, którzy jej podlegają¹². Chcąc przebudować społeczeństwo trzeba zatem przede wszystkim wypłenić źródło zła tkwiące w władzy. Demokracja pod tym względem w zasadzie niczego nie rozwiązuje. Już P. J. Proudhon wypowiedział się na ten temat całkowicie wyraźnie, twierdząc że rządy reprezentantów są w gruncie rzeczy rządami nad ludem, nie zaś autentycznymi rządami ludu. Czymże bowiem jest wola mas, jak nie ukryta manipulacją masami przez tych, którzy się pod tę wolę podstawią¹³? Tak więc tylko bezpośrednie rządy ludu, sprawowane w ramach niewielkich liczebnie wspólnot, realizujących konkretne zadania robotnicze, wychowawcze, polityczne i in., mogą skutecznie zapobiec eksploatacji ludu przez pasożytnicze elity. W przeciwnym przypadku nie pozostaje chyba nic innego jak pogodzić się z fatalistyczną interpretacją dziejów Pareto, głoszącą że nic się nie zmienia w układzie władzy, a tylko nowe, bardziej bezwzględne i żarłoczne elity wypierają te których prężność i bezwzględność już osłabły.

Można doszukać się pewnych uproszczeń i naiwności w stanowisku anarchistów wobec problemu władzy. Podział pracy, zwłaszcza w nowoczesnych społeczeństwach, czyni koordynację i integrację sprawą wręcz fundamentalną. Organizacja życia zbiorowego wymaga podporządkowania jednych ludzi innym ludziom. Naiwne może wydawać się dążenie do obalenia wszelkiej władzy. Natomiast niewątpliwą zasługą anarchistów jest zwrócenie uwagi na ujemne skutki sprawowania władzy, a jeszcze bardziej na możliwość oparcia porządku społecznego na zupełnie innych przesłankach niż dotychczasowe. Współcześnie można wymienić cały szereg poszukiwań i prób idących w tym samym kierunku, choć nieraz opartych na założeniach nie mających nic wspólnego z anarchizmem. W USA R. Likert, wybitny psycholog społeczny i doradca szeregu firm amerykańskich, propaguje organizację przedsiębiorstw opartą na małych zespołach pracowniczych, w których partycypacja pracowników w procesie podejmowania decyzji byłaby możliwie pełna, zaś rola przełożonego polegałaby nietylko na wykonywaniu władzy, ile przede wszystkim na instruktżu. Takie zespoły pracownicze współpracowałyby ze sobą na zasadzie federalizacji. Swoją koncepcję R. Likert oparł na wynikach licznych badań empirycznych, prowadzonych głównie przez Instytut Badań Społecznych przy Uniwersytecie Michigan¹⁴. W Wielkiej Brytanii istnieje co najmniej kilka sporych przedsiębiorstw, których właściciele przekształcili je na samorządne wspólnoty pracownicze. Najbardziej znane wśród nich to Scott

and Bader w Wollaston¹⁵ oraz londyński dom towarowy John Lewis. We Francji H. Dubreuil, działacz związkowy, rozwinął koncepcję małych i w pełni samorządnych бригад robotniczych, w ramach których pracownicy mogliby rozwijać inicjatywę i zaradność zbiorową¹⁶. Oczywiście, spółdzielnie pracy wytwórczej i usługowej, rozwijające się z mniejszym lub większym powodzeniem w różnych krajach, stanowią interesujące źródła doświadczeń organizacyjnych w zakresie samorządu pracy, nie mówiąc już o doświadczeniach jugosłowiańskich¹⁷. Warto tu wspomnieć, że w Czechosłowacji przed przewrotem w 1948 r. istniał cały szereg spółdzielni pracy; niektóre z nich miały po 50 lat doświadczenia, co jest bardzo dużo jak na ten trudny rodzaj spółdzielczości¹⁸.

Koncepcje Wolskiego niewątpliwie wywodzą się z anarchizmu, zwłaszcza zaś z jego skrzydła syndykalistycznego. Jednakże, o ile anarchiści odrzucili władzę i organizację, to Wolski poświęca niemal całą swą uwagę kwestii wolności w ramach takiej organizacji, która właśnie pozwalałaby na wolność. W tym sensie Wolski jest bodajże bardziej realistyczny i konkretny aniżeli twórcy anarchizmu, dla których kwestia organizacyjna prawie nie istniała, gdyż jakoby miała rozwiązać się niemal automatycznie po zdobyciu władzy na drodze zamachu rewolucyjnego lub strajku powszechnego. W „Programie upowszechnienia spółdzielczości i uspołecznienia ustroju publicznego”¹⁹, napisanym w 1943 roku dla konspiracyjnie działających w Warszawie Międzyzwiązkowego Komitetu Spółdzielczego oraz Socjalistycznej Komisji Planowania, Wolski wypowiada się za uspołecznioną gospodarką planową. Miała się ona opierać z jednej strony na powszechnym samorządzie pracy: zawodowym (ruch zawodowy pracujących obejmujący całokształt spraw zatrudnienia i spraw socjalnych) i zakładowym (spółdzielnie pracy różnych szczebli jako dobrowolne zrzeszenia pracowników określonego zawodu lub branży, „mające na celu zarobkowe zatrudnianie przez siebie swoich członków w sposób jak najbardziej pożyteczny dla nich i społeczeństwa, z wykluczeniem wyzysku, poniżenia i znieprawienia pracy”²⁰); z drugiej zaś strony na powszechnym samorządzie

15. Zob. F. Blum, *Work and Community*, London: Tavistock Publ., 1968.

16. H. Dubreuil, *Au chacun sa chance*, Paryż 1935 (?).

17. Zob. P. Blumberg, *Industrial Democracy. The Sociology of Participation*, London: Constable, 1968.

18. W swoim czasie miałem okazję dokonać analizy tego doświadczenia. A. Matejko, *Spółdzielnie pracy wytwórczej i usługowej w Czechosłowacji*, Kraków: Studium Spółdzielcze na Wydziale Rolnym Uniw. Jagiellońskiego, 1949 (praca magisterska) oraz art. „Spółdzielczość pracy budowlanej w Czechosłowacji”, *Spółdzielczy Przegląd Naukowy*, 1948.

19. J. Wolski, *Zbiór materiałów do nauki o spółdzielczości pracy*, Kraków: Sekcja Wydawnicza Koła Stuchacz Studium Spółdzielczego Uniw. Jagiellońskiego, 1947, I wyd., str. 141-158 (drugie wydanie ukazało się tym samym nakładem w 1948 r.).

20. *Ibid.*, str. 13.

12. *Ibid.*, str. 63.

13. Zob. P. J. Proudhon, *An Anarchist's View of Democracy* w R. Hoffman, red., *Anarchism*, Nowy Jork: Atherton Press, 1970, str. 50-69.

14. Zob. R. Likert, *New Patterns of Management*, Nowy Jork: McGraw-Hill, 1961 i tego samego autora *The Human Organization*, Nowy Jork: McGraw-Hill, 1967.

użytkowników rozwijającym się z idei i organizacji spółdzielczości spożywców w szerokim jej pojęciu.

„Przez wprowadzenie powszechnych samorządów pracy i użytkowniczego — w miarę przekształcania, względnie wypierania przez te samorzady dotychczasowych form i komórek organizacyjnych — ustroju publicznego, będzie się odbywała gruntowna zmiana dotychczasowego charakteru państwa — twierdzi Wolski. — Państwo przestanie, jak jest dotąd, być czymś przeciwnym samorządowi, jako czynnik organizacyjny od niego odrębny i nad nim górujący, a w każdym razie mający tendencję do górowania. Państwo stawiać się będzie emanacją i ukoronowaniem samorządu na najwyższych szczeblach koordynacji, planowania, dyspozycji, egzekutywy i kontroli. Państwo przestanie być oderwanym od żywych ludzi celem samym w sobie, górującym nad ich realnymi interesami, gwałcącym ich wolność i czyniącym z nich ofiary samowoli i arbitralnych eksperymentów w ręku każdorazowych dzierżycieli władzy państwowej”²¹.

Jak widać z powyższego, Wolskiemu przyświeca idea nie obalenia państwa (stanowiąca centralny punkt programu anarchistów), ale przede wszystkim obalenia najemnictwa przez współdzielczność pracy. Miałoby ono oznaczać zlikwidowanie dotychczasowej nierówności między najemnikami i ich państwowymi lub prywatnymi pracodawcami, uspołecznienie podaży siły roboczej (zamiast podaży indywidualnej zorganizowana podaż kolektywna), uczynienie z najemników równoprawnych obywateli, humanizację zakładów pracy i skuteczne zapobieżenie ich biurokratyzacji.

„Obywatelska rola pracowników w zakładach ich pracy, jeśli nie ma być fikcją, wymaga obciążenia i obdarzenia pracownika-obywatela odpowiednio szerokim zakresem obowiązków i uprawnień, nie mieszczących się w ramach systemu najemnictwa, w którym praca człowieka (choćby to było nie wiedzieć jak maskowane) nie może być niczym innym, jak tylko towarem”²².

Zatem przezwyciężenie alienacji pracy²³ jest możliwe tylko na drodze gruntownego przeobrażenia społecznej organizacji pracy i właśnie ta okoliczność jest dla Wolskiego probierzem postępowości systemu społeczno-politycznego.

Stanowisko Wolskiego w powyższej sprawie spowodowało jego szczególną ostrożność w ocenie „demokratyczności” i „postępowości” wszelkich form organizacyjnych, które wprowadzić mogą na pierwsze wejrzenie wydawać się społecznie nowatorskie, wręcz socjalistyczne, w rzeczywistości jednak, maskują najemnictwo. Wolski ze szczególną zaciekleścią tępił w polskiej (i obcej) spółdzielczości wszystko to, co było fałszywe, pospolite, kryjące wyzysk człowieka za szumnym frazesem pracy społecznej. Jednym z głównych powodów niechęci do Wolskiego ze strony szeregu dy-

21. *Ibid.*, str. 153-154.

22. *Ibid.*, str. 13.

23. Na temat alienacji pracy zob. E. i M. Josephson, red., *Man Alone*, Nowy Jork: Dell Publ., 1962 i R. Blauner, *Alienation and Freedom*, Chicago: Univ. of Chicago Press, Chicago, 1964.

gnitarzy spółdzielczych było to, że wysunął wstydliwą sprawę zawodowych ideowców (którym przeciwstawił ideowych zawodowców) żerujących na pozorach demokratyzmu spółdzielczego, używających demagogicznych chwytów aby tylko utrzymać się przy władzy i związanych z nią korzyściach osobistych.

„W spółdzielniach zrzeszających element konsumentko-użytkowniczy — twierdzi Wolski — obserwujemy w miarę rozrostu tych spółdzielni (tak zresztą naturalnego i potrzebnego) coraz większą i szkodliwszą w swoich skutkach nieporadność przy doborze najemnego personelu fachowego, oraz przy kierowaniu jego pracą. Nieporadność ta pochodzi stąd, że niefachowi w swej masie członkowie-użytkownicy — a bardzo często i ich niefachowi przedstawiciele — nie umieją (a nawet czasem nie są skłonni) uwzględnić należyte i konsekwentnie kryteriów przydatności fachowej, podstawowych i jedynie właściwych przy selekcji fachowego personelu, a zwłaszcza przy obsadzaniu najważniejszych i najtrudniejszych stanowisk kierowniczych. Stąd wadliwe funkcjonowanie tych spółdzielni z wielką szkodą dla członków użytkowników, dla społeczeństwa i dla zatrudnionego w spółdzielniach personelu, wadliwie dobrane i przez nieodpowiednich zwierzchników wadliwie organizowanego i kierowanego do swej pracy”²⁴.

Tak więc już w okresie międzywojennym Wolski dostrzegł podstawowe schorzenie dobrowolnych zrzeszeń społecznych, przede wszystkim zaś spółdzielni, które fatalnie ciąży na wielu z nich. Niezdolność spółdzielni spożywców w wielu krajach, np. w Wielkiej Brytanii i w Szwajcarii, do dostatecznie skutecznego konkurowania z handlem prywatnym bierze się właśnie z tego, co wyżej wspomina Wolski: dzierżenia władzy przez zawodowych ideowców wyzyskujących faktycznych najemników w imię szczytnych haseł, ale w własnym interesie²⁵.

Wolski zaproponował radykalne rozwiązanie w postaci spółdzielni pracy i użytkowników. Pracownicy spółdzielni powinni mieć swój własny samorząd, który współdziałałby z samorządem użytkowników spółdzielni. W takim modelu zawodowi ideowcy stają się po prostu niepotrzebni, zaś praca społeczno-wychowawcza (będąca dotąd li-tylko kwiatkiem przy kożuchu) sprowadza się do umocnienia i rozbudowania obu wspomnianych wyżej rodzajów samorządu spółdzielczego. Utrzymywanie dotychczasowych form propagandy spółdzielczej, polegających głównie na ustawicznym apelowaniu do masy członkowskiej o ideowość, jest dla Wolskiego manipulacją, służącą do zakrycia tej prostej prawdy, że stopień przywiązania i ofiarności ogółu członków-klientów wobec spółdzielni spożywców jest „w prostej zależności od stopnia korzyści doraźnych, jakie spółdzielnia daje”²⁶. Fachowy zarząd przedsiębiorstwa spółdzielczego powinien zostać oddany — zdaniem Wolskiego — samorządnie zrzeszonym pracownikom,

24. *Ibid.*, str. 12.

25. Na temat wyzysku szeregowych pracowników w organizacjach społecznych zob. A. Hertz, „Zagadnienie kompetencji w organizacjach społecznych”, *Spółdzielczość Pracy*, 1935, zesz. 8.

26. J. Wolski, „O rewizję kompetencji”, *Spółdzielczy Przegląd Naukowy*, 1932, zesz. 4 i 6. Zob. również głosy dyskusyjne w sprawie tego artykułu

natomiast rola samorządu użytkowników spółdzielni miałyby zostać ograniczona do kontroli ich żywotnych interesów konsumpcyjnych.

Tak więc, w rozumieniu Wolskiego, przedsiębiorstwa miałyby być zorganizowane na zasadach spółdzielni pracy i użytkowników, przy czym środki produkcji byłyby własnością społeczną. Czynniki publiczne (władze komunalne, prowincjonalne i państwowe), pracownicy i konsumenci — wszystkie te trzy elementy współdziałałyby ze sobą w ramach przedsiębiorstwa, starając się osiągnąć wspólne dobro przez harmonizację swych interesów. Tak rozumiane przedsiębiorstwo już na swym własnym szczeblu przyczyniałoby się do planowego charakteru gospodarki narodowej. Współdziałając z innymi przedsiębiorstwami, jako dostawca lub odbiorca, przedsiębiorstwo automatycznie wchodziłoby w skład ich użytkowników i miałyby zapewniony głos w ich własnych samorządach.

Podsumowując ustrojową koncepcję Wolskiego trzeba stwierdzić, że przede wszystkim jest to koncepcja społeczeństwa wysoce zorganizowanego, ujętego w instytucje względnie trwałe, powiązane ze sobą nawzajem więziami wymiennych przedstawicielstw, podporządkowane do pewnego stopnia planowi narodowemu, ale jednocześnie stanowiące podmioty tego planu.

Czy można w takim razie uznać, że cała ta koncepcja jest fundamentalnie sprzeczna z marksowską koncepcją społeczeństwa? Taki zarzut postawiono Wolskiemu w Polsce Ludowej, co spowodowało że został całkowicie odsunięty od udziału w ruchu spółdzielczym, oraz pozbawiony faktycznej możliwości publikowania swych poglądów. Odpowiedź na postawione wyżej pytanie będzie zależała od tego, która z wersji marksistowskiej (a nie marksowskiej) koncepcji społeczeństwa będzie przyjęta za podstawę. Niewątpliwie, wersji stalinowskiej koncepcja Wolskiego jest głęboko obca, gdyż zakłada wolność zarówno indywidualną (choć ograniczoną szerszym interesem społecznym), jak też tym bardziej wolność grupową i instytucjonalną (autonomia poszczególnych elementów układu społecznego). Wolski naraził się stalinowcom tym, że rościł sobie prawo do własnej wizji przyszłego społeczeństwa, nigdy nie upokorzył się, miał odwagę krytykować znieprawienie władzy i faktyczne najemnictwo pracowników instytucji upaństwowionych, nie podjął roli — tak skwapliwie przyjętej przez szereg spółdzielców jego pokolenia — człowieka starej daty, któremu jednak wszystko bardzo podoba się w nowej rzeczywistości. Ta maniera podtrzymywania własnego zdania, wyrażania własnych opinii o ludziach i ich wątpliwych dziełach,

A. Uziembło, „O skoooperatywowaniu pracy w spółdzielniach”, *Spółdzielczość Pracy*, 1935, zesz. 5.; S. Godecki, „O rewizję kompetencji”, *Spółem*, 1932, zesz. 13.; S. Thugutt, „Spór o władzę”, *Spółdzielczy Przegląd Naukowy*, 1932, zesz. 7.; M. Orsetti, „Uwagi w sprawie rewizji kompetencji”, *Spółdzielczy Przegląd Naukowy*, 1932, zesz. 9.; W. Bagiński, „Granice odpowiedzialności pracownika najemnego a potrzeby spółdzielczości”, *Spółdzielczość Pracy*, 1935, zesz. 4-5.

musiała w rezultacie uczynić Wolskiego człowiekiem trudnym do zniesienia wśród ludzi, dla których snucie wizji lepszego ustroju stało się po prostu absurdalnym luksusem. Gdyby Wolski toczył boje o pokój urzędowy z sekretarką lub służbową Wołgę, to ostatecznie mogliby go ścierpieć, jako jednego ze „swoich”. Ale ten starzec z białą brodą, ustawicznie drwiący z jaśnie biurokratów (których znał przedtem osobiście jako ludzi zgoła skromnego chowu i lotu), po prostu nie pasował do nowego otoczenia, można rzec „psuł biurokratyczny krajobraz”. Ze był nieraz trudny dla otoczenia, o tym mogli przekonać się nawet najbliżsi przyjaciele. Ale czy społeczeństwo nie ma więcej pożytku właśnie z ludzi trudnych, aniżeli z ugładzonych lizusów?

Marks na szczęście nie pozostawił po sobie żadnego modelu organizacyjnego, według którego społeczeństwo socjalistyczne miałyby być zorganizowane. Był tu dostatecznie przeźroczysty i nie chciał zbyt rościł sobie swych wniosków poza granice dostępnej mu społecznej empirii.

Wielostopniowy federalizm

Samorząd pracy wg. koncepcji Wolskiego opiera się na zasadzie małych i możliwie jednorodnych zespołów sfederowanych ze sobą na różnych stopniach wzajemnej współpracy, niezbędnej dla powodzenia całości.

„Maksymalna ilość obradujących i współdecydujących członków w każdym z ogniw organizacyjnych i na każdym ze szczebli wielostopniowego systemu nie powinna — w zasadzie — przekraczać liczby 10-ciu, a w niektórych okolicznościach powinna być nawet mniejsza. W przedstawionym tu systemie ognia szczebli wyższych nie są organami nadrzędnej władzy dla ogniw szczebli niższych. Już raczej szczeble wyższe są w tym systemie uzależnione (co prawda w swoisty pośredni sposób) od szczebli niższych, gdyż składają się z delegatów szczebli niższych, działających wyłącznie w granicach wyraźnych dyrektyw i doraźnych upoważnień swoich mocodawców pod stałą i ścisłą tych mocodawców kontrolą. W systemie wielostopniowego federalizmu nie ma w ogóle organów nadrzędnych i podległych. Jest natomiast wyraźny podział zadań i każde z ogniw organizacyjnych wielostopniowego systemu — niezależnie od szczebla na jakim się znajduje — jest wyposażone w pełnię władzy i ponosi pełnię odpowiedzialności w przypadającym mu zakresie zadań”²⁷.

Ograniczona liczebność członków zespołów, jako podstawowych komórek samorządu, wynika z założenia, że demokracja bezpośrednia jest możliwa tylko w małym i jednorodnym gronie. Im większe grono, tym większa konieczność wyłonienia elity kierowniczej, która manipulowałaby resztą. Uzasadnienie zasady małych komórek zostało sformułowane przed wojną przez J. Koła-

27. J. Wolski, „Wnioski z doświadczeń ustrojowo-organizacyjnych samorządu pracowniczego”. Tezy do dyskusji w Klubie Krzywego Koła dnia 16 września 1960, Warszawa 1960 (powiel.), str. 2.

kowskiego (ojca Leszka Kołakowskiego). Jego zdaniem dolne ogniwo łańcucha przedstawicielskiego nie powinno

„liczyć więcej niż kilku (dosłownie) uczestników, gdyż tylko w takim małym zespole każdy przeciętny członek będzie skłonny i zdolny do zabierania głosu i wypowiadania swoich poglądów i swej woli w obehodzących go w spółdzielni sprawach. W wyższych ogniwach łańcucha przedstawicielskiego, gdzie występują już przedstawiciele, należy dążyć do możliwie najmniejszych zespołów między innymi i ze względu na rosnącą (w miarę posuwania się ogniw organizacyjnych do góry) wagę i złożoność spraw tam decydowanych. Bo im sprawy są trudniejsze i bardziej odpowiedzialne, tym więcej trzeba zabezpieczyć organ decydujący przed jego wadliwym funkcjonowaniem (co w zbyt liczny zgromadzeniu zawsze jest możliwe niż w małym)... W systemie wielostopniowego przedstawicielstwa uwzględniającego zasadę federalizmu, każde ogniwo organizacyjne ma pewien własny zakres dodefiniowanego decydowania i załatwiania na swoim szczeblu. Są to sprawy, zamykające się w granicach zainteresowań danego ognia. Natomiast sprawy o znaczeniu szerszym, wykraczające poza zakres wyłącznych zainteresowań i kompetencji obradującego na danym szczeblu organizacyjnym zespołu (zarówno zrodzone na tym szczeblu, jak i przekazane mu przez ognia niższego poziomu) zespół nie załatwia sam definitywnie, lecz przekazuje takie szersze sprawy (ze swoją opinią i swymi dążeniami), przez swojego delegata, ogniu nadrzędnemu. Delegat w omawianym systemie jest wyrazicielem opinii i woli delegującego go ognia organizacyjnego w ogniu wyższego szczebla. Reprezentuje on w określonych sprawach opinie i życzenia zespołu swoich mocodawców. W systemie tym nie ma miejsca dla dowolności delegata, wynikłej z braku więzi z mocodawcami. Delegat działa zgodnie i ściśle z instrukcjami, uzyskanymi od zespołu, który go delegował [...] W omawianym tu systemie obowiązuje zasada każdorazowej odwołalności delegata. Nie ustala się dla niego okresu kadencji. Delegat pozostaje w swej roli tak długo, jak długo to odpowiada zespołowi jego mocodawców. Zespół ma prawo w każdym czasie cofnąć mandat swojemu delegatowi. Cofnięcie mandatu nie jest bynajmniej dyskwalifikacją delegata jako człowieka. Po prostu zespół uzna, że kto inny będzie lepiej i skuteczniej reprezentować jego zbiorowe opinie i życzenia w wyższym ogniu organizacyjnym. W zasadzie każdorazowej odwołalności delegata upatrujemy właśnie najgłębszą treść demokracji, zaprzeczającą w takim układzie rzeczy, gdzie reprezentant przez czas swojej kadencji może zajmować dowolne stanowiska w najróżnorodniejszych sprawach bez rzeczywistego porozumienia się i uzgodnienia swojego postępowania z wolą swoich mocodawców, co daje — w wyniku — karykaturę demokracji, w której 'szara' jednostka aktywizuje się tylko w czasie wyborów”²⁸.

Taka demokracja funkcjonująca na co dzień jest czymś dalece odmiennym od demokracji przedstawicielskiej. Brak skutecznych form i metod rozbudzenia zaradności zbiorowej²⁹ pracowników w ramach konkretnych sytuacji grupowych i zawodowych stanowi podstawowe niedomaganie tak zwanego samorządu pracy w Jugosławii, komitetów konsultacyjnych w Wielkiej Brytanii, rad robotniczych w Polsce³⁰. Demokracja bezpośrednia w zastosowaniu do zakładu pracy zmieni gruntownie całokształt sto-

28. J. Karon (Jerzy Kołakowski), „O małe komórki organizacyjne” (problem wielostopniowego federalizmu), *Spółdzielczość Pracy*, 1935, zes. 2. Cyt. wg. wersji przerobionej przez autora w 1943 roku J. Wolski, *Zbiór materiałów...*, op. cit., str. 30-32.

sunków i warunków pracowniczych, spełniając te oczekiwania, które na wyrost były naiwne dotąd wiązane z radami robotniczymi i różnymi innymi formami demokracji przedstawicielskiej. Ta ostatnia z reguły prowadzi po prostu do wyłonienia się nowej elity żadnej władzy i przywilejów, która albo powoduje zamęt w zakładzie pracy wdając się w walkę o władzę z dotychczasową elitą kierowniczą, albo po prostu — jak to można było zaobserwować z delegatami górniczymi w upaństwowionych kopalniach brytyjskich — wchodzi w komitety z kierownictwem dla korzyści płynących ze zgodnej współpracy³¹.

Czy demokracja bezpośrednia w zakładzie pracy jest w ogóle możliwa? Czy nie jest ona w nieuknionej sprzeczności z technologią produkcji i fachowym kierownictwem? Wolski dokonał szeregu studiów włoskiej spółdzielczości pracy³² oraz zanalizował znane mu osobiście doświadczenia przedrewolucyjnych arteli roboczych w carskiej Rosji³³. Podstawowym wnioskiem wynikającym z tych analiz jest konieczność wyraźnego odróżnienia spółdzielni — jako takiego zrzeszenia ludzi, w którym siłą napędową współdziałania jest zbiorowa zaradność osób współdziałających — od przedsiębiorstwa. Rzecz nie w tym aby spółdzielnia posiadała na własność swoje przedsiębiorstwo, ale w tym, aby była zdolna mobilizować zaradność zbiorową i kierować ją na rzecz realizacji celów gospodarczych i społecznych.

„Samorząd pracowniczy tylko wtedy nie jest fikcją w przedsiębiorstwie i tylko wtedy posiada zdolność przejawiania właściwych mu zalet, gdy jego pozycja w przedsiębiorstwie oraz jego struktura organizacyjna zapewniają każdemu z członków załogi — odpowiednio do jego roli w załodze oraz w granicach jego (członka) interesów w przedsiębiorstwie — nie tylko formalne prawo ale i faktyczne możliwości swobodnego i skutecznego wpływu na warunki pracy i na stosunki w załodze oraz na układ i bieg spraw w przedsiębiorstwie, co sprzyja powstawaniu i krzepnięciu bodźców natury tak gospodarczej, jak i zagospodarczej, do permanentnego zajmowania w zakładzie pracy przez pracownika świadomej, czujnej i aktywnej postawy, zgodnej z interesem jego własnym, interesem załogi oraz z nadrzędnym interesem uspołecznionego przedsiębiorstwa”³⁴.

W tym sensie uspołecznienie pracy jest równoznaczne z usamorządowaniem jej na zasadach demokracji bezpośredniej.

29. Zob. A. Matejko, „Zaradność zbiorowa istotną treścią spółdzielczości”, *Przegląd Spółdzielczy*, 1957, zes. 3.

30. Moje krytyczne stanowisko w tej sprawie przedstawiłem w *Praca i kołżeństwo*, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1963 oraz następnie powtórzyłem je w *Sociologia zakładu pracy*, drugie wydanie, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1969.

31. Zob. N. Dennis, F. Henriques, C. Slaughter, *Coal is Our Life: An analysis of a Yorkshire mining community*, London: Eyre and Spottiswoode, 1956.

32. J. Wolski, *Z dziejów i doświadczenia włoskiej kooperacji pracy*, Warszawa: „Społem”, 1927.

33. J. Wolski, *Spółdzielczy Samorząd Pracy*, Warszawa: Biuro Wydawnictw Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy, 1957, str. 31-57.

34. J. Wolski, *Wnioski z doświadczeń...*, op. cit., str. 2.

Wolski wyobraża sobie oparcie sieci jednostek organizacyjnych samorządu pracowniczego na podstawowych więziach zawodowych i zadaniowych, istniejących wśród pracowników. W związku z dwojakim rodzajem bliższych powiązań międzypracowniczych w załodze (przynależność do ściślejszej kategorii zawodowej oraz przynależność do ściślejszego zespołu roboczego) samorząd pracowniczy w przedsiębiorstwie powinien występować — jego zdaniem — w dwóch uzupełniających się nawzajem łożyskach: w systemie zespołów zawodowych oraz w systemie zespołów roboczych. Pierwszy rodzaj zespołów daje pracownikom możliwość rozwijać zaradność zbiorową na polu wspólnych im interesów, wynikających z wykonywanego zawodu (np. murarze), zajmowanej pozycji (np. mistrzowie) lub identycznych warunków pracy. Oczywiście, pracownicy spełniający funkcje kierownicze również tworzą własne zespoły zawodowe, które bronią ich interesów. Drugi rodzaj zespołów jest oparty na więzi wspólnej pracy przy realizowaniu wspólnych zadań (np. zespół architektów, kreślarzy i konstruktorów, wspólnie realizujących określony projekt budowlany). Trwanie zespołu i jego skład zależą od czasokresu realizacji danego zadania roboczego³⁵. Przewodnicy zespołów współdziałają z kierownictwem przedsiębiorstwa w ramach jego rady przyboycznej.

Samorząd pracowniczy wieńczy u góry Rada Pracy, złożona z przedstawicieli (po jednym) poszczególnych grup zawodowych. Zajmuje się ona tylko ogólnymi sprawami dotyczącymi całości załogi, natomiast „sprawy dotyczące interesów poszczególnych kategorii pracowniczych są definitywnie załatwiane na właściwych szczeblach systemu zespołów zawodowych³⁶. Wszędzie tam, gdzie dane grono ma podejmować wspólne decyzje, ale samo składa się z ludzi reprezentujących różnorodne interesy — co dotyczy oczywiście przede wszystkim Rady Pracy, jako złożonej z przedstawicieli wszystkich kategorii zawodowych — Wolski wyklucza głosowanie, aby nie dopuścić do zmajoryzowania interesu mniejszości przed interesem większości. Gdy nie dochodzi do uzgodnienia stanowisk, wyjściem miałyby być obowiązkowy arbitraż.

Samorząd pracy sam decyduje o składzie osobowym załogi, ocenie pracy poszczególnych pracowników, rozmieszczeniu ludzi, warunkach pracy i płacy, rozdziale nadwyżek osiągniętych dzięki usprawnieniu pracy³⁷. Natomiast fachowe kierownictwo przedsiębiorstwa jest autonomiczne w sferze swych własnych kompetencji (Wolski przykładął zawsze wielką wagę do doboru w tym zakresie ludzi rzeczywiście fachowych i do zapobiegania pełnie

35. Na temat koncepcji samorządnych zespołów roboczych wypowiedziałem się obszernie w „Kultura pracy zbiorowej”, Warszawa: Wydawnictwo Związkowe, 1962. Rozdział poświęcony owym zespołom.

36. J. Wolski, *Projekt założeń organizacyjnych spółdzielni pracy*, Warszawa: Spółdzielczy Instytut Samorządu Pracy, 1958 (powiel.), str. 5.

37. Pod tym względem zachodzi podobieństwo do amerykańskiego Planu Seenlona. Zob. F. G. Lesieur i in., *The Seaton Plan*, Cambridge: Wiley, 1958.

niem funkcji kierowniczych przez zawodowych ideowców³⁸). Samorząd pracy — zdaniem Wolskiego — jako żywotnie zainteresowany w powodzeniu obsługiwanego przez niego przedsiębiorstwa — powinien być reprezentowany w organie spełniającym pieczęć nad całością przedsiębiorstwa (Rada Przedsiębiorstwa), złożonym z przedstawicieli wszystkich interesów w przedsiębiorstwie zainteresowanych (użytkownicy, czynnik publiczny, dostawcy).

Szereg elementów zawartych w modelu wielostopniowego federalizmu, proponowanym przez Wolskiego, zostało już w jakimś stopniu urzeczywistnionych w różnych krajach świata. Samorządne zespoły robocze zdają świetnie egzamin zwłaszcza w nauce, sztuce, architekturze, ale także i w budownictwie³⁹. Badania zespołów pracy twórczej, które przeprowadziłem w kraju w latach 1962-1967⁴⁰, wykazały, że nawet w warunkach znacznej biurokratyzacji małe grona ludzi kompetentnych, jako tako dogadanych ze sobą i przede wszystkim aktywnie zaangażowanych w stosunku do zadań, potrafią stworzyć bardzo aktywne ośrodki zaradności zbiorowej. Ta właśnie zaradność, kierująca się zresztą w dużej części na przewycięzanie bezwładu biurokratycznego aparatu, stanowi podstawę osiągania imponujących wyników w działalności twórczej. Im więcej swobody i samorządności potrafią sobie zapewnić takie zespoły, tym większa jest korzyść społeczna w postaci wydajnej pracy, zadowolenia, osobistego rozwoju i dobrych wzajemnych stosunków między pracownikami. Umiejętność kierownika zespołu pobudzania wysiłków zbiorowych i ich koordynowania, unikając przy tym jednakże osobistej dominacji nad zespołem, ma w tym zakresie bardzo zasadnicze znaczenie.

Stosunkowo mało mamy dotąd materiału analitycznego na temat federalizacji poszczególnych zespołów na wyższych szczeblach samorządu. Doświadczenia Komuny Paryskiej w tym względzie były zbyt krótkotrwałe. Nie znam dostatecznie dobrze doświadczenia kibuców izraelskich, ale może być ono bardzo pouczające.

38. Konkretną propozycją dla małych spółdzielni jest obsługiwanie ich na zasadzie umowy przez osobne spółdzielnie pracy kierowniczej.

39. W Polsce, w dobie październikowej, osiągnięto doskonałe rezultaty powierzając samorządnie i dobrowolnie dobranym zespołom budowlanym określone zadania robocze do akordowego wykonania. Potem jednak okazało się, że te zespoły osiągnęły wydajność znacznie przekraczającą wydolność zbiurokratyzowanego zaplecza przedsiębiorstw budowlanych, w rezultacie czego powstały presteje i eksperyment zarzucono.

40. Zob. A. Matejko, red., *Socjologia kierownictwa*, Warszawa: PWE, 1969, str. 209-291; A. Matejko, red., *System społeczny instytutu*, Warszawa: PWN, 1967; A. Matejko, red., *System społeczny katedry*, Warszawa: PWN, 1969; A. Matejko, *System społeczny zespołu naukowego*, Warszawa: PWN, 1966; A. Matejko, *Spółeczne warunki pracy twórczej*, Warszawa: PWN, 1965; A. Matejko, *Ustawa twórczego trudu*, Moskwa: Izdatelstwo Mir, 1970; A. Matejko, *Institutional Conditions of Scientific Inquiry*, Research on Organizational Research Units in Poland, Wana: Siódmy Międzynarodowy Kongres Socjologiczny. Komitet Badawczy Socjologii Pracy i Organizacji, 1970 (powiel.).

jące. Istnieje jednak przede wszystkim olbrzymie już dziś doświadczenie, dotyczące koordynacji różnych interesów w ramach gospodarki planowej. Wydaje się, że uczy ono przede wszystkim konieczności wyraźnego rozgraniczenia kompetencji poszczególnych współdziałających ze sobą czynników, na co słusznie kładzie duży nacisk Wolski we własnej koncepcji. Tam, gdzie jeden czynnik zyskuje taką władzę, że zagłusza i podporządkowuje sobie pozostałe czynniki, zaradność zbiorowa albo zamiera, albo obraca się głównie na stawianie oporu wobec czynnika dominującego. Rezultat jest taki, że czynnik dominujący (np. dyrektor-autokrata, partia monopolistyczna, albo mistrz nazbyt zniewalający intelektualnie swych uczniów), aby utrzymać w ruchu cały dyrygowany przez siebie mechanizm, musi poświęcić swój główny wysiłek na nieustanne pobudzanie pozostałych czynników do jakiegokolwiek działania, kontrolowanie ich, karcenie nieposłuszeństwa i przywoływanie do porządku. To zaś z reguły prowadzi do wielkiego rozproszenia wysiłków, marnotrawstwa rezerw i wyjąłowienia ośrodków centralnych. Wolski w swej koncepcji chciałby zapobiec takim właśnie skutkom przez jednoznaczne rozgraniczenie kompetencji.

Warto jeszcze bliżej rozważyć sprawę, czy cały mechanizm samorządu pracy, proponowany przez Wolskiego, nie byłby nazbyt społecznie ociężały. Czy nie wymagałby on od ludzi nadmiernej liczby zebrań, kontaktów, inicjatyw, porozumień? Trzeba na to odpowiedzieć, że wspomniany mechanizm jest niczym innym jak tylko pewnego rodzaju regulacją stosunków normalnie wśród ludzi istniejących. Osoby mające wspólne zainteresowania zawodowe i tak kontaktują się ze sobą. Pracownicy wspólnie realizujący zadanie robocze mają coś, co i tak ich łączy. Rzecz w tym, aby owe naturalne więzi między ludźmi wykorzystywać na rzecz rozwoju zaradności zbiorowej, zaś samą tę zaradność skierować w takie kanały, które zapewnią optymalne wykorzystanie nagromadzającej się energii społecznej. Tej zaś ostatniej nagromadzi się tym więcej, im sprawniej będzie funkcjonował cały mechanizm.

Wolski nie zajmuje się celami, do realizacji których omawiana energia społeczna ma zostać wprężona, a tylko samym mechanizmem jej pobudzania, rozprowadzania i pomnażania. W tym stanowisku można doszukać się pewnej naiwności, wynikającej z domniemania, że ludzie w ramach sprawnej i względnie mało konfliktowej organizacji społecznej będą skłonni preferować cele społecznie pożyteczne. Co jednak się stanie jeśli samorząd pracowniczy będzie dbał tylko o interesy pracownicze, zaniedbując konsumenta? Na to Wolski pewnie odpowie, że przecież, aby mieć pracę zarobkową, zorganizowani pracownicy muszą jakoś dogadać się z zorganizowanymi użytkownikami, którzy inaczej nie użyczą im swych zamówień dających podstawę dla istnienia przedsiębiorstwa. Tu już jednak wkraczamy w rejony polityki społecznej i gospodarczej w skali ogólnonarodowej. Ta polityka musi oczywiście dysponować zarówno generalną koncep-

cją równowagi stosunków między producentami a konsumentami, jak również skutecznymi środkami realizowania wspomnianej równowagi. Koncepcja Wolskiego nie może się więc obyć bez równoległej koncepcji gospodarki planowej w społeczeństwie. Nie można tego zresztą traktować jako zarzutu w stosunku do koncepcji Wolskiego, a tylko jako uwagę uzupełniającą.

Jedną z podstawowych zalet koncepcji Wolskiego jest trudność wprowadzenia ich w życie. Wszelkie koncepcje organizacyjne, które na pierwsze wejście wydają się łatwe, powinny budzić z góry niepokój, gdyż nie ma nic niebezpieczniejszego, jak naginanie życia do uproszczonych schematów. Rzeczywistość, na którą nałożono by ramy organizacyjne proponowane przez Wolskiego, widzę jako pełną nieustannych konfliktów, ścierania się różnorodnych interesów, przejawów obrony słabszych przed silniejszymi, walki z rozmaitymi partykularyzmami. Ale przecież taka jest właśnie dialektyczna natura życia społecznego i na tym polega całe jego piękno.

Żywy człowiek wśród martwych dusz

Doskonały inspirator i fatalny taktik, Wolski przez całe swoje życie nieustannie pozyskuje sobie ludzi, a następnie ich traci, wchodząc z nimi w konflikty. Pryncypializm pomieszany z niecierpliwością bynajmniej nie ułatwiają współżycia. Mocne przyjaźnie, a następne rozczarowania i konflikty znamionują jego stosunki z otoczeniem. Ale czy może być inaczej, jeśli ktoś tak jak Wolski jest zorientowany na czyn i ma jasne jego wyobrażenie, a ludzie pozyskani do współpracy po prostu zawodzą? Pamiętam, jak wielki żal miał do mnie osobiście Wolski w 1957 roku, że zamiast zająć się całym sercem rozwijaniem nowopowstałego z jego inicjatywy Spółdzielczego Instytutu Samorządu Pracy zdecydował się na wyjazd do studia do USA. Z drugiej strony nie można mi się dziwić, jeśli widziałem że inicjatywa tego Instytutu nie może potrwać długo w ówczesnej sytuacji — między innymi z tej prostej przyczyny, że Wolski publicznie wyrażał się o Instytucie jako o środku gruntownej przebudowy spółdzielczości z wymianą obsady jej władz centralnych włącznie. Jak można było liczyć na to, że małe grono ludzi, z minimalnymi środkami finansowymi, potrafi sprostać całej mafii biurokratycznych potentatów zaprawionych od lat w walce podjazdowej o posady, samochody służbowe i inne przywileje? A może jednak jest jakiś sens w przegrywaniu takich bitew, z góry skazanych na przegranie?

Życie Wolskiego składa się właśnie z bitew ustawicznie przegrywanych. W swych pomysłach uspołdzielczenia pracy zawsze natrafiał na interesy znacznie przekraczające jego możliwości. Próbował uspołdzielczyć pracę rewidentów spółdzielni, pracowników spółdzielni handlowych i innych. Był zawsze ogromnie sumienny w przygotowaniach organizacyjnych i statuty spółdzielni

sporządzone przez niego są rzeczywiście trwałym dorobkiem. Natomiast reformy organizacyjne nie udawały się z tej prostej przyczyny, że nazbyt zagrażały osobistym interesom ludzi dzierżących władzę. Najpoważniejszą imprezą organizacyjną była podjęta w 1948 r. przez zespół instruktorów (m.in. i ja byłem wśród nich) pod kierunkiem Juliusza Bobrownickiego⁴¹ inicjatywa utworzenia na Wybrzeżu wielkiej spółdzielni pracy „Portowiec”. Chodziło mianowicie o zorganizowanie trzech tysięcy robotników portowych w spółdzielnię pracy. Główna myśl polegała na stworzeniu samorządu spółdzielczego na zasadach wielostopniowego federalizmu. Opracowano regulamin tego samorządu, traktujący jako podstawową komórkę organizacyjną kilkunastoosobowe zespoły robocze. Ich delegaci wchodziłi w skład komórek wyższego rzędu, również liczących każda nie więcej niż kilkanaście osób. Rada Pracy stanowiła najwyższy szczebel samorządu i składała się z przedstawicieli wszystkich podstawowych specjalności zawodowych występujących wśród robotników portowych. Rada Pracy reprezentowała interesy pracownicze zarówno wobec Rady Użytkowników, wieniącej samorząd przedstawicieli wszystkich instytucji korzystających z usług „Portowca”, jak też wobec autonomicznego zarządu fachowego Spółdzielni. Prace nad urzeczywistnieniem tak pojętego samorządu posunęły się dość daleko naprzód. Dokonano nawet pierwszego wyboru delegatów z zespołów podstawowych do ogniw samorządnych wyższych szczebli (niektórym robotnikom początkowo nie podobało się, że instruktorzy przy dokonywaniu wyborów „dzielią” ich na zespoły; szybko jednak pojęli, że intencja jest dobra i potem już nie zgłaszali sprzeciwów). Pomyślano również o tym, aby rozszerzyć zakres robót dostępnych dla robotników portowych. Dotąd bowiem zarząd portu trzymał robotników stale w gotowości i płacił im niezależnie od tego czy była dla nich praca w porcie czy nie (sprawa dewiz za przetrzymanie statku w porcie). „Portowiec” postanowił lepiej wykorzystać robotników, a jednocześnie znacznie poprawić ich zarobek, kierując zespoły robotnicze do pracy budowlanej lub innej w okresach przestoju pracy przeładunkowej.

Usprawnienie pracy przeładunkowej w portach przez jej uspołecznienie było w interesie państwa i dlatego Spółdzielnia miała odgórne poparcie ze strony ówczesnego ministra żeglugi, A. Rapackiego. Szybko jednak ujawniły się trudności. Tymczasowy zarząd Spółdzielni składał się z robotników wyłonionych przez PPR i PPS, z których tylko część była zainteresowana w rozwoju samorządu, reszta zaś myślała wyłącznie o umocnieniu własnej

41. Juliusz Bobrownicki był bliskim przyjacielem Wolskiego. Sędzia przed wojną, podczas drugiej wojny światowej przeżywał jako partyzant AK w lasach janowskich. Zaproszony na rozmowy z partyzantką sowiecką jeszcze za okupacji niemieckiej został wywieziony samolotem do Moskwy, gdzie przebywał szereg lat w więzieniu. Wrócił do kraju po wojnie i odznaczył się jako doskonały organizator spółdzielczy. Był człowiekiem wielkiego serca i rozumu. Umarł nagle na serce. Był jednym z najlepszych przyjaciół, jakich w życiu miałem.

pozycji i przywilejów. Chodziło im po prostu o zyskanie stanowisk dyrektorskich. Dlatego poparli odgórną inicjatywę upaństwowienia spółdzielni, w rezultacie której upadła cała inicjatywa samorządu spółdzielczego⁴².

Jako redaktor przed wojną czasopisma „Spółdzielczość Pracy”, a po wojnie przez pierwsze parę lat wykładowca spółdzielczości pracy w Studium Spółdzielczym Uniw. Jagiellońskiego, Wolski był wprost wyśmienity. Potrafił doskonale zainteresować autorów możliwością publikowania, bardzo dobrze wykladał, miał doskonały kontakt ze słuchaczami, okazywał studentom wielką pomoc i zainteresowanie. Sam poznałem go jako student Studium Spółdzielczego UJ, i od tego czasu datowała się nasza przyjaźń. Pamiętam dobrze Wolskiego zwłaszcza jako organizatora kursu dla instruktorów i rewidentów spółdzielczych w Kolumnie pod Łodzią w 1945 roku. Potrafił nas wszystkich zaangażować na rzecz spółdzielczości, nie wyłączając nawet niedwuznacznych wtyczek, których spółdzielczość nic w zasadzie nie obchodziła. Była w tym nie tylko sprawa jego osobistego żaru i uroku, ale też doskonała metoda postępowania z ludźmi. W przeciwieństwie do bezosobowych i bezbarwnych stalinowców, Wolski starał się zawsze mieć osobisty kontakt z rozmówcą, czemu sprzyjały spacery w lesie, wieczorne spotkania w małych gronach, wspólne posiłki.

Natomiast jako organizator Wolski był zawsze gorszy, chyba że wspierało go doświadczenie kogoś z przyjaciół — zdolnych organizatorów jak np. Romana Dąbrowskiego, lub wspomnianego wyżej Juliusza Bobrownickiego. Nigdy nie zapomnę następującej anegdotycznej przygody z lat najciemniejszej nocy stalinowskiej, gdy człowiek bał się drugiego człowieka. Wolski mieszkał wówczas w Krakowie i gdy odwiedziłem go pracował nad obszernym schematem organizacyjnym. Oświadczył mi, że trzeba myśleć o odbudowie spółdzielczości gdy tylko przyjdzie sposobna ku temu chwila i należy już teraz zastanowić się, gdzie i jak porozmieszczać w schemacie organizacyjnym ludzi uczciwych, którzy mieliby zastąpić łobuzów i oportunistów, będących wówczas u władzy w spółdzielczości. Znalazłem na karcie organizacyjnej siebie jako kierownika ośrodka badawczo-koncepcyjnego. Z prawnoformalnego punktu widzenia ta zabawa była czymś zupełnie niewinnym, ale faktycznie karta organizacyjna Wolskiego mogła być podstawą do wsadzenia wielu ludzi po prostu do więzienia za coś, o czym może nawet wcale nie wiedzieli. Nic dziwnego więc, że szereg przyjaciół „mianowanych” przez Wolskiego na odpowiedzialne stanowiska, niemal błagało mnie potem poufnie o wpłynięcie na Wolskiego, aby ich albo całkiem skreślił, albo przynajmniej „przeniósł” na jakieś skromniejsze stanowiska (zawsze

42. A jednak pozostały na Wybrzeżu jakieś echa „Portowca”. W 1957 r. był u mnie przedstawiciel jednego z przedsiębiorstw portowych, który z ramienia komitetu reformy organizacyjnej zasięgał u mnie rady, jak można byłoby uspołeczniać pracę w tym przedsiębiorstwie, nadmiernie zbiurokratyzowanym, zlanym samych pracowników.

oszczędność paru lat kryminału). Nie chcieli się narazić osobiście Wolskiemu rozmawiając z nim twarz w twarz.

Swoją drogą, Wolskiemu zawsze bardzo łatwo można było się narazić. Wysokie poczucie godności osobistej skłaniało go do postępowania bez pardonu. Na wykłady w latach czterdziestych w Uniwersytecie Jagiellońskim przylatywał samolotem z Warszawy. Kiedyś, nagle odwołano lot, gdyż samolot był potrzebny wysokim sowieckim oficerom; Wolski, ku przestraszowi współpasażerów, podszedł do dowódcy grupy tych oficerów i ostrym tonem (doskonale zna rosyjski) zażądał odwołania decyzji, gdyż na niego czekają w Krakowie studenci, a zresztą rzecz dzieje się na polskiej ziemi i niech sowieccy oficerowie korzystają z sowieckich samolotów. Dowódca umiał się znaleźć, bo nie tylko Wolskiego nie zastrzelił ani nie aresztował, ale po prostu zaprosił go (i współpasażerów bodajże też) do samolotu i przewiózł do Krakowa.

Natomiast miejscowi aparatczycy mieli dużo mniej poczucia humoru od sowieckiego oficera. Stosunkowo szybko postanowiono Wolskiego skończyć, a Wolszczyznę gruntownie wypłenić ze spółdzielczości. Wolski nie mógł zgodzić się z tym, że szeroko rozbudowany po wojnie aparat spółdzielczy uległ daleko idącej biurokratyzacji i stał się żerowiskiem dla aparatczyków, którym ideały spółdzielcze były w gruncie rzeczy zupełnie obce. Znamienne, że „wykańczając” Wolskiego nigdy nie podjęto z nim żadnej rzeczowej dyskusji publicznej, nigdy nikt nie odważył się polemizować z jego poglądami. Po prostu ci, którym Wolski osobiście zawadzał jako „mściciel” i „rozrabiacz”, nie znali się dostatecznie na przedmiocie. Jak wyglądała wówczas spółdzielczość pokazuje przedmowa do wydanego w dobie popaździernikowej studium Wolskiego o spółdzielczym samorządzie pracy:

„Nie zwracano uwagi na fakt, że odrębne dyrygowanie losem i istnieniem poszczególnych spółdzielni popada nieraz w kolizję z ich charakterem dobranych i samorządnych zespołów ludzkich, opartych na zaradności zbiorowej zrzeszonych członków; że brak nieustannej, żywej troski o rozwój aktywności mas członkowskich w roli gospodarzy swych spółdzielni, wcześniej czy później musi odbić się fatalnie na gospodarce spółdzielni. Nowoutworzonym wielkim przedsięwzięciom spółdzielczym narzucano sztuczne formy organizacyjne i ludzi, którzy nieraz przez długie lata okupowali stanowiska kierownicze nie posiadając niezbędnych po temu kwalifikacji zawodowych i moralnych, tworząc kliki, schodząc na manowce biurokracji i dygnitarstwa. Ludzie ci — jakkolwiek nieliczni — zniechęcali masy ofiarnych członków i pracowników spółdzielni pracy, walcząc przeciwko projektom nowatorskim, grozącym ich nieograniczonej władzy. Zapomnieli bowiem, że jeśli chcą być rzecznikami rewolucyjnej ideologii, za jakich się uważają, powinni mobilizować dynamikę sił społecznych i kierować ją nie na obronę tego co było, lecz na kształtowanie tego co będzie. Deklamując o zaufaniu do mas, zapomnieli, że zaufanie to można i trzeba zdobywać pracą w służbie mas. W rezultacie, pod spółdzielczym szyldem było coraz mniej spółdzielczości; pozostał sam szyld. Samorząd wewnętrzny został sprowadzony do roli swobodnego rytuału, w którym faktycznie brakowało żywej treści. Bogatą problematykę socjologiczną spółdzielni jako samorządnych zrzeszeń ludzkich traktowano tak, jak

gdyby można ją było sprowadzić do zbioru frazesów podbudowanych paru formułkami natury organizacyjno-porządkowej. Zupełnie zaniedbano prowadzenia jakiegokolwiek studiów nad spółdzielczością pracy, dokonywanych w swoim czasie przez Spółdzielczy Instytut Naukowy. Brakowało gruntownej wiedzy o podłożu społeczno-gospodarczym, która mogłaby stać się fundamentem przemyślanej i konsekwentnej polityki organizacyjnej ruchu spółdzielczego⁴³.

W okresie lat 1956-1958, na fali Października, koncepcja Wolskiego posłużyła jako bodziec do dyskusji, która w bardziej korzystnej sytuacji mogłaby doprowadzić do gruntownej reformy spółdzielczości. Że żadne poważniejsze zmiany nie nastąpiły, między innymi także na gruncie spółdzielczym, zwykło się winić centralne władze partyjne. Wydaje mi się jednak, że sprawa ta jest znacznie bardziej skomplikowana. Siła i mentalność aparatczyków biorą się nie tylko z biurokratycznego modelu socjalizmu, ale również z gatunku ludzi, których wyniósł do góry masowy awans społeczny. Wielu z nich nie ma, i nigdy nie miało, żadnych zainteresowań ideologicznych, a zainteresowania polityczne sprowadzają się do mistrzostwa w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych. Treści intelektualne marksizmu nigdy do nich nie dotarły, pozostali poganami pod dominacją marksizmu, podobnie jak poprzednio byli w duszy poganami, składając formalny hołd ludowemu katolicyzmowi. Każdy wyświechtany frazes jest dla tych ludzi bardziej atrakcyjny niż głębiej przemyślany koncept moralny lub intelektualny, gdyż czują się dobrze tylko w tym, co jest dla nich łatwe, znane, zrozumiałe. Wolszczyzna nie mieściła się w tym co utarte, nie była bliska ani ludowemu katolicyzmowi, ani ufraselowanemu marksizmowi. Wolski, ten dziewiętnastowieczny ideolog z niedzisiejszym poczuciem honoru, zarówno ich śmieszył jak i zawstydział. Nie ubiegał się o dobra materialne dla siebie samego, nie chodziło mu o awans — czego więc w końcu chce? Koneksje Wolskiego z anarchizmem musiały dodatkowo razić „porządnych” ludzi, którzy nie wyobrażają sobie życia społecznego bez policjanta czy milicjanta, byle by tylko ktoś pilnował ich spokoju i dobytku.

Poza tym Wolski mówił gorzką prawdę, a ludzie chcą aby ich ktoś albo bawił albo zadziwiał. Wolski nigdy nie miał takiego stanowiska społecznego, które imponowałoby ludziom. Zamiast uduziwnionego języka profesora uniwersytetu lub krytyka literackiego przemawiał językiem codziennym. Nie przyjmował żadnej pozy, która jest niezbędnym warunkiem sukcesu w kręgu inteligenckim. Nie snobował się ani na Wschód ani na Zachód. Nie wstydził się ani swego szlacheckiego pochodzenia, ani związków z kulturą rosyjską. A najważniejsze — nie miał intencji społecznego wywyższenia się ponad innych, tego co można nazwać kompleksem polskiego jaśnie pana, który jest w Polsce zjawiskiem nagminnym i ponadustrojowym. Gdyby Wolski ten kompleks dzie-

43. J. Wolski, *Spółdzielczy Samorząd Pracy*, Warszawa: Biuro Wydawnictw Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy, 1957, str. 7-8.

lił ze współbraćmi, prawdopodobnie mógłby żyć jako tako szczęśliwie na stanowisku, które dawałoby mu możliwość pomiatania ludźmi od niego zależnymi. Jako urzędnik mógłby czerpać zadowolenie z pokazywania klientom, jak nimi pogardza. Jako polityk mógłby brzydzić się masami skutecznie od nich odgradzony murem sekretarek i tajnych agentów. Gdyby wreszcie chciał być li-tylko zwykłym obywatelem, mógłby wałkować się, obwiniając ustrój za wszelkie niedogodności⁴⁴, a zarazem zwalniając siebie moralnie od podjęcia jakiejkolwiek inicjatywy. Jako uczonec mógłby pisywać bełkotliwe traktaty o rzeczach bądź oczywistych bądź całkowicie oderwanych od bieżących potrzeb społeczeństwa. Jako człowiek który działał w podziemiu podczas wojny (m.in. zajmował się pomocą Żydom) mógłby spokojnie współpracować z Partią na zasadzie że „swoje już zrobił i teraz jakoś trzeba się urządzać”.

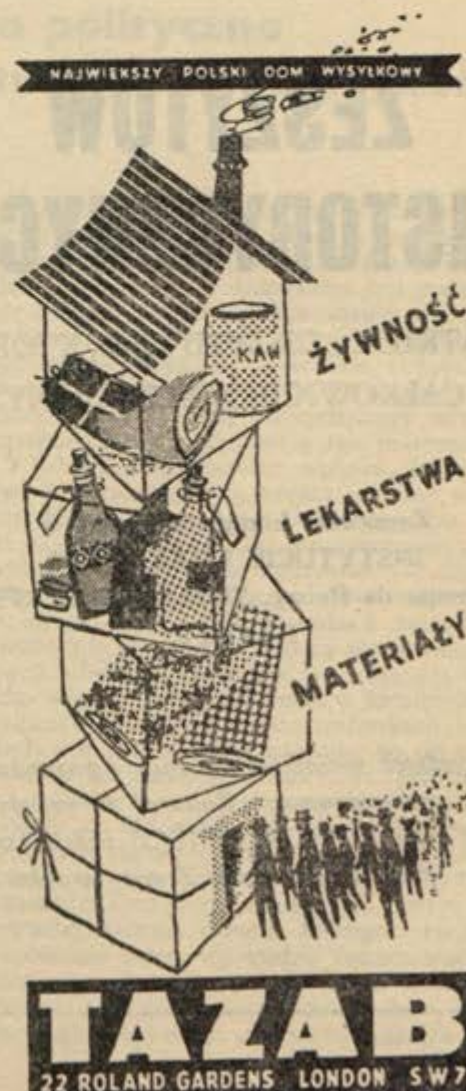
Trudność polega jednak na tym, że Wolski popełnił rzecz w Polsce najstraszniejszą, wręcz towarzysko niedopuszczalną: pozostał sobą, żywym człowiekiem wśród martwych dusz. I dlatego musiał zejść na społeczny margines, przestać liczyć się zarówno na szczeblu rządzących dygnitarzy, jak i tych, którzy mieliby ochotę im dorównać, ale tymczasem ograniczają się do plotkowania w kawiarniach. Dla Wolskich nie ma miejsca w społeczeństwie z „Wesela” Wyspiańskiego dlatego, bo Wolscy proponują coś nowego, a społeczeństwo „Wesela” jest w swej istocie głęboko konserwatywne, niezależnie od różnic w orientacji ideologicznej i zaangażowaniu politycznym. Łatwiej przejść z katolicyzmu obrzędowego do marksizmu zrytualizowanego, aniżeli dopuścić możliwość faktycznego obalenia tradycyjnego podziału władzy na tych co ją mają i na tych, którzy jej nigdy mieć nie będą. Dla konserwatysty każdy nowy koncept organizacji społecznej jest po prostu utopią, którą szkoda zawracać sobie głowy. „Konkretne” są tylko sprawy dotyczące przesunięć w układzie personalnej obsady stanowisk.

Ale przecież obok tego wszystkiego istnieje potężna masa ludzi, dla których praca najemna, ze wszystkimi jej sprzecznościami i upokorzeniami, jest czymś codziennym. Ci ludzie w ramach istniejącego ustroju zdobywają coraz więcej wykształcenia, czytają książki. Gorycze pracy najemnej gwałcą w nich nieustannie osobistą godność, której znaczenie społeczno-moralne musi nieuchronnie wzrastać w ustroju opartym na wielkich

44. Istnieje obecnie w Polsce szereg ludzi, którym leży na sercu rozwój psychoanalizy. Obawiam się, że nie ma ona szans w układzie, w którym obywatel jest zawsze skłonny (i ma ku temu zresztą obiektywne powody) zwać winę na ustrój, siebie samego uniewinniając. Uproszczony schemat ideologiczno-ustrojowy komunizmu znajduje swój odpowiednik w uproszczonym schemacie moralno-psychicznym przeciętnego obywatela; ten schemat faktycznie wyklucza jakąkolwiek rzetelną auto-kontrolę. Między innymi dlatego tak trudno jest w tym układzie o reformę. W przypadku reformy ktoś przecież musi zacząć zmiany od samego siebie, a kto zacznie, jeśli niewinność jest cnotą powszechną obywateli ustroju komunistycznego?

obietnicach. Wolski, jak mało kto w Polsce, czuje i rozumie tragedię najemnika. I choćby dlatego jest współczesny, mimo swej postawy stanowiącej mieszaninę wzoru osiemnastowiecznego polskiego szlachcica z wzorem dziewiętnastowiecznego rosyjskiego studenta (Wolski studia spędził za carskich czasów w Charkowie). Niech zatem ten artykuł posłuży masie polskich najemników jako ślad, którym można pójść dalej.

Aleksander MATEJKO



JEST JESZCZE DO NABYCIA PEWNA ILOŚĆ
KOMPLETÓW

ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH

Z WYJĄTKIEM „ZESZYTU” 2-go, KTÓRY JEST
CAŁKOWICIE WYCZERPANY

Zamawiać komplety można w
INSTYTUCIE LITERACKIM

91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE,
France.

Cena poprzednich roczników nie została podwyższona. Dla osób które prenumerowały „Kulturę” w ubiegłych latach bez ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będzie zastosowana zniżka ceny jeżeli zaprenumerują Zeszyty w roku bieżącym.

Postawa polityczna intelektualistów amerykańskich

Nie chodzi w tym wypadku o jakieś szerokie uogólnienie, obejmujące wszystkich intelektualistów. Nawet wyodrębniona grupa amerykańskich intelektualistów uniwersyteckich, o której mowa będzie w niniejszych uwagach, zróżnicowana jest podziałem zainteresowań, które na ogół zawsze się koncentrują wokół głównego nurtu tematyki zawodowej. Nie jest to oczywiście żadną regułą, a nawet mnożyć można przykłady przeciwne, świadczące o rozproszeniu zainteresowań, ale faktem jest, że profesor prawa lub ekonomii z natury rzeczy bardziej zaangażowany jest w sprawy problematyki społecznej niż mikrobiolog lub matematyk.

Na stopień i zakres zainteresowań wpływa, jak zwykle, tak wiele czynników, że wzajemnie się krzyżując, albo w rezultacie niczego nie determinują, albo zespół determinantów przez swą złożoność czyni je niemożliwymi do rozszyfrowania. Pozostaje więc w polu widzenia amerykański naukowiec — człowiek przeciętnie w średnim wieku, korzystający z absolutnej swobody badań naukowych, żyjący w dobrych warunkach materialnych, poruszający się swobodnie po świecie, mający nieograniczone możliwości konfrontacji własnych poglądów we własnym środowisku i poza nim. Temu właśnie Panu, żyjącemu w idealnych, z punktu widzenia prowadzenia pracy badawczej warunkach, zaczyna się powoli walić dach nad głową. Nie dosłownie, bo do tego jeszcze daleko, ale w sensie najprostszej alegorii. Po prostu kompleks piętrzących się problemów w społeczeństwie, w którym żyje, a które ewentualnie są lub mogą być przedmiotem jego fachowych lub niefachowych zainteresowań, zaczyna przytłaczać go ciężarem przekraczającym jego możliwości intelektualne. Stopniowo w całym amerykańskim środowisku naukowym tworzy się swoista demokracja niewiedzy. Uczony chemik, którego z racji jego profesji zjawiska społeczne mogą wprawdzie fascynować, ale który nie musi ich rozumieć, jest prawie tak samo wobec nich bezradny jak cieszący się ogólniamerykańską sławą ekonomista lub socjolog. Pozostaje więc mała, ale istotna różnica. Ten pierw-

szy może się profesjonalnie od nich izolować, ograniczając swe zainteresowania do bardziej pochłaniającego go od zjawisk społecznych, świata przyrody. Ten drugi — nie może. Musi zająć, a przynajmniej wypada mu zająć stanowisko, skoro sprawy te w jakiejś mierze są jego warsztatem pracy. I to właśnie jest najgorsze. Bo często całkiem zwyczajnie nie dorósł do tego. Nie z przyczyny mialkości swego rozumu. Humanisci amerykańscy — to przecież tegie głowy, od których wiele się można nauczyć. Może teższe niż w innych krajach. Tyle tylko, że wydarzenia społeczne, które na ich oczach wyrastają, przekraczają nieraz możliwości najbardziej sprawnych mózgów. Każdy przecież zdaje sobie sprawę jak trudno uchwycić prawidłowość w uchylających się nieraz od wszelkich reguł procesach, którym podlega zbiorowość ludzka, że przemilczę tu XIX-wieczne próby tworzenia wielkich syntez, które są i były przedsięwzięciami zgoła niebotycznymi. Zjawisko Einsteina w dziedzinie nauk humanistycznych — to rzecz prawie, że niewyobrażalna. Gdyby Einstein wybrał sobie tę niewdzięczną dziedzinę badań, geniusz jego nie zdołałby zapewne w takiej pełni zabłysnąć.

Tak więc uczeni socjolodzy, ekonomiści lub historycy nie ponoszą w żadnej mierze odpowiedzialności za to, że nie ukazali dotąd świata ani genialnej teorii ani nawet rzetelnej próby analizy skołatanego społeczeństwa kapitalistycznego w jego zaawansowanych formach. Przyczyna tkwi w samym obiekcie tej niezmiennie niewdzięcznej i najeżonej przeszkoami glebie, na której glazy i kamienie pospiętrzane są w takiej liczbie i tak chaotycznie, że, jak dotychczas, stanowią one dla badaczy niestęchanie trudny teren do przeorania. Choć więc intelektualistów amerykańskich czy też jakichkolwiek innych trudno jest ganić o to, że nie byli w stanie ukazać ukrytych mechanizmów i złożonej genealogii fermentów, które grożą „kapitalistycznemu establishment”, można mieć do nich pretensję o co innego.

Jeśli są intelektualistami, a co ważniejsze, naukowcami wdrożonymi do pewnej dyscypliny badawczo-prakseologicznej, to powinni pamiętać o jednej kardynalnej zasadzie, o której nie zapominali marksiści — ci sami marksisci, do których wielu z nich zapłonęło obecnie spóźnionym afektem. Zasada była prosta i zapewne nie wymyślił jej ani Marks ani Lenin. W katechizmowym ujęciu, które nadał jej genialny popularyzator, brzmiała. Bez prawidłowej oceny nie ma rewolucyjnej praktyki. W szerszym zastosowaniu oznacza ona dość banalną prawdę, że diagnoza rzeczywistości powinna poprzedzić działania. Znaczna liczba amerykańskich intelektualistów uniwersyteckich najwyraźniej sprzeciwia się tej zasadzie.

Profesorzy, wykładowcy, w ogóle pracownicy naukowcy amerykańscy z małymi wyjątkami¹, nie organizują napadów na sądy

i policję. Niemniej, w niemałym procencie angażują się emocjonalnie po stronie lewicowych ekstremistów, nie mających podobnie zresztą jak i oni, należytego rozeznania tego co się właściwie w Stanach Zjednoczonych dzieje. Postawa intelektualistów nie ogranicza się zresztą do biernej sympatii, ale do pewnej określonej działalności praktycznej. Polega ona na manifestowaniu poparcia dla celów ideowych „Nowej Lewicy” oraz na próbach chronienia terrorystów i otwartych zwolenników gwałtu przed skutkami coraz bardziej opieszale i nieskutecznie działającej sprawiedliwości amerykańskiej. Oczywiście, nie w każdych warunkach społecznych ocena rzeczywistości poprzedzić musi działanie. Zresztą obowiązku stosowania tej zasady nie dyskutujemy w kontekście całego narodu, ale w stosunku do wyodrębnionej w nim grupy elity intelektualnej. O ile w jakimś społeczeństwie jakiejkolwiek warstwy społeczne stają się ofiarą takiej eksploatacji, niekompetencji lub egoizmu elity rządzącej, że doprowadza się je do skrajnej nędzy lub pozbawia elementarnych praw ludzkich, nie ma ani sensu ani możliwości czekania na diagnozę mędrców (którzy, nawiasem mówiąc, w tego typu systemach byli i są skutecznie neutralizowani). W sytuacjach takich, zarówno obecnie jak i w przeszłości, elementarnym przywilejem ludzkim jest samoobrona wobec barbarzyńskiego systemu rządów. Pracujący 16 godzin na dobę robotnicy we wczesnym okresie kapitalizmu angielskiego nie czekali na Marksa, formułującego zasady walki klasowej. Strajkowali na długo przedtem zanim ukazał się I tom „Kapitału”. Marynarze floty bałtyckiej w Kronstadsie schwycili za broń przeciwko barbarzyństwu władzy sowieckiej przed opublikowaniem dzieł ukazujących reakcyjne i antyludzkie oblicze państwa komunistycznego.

Jest historyczną normą, że fermenty społeczne — manifestujące się oporem lub rebelią ludności przeciwko jakiejkolwiek tyranii, poprzedzają teoretyczne sformułowania, będące z reguły uzasadnieniem *ex post* prowadzonej walki. Nie czynimy więc formalnego zarzutu ekstremistom, że zwalczają system, który im się nie podoba (nawet mimo ich ignorancji i niedojrzałości politycznej), bo racje, które są motorem ich ofensywy przeciwko kapitalizmowi, choć niewystarczające dla 90 % społeczeństwa, są dostatecznym motywem dla nich. Zarzut kierujemy natomiast przeciwko tym uniwersyteckim intelektualistom amerykańskim — sympatykom ekstremistów, którzy, nie mogąc stworzyć teoretycznego uzasadnienia poglądów „Nowej Lewicy” — udzielają jej poparcia. Inna bowiem jest dyscyplina obowiązująca aktywistów politycznych a inna — naukowców. Tych pierwszych w małym stopniu obchodzi prawda. Chętnie ją przeinaczają, fałszując rze-

w październiku 1970 roku, oskarżona jest o zorganizowanie próby porwania jako zakładników sędziego, szeryfa oraz kilku policjantów celem uwolnienia trzech przewiezionych na rozprawę przestępców w San Raphael w Kalifornii. Wykonawcą tego planu był 17-letni uczeń szkoły średniej, uzbrojony w kilka pistoletów. Próba zakończyła się śmiercią młodocianego zamachowca, dwóch oskarżonych, sędziego oraz zranieniem zastępcy szeryfa i kilku policjantów.

1. Mam na myśli 28-letnią Angelę Davis, mającą niższy tytuł profesorski na jednym z uniwersytetów kalifornijskich. Prof. Angela Davis, będąca przez pewien czas na liście 10 osób poszukiwanych przez F.B.I., aresztowana

czywistość by służyła ich celom. Są czystej krwi praktykami, nie dbającymi o prawdę, ponieważ działanie ich zdeterminowane jest generalnym założeniem — osiągnięciem politycznych celów. Ale taka postawa nie może być udziałem ludzi nauki, w szczególności tych, których obiektem badań jest zbiorowość ludzka. Ci muszą dbać o prawdę, ponieważ ta, w odróżnieniu od działalności polityków — jest ich zasadniczym celem. Chyba że zaistnieje jedna z sytuacji poprzednio cytowanych. Wówczas zachodzi potrzeba generalnej mobilizacji społeczeństwa dyktowanej względami samoobrony. Intelktualiści mają wówczas prawo zawiesić na kółkach swe togi i birety i pójść na barykady. Tak uczyniło wielu czechosłowackich intelektualistów w czasie wiosny praskiej i tak zrobiło wielu uczonych węgierskich 14 lat temu w Budapeszcie.

W Stanach Zjednoczonych nie ma barykad. Przynajmniej na razie. Zresztą gdyby były, nie intelektualiści musieliby łączyć się z ludem, ale lud — z intelektualistami. Jednakże lud zupełnie nie ma na to ochoty. Nie widzi potrzeby. Oczywiście lud, jak każdy lud, może być krótkowzroczny albo zgoła ślepy. Trzeba wówczas, zanim nakłoni się go do jakiejś akcji, otworzyć mu oczy. Ale tego właśnie intelektualiści nie robią, przypuszczalnie dlatego, że sami niedowidzą. To o czym wiedzą, ale do czego nie trzeba być koniecznie wychowankiem amerykańskiego uniwersytetu, a tym mniej profesorem, dostrzega mnóstwo ludzi w Ameryce i poza nią.

Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, że system amerykański przyżywa kryzys społeczny o charakterze bezprecedensowym; że fermenty, których widownią jest Ameryka, potęgowane są heterogenicznością etniczno-rasową społeczeństwa; że przy ogólnej bierności szerokiej opinii publicznej następuje w nielicznych zaangażowanych środowiskach polaryzacja poglądów, grożąca coraz ostrzejszymi spięciami i że wszystkie te niepokojące zjawiska są powiązane zarówno z rolą Stanów Zjednoczonych w świecie jak i ostatnią rewolucją techniczną w systemie amerykańskiej produkcji, w której występują coraz wyraźniejsze rysy. Innymi słowy, wszyscy godzą się, że jest źle, choć stopień tego zła bywa określany rozmaicie.

Administracja federalna lub stanowa nie ma obowiązku i nie jest zresztą w stanie zajmować się wykrywaniem pra-przyczyn amerykańskiego kryzysu, który nie jest wyłącznie amerykańskim — ale ogólnozachodnim. Tak zwane sprawy bieżące, będące w dużym procencie następstwem tych głębszych procesów, wymagają z jej strony niezwłocznej interwencji. Dlatego administracja, nie siląc się na nic innego, z właściwym sobie oportunizmem, nie próbuje sięgać do źródeł choroby, ograniczając się do zwalczania jej objawów. Odbywa się więc chroniczne nalepianie plasterków na najbardziej jęczące się rany, głównie pod kątem uspokojenia opinii publicznej, od której federalni i stanowi przedstawiciele administracji są zawsze w jakimś stopniu zależni. Taka postawa jest o tyle zrozumiała, że nikt niczego nie mógł i nie może oczekiwać od rządzących polityków, których żywot jest przemijający.

Natomiast zarówno amerykańska opinia publiczna jak i owi oportunistyczni politycy mają prawo oczekiwać czegoś znacznie poważniejszego od amerykańskiej elity intelektualnej. Niestety, amerykańscy intelektualiści nie tylko nie pomagają w przecięciu współczesnego kryzysu przez ukazanie źródeł zła, lecz wydatnie w tym przeszkadzają przez zaangażowanie się po stronie „Nowej Lewicy”, która pacjenta — amerykański *establishment* — nie zamierza bynajmniej leczyć, ale najzwyczajniej w świecie wraz z jego nierozpoznalną chorobą — uśmiercić.

Z kolei wypada zastanowić się nad genealogią irracjonalnej postawy ludzi, którzy, z racji swej profesji, powinni bardziej niż przedstawiciele innych zawodów hołdować racjonalizmowi. Przy próbach odnalezienia pozanaukowych motywacji, które uzasadniają zajęcie postaw politycznych w amerykańskiej elicie intelektualnej, należy z góry wykluczyć możliwość wskazania jakiegś hipotezy, obejmującej wszystkich przedstawicieli nauk humanistycznych. Nie tylko dlatego, że skłonności ultra radykalne nie obejmując żadnego środowiska w całości, stanowią tylko element dominujący, ale po prostu dlatego, że na każdą indywidualną postawę, jak we wszystkich tej kategorii zjawiskach, składa się mozaikowa różnorodność wielu przyczyn. To na co możemy sobie pozwolić, bez ryzyka zapuszczania się w niebezpieczny i wątpliwy do rozpoznania teren — to wskazanie kilku powtarzających się elementów, które często (choć nie zawsze) przyczyniają się do przychylnego traktowania przez tutejszych intelektualistów ze świata akademickiego działalności aktywistów „Nowej Lewicy”.

Jeśli chodzi o kategorię ludzi młodych w późnych latach dwudziestych lub we wczesnych trzydziestych, to ten typ naukowców nie reprezentuje w naukach humanistycznych pełnej dojrzałości wspartej bogatymi doświadczeniami i studiami. Jak powszechnie wiadomo, zjawiska socjalne ze względu na swą kompleksowość bronią się skutecznie nie tylko przed zbyt pochopnymi syntezami, ale przed syntezami w ogóle. Pozycję młodego badacza wymieniają grupy w warunkach piętrzących się problemów socjalnych cechuje niecierpliwość i poczucie osobistej bezradności. W konsekwencji, pod wpływem swego środowiska, gotów jest akceptować pewne praktyczne wnioski wynikające z czysto emocjonalnego stosunku do otaczającego go świata. Oznacza to zlekceważenie postawy badacza i analitycznego wysiłku na rzecz tego co określa się mianem „obowiązków społecznych”.

Istnieje stare, choć niezbyt popularne powiedzenie Machiavellego: „Gdy rozum zawodzi, zaufaj namiętnościom”. Nie sądzę, żeby zasadę tę ktoś świadomie stosował. Najłatwiej praktykuje się ją wówczas, gdy proporcja pomiędzy dwoma czynnikami implikującymi rozsądne działanie — rozumem i temperamentem

staje się wybitnie niekorzystna dla tego pierwszego. Maksyma Machiavellego zakłada stan pewnej desperacji u człowieka myślącego, który w pewnym momencie przestaje ufać swemu umysłowi po wyczerpaniu jego możliwości. W istocie ten stan desperacji nie może być ulegalizowany w postawie uczonego badającego problemy społeczne USA, ponieważ społeczeństwo amerykańskie bynajmniej nie jest zdesperowane. Przeciwnie — w przekonaniu bojowych ekstremistów z lewicy (prawicy też) — jest uśpione. To oni są zdesperowani. Jeśli zatem niektórzy młodzi naukowcy zbliżają się do „Nowej Lewicy”, to motywy takiego postępowania tkwią jedynie w ich temperamencie, nakazującym zajęcie czynnej postawy za wszelką cenę. Nie ma to nic wspólnego z obowiązkiem wobec społeczeństwa. Raczej — przeciwnie. Uchybiając nakazom dyscypliny naukowej, która wymaga od nich przede wszystkim poznania zjawisk, sprzeniewierzają się funkcjom społecznym jako badacze. Jako do ludzi nie można mieć do nich z tego powodu pretensji, ponieważ zawód naukowca nie jest związany z namaszczeniem. Jako do uczonych — tak. Ściśle biorąc, mogą swój zawód porzucić, nie czując do niego powołania, ale wówczas uczciwiej będzie, jeśli rezygnując z obowiązków, połączają się również z przywilejami. Badacz amerykański nie jest bowiem ani dyrektorem banku ani konduktorem autobusu. Zajmuje stanowisko członka elity umysłowej, która w Ameryce ceniona jest wyżej niż gdziekolwiek.

Motyw czynnego zaangażowania się, który jest ważnym bodźcem w postawie przedstawiciela nauki amerykańskiej młodszej generacji, nie jest decydującym czynnikiem u intelektualistów akademickich starszej generacji, których wiek dochodzi lub przekracza pięćdziesiątkę. I w tym wypadku trudno o jakąkolwiek regułę, sądzę jednak, że wskazać tu można inne niż u młodszej generacji naukowców elementy, które przyciągają się do tego, że przedstawiciele średniej generacji amerykańskich uczonych grawitują w kierunku skrajnej lewicy, być może jeszcze bardziej niż ich młodszy koledzy.

Ważnym motywem uczuciowym, który skłania wielu uczonych amerykańskich do negacji istniejącego systemu, są przypuszczenia nie tylko jego wady, ale widmo naukowca — zniewolonego sługi reżymu, przykutego złotym łańcuchem akademickiego dostojństwa do kapitalistycznego *establishment*. Ponieważ tego typu niebezpieczeństwa zdarzały się dość często wielu reprezentantom nauki, a w pewnych systemach społecznych stanowią normę, obawy amerykańskich uczonych nie są bynajmniej wyssane z palca. Do tego dochodzą lęki, że nawet warunkowa afirmacja *establishment* doprowadzi ich do alienacji wobec studentów, którym ton nadaje środowisko ultraradykalne. To czego nie doceniają należycie amerykańscy intelektualiści, to prostego faktu, że rzeczywistość, w której świat żyje, składa się z mało pojętych alternatyw, które powtarzają się po prostu do znudzenia. Innymi słowy, obawa przed niebezpieczeństwem zniewolenia przez *establishment* doprowadza stopniowo do całkowitego pod-

porządkowania się środowisku ultraradykalnemu. Materialnie — intelektualiści są od tego ostatniego niezależni; oceniając więc sprawę powierzchownie, można uznać, że mają w tym drugim wypadku możliwość utrzymania większej niezależności. Są to jednak niestety tylko pozory. W parze ze skrajnością ekstremistów idzie ich nietolerancja w stosunkach z ludźmi odmiennie od nich myślącymi. Dla bojowych radykałów z „Lewicy” nie ma właściwie sprzymierzeńców warunkowych. Są hurtownikami własnych sloganów będących surogatem ideologii. Próba zdobywania ich sympatii oznacza eskalację żądań; całkowite podporządkowanie się ich celom i strategii — bądź oskarżenie o zdradę. „Nowa Lewica”, którą od komunizmu sowieckiego dzieli poważne różnice, przyswoiła sobie starą leninowsko-stalinowską taktykę WKP(b) z lat trzydziestych — dzielenia świata na absolutnych sprzymierzeńców i absolutnych wrogów. Dlatego próby pozyskiwania względów „Nowej Lewicy” są bardziej niebezpieczne niż próby znalezienia wspólnego języka z *establishment*, ponieważ zwężają jeszcze bardziej drogi wyboru. Lęki intelektualistów, nawet przed jak najbardziej obwarowaną zastrzeżeniami afirmacją ustroju kapitalistycznej demokracji, są wynikiem jeszcze wielu innych czynników, z których nie byłam psychologicznym motywem jest chęć schlebienia młodości.

Kult młodości jako fenomen o podłożu biologicznym jest starą i nieprzemijającą cechą rodzaju ludzkiego. Tyle tylko, że dopiero wiek XX wraz z epoką burzliwych ruchów politycznych i fermentów socjalnych nadał tej sprawie nowe aspekty.

Schlebienie młodości polegało od tysięcy lat głównie na jej imitowaniu, przy czym, nie mając nic wspólnego z problemami władzy i polityki, stanowiło ono przeważnie atrybut żeńskiej postawy rodzaju ludzkiego. W miarę jednak jak młodzież stawała się zaczęła dźwignią, a jeszcze częściej instrumentem i ewentualnym kluczem do władzy, cała sprawa zaczęła stopniowo nabierać nowych kształtów. Oczywiście pra-grunt kultu młodości pozostał ten sam co i dawniej — biologiczny, ponieważ nowa epoka przyniosła tylko nowe zastosowania starego kultu.

Młodość ma dwa oblicza: fizyczne i umysłowe. Stary profesor Harvardu nie może okazać swej prężności, skacząc przez płotki, bo złamie nogę, a jeśli nawet nie złamie, niewiele mu to pomoże. Poza tym młodość należy imitować w sposób dyskretny, żeby nie narazić się na śmieszność. Dlatego niewątpliwie słuszna, choć odbiegająca czasem od reguły, prawda, że młody umysł jest bardziej podatny pod przyjmowanie nowych prawd, otwiera szerokie pole do imitacji zarówno dla sędziwych jak i w średnim wieku intelektualistów. Nie przeceniam wagi tego czynnika. Rola jego może być i bywa często trzeciorzędna, niemniej nie można go pomijać. Ukazanie tego, że jest się „młodym duchem” — to pokusa, której nie łatwo się jest oprzeć. Często jest to rozrywka zgoła niewinna. Niebezpieczną staje się w pewnych okolicznościach, a w szczególności w wypadku niektórych amerykańskich intelektualistów, którzy w poszukiwaniu „wspólnego języka” z mło-

dzieją, wpadają w pułapkę, stając się ofiarą „flirtu z młodością”.

W artykule pt. „O sytuacji niemodnego profesora”, opublikowanym w *New York Times Magazine* z dn. 18 października, John B. Roche, profesor historii i nauk politycznych na Uniwersytecie Brandeisa, opisuje sytuację na amerykańskich uczelniach, a przede wszystkim stosunki pomiędzy ciałem profesorskim a młodzieżą, której najaktywniejsza część pozostaje pod wpływem skrajnej lewicy. W szczególności pisze on szeroko o presji, którą zaangażowane politycznie grupy studentów wywierają na swych współkolegów, wychowawców i profesorów. Ferment, który kilka lat temu był rebelią, dzięki petryfikującym prawom „mody”, stał się obecnie konformizmem, narzucającym swe dogmaty dysyden-
tom czyli bardziej konserwatywnie usposobionym członkom akademickiej wspólnoty. W ten sposób wspólnota ta nabiera coraz wyraźniej charakteru nietolerancyjnego, której totalitarne negowanie wszelkiej opozycji ograniczone jest chyba tylko tym, że studenci-przywódcy „Nowej Lewicy” nie dysponują takimi środkami fizycznego przymusu jakie są w posiadaniu pierwszego lepszego reżymu Europy Wschodniej.

Gdy rząd Nixona na wiosnę 1970 roku zdecydował się rozszerzyć operacje wojskowe w Południowo-Wschodniej Azji na Kambodżę — decyzję tę dyskutowano i krytykowano szeroko i swobodnie w rozmaitych środowiskach Ameryki. Na Uniwersytecie Brandeisa, na którym wykladał prof. Roche, nie było dyskusji. Sądzę, że nie było jej w nadmiarze również na innych uczelniach. — Na terenie całego obiektu akademickiego — pisze prof. J. Roche — zaczęła z miejsca funkcjonować maszynaria, której celem było zastraszenie i ekskomunikacja heretyków, ośmielających się twierdzić, że uniwersytet nie jest sektą anabaptystów; że jest instytucją dociekającą prawdy, a nie ukazującą ją „wiernym” na podstawie słowa objawionego. Obserwator, który wsłuchiwał się w chórne powtarzane slogany, nie świadomy tego, że jest to zebranie członków fakultetu, mógł odnieść wrażenie, że ma do czynienia ze zbiegowiskiem, którego celem jest dokonanie lynchu².

Prof. Roche w granicach swego artykułu, mającego częściowo cechy reportażu, nie próbuje dojść przyczyn, które pozbawiły niektóre wydziały humanistyczne amerykańskich uniwersytetów ich charakteru naukowo-badawczego. Konstatuje jedynie fakty, nie wdając się w ich genealogię. W jednym jednak miejscu czyni zmienną uwagę, rzucając światło na sylwetkę współczesnego amerykańskiego intelektualisty uniwersyteckiego, którego umysł poddany jest niszczącej erozji młodocianych działaczy „Nowej Lewicy”.

— Przypominam sobie — pisze J. Roche — gdy będąc 19-letnim studentem, z niesmakiem spoglądałem na poważnych ludzi — członków fakultetu, którzy starali się upodobnić do nas — mło-

2. Prof. J. Roche nie widział nigdy innych zbiegowisk, na których powta-
rzano chórne slogany, ale na których nie zamierzano nikogo linczować.

dych. W istocie, nie ma nic bardziej nieprzyjemnego i żenującego dla młodzieży, gdy ludzie starsi starają się im schlebiać i przypodobać... Kult młodości — pisze w innym miejscu Roche — stanowi, być może, pociechę dla intelektualistów w średnim wieku, liczącym z przerażeniem mijające na kalendarzu lata. Dla młodych — ta starcza kokieteria jest niczym innym jak obrazą ich własnego intelektu. Uniwersytet nie jest Świątynią Młodości. Jego zadaniem jest nauka. Jeśli kiedykolwiek jakaś grupa ludzi — czy będzie to komitet legislatury stanowej czy zamożni mecenasi nauki, Związek Weteranów lub jak obecnie — „Nowa Lewica” zażądają, aby Uniwersytet wywiesił ICH flagę i głosił prawdy, będące wyznaniem ICH wiary, postawa uczonego winna wyrazić się w nieśmiertelnych słowach młodego Olafa z poematu Cummingsa: „Nie będę całował waszego za...nego sztandaru”³.

3. Na marginesie artykułu prof. J. Roche'a warto zacytować jeszcze inny głos amerykańskiego naukowca, choćby dlatego, że nie powtarzają się one zbyt często. Jest nim fragment wypowiedzi Sidney Hooka, profesora filozofii na Uniwersytecie Nowyorskim, opublikowany w *New York Times*ie w dn. 22 października 1970 roku. Podkreślając podwójne kryterium jakim niektórzy intelektualiści posługują się w ocenie aktów gwałtu stosowanych, z jednej strony, przez Państwo — z drugiej zaś przez, starających się je zniszczyć, terrorystów, Sidney Hook szczególnej krytyce poddaje ten punkt widzenia, według którego alienacja pewnych grup ludności wobec istniejącego systemu społecznego uzasadnia wszelkie formy opozycji wobec systemu demokracji kapitalistycznej, włączając w to indywidualny terror. Przy okazji nawiązuje on do dwóch wydarzeń, które miały miejsce w Stanach Zjednoczonych w bieżącym roku. Pierwsze — to masowe protesty studentów i profesorów przeciwko decyzji Nixona podjęcia operacji militarnej w Kambodży, zakończonej zaburzeniami w Kent, gdzie od kul Gwardii Stanowej padło czterech młodych ludzi oraz wydarzenie drugie, znacznie późniejsze od pierwszego — wysadzenie ośrodka badań fizycznych Sterling Hall na Uniwersytecie w Madison, w czasie którego zginął młody amerykański badacz.

„Rok akademicki — pisze Sidney Hook — jest w pełni. Rozpoczął się on wkrótce po podłożeniu, w ośrodku badań fizycznych na Uniwersytecie w Madison, bomby, która spowodowała śmierć Roberta Fessnachta i ciężkie straty materialne. W przeciwieństwie jednak do gwałtownej reakcji po tragicznym zgonie czterech studentów (w tym dwóch kobiet — dopisek Red.) w Kent w maju 1970 roku, tym razem, po zabójstwie w Madison, nie zanotowano żadnego poruszenia ani wśród studentów ani wśród ciała akademickiego. Nie było protestów przeciwko sprawcom mordu dokonanego na Fessnachcie. Nie opuszczono do połowy masztów flag na znak żałoby jak to miało miejsce po tragedii w Kent. Nie zwoływano zebrania, uchwalających rezolucje, zaś Rektorzy uniwersytetów nie kierowali pełnych niepokoju listów do Prezydenta. Nie urządzono nawet na uczelniach zbiórek pieniężnych dla zabezpieczenia przyszłości wdowie po zamordowanym i jej dzieciom.

Wypadki majowe w Kent miały charakter spontaniczny, natomiast akt terroru na Uniwersytecie w Madison był spiskiem przygotowanym z premedytacją. Fakt, że to drugie wydarzenie spotkało się z obojętnością tych ludzi, którzy przede wszystkim powinni zareagować oburzeniem, okrywa ich nieślawą.

Niektóre komentarze na temat spisku terrorystycznego w Madison wywołać muszą szczególnie przygnębiające refleksje. Powiada się, że akty gwałtu są zrozumiałe, a nawet usprawiedliwione na tle frustracji, której w naszym spo-

To co leży na sercu prof. J. Roche i wielu innym uczonym, którzy są bezsilni wobec inwazji anty-intelektu w mury amerykańskich uczelni — to zachowanie swobody badań wolnej od wszelkiej zewnętrznej presji, zarówno ze strony strażników *establishment* jak i jego burzycieli. W istocie jednak nie chodzi tu jedynie o presję polityczną na uniwersytety w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. Presja taka, bez względu na to kto ją stosuje, jest zawsze szkodliwa i działa z reguły hamująco na rozwój nauki. Ta sprawa nie podlega dyskusji. To co nas w szczególności interesuje, to charakter i skutki tej ofensywy, której szermierzami są aktywiści „Nowej Lewicy”. W przeciwieństwie bowiem do swych marksistowskich XIX-wiecznych poprzedników, choć przyznają się czasem do marksizmu, są tak ubodzy duchem jak nie zdarzało się to jeszcze żadnym przywódcom ruchów rewolucyjnych od czasów Rewolucji Francuskiej. „Nowa Lewica” żyje politycznymi odpadkami marksizmu, który był wielką szkołą myśli i rewolucji co najmniej do dwudziestych lat naszego stulecia. Cele i praktyczna działalność państwa sowieckiego doprowadziły do uwiadu myśl teoretyczną, powodując wcześniejszą zagładę marksizmu jako doktryny niż można to było przewidzieć. Ale zanim to nastąpiło, zanim miejsce szkoły myślicieli zajęło przedszkole agitatorów, marksizm stworzył epokę, której się nie da z historii wykreślić. Tej drogi nie mają za sobą działacze „Nowej Lewicy”. Nie są też kontynuatorami ani renowatorami marksizmu, starającymi się rozwinąć i przystosować jego zasady do nowego zjawiska jakim jest współczesny kapitalizm krajów rozwiniętych. Są oni tylko spadkobiercami najgorszej pomarksistowskiej spuścizny — wytartych sloganów. Zanim zaczęli myśleć — poznali hasła. I w tym chyba tkwi największa ich tragedia i przesłanki przyszłej klęski. Inwazja tych hasel, które wparte są młodzieńczą energią, entuzjazmem a czasem samopoświęceniem, może wystarczyć do tego, żeby wstrząsnąć równowagę *establishment*, ale daleko do tego, by stary porządek obalić. Natomiast w konfrontacji ze światem akademickiego intelektu, który ze zrozumiałych względów stał się pierwszym i najbardziej wysuniętym przedpolem ich ofensywy, „Nowa Lewica” sieje spustoszenie. Nie fizyczne, bo podpalanie gmachów, wysadzanie w powietrze ośrodków naukowych — to rzeczy do odrobienia. Główne zło polega na

łeczeństwie podlegają pewne grupy ludzi. To ostatnie zaś jest następstwem obiektywnie istniejących warunków społecznych.

Ci, którzy stosują tego rodzaju rozumowanie, nie zastanowili się chyba nigdy, że analogicznej niemal argumentacji można użyć dla usprawiedliwienia aktów gwałtu, których dopuszczał się motloch, obrzucający kamieniami czarne dzieci w autobusie szkolnym w Little Rock. Ich zachowanie można też tłumaczyć długo tłumioną „frustracją” a postęпки przypisać warunkom społecznym, które są dla nich nie do zniesienia. Czy oznacza to, że udzielamy im rozgrzeszenia i uwalniamy ich od odpowiedzialności moralnej za popełnione gwałty? Prostaek i prymitywny determinizm doprowadzi nas do tego, że rasiści z Little Rock będą takimi samymi „ofiarami” społecznego systemu jak i „idealiści”, podkładający bomby pod budynkami uniwersyteckimi.”

szerzeniu spustoszenia w umysłach niektórych naukowców-humanistów, których mózgi stają się obiektem codziennej erozji taniej rewolucyjnej retoryki. W uczelniach amerykańskich, w których obowiązywać powinna dyscyplina słowa i ścisłość terminów, będących pierwszym warunkiem analitycznego wysiłku w konfrontacji z nowymi zjawiskami społecznymi, zapanowała inflacja mętnych słów, które, jak w nadmiarze drukowany pieniądz, tracą stopniowo swoją wartość obiegową.

„Nowa Lewica” nie pobiła intelektualistów akademickich siłą swej argumentacji. Nie próbowała nawet. Rozbroiła ich, narzucając swą własną broń — rewolucyjną demagogię, przy której waga słów określona jest ich emocjonalnym ładunkiem. Nic dziwnego, że w tej szkole role zostały odwrócone, a niektórzy profesorowie i wychowawcy stali się adeptami rewolucyjnego rzemiosła, praktykowanego zresztą przez kiepskich rzemieślników. W wypadkach gdy szantaż „Nowej Lewicy” przekraczał wszelkie granice brutalności, a wybitni intelektualiści amerykańscy cierpliwie znosili najgorsze upokorzenia, sytuacja nasuwała smutne skojarzenia z domem wariatów z opowiadania E. A. Poego, w którym rządy przejmują umysłowo chorzy, a lekarze dostają się pod kontrolę pacjentów. Piszę te słowa ze świadomą przesadą, ale to co jest przesadą dzisiaj, nie musi nią być za dwa lub trzy lata.

W całej sprawie nie chodzi, rzecz jasna, o zmiany światopoglądowe. Wśród amerykańskich badaczy była zawsze łamigłówka polityczna — zjawisko najnormalniejsze w świecie, przy czym ludzie wyznających skrajnie lewicowe idee było nie mało. Nie chodzi więc o to kto jakim przekonaniem hołduje, ale jak do nich dochodzi. Czy polityczne wyznanie wiary albo też, mówiąc ostrożniej, skłonności polityczne amerykańskich intelektualistów uniwersyteckich są wynikiem dojrzałego wysiłku analitycznego czy też w wielu wypadkach rezultatem „umysłowego zniewolenia” w specyficznej atmosferze jaka zapanowała ostatnio na amerykańskich uczelniach?

Uwagi moje sugerują tę drugą alternatywę.

W wydaniu *New York Times* z dn. 22 października 1970 roku ukazało się streszczenie książki, której publikację zapowiedziano w najbliższym czasie. Tytuł książki brzmi: „Młodość Ameryki” (Oryg. „The Greening of America”). Autorem jej jest Charles Reich, profesor prawa na Uniwersytecie Yale. Ferment społeczno-obyczajowy, który obecnie trwa w Stanach Zjednoczonych, nazywa autor „Rewolucją Świadomości Nr 3”⁴. „Rewolucja ta — pisze prof. Reich — nie wymaga teorii. Wyrażają ją zmiany wokół nas. Zakwitanie nowego życia. Twarze ludzi są piękniejsze i łagodniejsze, a oni sami są lepsi wobec siebie. Więcej wśród nas jest uśmiechów i więcej miłości. Dla młodych ludzi świata nowa nadzieja. Ci, którzy nie mieli żadnej przyszłości, odkryli nową — trudną do

4. Trudno wyjaśnić sens numeracji użytej przez prof. Reicha, ponieważ w momencie pisania powyższych uwag książka jego nie znalazła się jeszcze na półkach księgarskich.

wyobrażenia. To nie jest rewolucja; to odrodzenie Narodu na wyjątkowej ziemi".

Niewątpliwie wartości literackich i walorów naukowych książki prof. Reicha nie można ocenić na podstawie kilka zdań liczącego ustępu. Niemniej może nasunąć ona przypuszczenie, że autor jest sielankopisarzem i ujął swój utwór w formę bukolicznej prozy. „Piękno zakwitającego nowego życia” w rozdzieranym konfliktami kraju jest jego osobistym odczuciem, którego nikt nie ma prawa kwestionować. Natomiast prof. Reich formułuje wyraźnie myśl, że „Rewolucja Świadomości”, a ściślej biorąc, „Rewolucja Świadomości Nr 3” nie wymaga teorii. Innymi słowy, jest rewolucyjną erupcją, która wzbiera spontanicznie na naszych oczach. Nie jest ona zjawiskiem zaplanowanym. Ludzie jej nie kontrolują. Poddają się lub przeciwstawiają burzliwej fali wstrząsającej dotychczasowym porządkiem społecznym, wartościami materialnymi i obyczajami.

Oczywiście, tego typu rewolucje można afirmować tym bardziej, że dotychczasowe, jak uczy doświadczenie, mimo ciężkiej pracy teoretyków, nie były przedsięwzięciami najbardziej udanymi. Przy tym wszystkim, jakkolwiek ma się pogląd na wizję rewolucji opisaną przez autora, stosunek do niej prof. Reicha — jako fenomenu społecznego, jest irracjonalny. Wynika to, jeśli można sądzić na podstawie skromnego cytowanego fragmentu, z samej definicji „Rewolucja Świadomości”.

Wyda mi się, że postawa prof. Reicha, nie w jego sympatiach społecznych, którym daje wyraz, ale w świadomym wyrzekaniu się metod racjonalnych, nie jest rezultatem jego osobistego kryzysu jako naukowca. Jest następstwem niszczonego działania neoekstremistów z ich potężnym ładunkiem emocjonalnym i niewspółmiernie nikłym kapitałem naukowym. Przypuszczalnie prof. Reich nie jest nawet przykładem najbardziej typowym. Określa on natomiast kierunek, w stronę którego steruje poważna liczba amerykańskich intelektualistów, pozostających pod ustawiczną presją „Nowej Lewicy”.

14 lat temu w okresie krótkotrwałej i żłudnej „Październikowej Wiosny” modne było w Polsce powiedzenie: „Myślenie ma kolosalną przyszłość”. Tak sądzono po okresie wielkiego intelektualnego postu. Obecnie drażni ono swym nadmiernym optymizmem. Intelektualistom Europy Wschodniej — nie pozwala się myśleć. Intelektualiści amerykańscy mogą, ale nie wykorzystują w pełni swej szansy.

Zbigniew BYRSKI

New York, październik 1970

Trzy

Nazywała się ta rzecz: „Wieczory Rodzinne”. Był to dobrze oprawny w angielskie czerwone płótno tom *in quarto*, o świetnym papierze i z dobrymi kliszami ilustracji. Właśnie jakby z powodu tych ilustracji był tam także artykuł o sztuce ilustracyjnej, o całej technicznej stronie grafiki, a więc o drzeworytach, miedziorytach, sztychach, akwafortach, monotypiach, o litografii, jak to tam wytrawia się w kamieniu kwasami rysunki, a rysunki te oczywiście robione są „na lewo”, jako że dopiero po odbiciu mają wyjść jak należy. O ilustracjach wykonywanych metodą cynkografii siatkowej, i były tam w powiększeniu przykłady tego jak przy użyciu „rastrów” wszystko na kliszach wychodzi w czarnych i białych punkcikach, które jakżeż to przepływają i zlewają się tam gdzie trzeba by dać efekt plastyczny.

Czego tam nie było! Była tam historia Hajoty czyli Pani Rogozińskiej o wyspie Fernando Po u brzegów Afryki, o internowanych tam przez rząd hiszpański powstańcach z dalekiej Kuby. Była tam historia, „Dwaj mali dobosze” o walkach na Północno-Zachodniej Granicy, historia po kiplingowsku wcale „jingo”, ale jakże po majstersku opowiedziana. W lata potem zapoznałem się z nią w oryginale, którego tytuł brzmiał nieprzetłumaczalnie: „The Drums of Fore and Aft”. Historii tej towarzyszyła znowu kolorowa ilustracja (metodą offsetu), na całą stronę, na tle skał Khyber Pass jakiegoś Waziristanu czy Kafiristanu, dwie czerwone figurki chłopców, jeden w białym korkowym hełmie a drugi z gołą głową, idący samotnie naprzeciw zmasowanej gdzieś za brzegiem ilustracji armii Afrydów czy Pathanów, i te dzieci londyńskiego rynsztoku dają przykład bohaterstwa i giną. Co może i lepiej dla nich, jako że Afrydzi i Kurdowie bardzo byli łasi na chłopięce pośladki („szkoda że za rzeką a ja nie umiem pływać...” — brzmiała koszarowa piosenka angielskich Tommies). Oczywiście

to nie na owe czasy i Kipling, po którym przetrwały jedynie balady koszarowe, nie posunął się za daleko.

Cóż tam jeszcze było w tych „Wieczorach Rodzinnych”? Aha, był Cypriana Norwida szkic dramatyczny, tytułu nie pomnę, dramat z czasów rzymskich, wojen punickich, oczywiście z ilustracją na której umiera ukrzyżowany Kartagińczyk Mago. Był sążnisty artykuł Leona Pinińskiego, o sztuce, a za tytuł miał „Przechadzki po muzeach madryckich”, z wieloma oczywiście reprodukcjami arcydzieł tam nagromadzonych, już nie pomnę co z tego tam było, pewnie Velasquez, Goya, El Greco, Zurbaran, pewnie te krynoliny i gorsety i koronkowe kołnierze i upończoszone łydki sztywnych grandów, infanty i karły i wielkie zady końskie i te tam dalekie andaluzyjskie, kastylskie i z Nawarry pejzaże w tle. Już tego wszystkiego nie pamiętam co ten szekspiolog tudzież namiestnik Galicji napisał o tym, sam z fotografii trochę na granda hiszpańskiego wyglądający, o którym pewien radca lwowski opowiadał mi że kiedy w czasie socjalistycznych demonstracji huzarzy szarżowali z jego rozkazu na kołujący się na Placu Strzeleckim tłum robociarski to pan namiestnik zasiadł sobie do fortepianu aby ten moment zilustrować sobie muzyką.

Było tam wiele innych rzeczy, groch z kapustą, ale jakże to dobrze zrobione i inteligentnie i ze smakiem i umiarem, i potem zawędrowało to sobie do dalekiej mieściny podolskiej, do pokoju z jego żarliwą lampą naftową w pośrodku stołu, z jej zielonym abażurem i można było zagłębić się w kartach tej książki i odpłynąć w jakieś inne kraje i czasy, zacząć się sprawami odmiennymi, byle innymi, byle odległymi.

Był tam jeszcze wyjątek z pomnikowego dzieła tego docieka-cza i podpatrywacza życia owadów, jakim był Jean Henri Casimir Fabre. Ale w pamięci pozostało mi z tego nie to co było przedmiotem owego wyjątku, ale pasja, upór, skoncentrowanie się tego *voyeur'a*. Miał mi pozostać za wzór niedościgniony. Nawet wtedy gdy pisze czym za swe pasje musiał zapłacić.

Bo kiedy od świtu trwał na kamieniu w zasadzce u dołu wozu podpatrując obyczaje os to miały go tam kobiety, pisze o tym, pracownice w drodze do winnicy. Kiedy o zachodzie słońca wracały z pełnymi koszami na głowie, ten wciąż tam siedział zagłębiiony w rozmyślaniach, z oczami utkwionymi w to samo miejsce. Jego bezruch, upór z jakim trwał w tym samym miejscu musiał zrobić swoje wrażenie. Kiedy przechodziły to widział kątem oka jak jedna puka się w czoło i słyszał jej szept pod adresem innych:

„Un paouré inoucènt, pecàire...”

I żegnały się znakiem krzyża świętego.

Powiedziała idiota, *un inoucènt*, biedaczysko, zgola wcale nie-

szkodliwy, ale półgłupek; i przeżegnały się bo idiota to taki co nosi piętno boże.

„Na masz, pomyślałem. Cóż za ironia losu! Tylko co, w takim trudzie chcesz dociec czym jest instynkt i inteligencja stworzeń a sam w oczach tych kobiet jesteś rozumu pozbawiony! Co za upokorzenie! Ale niech tam: *pecàire*, w dialekcie prowansalskim określenie najgłębszego współczucia, wypowiedziane tak z głębi serca pozwala mi zapomnieć o *inoucènt*!”

A próbowali mnie odstraszyć, namówić do powrotu. Już pomijając sam fakt uporu z mej strony, bo to im było wcale zrozumiałe, dzisiaj poszukiwacz i badacz nie jest, jak Fabre, uważany za pomyłonego i dziwaka, nauka dopięła się swego prestiżu, ma swoje uważanie, ale mój całkiem amatorski pomysł wydał się im naprawdę z pierza. Mówili mi: „Ukamienują!” Najzupełniej biblijnie ukamienują. Miejscowi, od pokoleń tu zasiedzieli coś o tym wiedzieli, nie? Przecież, mówili mi, mają całkiem ludzkie, chwytne palce u rąk, a w tym veldcie kamieni a kamieni, zatłuką jak nic.

Veldt. Rano kiedy się nań wyszło jarzył się różowo od afrykańskiego słońca, suchy, sterczący badyłami i krzaczowiskiem. Wiem o tym bo z czasów „Wieczorów Rodzinnych” zapamiętałem go z innej książki jaką mi ojciec raz przywiózł, a tytuł jej był: „Dzok, przygody psa i jego pana w puszczy”.

Ale nie dałem się odwieść. Nie robiłem żadnych specjalnych przygotowań, wybierałem się w veldt prawie nagi. W porwanej wcale koszuli khaki i wytartych na siedzeniu szortach i na nogach miałem tylko dobrze schodzone trampki. W kieszeniach koszuli miałem tylko trochę keksów i kilka pastylek aspiryny. W kieszeniach szortów nóż składany i fularową chustkę do nosa, z której w razie czego mogłem zrobić sobie prowizoryczne nakrycie głowy przed słońcem. Nawet nie miałem ogryzka ołówka, wszystko chciałem zawierzyć pamięci, a nie odstraszać jakimiś dziwnymi gestami zapisywania czy robienia notatek. Dla poczucia bezpieczeństwa, bo jest się ostatecznie tchórzem, nie? pod pachą lewego ramienia miałem umocowaną, przypasaną olstrę, w niej mały, 6,35 m/m pistolet automatyczny, Mauser, z zapasowym magazynkiem. Bo przecież w razie czego...

Przestrzegali, mówili mi: „Ukamienują!” Toteż zachowywałem się jak najprzystojniej, jak najspokojniej, wlokąc się powoli z tyłu za bandą. Zgraja miała swoją organizację. Samcy i wyrostki na czele, po bokach i z tyłu. W pośrodku samice z małymi. Te albo uczipione ich brzuchów, albo w podskokach i podrygach dzieciących, ale zawsze trzymające się matek.

Kiedy banda zatrzymywała się by zająć się zbieraniną, to porządek trochę się rozluźniał, ale teren wciąż obstawiały pikiety i posterunki, bacznie obserwujące przedpole, horyzont. Ja sam przysiadłem wtedy w kucki na ziemi, znieruchomiły, wystrzegający się jakichś nagłych, mogących wzbudzić niepokój ruchów. Powoli przyzwyczajono się do mnie, do widoku mej postaci, bo wlokąc się za nimi garbiłem się i upodabniałem jak najbardziej sylwetką i ruchami do reszty. Starałem się być jak najmniej zauważalny, nie istnieć, swoje własne istnienie poświęcić tylko życiu innych, oderwać, odwrócić uwagę od siebie, nie być. Jak to mówi się retorycznie, cały zamienić się we wzrok, w słuch. Nawet nie czułem much obsiadających spoconą powierzchnię niezastłoniętego ciała, nie czułem nawet pragnienia ani nie chciało mi się jeść, nie dokuczało mi palące z góry słońce. Kiedy przysiadłem w kucki wpośród wypalanej trawy veldtu to nie czułem nawet bólu i skurczu mięśni nóg niewzwyczajonych do tej pozycji. Sam nie istniałem. Udało mi się tego dokonać. Czyżby?

Zgraja posuwała się powoli, leniwie, ale stale i uporczywie w jednym kierunku. Flankierskie placówki zmieniały się na jakiś niewidoczny, nieuchwytny sygnał dawany przez jej herszta. Czasem dochodziło do starcia pomiędzy jakimś dwojgiem, wydzierającym sobie jakiś smakołyk, glistę czy jaszczurkę znaną pod odwróconym kamieniem. Czasem padał sygnał, fałszywy alarm, na który rozbiegane towarzystwo kupiło się w obronny, wędrowny obóz. Alarm był fałszywy, wywołany przez płochliwe antylopy wpośród których pasącego się rojowiska posuwaliśmy się zdecydowanie i pewnie, chociaż tak niezauważalnie.

Pomimo powolnego ruchu, a częściej bezruchu, kiedy w swoich obserwacjach przysiadłem na piętach to jednak koszula lepiała mi się do pleców, poczerniała od potu. Ale pochód odbywał się bezustannie i od czasu do czasu uprzytamniałem sobie że jestem dobrze w tyle, poza strategicznie obronnym kręgiem zgrai i wtedy doszłusowywałem co rychlej. Bo przy całej narzuconej sobie pozie nieistniejącego obserwatora miałem pełne poczucie braku bezpieczeństwa, i przypominały mi się ostrzeżenia autochtonów i macałem pod pachą kolbę Mausera.

Bo przestrzegali, mówili mi że jak mnie nie ukamienują, to kiedy tak starałem się upodobnić, to najpewniej stanę się ofiarą czającej się za bandą, idącej w jej ślad centkowanej bestii, „krążącej, szukającej kogo by pożreć”. Mówili mi, jak się upodobnisz to nawet się nie spostrzeżesz, skok, kły wcepione w kark, straszliwe pazury wyszarpujące ci wnętrzności, rozorywujące ci twarz, zobaczysz. I nawet wydało się im to śmieszne, zabawne, makabryczny kawał, że przez pomyłkę będę uznany za jednego z tamtych, ofiarą *qui pro quo*.

Z nadejściem nocy, która tu zapada nagle jak opadła na oko powieka, całe towarzystwo sadowiło się wpośród gałęzi drzew akacjowych veldtu. Mnie przychodziło noclegować samemu wpośród traw.

Nade mną rozciągało się dziwne, obce, czarne niebo, ponabijane dziwnymi obcymi gwiazdami. Układały się w jakieś nieznanne, nieoglądane w naszych stronach konstelacje, Krzyż Południa, Corona Australis, Argo, Alfa Centauri i Beta Centauri, Obłok Magellana... Zaczynałem układać je i komponować w przez siebie wymyślone, chciałem ich rojowisko jakoś uporządkować i ponazywać, pozawieszać wpośród nich mitologię własnego wyboru imion. A ładnie sobie ci Grecy wyrzucali mitologię, swoich bogów i półbogów, wyposażając ich we wszystkie ludzkie pasje, przywary, okrucieństwa, zawiści, kłótnie, instrygi.

Gwiazdobiór Centaura nasunął mi pomysł wyrysowania na tym obcym niebie jeszcze jednej konstelacji. Będą to owe karmione ludzkim mięsem konie, ludojady, Klacze Diomedesa. Tylko zaraz! Wedle „Dictionnaire de la Fable” Chompré’go, konie te nosiły imiona wcale męskie: Podargus, Lampus, Xanthus i Dinus. Wyraźnie tam tak stoi. Więc skądże klacze? Powinno być ogiery.

A może były to konie-hermafrodyty? Wiadomo Hermafrodyt, cudownej urody syn Hermesa i Afrodyty, stał się za sprawą nimfy w nim zakochanej dziwologiem natury, gdy ta uprosiła bogów, by połączyli ich na zawsze w jedno, w postać o oznakach obu płci, piersiach kobiecych i tak zwanych prywatnych częściach męskich. Kształt ten pokutuje w perwersyjnej sztuce od setek lat. Kiedyś, zwiedzając Luwr, widziałem pośród jego zbiorów rzeźb klasycznych, w rogu którejś sali, marmurową postać w na poły leżącej pozie, odwróconą od widzów ale z widocznymi pełnymi piersiami dziewczyny. Od strony ściany mur był dobrze wyszurany przez ciekawych chcących sprawdzić oznaki płci rzeźby, a dobrze musieli się precyzować.

Proszę się nie śmiać ale nawróciłem z tej „puszczy”. Co tu ukrywać i stchórzyłem i dałem się powodzić fantazjom i ucieczkom myśli nielicującym z naukowym dociekaniem. Okazuje się że nie było we mnie materiału na poszukiwacza, obserwatora, odkrywcę, kronikarza, plutarcha nawet prymitywnego gatunku.

Do skarbów przechowywanych w panińskich biureczkach, szufladach, wpośród puszków do pudru, wstążek, „harnadli”, mydełek, szpilek, żetoników, haftek, koralików, zatrząsków, szydełek, włóczek, kremów należą także i zabłąkane tam stare bilety, przepisy na galaretkę, fotosy gwiazdorów, wycinki z magazynów, szarady, programy teatralne, święte obrazki, liściki. Należą się

tam także kompendia przekazywane pensjonarską modą, zeszytiki z wykaligrafowanym na okładce tytułem PELE-MELE. Podobne do sięgającego dawnych lat „pamiętnika”, romantycznego albumu czy biedermajerowskiego sztambucha. A tam... Mój Boże, czegoż tam nie było! Prawdziwe *silva rerum* wierszy, epigramatów, powiedzeń, zaklęć, kuplecików, aforyzmów (w rodzaju: „Fiku-miku, już ja jestem w Twoim Pamiętniku...”) do natchnionych ód czy inwokacji czy „złoty myśli” (w rodzaju: „Młodość życia jest rzeźbiarką co wykuwa żywot cały, choć przemija rażno, szparko, cios jej dłuta wiecznie trwały...”). Tak jak w starym sztambuchu: „Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi, bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci...” czy w albumie tej złowrogiej Johanny urwany sonet o Jastrzębiu i tamże innego, obcego poety: „*Czto w imieniu Ciebie mojem...*”. A do tego wszystkiego rysunekki piórkami czy blade akwarelowe girlandy kwiatków, niezapominajek, amorków, gołąbków, wstążeczek, słabo się robi...

Wspomnienie przeglądane kiedyś skromnego zeszytu pensjonarskiego Nietoty nasunęło mi pomysł historii jego pierwowzoru.

Miało to dziać się w okolicach w których dóbr swych wyrzekała się Panna Ksieni benedyktynek przemyskich. Co roku odbywały się tam przetargi na młode konie, zakupywane przez komisję remontowe korpusu jazdy Królestwa Polskiego i Imperium Rosji. W Kodni stał sztab remonty polskiej, czterech pułków strzelców konnych, pułku strzelców konnych Gwardii, czterech pułków ułańskich i baterii artylerii konnej Gwardii. W Berdyczowie była główna kwatera remontowa dywizji huzarów, pułków aleksandryjskiego, achtyrskiego, mariupolskiego i Księcia Orańskiego.

Konie spędzano do Berdyczowa na jarmarki, na Świętego Onufrego 13 czerwca, na Preczyste 15 sierpnia, na Kosmy i Damiana 1 września, na Pochwalne w dniu 24 marca. Na targowcach u Rogatki Machnowieckiej i Rogatki Białopolskiej widzieć można było hurmy, tabuny i zgony ze stadnin Sanguszków w Gumniskach, Padlewskich z Czerniawki, ogiery z Ohyki, kłacz z Jabłonowa spoza austriackiego kordonu, konie Boguckich z Czarnokońców, Dzieduszyckich z Jarczowiec, z Kuniszowiec pod Horodenką, konie z jarmarków na Pobereżu w Bałcie, w Ułaszkwach nad Seretem, z Dubna, chowy Grocholskich, Abramowiczów, Podhorskich, Żurowskich, z Kulczyniec i Białej Cerkwi.

Miało to dziać się w Kodni, w karczmie, pod wieczór. Na stole miała palić się świeca przyniesiona przez Żyda, miała tam stać wódka w butelce z mętnego szkła, nadkrojony bochen chleba, kałamarz z gęsim piórem i miał tam leżeć właśnie wspomniany tomik oprawny w safianową skórę, ze złoceniami brzegów jego welinowych kartek.

Przed gankiem karczmy miał stać huzar w dolmanie, z obna-

zoną szablą, z mosiężną łuską podpinka czeka okalającej jego dziobatą od ospy twarz. Miały podzwiewkiwać ostrogi jego butów z ich rozetami u sercowatego wycięcia cholew. Na podwórzu miała paść się żydowska koza uwiązana na sznurze, a dalej, u żurawia inni huzarzy w stajennych kitlach mieli poić w korycie konie.

Widok huzarów pojących konie miał mi nasunąć wspomnienie jakiegoś wiersza, nie jakiegoś wiersza, ale puszkiniowskiej ballady o huzarze, i miałem nawet przytoczyć jej zwrotkę chociaż ja to ledwie dukam w tym języku:

*„Zdjes na tiebia, kak liutij zwier
Gładił' chaziaj, a z chaziajkoj —
Niebojs, nie wimanisz za dwier
Jejo ni czestju, ni nagaikoj...”*

Tak to kiedyś przywoicie zaczynało się opowiadanie, historię z niedysiejszych czasów. Zaczynało się oczywiście od wprowadzających szczegółów. Zaczniemy od Kodni. Gdzie to ta Kodnia? A no, na północ od Berdyczowa, na pół drogi do Żytomierza, chyba nad Teterewem. A Teterew? Pewnie podobny do Stochodu, do Słucza, do Ikwy, do Horynia, leniwie przeciekający pomiędzy szuwarami, a te przecież znałem. Karczma jak karczma, z jej szynkwasem, stołami. Świeca będzie potrzebna, by można było przygrzać nóż nad jej płomieniem ażeby odkleić wosk pieczęci listu znalezionej pomiędzy kartkami sztambucha, listu zaadresowanego do Panny Salomei Wiśniowieckiej. Wszystko musi być jak należy, logiczne, niczego nie pozostawi się czytelnikowi do sztukowania, domyslenia się, odgadywania.

Nawet z huzarami trzeba uważać, by czegoś nie poplątać. Chyba że wymaga tego specjalna licencja poetica. Bo weźmy, kiedy pan hrabia Aleksander Fredro wystawił nam tę znakomitą komedię o damach i huzarach to pomieszał to umyślnie. Bo przede wszystkim na korpus jazdy Królestwa Polskiego składały się, jak nadmieniono już wyżej, cztery pułki ułańskie i pięć pułków strzelców konnych, w tym jeden Gwardii, i nie było tam ani dragonów ani huzarów. Ale Fredro musiał uważać żeby sobie kogo nie narazić, choć żył za austriackim kordonem. A w komedii tej mamy i postać komiczną i zabawną, kapelana, ni stąd ni zowąd luterskiego. I czemu to? No, no, czyż w komedii polskiej na scenie można było wtedy, a i teraz chociażby, pokazać księdza, może jeszcze w sutannie? Niemożliwe! Fredrze, który wiadomo był wcale libertynem, była potrzebna komiczna postać kapelana, a jak nie mógł go pokazać w sutannie to bodajże jako lutra, w kusej czamarce i w butach, jeszcze ucieszniej.

A nawet uwiązana na sznurze koza, pasąca się pod parkanem, nie miała być czymś przypadkowym. Po pierwsze miała podmalować rodzajowy pejzaż, zawsze na żydowskim podwórzu była taka koza, należała do tego śmietniskowego sztafazu, wspinała się na pochyły pień wierzby czy na poły uschłej gruszy. A tutaj miała jeszcze posłużyć jako symbol. Proszę się nie śmiać, ale tu właśnie miała przywieść na pamięć czarnego kozła, w którego postać przyobleka się czart na szatańskich zborach czarownic i wiedźm na uroczyskach i Łysych Górach, gdzie odbywają się nabożeństwa ku jego czci, sprawy o których powiadają bajki, stare protokoły sądowe i wiersze poetów. Jej obecność miała wzbudzić i spłętnąć nastrój przechodzącego w półmrok wieczoru, chwili zawieszanej jak zatrzymane wahadło zegara, godziny niepokoju i grozy. W owej chwili zostajemy sami. O tej porze, o której mówi się że jest *entre chien et loup* jesteśmy niewinni, zagubieni, bezbronni wobec złowrogich zamiarów, kiedy z zapartym oddechem nasłuchujemy, nierozróżniający przedmiotów, konturów, kształtów znajomych, zapatrzeni w jakieś niewidziane przedtem sylwety, stwory wyszczerzające do nas bezżębne dziąsła w grymasie bezgłośnego śmiechu...

Ktoś może, i słusznie, zapytać: czemu wydziwiam i w tym urwanym wpół opowiadaniu, czy szkicu do niego, posługuję się taką formą składni na przykład jak: „... uwiązana na sznurze, pasąca się pod parkanem koza miała być podmalowaniem rodzajowego pejzażu...”. Skąd to?

A bo obok „Wieczorów Rodzinnych” i historii mającej za tytuł „Dzok, przygody psa i jego pana w puszczy”, na stole z jego lampą z zielonym abażurem pojawiała się i gramatyka języka polskiego, abyśmy się uczyli, bo ojciec bał się że mu dzieci w czasie tej wojny zdziejęją. I tam w tej staromodnej gramatyce było o tym że forma składni *conjugatio periphrasis*, to znaczy przyszłości czynnej pozwala nam mówić o dalszej dopiero przewidywanej przyszłości.

Chyba nie muszę dopowiadać że my, dzieci, z Nietotą, nudziłyśmy się śmiertelnie słuchając o częściach mowy nieodmiennych, przysłówkach czasowych i sposobowych i przydawkach. Ojciec zniechęcony naszą nieuwagą sam zaczytywał się w tej gramatyce. W pewnym miejscu, chcąc nam dać wzór „dopowiedzenia” w zdaniu cytował głośno zamieszczony tam przykład:

„Orszuli Kochanowskiej, wdzięcznej, uciesznej, niepospolitej dziecinie, swojej najmilszej dziewczce...”

Zygmunt HAUPT

Ojczyzna (dok.)

Na polach żarzyły się koniczyny, paliły się łubiny i mlecze. Pachniało jakby ktoś rozlał cysternę wody kolońskiej, zatykało dech. Lubię chodzić po polach, po gołej, miękkiej ziemi, która ugina się pod stopami. Lubię otwartą przestrzeń pól, gdzie z daleka widzi się dokąd się idzie — najprostszą i najkrótszą drogą. Człowiek czuje się wysoki. I lekki. Jak ptak. W polu się nikogo nie boję. Widzę z daleka wszystko, co się wokół mnie dzieje. A poza tym ludzi jest tu niewiele. Patrzę na oddychającą spokojnie ziemię, pochylone niziutko niebo, wysiłek przeżących się naiwnie traw i lekki powiew czasu nad ich głowami. Czego miałbym się bać? Nigdzie się nie czuję lepiej niż w polu.

Z daleka poznałem krzyż, który miał spróchniałe ramiona. Nie ramiona, a wystrzępione rękawy. Stał przy piaszczystej drodze, którą również poznałem. Jeździłem wtedy z ojcem. Przyjeżdżaliśmy pożyczoną u dziedzica linijką. Jeździło się nią okrakiem, jak konno. Ja siedziałem z przodu, a ojciec zaraz za moimi plecami, mogłem oprzeć się o jego brzuch. Jego nogi zwisały do ziemi, jego ręce, w których trzymał lejce i bat, unosiły się nad moją głową. Włosy miał takie same jak ja. I takie same brwi. Takie same wysokie ślady zarostu na twarzy. I plecy pochylone tak samo. Nawet lat miał tyle samo, co ja mam. Chłop, którego spotkałem po drodze, przyglądał mi się bardzo zdziwiony, a gdy go spytałem o drogę, uśmiechnął się niepewnie i powiedział: „Oj, coś mi się zdaje, że zna dobrze drogę a pyta...”. Muszę być do złudzenia podobny, kiedy idę tymi polami. Ludzie, którzy mnie nie znają, rozpoznają mnie. Rzecz, która nigdy nie zdarza się w mieście. Pamiętają i ojca mojego i dziadka, wszystkich pamiętają. Ludzie mają tu dłuższą pamięć niż w mieście.

Dom dziadka był pomalowany na biało. Stał przed nim bielo-

ny płot i — również bielona — jabłoń. Ale teraz okazało się, że wszystkie domy we wsi były pomalowane na biało i większość z nich miała bielone płoty, a za płotami tu i tam bieliła się jabłoń. Wyróżniał się tylko dwór z żółtych, pionowych deseczek wycinanych w fantazyjne wzory. Chaty były z szerokich dech ułożonych poziomo, poza tym kryte były słomą, a dwór miał czerwoną dachówkę z telewizyjną anteną. Poznałem go jednak przede wszystkim po drzewach. Na wsi mało jest prawdziwych drzew. Tu i ówdzie najwyżej topola. Prawdziwe drzewa rosły tylko przy dworach.

Zbliżyłem się po wybrzuszeniu podjazdu, który zarośnięty był trawą. Tabliczka na ścianie głosiła, że „obiekt zabytkowy”. Przed budynkiem piętrzył się stos szkolnych ławek wymalowanych wielkimi kleksami. W środku człowiek na drabinie malował gzymsy sufitu.

— Jak idzie robota — spytałem.

— Niedobrze — mruknął. — Jeden nic nie robi, a drugi musi się męczyć...

Zawróciłem i poszedłem przez ogród, gdzie stare dróżki alej też były zarośnięte trawą. Wydeptane były na przełaj nowe, którymi skracano sobie drogę. Parkany dawno rozebrano i przez ogród chodziła cała wieś. Woda w kamiennym ogrodzeniu fontanny czarna była od kaczego gówna i służyła jako sadzawka. Ale drzewa na tle zdziczałego ogrodu wyglądały jeszcze okazale, ich głęboki cień przykrywał ogród jak dach, tylko najwyższe liście koron mieszały się z drżącymi płatkami nieba i szeleściły szepcąc. Drzewo to jest zielony człowiek, który zna swoje miejsce między ziemią a niebem i nie szarpie się. Wyżej nie urośniesz, powiada. Trzeba wiedzieć z czego się wyrasta, na czym się stoi i — stać. Wszystko inne przemija samo... Nikt nie jest lepszy w filozofii niż drzewo. Dlatego tak długo żyje.

— Jak się nazywa to drzewo? — zapytałem człowieka w czapce nasuniętej na czoło.

— Które, to? Klun...

— A to obok?

— Też klun.

— A tamto co ma długie liście?

— Też klun, panie. To wszystko kluny...

— Ale przecież one są różne?...

— A no różne są, jak to kluny...

Z murowanej oficyny, przed którą się suszyła bielizna, wyszła mała kobiecina w długiej spódnicy i boso. Nie była to właściwie żadna oficyna tylko obora, bo w tych stronach oficyny były drewniane, tak samo jak chałupy i dwory, murowane były tylko obory. Kiedy dziedzice odeszli, odeszły również z obór ich krowy,

a wprowadzili się na ich miejsce fornale. Postawili w oborach kominy i mieszkali w murowanych, krytych dachówką budynkach jak w prawdziwym domu. I były to najlepsze domy we wsi.

— To nie klon tylko modrzew. A tamto to jesion i grab. Najwięcej mamy grabów. Ale mamy i chrystusowe drzewo.

— Chrystusowe?

— To z kolcami. Zawsze pod jesień płacze czerwonymi łzami... Ja wszystkie te drzewa znam, ja tu całe życie przy dworze... Wczoraj była tu nowa nauczycielka, zajęła pokój na górze! A pan?...

— Ja?...

— Nie nowy nauczyciel czasem?

— O, nie! Ja tylko tak, mimochodem... Tu mieszkał kiedyś mój dziadek...

— Dziadek?... — Obrzuciła spojrzeniem moją kurtkę, plecak i beret i uśmiechnęła się niepewnie. — A nie z dworu czasem?...

— Nie...

— A kto był pański dziadek?

— Żyd.

Speszyła się, jak każdy w Polsce, kto usłyszy „Żyd”, zwłaszcza w obecności Żyda.

— Kto, Szija?!

— Jeszajah...

— Ten co miał u nas mleczarnię?

— Tak, ten...

— To pan jest, znaczy się...

— Synem jego syna, Abrama.

— Pamiętam go przecież, mój Boże! Jakże mogłam od razu nie poznać? Pan jest bardzo do niego podobny... Ojciec pański to był wesoły chłopak!... Tylko ten starszy, znaczy się stryjek pański, to taki był zahukany zawsze, zapracowany...

— Tak, on był trochę nienormalny.

— A ciotki pańskie, jakże im, Rywka? Tak, Rywka i...

— Itka.

— Mój Boże, przecież myśmy się razem chowały. A nie dawno była tu Iłowicka, dziedziczka... Ona przecież była w jednym wieku z pańskimi ciotkami. Też wspominała, płakała... Jej syn się niedawno zabił.

— Jakto, zabił się? Sam?...

— Nie, w wojsku... A ja tu tak całe życie, wpięty przy dworze, teraz przy szkole... A sił nie ma już biegać... Obiecali emeryturę, ale kierownik nie ma czasu...

— A w radzie gromadzkiej?...

— Nie wiedzą, mówią... Pan w Warszawie mieszka?

— W Warszawie.

— Może pan by tam słówko powiedział? Pan wie gdzie pójść i powiedzieć, pan na pewno jak zechce to może... Pański dziadek też mądry był i porządny człowiek...

— Jego dom stał tu gdzieś koło dworu...

— Spalił się, razem z czworakami się spalił.

— Niemcy tu byli we dworze?...

— Dwóch ich było, mieszkali na górze. Jeden to taki wesoły, nieduży, rudy...

— A zabijali Żydów?

— Tu u nas nie. W Rudzienku zabijali, w Jadowie, w Dobrem... Ale tu u nas nie było żadnych Żydów od czasu jak pański dziadek odjechał. Raz tylko złapali jednego w życie. W czapce miał pełno złota...

— No, to ja już pójdę... Chcę zobaczyć to miejsce, gdzie mieszkał dziadek.

— A nie zapomni słówko powiedzieć w Warszawie? Cyran moje nazwisko. Albina! Ale wołają tu na mnie Cyranka!...

Obszedłem wieś dookoła. W końcu wyszedłem pod ten sam krzyż spróchniały przy drodze. Pomyślałem sobie, że odprowadzał on mojego dziadka, gdy odjeżdżał stąd na furze załadowanej tobołami, z babką, stryjem epileptykiem i obiema niezamężnymi ciotkami. Babka była w długiej spódnicy, takiej jaką nosi dotychczas Cyranka, i w pobożnym czepku. Potulna kobiecina pełna respektu dla Boga i mojego dziadka. Ciotka Rywka miała zadarty nos. Była w popielatym miejskim kostiumie, białych pantoflach i włosach ukarbowanych w fale, z torebką szykownie pod pachą... Przecież do miasta jechała. A dziadek zadarł brodatą głowę w czarnej czapce, której nie zdejmował przed nikim, i długo patrzył na krzyż, który niczyjej drogi tak nie znaczył jak naszej. I ten człowiek na krzyżu był nasz, wtedy bardziej niż kiedykolwiek. Wtedy bardziej to było widać. Dziadek nie mógł nie myśleć o tym jadąc w krzyżową drogę.

Odjechał nie daleko. Wzniósł się do nieba, przez komin, i z powiewem wiatru powrócił. Do Treblinki było stąd tylko kilkadziesiąt kilometrów, a co to jest kilkadziesiąt kilometrów dla wiatru? Więc powrócił i wyspał się w ziemię użyźniając glebę tych pól, a teraz się nad nimi unosi — w zapachu łubinu...

Ojciec też nigdzie stąd nie odjechał. Leży tu nie daleko, przy jednym z tych pól. Myśleli, że miał w czapce złoto... A teraz ja idę w kurzu tych pól, którymi on chodził i wyglądam tak samo jak on — więc co się właściwie zmieniło? Gdybym przyjechał tu motocyklem, z małym synkiem na tylnym siedelku, ja jako ojciec, on jako ja — to mój ojciec się powtórzył, odrodził. Mój ojciec

to nie kości ukryte przy polnej miedzy o kilka kilometrów stąd. Mój ojciec to jestem ja. Dzięki temu, że tutaj jestem. To się właśnie nazywa ojczyzna.

Miejsce, gdzie mieszkał kiedyś dziadek zarośnięte było trawą i chłopiec w szkolnej czapce pał na niej kozę. W trawie poniewierało się trochę tłuczki ze spalonego komina, a tam gdzie stał kiedyś komin wystawało podmurowanie. Z podmurowania zaś wyrastało nieduże, młode drzewo, jak komin, czerpiąc nawóz ze starego popiołu. Trzeba wiedzieć z czego się wyrasta, pomyślałem z uśmiechem. Trzeba wiedzieć z czego się wyrasta, na czym się stoi i — stać. A wszystko inne powtórzy się samo.

— Jak się nazywa to drzewo? — spytałem chłopca w szkolnej czapce.

Podniósł głowę i mruknął:

— Klun.

Sliwa spojrzał na moją kurtkę i plecak i nie powiedział ni słowa. Sliwina zabrała garnek z kartoflami i poszła do mieszkania. Staliśmy w zapadającym zmierzchu, a on nie zapraszał do środka, nie kazał nawet usiąść na pieńku. Odwrócił się i zaczął coś poprawiać przy wozie.

— To mówi, że w mieście niedobrze...

— Duszno strasznie, jak zwykle latem. A do tego okropny hałas, samoloty przelatują nad samymi oknami, odrzutowce... Przelatują nisko i do tego trójkami, a zaczynają o piątej rano. Ćwiczą. A tutaj cisza, człowiek od razu inaczej się czuje. Poza tym mogę przydać się Sliwie w żniwach.

— To mówi, że ćwiczą?...

Zaskoczyło mnie to chłodne przyjęcie. Nie byłem wprawdzie parobkiem, jakiego Sliwa by sobie wymarzył, nie miałem wprawy do kosi, ale byłem silny, mogłem nosić, wozić, machać widłami, mogłem pilnować krów. Poza tym prawdziwy parobek do żniw kosztował dziennie sto pięćdziesiąt złotych, a ja nie chciałem nic. Moje utrzymanie? Kiedy Sliwa brał mnie w Warszawie do knajpy na ćwiartkę z buraczkami i wołowiną, kosztowało go to pięćdziesiąt złotych. Za te pieniądze w Makówcu mógł mnie żywić przez cały miesiąc. Więc nawet gdyby nie łączyła nas dawna zażyłość, nie mogło to być przyczyną takiego chłodu i powściągliwości.

W powściągliwości Sliwy był namysł. Namysł przed podjęciem decyzji i — ryzyka. Tak, właśnie ryzyka. Namysł który dobrze znałem, który pamiętałem z czasów okupacji, okupacyjny namysł. Pamiętam go z czasów gdy podchodziliśmy w nocy do chat i ojciec pertraktował z chłopami. Namysł przed ukryciem Żyda.

Sliwa nie chciał odmówić i wiedziałem, że nie odmówi. Był tylko zaskoczony. Wtedy, gdy zapewniał mnie, że w razie czego zawsze będę mógł u niego się ukryć, nie przypuszczał, że to tak szybko nastąpi. Nie wiedział również, jaką przyjemność sprawiał mi jego namysł. Byłem teraz zupełnie w skórze mojego ojca, byłem nim duszą i ciałem. Przychodzę do Sliwy, żeby mnie ukrył i widzę ten jego namysł, widzę go oczami ojca, którego życie powtarza się, ponieważ *to* się powtarza. I moje życie się powtórzy i życie mojego syna — dopóki *to* będzie się powtarzało. Jesteśmy wieczni, bo istniejemy dzięki naszym wrogom. A oni są głupi i nie zdają sobie z tego sprawy.

— Niech się Sliwa nie boi — uśmiechnąłem się. — Do tego jeszcze nie doszło... Ja naprawdę tylko na żniwa.

— A niby te samoloty?...

— Co samoloty?

— A to, że ćwiczą...

— Ćwiczą, bo przed paradą — powiedziałem. Niepotrzebnie wspominałem o tych samolotach, pomyślałem z zimną kalkulacją mojego ojca.

Ciemno już było zupełnie, kiedy Sliwina wreszcie nas zawołała do domu. Chmury rozbudzonych much zerwały się na nasze powitanie w sieni. W kuchni na stole stała naftowa lampa i kapuśniak parował z talerzy. W kącie na ścianie wisały znajome fotografie. Przedstawiały one Biumka. Biumka samego, Biumka z Janką i z dziećmi, Biumka z Elą — na tle Argentyny. Przybrane były gałązkami, których liście dawno już zeschły.

Rano najpierw dostawały jeść najbardziej niecierpliwe istoty — świnie. Potem dostawał koń, który musi dużo jeść i potrzeba mu na to czasu. Potem došlo się krowy, a gdy wymiona ich były już puste, wyganiało się je na łąkę za stodołą, żeby znowu wzbierały mlekiem. Potem Sliwina sypała ziarno dla kur, a Sliwa wynosił miskę dla psa. I dopiero wtedy, gdy wszystkie zwierzęta już jadły, szykowało się jedzenie dla ludzi. Człowiek jest stworzeniem, które potrafi czekać. Tym się właśnie różni od zwierząt.

Na śniadanie, tak samo zresztą jak na kolację, Sliwina stawiała każdemu miskę z kapuśniakiem i czubaty talerz kartofli. Kapuśniaku gotowała tyle, żeby starczyło na wieczór. Kapuśniaku nigdy nie było za mało, ani za dużo, bo to czego się nie zjadło na wieczór zostawało znowu na rano. Ale Sliwina gotowała nie tylko kapuśniak. Jeśli kapuśniak się znudził, gotowała barszcz z buraczków. Na zmianę.

Lubię barszcz i kapuśniak i wszelkie chłopskie jedzenie, bo jestem wieśniakiem. Kiedy byłem mały w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie wolno mi było jeść chłopskiego je-

dzenia. Biegałem do sąsiadów, gdy tylko poczułem barszcz, kapustę i zapach skwarek, a oni chętnie mnie częstowali. Tym bardziej że wiedzieli w jaki gniew wprawiało to mojego koszerne go ojca. Ojciec sprawiał mi lanie. To od tamtej pory mam słabość do chłopskiego jedzenia.

Nie byłem jednak przyzwyczajony do takiego jedzenia o siódmej rano. Wolałbym po prostu jajko i mleko.

— Mleko? — zdziwiła się Sliwina. — Toć pan chłop przecie, nie dziecko...

Następnego dnia dostałem mleko, dwa jajka na twardo, oraz — kapuśniak i talerz kartofli.

Pod oknami rosły dwa wiśniowe drzewa, aż czarne od owoców. Zapytałem czy Sliwina chciałaby, żebym nazrywał czasem trochę na supę. Zupa z wiśni też jest niezgorsza, a jak wiśni nie zrywać, to rozdziobią je ptaki. Sliwina zgodziła się i oprócz kapuśniaku i barszczu jedliśmy supę wiśniową z kluskami.

Najpierw kosiliśmy owies. Kosiliśmy go w jedną kosę, Sliwa, Sliwina i ja. Sliwa kosił, Sliwina odbierała i wiązała, a ja stawiałem. Kiedy Sliwa odchodził do konia, albo do krów, ja brałem z jego rąk kosę. Owies nie trudno się kosi. Jest rzadki, lekki i kruchy. Trzeba było tylko uważać na wiatr i ustawiać się tak, żeby wiatr kładł go na kosę, wtedy kosiło się samo. Bo jeśli wiatr idzie z kosą, to kosa tnie za wysoko, nie równo, lub całkiem się zeslizguje. W takim wypadku zostawialiśmy napoczęty zagon, szliśmy na drugi koniec i zaczynaliśmy w przeciwną stronę. Jeśli wiatr znowu zmienił kierunek, to my też — i znowu to samo.

Radziłem więc sobie z kosą. Nie podejmowałem się tylko wiązania. I zresztą Sliwa by nie pozwolił mi wiązać, bo wiązanie jest najważniejsze. Snopek musi być dobrze związany, żeby przetrzymał słońce i deszcz i nie rozwiązał się, gdy go się wbija na widły i rzuca na wóz, a potem znów z wozu. Skosić można lepiej czy gorzej, i tak będzie skoszone, ale jak się snopek rozwiąże, to cała robota na nic. Sliwina cały czas wiązała.

Kiedy kosiliśmy owies, żyto dojrzało. A kiedy owies stał w mendlach i sechł, zabraliśmy się za żyto. Ale żyta nie mogliśmy zebrać w jedną kosę. To nie owies, co sięga kosiarzowi do pasa. Żyto było dwa razy wyższe i dwa razy gęstsze niż owies. Żyto trudniej schłó, zwłaszcza u spodu. Jego łodygi były u spodu wilgotne i miękkie, zwłaszcza rano, po rosie, i nie chciały się ciąć. Kosę trzeba było ostrzyć co chwila. Do żyta trzeba było mieć zamach, wprawę i siłę, żeby cały dzień machać tam i z powrotem przez pole. Na mnie nie było co liczyć, a Sliwa, nawet gdyby był dwa razy młodszy, sam nie dałby rady. Do żyta Sliwa musiał wynająć Szczęsnego.

Szczęśny nie miał domu ani rodziny, nie miał nawet nazwiska. Miał tylko kosę. Chodził z kosą od wsi do wsi i wynajmował się za jedzenie i spanie. Miał głowę ogoloną do skóry i czarny od słońca kark szerszy od głowy, obrzękłą twarz ciemną jak ziemia, a oczy pomiędzy nabrzmiałymi powiekami ledwo widoczne i małe jak u kartofla. Nie nosił nigdy butów. Miał czarne szerokie stopy z podwiniętymi palcami. Podwijał je chodząc latem po rzyskach, a zimą po mrozie i w końcu tak mu przyrosły nadając stopom kształt kopyt zwierzęcia, które chodzi po ziemi bosy. Nikt nie wiedział ile miał lat, nikt mu ich nigdy nie liczył, a on liczyć nie umiał. Zresztą w wypadku Szczęsnego nie było ważne czy był o dziesięć lat młodszy czy starszy. Ważne było, że był silny jak koń i mógł od rana do wieczora kosić. A kosił przy samej ziemi, lekko i równomiernie, wspaniale. Raz wziąłem kosę, żeby uciąć saladery dla krów. Przytuczona przez deszcz saladera wiała się po nierównej, gruzowatej ziemi, nie wiadomo było w którą stronę ją ząć. Co ruszyłem kosą to w ziemię. Szczęśny pokiwał głową i wziął ode mnie kosę. W jego rękach kosa ślizgała się po ziemi, falowała na nierównościach lecz nigdy nie zawadzała o ziemię.

— Każ mnie pisać jak ja nieuczony... — powiedział.

Kiedy Szczęśny był młody, chodził z kosą znacznie dalej niż teraz. Na Niemcy chodził, na Francję, Belgię, Holandię. Wspominał o tym, gdy Śliwina dawała nam kielbasę z chlebem w południe.

— Tam nie dawali kielbasy... Kartofle z łupinami dawali...

Kielbasy mu tam nie dawali, ale za robotę płacili i Szczęśny miał pieniądze, kiedy z tamtych krajów powrócił. Wrócił do rodziny, która przyjęła go z otwartymi ramionami, wycyganiła od niego pieniądze, do grosza, a kiedy nic już nie miał — wygnała. Od tamtej pory Szczęśny nie miał rodziny. Wynajmował się za jedzenie i spanie, więc ludzie chętnie go brali, do żniw i do sianokosów. Czasem klócili się nawet, do kogo wpierw ma przyjść. Brano go również do młócki i do kopania kartofli, ale wtedy już nie każdemu był potrzebny. Najgorzej było, gdy spadały zimne deszcze i śnieg, a on nie miał się u kogo schronić. Mało kto potrzebował go zimą. Dlatego niektórzy gospodarze dawali mu coś w kieszeń, według chrześcijańskiego uznania, na zimę.

Wieczorem siadaliśmy przy stole oświetlonym naftową lampą. W Makówcu było już światło elektryczne, ale kolonia Śliwy leżała daleko z boku i musiałby za cały ten kawał linii sam płacić, dlatego wolał się obejść. Siadaliśmy więc w przytłumionym naftowym świetle, Szczęśny i Śliwa robili nad swoim kapuśniakiem znak krzyża i pochyleni nad talerzami powoli i z nabożeństwem siorbali. Ja nie robiłem znaku krzyża, ani przed ani po kapuśnia-

ku, i być może nie siorbałem jak oni, ale byłem tak samo jak oni zmęczony i w głowie miałem taką samą cudowną pustkę i spokój, byłem tak samo jak oni głodny, a przede mną stał wielki talerz jedzenia, które w myśli szczerze błogosławiłem jak oni.

Po kolacji Szczęśny klękał przy ścianie, na której wisały fotografie Biumka i zmagiał przed nimi pacierz, a myśmy nie wyprowadzali go z błędu, żeby go nie urazić.

Zwoziliśmy sami, Śliwa, Śliwina i ja. Ja i Śliwina z widłami koło wozu, a Śliwa na wozie. Ja i Śliwina rzucaliśmy na wóz, a Śliwa układał. Rzucaliśmy szybko, rytmicznie, a Śliwa układał w pośpiechu. Ledwie nadązał, pot mu ściekał spod czapki, bo ciężko jest schylać się po każdy snopek. A snopków było dużo i Śliwa prawie cały czas stał schylony. Z rękami u stóp jak czworonóg chwycił raz z lewej, raz z prawej i w miarę jak rzucaliśmy coraz wyżej się wznosił. Wbijaliśmy się w snopki całym ciałem i rzucaliśmy rozmachem całego ciała, zwłaszcza kiedy wóz rósł i trzeba było coraz wyżej rzucać. Wóz rósł w oczach, a Śliwa wznosił się na tle nieba wysoko jak czworonożny Bóg.

Gdy więcej nie można już było załadować, wspinaliśmy po kole, Śliwa z góry podawał nam widły i wciągał nas do siebie na górę. Jechaliśmy potem wysoko nad ziemią równi wierzchołkom drzew, zboże ugięło się pod nami miękko i kołysało, jakbyśmy byli na latającym dywanie.

W stodole Śliwa szedł na dół, a my zostawialiśmy w górze. Lecz znowu Śliwa musiał stać zgięty w pasie z rękoma u stóp jak na czworakach. Stał pochylony do ziemi i układał pod siebie snopy i pot zalewał mu oczy, a myśmy tylko rzucali, co nie jest żadną pracą. Śliwa nie miał pretensji o to, że pracował najciężiej, ale nie daj Boże, jeśli snopek spadł kłosem w dół! Bo jeśli snopek spada kłosami w dół to wysypuje się ziarno i Śliwa klął mnie wtedy jak prawdziwego parobka. Klął tak, że nie mogłem powstrzymać się, żeby nie rzucić jeszcze paru snopków kłosami w dół.

Wieczorem kładłem się w stodole na zbożu ciepłym jeszcze od słońca i naszej pracy. Nie przeszkadzały mi małe, zielone robaki łaskocące w rękawach, nogawkach i za uszami. Czasem pies zaszczekał z daleka, czasem kura zagrzała przez sen, albo mysz zaskrobała nad głową. Zboże zaś ugięło się pode mną, niżej i coraz niżej i otaczało jak matczyne łono. I cały świat był znów taki mały. Taki jakim naprawdę zawsze był.

Budziłem się razem z kurami i szedłem myć się do studni. Na podwórzu witał mnie ponurym warczeniem Burek, antysemita, który mnie strasznie nie lubi. Nie lubi on zresztą nikogo. I nic dziwnego. Jak ma kogokolwiek lubić, jeśli całe życie spędza na łańcuchu?

Burek nienawidził również kur, które kręciły mu się pod nosem, wiedząc, że ich nie dogoni. Bezczelnie podchodziły pod budę nie reagując na żadne szczekanie, więc mu się nie dziwiłem. Czy nie można znienawidzić kogoś, o kim się wie, że nigdy się go nie dogoni — zwłaszcza gdy się kręci bezczelnie przed nosem? Psy są pod tym względem jak ludzie.

Pewnego razu idąc do studni rzuciłem po drodze sandały, zrzuciłem je za blisko budy. Burek wyskoczył jak z procy, wbił się w sandał wszystkimi zębami i porwał z sobą do budy. Wiedząc, że żadna siła nie odbierze sandała łańcuchowemu psu, który go porwał do budy, zabrałem ten, co ocalał i usiadłem naprzeciwko w wychodku, który nie miał drzwi. Burek widząc, że siedzę spokojnie zajęty swoimi sprawami, wyszedł z budy z sandałem w zębach i rzucił go przed sobą na ziemię. Potem cofnął się, przysiadł i znowu skoczył jak przedtem, wbijając się w sandał zębami. Potem szarpnął go parę razy, przydusił, znowu się cofnął i znowu skoczył. Powtarzał to aż się zmęczył, po czym wywalił jeżora i położył się obok, blisko i czujnie, żeby mu sandał nie uciekł. Przesadził tym bardzo, bo nawet gdyby sandał umiał uciekać, to teraz jużby nie uciekł, tak niemiłosiernie był poszarpany. Widząc co zostało z mojego sandała, rzuciłem mu i drugi kapeć. Burek podniósł łeb, spojrzał, wstał i odszedł do budy nie obejmując się nawet. Kury, które się przedtem rozbiegły, teraz znowu zaczęły bezczelnie podchodzić.

Żal mi się zrobiło psa. Chciałem, żeby którąś z nich dopadł, żeby choć raz okazał się psem. Czego więcej można dokonać w budzie i na łańcuchu?

W niedzielę nie jadło się obiadu na polu lecz w domu, więc Sliwina gotowała pierogi. Pierogi nadziewane były normalnie białym serem z cebulą z tym że Sliwina dodawała, ku mojemu zdziwieniu, cukru i robiła pierogi z cebulą na słodko. Normalnie pierogi się gotuje, kładzie na talerz, polewa czym kto lubi, posypuje cukrem, o ile są bez cebuli oczywiście, i je. Ale Sliwina miała w niedzielę więcej czasu i chciała nas naprawdę uraczyć. Ugotowane pierogi rzucała na patelnię i smażyła. Ale nie na maśle lub margarynie, jak smażyło się takie pierogi w mieście, lecz na słoninie. Kiedy pierwszy raz Sliwina podawała mi pierogi, spytała czy chciałbym, żeby były przyskane.

— Czym przyskane? — spytałem.

— Śmietaną.

Machnąłem ręką.

— Niech będą przyskane.

Sliwina wzięła kubek ze śmietaną, nabrała w usta tyle śmietany ile mogła i przysnęła na talerz z pierogami jak krawiec pod żelazko. Od tej pory mówiłem, że jeśli już ze śmietaną, to wolę

je zwyczajnie, polewane. Kiedy pierogi były już spryskane lub, jak w moim wypadku, polane, Sliwina przysypywała je cukrem i dopiero wtedy można było jeść.

Ostatniej niedzieli Sliwina postanowiła jednak zabić kurczaka, a mnie i Sliwie kazała go złapać. Sliwa wskazał największego kurczaka i rzucił kijem. Kury z wrzaskiem się rozbiegły na strony, a ja i Sliwa poszliśmy za kurczakiem zachodząc go z lewej i z prawej w kierunku płotu. Gdy kurczak był już przy płocie, Sliwa znowu rzucił kij i potrącił go w skrzydło. Kurczak piszcząc pobiegł wzdłuż płotu. Pobiegłem za nim i z całej siły rzuciłem kij, ale w płot nie w kurczaka. Kurczak ostro zawrócił i zaczął uciekać od płotu na środek podwórza, ku studni. Wtedy podniosłem kamień i z całej siły rzuciłem w studnię. Kurczak zatrzymał się nie zdecydowany. Podniosłem drugi kamień i rzuciłem tuż za nim poganiając go w stronę obory. Kurczak przebiegł pół drogi, spojrzał na uchylone drzwi obory i nie mógł się zdecydować. Musiał przebiec przed wylotem psiej budy. Teraz albo nigdy, pomyślałem i zamachnąłem się znowu. Kurczak się zerwał i pobiegł, a gdy już prawie sięgał progu obory, zakurzyło się, zawrzęszczało, zaskowyczało i poleciało w powietrze pierze.

Kiedy kurz opadł, Burek trzymał w pysku kurczaka. I nie uciekał do budy lecz stał wyprostowany i czekał. Kiedy Sliwa do niego podeszedł, podniósł pysk z kurczakiem wysoko aportując jak prawdziwy pies i bardzo był z siebie zadowolony, nawet gdy Sliwa przeciągnął go za to batem.

Tego dnia po obiedzie usiedliśmy koło starej studni pod drzewem. Studnia była nieużywana. Kiedyś zatrzymał się przy niej Kozak, żeby napoić konia. Nie schodząc z siodła napił, a potem stojąc pod drzewem, podniósł lornetkę i patrzył w stronę nieprzyjacielskich okopów, które były za Strugą. A wtedy nadleciał szrapnel i urwał mu głowę i Kozak wleciał do studni. Nikt potem nie chciał pić wody z tej studni i trzeba było wykopać nową. Od tamtej pory studnia wykrzywiła się i okryła mchem, a drzewo nad nią się bardzo rozrosło. Zmieniły się zabudowania. Ówczesna stodoła była teraz dziurawą szopą na słomę. Nową stodołę postawili rodzice Sliwiny, kiedy Sliwina szła zażenować. Oborę postawił już Sliwa. Nie było już starego domu, gdzie raz zimą ojciec, mama i ja kryliśmy się w izbie zabitej deskami, a na strychu Biurek i Ela. Kiedy nadchodził front i zaczęła strzelać artyleria, wszyscy uciekali z domu. Wszyscy oprócz Żydów, bo Żydzi przeciwnie, wtedy właśnie schodzili się. Żydzi wchodzili wówczas do opuszczonych chałup, właśnie takich co stały z daleka od wsi i zjadali co tylko było. W czasie jednego z bombardowań Biurek spotkał u Sliwy małego Heniutka Majnemera i Masię Frydównę, o któ-

rych myślał, że już dawno nie żyją, a którzy są teraz w Kanadzie. Zdarzało się spotkać i zupełnie nieznanym Żydów, z tych co jeszcze chowali się w lesie. Większość z nich wkrótce potem zginęła, gdy Niemcy się cofali przez lasy. Są jednak takie miejsca, gdzie dotychczas się schodzą. W starym dworze na Piwkach, gdzie zginęli Biümka bracia, na Biduli gdzie leżą rodzice i rodzeństwo mamy, za Dobrem na dołach Gigra. W każdym lesie, gdzie była obława schodzą się na polanach podczas pełni księżyca i w każdą burzę tam słysząc wołania. A gdy zbliża się Sądny Dzień, to słysząc modlitwy żydowskie w miejscach gdzie stały bóżnice, w miasteczkach na pustych placach... Tak przynajmniej opowiadała Sliwina.

Nazajutrz padał deszcz. Spakowałem mój niemiecki plecak i zacząłem się żegnać.

Zatrzymałem się przed fotografiami Biümka. Twarz miał poważną, nie taką jak inni emigranci, którzy na fotografiach pokazują jak bardzo są zadowoleni. Tęsknił wtedy, chciał wracać. Słoń śmiał się wtedy z niego. Kupił sobie „Wartburga”, jeździł do Bułgarii co lato, pytał mnie jakie studia wybrać dla syna i córki i śmiał się z Biümka: — strzelają!... I kto wie czy Biümek by w końcu nie wrócił, gdyby nie Janka, która twardo stała przy swoim kontuarze w sklepiku i za nic nie chciała wracać. Nauczyła się odpowiadać klientom i po hiszpańsku i po żydowsku. „Pani z Polski?”, pytali mężczyźni, którzy lubili jasnowłose i tęgie kobiety, „jak pani przeżyła wojnę?”. „Ukrywałam się u dobrych ludzi...” — odpowiadała Janka. Tego lata mieli przysłać syna tu do Makówca, do dziadka, ale Sliwa im w liście odradził. Teraz Biümek już chyba nie tęskni. Słoń złożył papiery na wyjazd. Teraz on zacznie chodzić po domach i handlować szmatami, tak jak przedtem Biümek. Tylko że będzie w tyle, o dziesięć lat. Niepotrzebnie tak długo zwlekał. Może to nauka dla mnie? A co jeśli i mnie nie pozostanie nic innego? Kupować i sprzedawać szmaty? Zajęcie jak każde inne, z tym że im wcześniej się zacznie tym lepiej... Zapytałem Sliwę o drogę do Radoszyny.

I po co będzie tam chodził? — powiedziała Sliwina. — W taki deszcz?... Nie lepiej to prosto do autobusu i nie nakładać drogi?

Szedłem mokrymi miedziami, skakałem przez bruzdy na przełaj, potem musiałem iść podmokłymi łąkami. Moje holenderskie boty były obciążane gumą, ale spodnie miałem mokre do kolan. To tutaj się urodziłem, wśród tych podmokłych łąk.

Urodziłem się wśród brzęczenia much, gdakania kur i woni krowiego łajna. Dla mnie nie ma nic bliższego niż zapach obory i stajni, noc w stodole, odgłosy łąk. Opowiadałem o tym w łóżku

dziewczynom. Opowiadałem im o tym w krzakach nad rzeką i w lesie i ożenie się z pierwszą, która poważnie potraktuje te moje opowiadania. A wrogami się nie będę przejmował. Przeżyję ich. Po to właśnie są, żeby ich przeżyć. Najważniejsze to utrzymać kierunek. Życie bije nas i ogłusza rzucając od ściany do ściany, więc człowiek traci kierunek i nie wie dokąd zmierza. Coraz więcej jest anomalii, na których nawet wypróbowane busole wariują. Przebieramy się i zmieniamy jak odzież, a potem już sami nie wiemy, kim naprawdę jesteśmy. Ale na szczęście jest w każdym z nas coś takiego, co nosimy w miejscu najmniej dostępnym, w sobie. Pierwiastek. Nie jesteśmy jednostką lecz sumą. To jeden składnik bierze górę, to drugi, więc wielu zapomniało już o tym, co w sobie naprawdę noszą, wielu się nigdy nie dowie. A ja wiem. Gdy mnie pytają kim jestem, różnych udzielam odpowiedzi. Zależy kto pyta, jak pyta i kiedy? Ale mam tylko jedną odpowiedź, kiedy sam siebie pytam. Los mnie wyrwał z rodzinnej wsi. I odmówił prawa powrotu. A teraz, w połowie życia, silniej niż kiedykolwiek odczuwam zadany mi gwałt. Pójdę więc w ślady ojca i dziadka i będę zbierał pieniądze. A kiedy nazbieram, to kupię sobie domek w lesie, albo w polu za wsią. A spokój zakłócać mi będą tylko krowy, kury i psy, muchy, myszy i zielone robaki. Bo się urodziłem i jestem wieśniakiem.

Koło południa deszcz przeszedł w mżawkę, a na polach pokazali się ludzie i konie. Zobaczyłem z daleka kasztanową aleję, która kiedyś prowadziła do dworu i śpichrz, w którym mieszkał Kurowski, ale nie chciałem tam iść. Nie chciałem nikogo spotykać, chciałem tylko pójść i popatrzeć na miejsce, gdzie mój ojciec był pochowany. Płaskie miejsce, nie oznaczone. Przysięgłem sobie, że położę tam kamień. Nie ozdobny, nie nakrapiany, nie marmur, który by z pewnością ukradli, ale zwyczajny polny kamień, zupełnie biały. I wielki. Tak wielki, że nikt go nie ruszy. Na kamieniu będzie napis: Tu zginął i leży pochowany Abramek syn Sziji, mój ojciec i dziadek mych dzieci — niech zacni mieszkańcy tych wsi będą dla jego pamięci łaskawi...

Pięć lat minęło od czasu, kiedy tu byłem. Wtedy żyto dojrzewało jeszcze na polu, a na grobie rosły jaskry i mleczce. Zerwałem kilka chabrów rosnących w zbożu i położyłem mu, a sobie wziąłem te jaskry i mleczce. Ale teraz już żyta na polu nie było i nie mogłem trafić w to miejsce. Gdzie spojrzałem to szare pole. w dodatku znowu zerwał się deszcz i wszystko wokół jeszcze bardziej się zamazało. W środku pola stał koń zaprzęgnięty do pług, łeb opuszczył pod siebie i mókł. Spróbowałem pójść w jedną stronę i w drugą grzęznąć w podoranym polu po kostki i w końcu zawróciłem do Kurowskiego.

W Radoszynie dwór spalił się. Spalił się razem z czworakami,

gdzie mieszkaliśmy kiedyś przez sień z Kurowskim. Na tamtym miejscu rosły teraz Kurowskiego kartofle. Z folwarku został tylko śpichrz, z którego Kurowski urządził sobie dom, oraz chlew, z którego Kurowski zrobił oborę i stajnię.

Kurowski siedział koło okna przy stole i skręcał papierosa z machorki. Pod stołem leżał nieduży wieprzek w czarne łaty, nie obudził się kiedy wszedłem. Tylko w ciemnym kącie izby ktoś poruszył się niespokojnie na przykrytym derką barłogu.

— Co to? Z gminy!...

— To moja najstarsza, Zośka — powiedział Kurowski. — Boi się, że ją zabiorą do gminy...

— Ja nie chcę! — zawołała Zośka. — Ja nie chcę! Nie dajcie, ludzie kochani!...

— Nie bój się, głupia! To nie z gminy! — zniecierpliwił się Kurowski.

Wcale nie był moimi odwiedzinami zdziwiony, pewno wiedział, że byłem w Makówcu. Po chwili wszedł czternastoletni chłopak z jasnymi, kędzierzawymi włosami, a za nim mężczyzna w moim wieku w przemoczonej fufajce i z batem. Chłopak rzucił mi nieufne spojrzenie.

— To mój wnuk — powiedział Kurowski — na wakacje przyjechał, z Wołomina.

— Ucz się...

— Pójdzie do zawodowej szkoły w tym roku.

— A gdzie Kurowska?

— Nie ma starej, umarła. Będzie na wiosnę dwa lata...

— I jak sobie teraz sam radzi?

— Ano jakoś tam... I mnie już niewiele zostało...

— Ten pan nie z gminy? — zawołała niespokojnie Zośka.

— Nie przyszedł mnie zabrać do gminy?...

— Nie, głupia! — powiedział Kurowski. — Nie poznajesz?

To syn nieboszczyka Abramka...

Wnuk Kurowskiego wlepił we mnie oczy, a potem szybko opuścił głowę i zaczął kręcić knotem przy lampie.

— To wciąż jeszcze nie macie światła? — spytałem.

— Ano jakoś jeszcze nie. Mówią, że za dwa lata może...

— W następnym planie — wtrącił się młody chłop.

— Chciałem pójść na to miejsce, gdzie ojciec leży, ale nie mogłem trafić.

— Ja zaprowadzę — powiedział młody chłop z batem. — To blisko.

— Wstąpię jeszcze jak będę wracał — powiedziałem do Kurowskiego. Jego wnuk spoznał na mnie spość łba.

Poszliśmy miedzą wzdłuż zaoranego pola do drogi pociętej koleinami, które były pewne deszczu.

— Wszędzie już mają światło, w Makówcu, w Sołkach, nawet w Drupiu, a tylko tu po naszej stronie nie ma. Zimą to trzeba aż do Sołk na telewizję chodzić. Obiecali, znów obiecują... Może pan by tam napisał w Warszawie do gazety...

— Ja nie pisuję do gazet. Ale mam w jednym tygodniku kolegę...

Zeszliśmy w bok. Zaledwie kilkanaście kroków od drogi. Był to mały czworokąt na porośniętym trawą miejscu po dawnej glinianie, obok zaoranego pola. Czworokąt o trawie wyższej i odmiennej koloru. Na środku tego czworokąta, na samym środku, leżały grube strąki ludzkiego kału.

Stałem przemoczony deszczem i drżałem. Z zimna drżałem, nie z czego innego. Wyłącznie z zimna. Chłop stojący obok myślał, że cierpię. A ja tymczasem czułem ulgę. Miałem rozwiązane zadanie.

Chyba nie myślałeś, że po tym co cię spotkało tu w życiu, coś lepszego cię czekało po śmierci, powiedziałem cicho do ojca. Zwłaszcza po śmierci, kiedy jeszcze trudniej się bronić. Istnieje rodzaj chamstwa, przed którym nie można zasłonić się drzwiami, ani obronić głową, ani uchronić się przed nim po śmierci. Dlatego nie zostawię cię tutaj, w tej brudnej dziurze, gdzie miałeś odwagę mnie spłodzić. Jesteś mną, a ja jestem tobą. Powtórzyłeś się, tak jak się wszystko inne powtarza. Ostatniej nocy przyszedł tu nawet ktoś, żeby cię po raz drugi zabić. To jest wszystko co mógł ci zrobić. Przyrzekam ci, że po raz drugi tutaj nie umrzesz i nie będziesz po raz drugi tu pochowany, bo ja nie chcę tutaj umrzeć. Zabieram cię, wyjeżdżamy. Teraz będzie nam lekko. W najgorszym razie będziemy chodzić po domach i handlować jak Biemek i Słoń. A gdy dorobimy się już tego, co wszyscy — nikt nie przyjdzie srać na nasz grób. Dla syna, który mnie pochowa, może to być bardzo ważne. Bo to się właśnie nazywa ojczyzna...

Henryk GRYNBERG

Kalifornia, październik-listopad 1970

Ojciec i syn

Jest urzędnikiem, starszym inspektorem w dziale inwestycji. Chudy mężczyzna w wytartej marynarce. Siwy wąsik, jak przeci-niek, ugrzeczniiony, szary jakiś i nudny.

Bardzo pracowity i sumienny. Tam u niego w biurze nie przy-kładają się za bardzo, wychodzą na miasto, załatwiają prywatne sprawy, wracają, znów wychodzą... On ani na krok z biura nie wyjdzie, ale nie donosi też przełożonym o kolegach i koleżankach. Tam u niego w biurze obowiązuje rytuał śniadaniowych herbaterek, co dzień po jedenastej wyciągają zawiniątka, woźna, pani Krajew-ska, przynosi herbatę i tak sobie gawędzą godzinkę albo dłużej. Chętnie opowiadają polityczne kawały. Na przykład ostatnio: — Dlaczego w Związku Radzieckim nie ma maki? Bo podobno do chleba dodają. — Albo: — Kto to jest Gomułka? — Twórca strefy bezmięsnej w Europie. — I salwy śmiechu. On nigdy nie opowiada politycznych kawałów, a śmieje się powściągliwie. Zja-da szybko swoje niezmiennie drugie śniadanie — kanapki z serem. Z serem tylko, bo dieta żołądkowa, i znów zabiera się do papie-rów na biurku. Na urlop zawsze jeździ do Zakopanego, przez grud-nie. A w górnej kieszonce marynarki pudełko z nitrogliceryną w pogotowiu, chore serce. W obowiązkach zawodowych jest wielkim formalistą. Interesantów przyjmuje z rzadką już w na-szych czasach uprzejmością. Ale ich papiery, formularze, koszty-rsy, dokładnie, skrupulatnie przegląda. Tu brakuje podpisu, tu rubryka niewypełniona. Ależ panie, pieklą się interesanci — to drobiazg przecież. Bezradnie rozkłada ręce, takie są przepisy.

Konieczni chcieli go zwerbować do Kombat-Bractwa. Zapro-sili na zebranie. Po tym zebraniu przyszedł do biura jakby inny, wyprostowany i rozmowny. I właśnie przy herbatce i drugim śnia-

daniu rozgał się wtedy, właściwie po raz pierwszy, dotąd tylko o chorobach, urlopach, młodzieży...

O tym zebraniu Kombat-Bractwa tak opowiadał — ... Tam polonez braterstwa narodowego odgrywają, ci przesłuchiwa-ni, ci co przesłuchiwali, ci co w więzieniach latami, ci co do więzienia wysyłali, tak sobie teraz grzecznie, przyjaźnie rozmawiają, co sły-chać, kolego, jak tam szanowne zdrowko, no, może pójdziemy dziś na kielicha, macie rację, kolego, owszem, kolego, taka liga dżentelmentów, coś sobie załatwiają, pomagają, rączki ściskają, a chyba niejeden doskonale pamięta ten zgrzyt klucza w zamku, przesłuchanie, szło się ciemnym korytarzem piwnicznym, tak szli do tamtych, muszą to pamiętać, muszą też chyba mieć wyobraźnię na to, że gdy coś znów się odkręci, przekręci, nie wiem jak to nazwać, znów pójda piwnicznym korytarzem ci do tamtych... — opowiadał tak wzburzonym głosem, gwałtowny w gestach. Aż pani Leżachowska, staruszka, z nią najchętniej rozmawiał zawsze o rozmaitych zdrowotnych przypadłościach, patrzyła na niego oszo-łomiona. A on nagle jakby ocknąwszy się urwał opowieść; znów szary, nijaki, wrócił do swojej biurowej pracy. Więc do Kombat-Bractwa nie zapisał się. Na natarczywe zaproszenia działaczy stamtąd odpowiadał grzecznie ale stanowczo. — Zbyt chory jes-tem, koledzy, w ogóle już bliżej emerytury. — Tyle, że po tych rozmowach z nimi zawsze połykał kuleczkę nitrogliceryny.

I trudno sobie właściwie wyobrazić, że ten cichy urzędnik, pięćdziesiątka na karku, siwy wąsik i wytarta, pocerowana mary-narka, to jeden z asów naszej wojennej konspiracji, pseudonim Mścisław, specjalista od śmiałych, ryzykownych akcji na hitlerow-skich okupantów, Mścisław — samo zdecydowanie, odwaga, świet-ny dowódca, wytrawny konspirator. Nie na tym zresztą kończy się heroiczny życiorys Mścisława. W 1949 roku aresztowany wraz z całą czołówką A.K., lata przesłuchań, izolatek i karcerów. Stąd właśnie teraz ta nitrogliceryna, te płuca podziurawione kawernami, ta wieloletnia dolegliwość żołądkowa. Dostał karę śmierci, tym szafowano wtedy obficie, potrzebny był jednak jako świadek w innych procesach, więc z tą karą śmierci na głowie przesiedział do momentu uwolnienia i rehabilitacji w 1956 roku. Podobno był niezwykle twardy i odporny na różnorodne metody przesłuchań, chcieli mu koniecznie przyczepić współpracę z Niemcami, jednak nie załamał się i nie udało się im zmusić go do przyjęcia tego zarzutu.

Aż wierzyć się w to nie chce. Siedzi sobie teraz przy biurku małomówny, skrupulatny, i gorliwy w swoich obowiązkach, wy-pisuje zlecenia i sprawozdania kaligraficznym, krągłym pismem, dba o porządek na biurku, tu stosik spraw do załatwienia, tam stosik już załatwionych, tu suszka, tam przycisk; równo, pedan-

tycznie ułożone wszystko. I z taką niemęską satysfakcją rozprawa z panią Leżachowską, najstarszą urzędniczką w inwestycjach, o rozmaitych, niezwykle skomplikowanych schorzeniach, konsultują się i polecają sobie różnych specjalistów i zielarzy. Nie bez racji więc czasem któryś z jego biurowych kolegów zapatrzy się na niego w jakimś intensywnym zamyśleniu.

A z niego wielki jest domator. Raz w roku, na swoje imieniny, zaprasza koleżanki i kolegów do domu. Przyjęcie urzęda obfite i wyszukane nad wyraz; mózdek po polsku, flaczki, sałatka z porów, pieczarki duszone z cielęciną, barszcz czerwony, leguminy i ciasta... Uczta po prostu. On bardzo lubi wtedy pochwały dla potraw. Sam wszystko przyrządza, lubi domową robotę, zakłada fartuch w żółte kwiatki i kroci, miele, smaży, przyprawia, próbuje... W domu zajmuje się również innymi pracami.

Szczególną ma słabość do podłóg błyszczących jak lustro. Natomiast jego żona, bardzo pasuje do wojenno-konspiracyjnych wyobrażeń. Energiczna, śmieje się rubasznie jak chłop, opowiada pieprzne dowcipy, odważna też w żartach politycznych. On i żona bardzo kochają swego syna, jedynaka. Chłopak urodził się tuż przed jego powojennym aresztowaniem. Potem i żona poszła siedzieć. Syna wychowywała babcia. Był to chłopiec wątły, nerwowy, poważny raczej i obojętny na zabawy rówieśników. Nieobecność rodziców tłumaczono mu dalekimi podróżami, potem chorobą wymagającą separacji i szpitalnego leczenia.

Gdy wyszli z więzienia, chłopiec był dalej wychowywany w powściągliwej dyskrekcji na temat perypetii rodziców. Jego ojciec był w tej sprawie już od początku konsekwentny i stanowczy. Kiedyś wrócił syn ze szkoły i mówi: — Tatusiu, Akowcy byli bohaterami i oni właściwie jedynie walczyli o niepodległość. Armia Ludowa to był raczej margines, ale nastąpił taki układ sił zewnętrznych, że ich orientacja zwyciężyła, czy tak? — On przytaknął zdawkowo i zaraz zmienił temat rozmowy.

A swoje marzenia o przyszłości syna opierał na jego wybitnych zdolnościach do nauk ścisłych. Chłopiec właśnie został przyjęty na uniwersytet. Równocześnie uczył się angielskiego na kursach u metodystów. Jemu powodziło się marnie, ale jednak od początku miał wszystko. W pierwsze studenckie wakacje wyjechał z wycieczką Z.S.P. do Anglii. Tam poznał rówieśnika, też studenta matematyki z Oxfordu. I odtąd rozpoczyna się działalność ojca. Wytrwała, cierpliwa, cegiełka po cegiełce, budowa przyszłości syna. Serdeczna korespondencja z chłopcem z Anglii. Plan rozwija się niezwykle pomyślnie. Tamten chłopiec jest synem profesora uniwersytetu. Więc w następne wakacje on zaprosił młodego Anglika z ojcem profesorem do Polski. I tu obudził się w nim nagle talent znakomitego organizatora; wszystko precyzyj-

nie, konsekwentnie zmierzało do jednego celu. Urlop w pracy, pożyczka z kasy samopomocowej, sprzedaż odłożone na czarną godzinę dolary. Na dworzec lotniczy poszli z kwiatami. Powitanie Anglików. Obiad w Bristolu, specjalnie zatrudniony kelner, ekstra opłacony kucharz. A stół był tak zastawiony, że stary dystygowany Anglik w ciemnym garniturze, sztywny i chłodny, aż oczy otwierał ze zdumienia. Na czas pobytu gości, on z żoną wyniósł się z mieszkania. Żeby gościom było wygodniej i przestroniej.

Tak rozpoczęło się to dwutygodniowe *dolce vita*, wynajęte na setki kilometrów taksówki, wояże w Tatry, nad morze, na Mazury, wszędzie najlepsze hotele, rozrywki zapewnione, kapela góralska w Kościelisku, jachtem po jeziorach. Uroczyste przyjęcie w pałacu w Jabłonnem. Anglicy byli zachwyceni i oszołomieni tą feerią wrażeń, podróży i zabaw. Stary profesor lubił popijać, on ani kieliszka, żołądkowiec przecież. Ale z profesorem popijał dziarsko.

A w rzadkich chwilach wytchnienia patrzył porozumiewawczo na żonę i pytał z niepokojem: — Czy oni są zadowoleni? — Wprost obsesyjnie powracał do tego pytania. Bo celem tej gościnnej akcji było tak oczarować starego profesora i zdeterminować, żeby rewanżowe zaproszenie syna do Anglii stało się pewnikiem niezachwianym. Nie tylko to zresztą. Był jeszcze dalszy cel, perspektywiczny. Dlatego nieraz, tak niby żartem, zmuszał syna do popisów umiejętności matematycznych przed profesorem. Upokorzony jednak nienawidził wtedy ojca. Ale on nie ustępował, też nie wiadomo skąd w nim ta siła, taki zawsze miękki, łagodny... Więc syn rozwiązywał jakieś równania, wprowadzał skomplikowane wzory.

— *Very good* — chwalił go podchmielony profesor z Oxfordu. Żałosne były te dwa oszalałe tygodnie i imponujące zarazem... Na ten czas pożyczył garnitury — nie chciał psuć harmonii, jak to określił — od jednego z kolegów biurowych jasny tropik, od drugiego czarny, wieczorowy. Zależnie od okazji i pory dnia paradował w tych garniturach, przyciasnym i zbyt obszernym.

Pobyt Anglików dał w rezultacie upragnione zaproszenie. Tylko żegnając się już z nimi stary profesor wyznał z pewnym zawstyżeniem, że nie będzie mógł podjąć ich tak świetnie i hucznie jak oni jego tutaj. Po prostu sytuacja materialna na to mu nie pozwala. Zabrzmiało to wtedy jak humorystyczny paradoks. Nawet on, zmęczony, zasadniczy i bez wesołości w tej sprawie, z trudem ukrył śmiech. Przecież ten profesor z Anglii, z bogatej rodziny przemysłowców, nie tylko ma niemałą pensję, lecz również mieszkanie w Oxfordzie, willę w Szkocji i małą motorówkę w przystani w Dover.

Wyjechali Anglicy i znów wróciło biuro, herbatki, oddał garnitur, spłacał pożyczkę.

W następne letnie wakacje syn wyjechał do Anglii a stamtąd ze swoimi przyjaciółmi do Francji i Włoch. Przesłał kolorowe pocztówki rodzicom. Międzynarodowy młodzik. Przetykał swoje listy angielskimi powiedzonkami, jakby inna już formowała się w nim mentalność. On cieszył się rozwojem sprawy, z ojcowską dumą pokazywał w biurze kolorowe pocztówki, relacjonował wakacyjne doznania syna.

— ... Byli na *party* u jednego profesora, przyjaciela tego mojego... Zwiedzał Oxford... Tam jest zupełnie inny system nauczania... Całkiem nieźle już gra w tenisa... Artykuł mu wydrukowali w kwartalniku matematycznym, poważny kwartalnik, zaraz, jaki to problem, ha, coś z teorii liczb, dwadzieścia funtów honorarium... Już umie prowadzić wóz, ten jego przyjaciel ma Hillmana...

Konsekwentna była w nim jednolitość w widzeniu przyszłości syna.

Sterylnie wychował młodzika z dala od politycznych dokuczliwości naszego życia, w całkowitej separacji od polskiego dziedzictwa. Ten chłopiec więcej już wiedział o procedurze działania Izby Gmin, o Churchillu, Russellu, niż o naszych Partyjnych Wodzach, krajowych wydarzeniach, ideowych programach i politycznych rozgrywkach partyjnych grup.

Tak barwnie, plastycznie opisywał, wróciwszy z wakacji, ceremoniał przyjmowania przez królową, giełdę w Londynie, grę w rugby czy architekturę Sieny... Tak mało, prawie nic, nie wiedział o życiorysie ojca, o egzekucjach, łapaniach, obozach śmierci czy śledztwach w minionym okresie. I jakim zadowoleniem podczas tych opowieści syna błyszczały oczy ojca, takim głębokim, radosnym blaskiem.

Wreszcie na koniec tej żmudnej akcji profesor z Oxfordu jednak nie zawiódł.

— Słowo dżentelmena... — jak on to mówił — ... tam u nich to się liczy...

Po magisterium na warszawskiej uczelni jednak otrzymał stypendium w Anglii na pracę doktorską. W sprawie uzyskania zezwolenia na jego wyjazd ojciec poruszył wszelkie dostępne mu sprężyny. Dawne, od lat zaniechane znajomości, towarzysze z konspiracji, niektórzy teraz wysocy dygnitarze Kombatu-Bractwa, rozmowy pełne braterskich wspominków, wódki, rozmowy starych konspiratorów; wszystko po to, żeby w odpowiednim momencie szepnąć słówko o sprawie; zależnie od sytuacji raz występował jako zasłużony kombatan, odznaczenia wszystkie w kłapie, *Viruti Militari* i tak dalej, twardy, wymagający, to znów stawał się

z niego ugrzeczniiony, pokorny petent, budząc w tamtych wpływo- wych ciemne wyrzuty sumienia i wspomnienie niedawnej przeszłości. Pożegnanie z jedynakiem było smutne. On miał bolesne, a równocześnie pełne ulgi przekonanie, że żegna chłopca na zawsze. Trzymał się jednak nad wyraz mocno, pogodny i po męsku skąpy w okazywaniu uczuć. Płakała jego żona, ta szorstka rubaszna kobieta, dawny kurier akowskiej komendy. On wrócił do zajęć biurowych, po dawnemu cichy i pracowity. Czuł się tylko jakiś pusty, jak po wielkim napięciu i wysiłku, wojnę mu to trochę przypominało. I ten wysiłek włożony w sprawę odzywał się teraz wzmocnionymi dolegliwościami serca i żołądka.

Więc znów po dawnemu prowadził długie rozmowy o skuteczności różnych leków i kuracji. Już nie z panią Leżachowską, ona przeszła na emeryturę, ale z panną Stefczyk, starszą niewiastą żyjącą pod strachem złośliwych nowotworów. Toczyli spory, który zielarz lepszy, czy ten z Jaktorowa czy ksiądz ze Szczuczyna, i wliczali przypadki cudownego ozdrowienia dzięki lekom ziołowym, medycynie zupełnie nieznanym.

A kiedyś zapytany czy nie tęskni za synem sposepniał, milczał długo i tak wreszcie powiedział, a głos miał twardy, nieprzyjemny: — Niech tu nie wraca. Niech żyje i pracuje tam... Wśród obcych... Jak najdalej od tego wszystkiego u nas... Przynajmniej nie będzie kaleką... — później coraz bardziej wzburzony już tylko poruszał ustami i tylko gestami gwałtownymi wyrażał tę rozterkę między ojcowską miłością a realistyczną zimną decyzją o jego przyszłości.

Teraz, jest to już drugi rok, od syna przychodzą listy. Pełne rozmachu, zadowolenia i sukcesów, z opisem innego życia, innych ludzi. Już pojawił się pewien akcent obcości w tych listach, syn wyjaśnia z upodobaniem nieznane, jak sądzi, tutaj w kraju pojęcia i obyczaje.

— Smarkacz — kiedyś on bardzo się rozeźlił — *tea*, pisze, to znaczy herbata... Tak jak analfabetom wyjaśnia... *pub*... taki bar... *drugstore*... O piątej po południu... taki zwyczaj... pijemy z profesorami herbatę... I strój trzeba mieć odpowiedni, ciemny... Taka tradycja, pisze... Smarkacz!! Tradycja!! Wiadomo przecież, każdy dobrze wychowany człowiek... — sztydził z przemądrzałej cudzoziemszczyzny syna. I prowadzą teraz taki śmieszny, listowny pojedynek. Ojciec studiuje książki dotyczące historii Anglii, jej pejzażu, prawodawstwa, architektury. Wyławia różne fragmenty, świadczące o obeznaniu z przedmiotem. Potem w listach poleca — „... Radzę Ci, obejrzyj dokładnie w Londynie Mansion House, rezydencję Lorda Mayora, ciekawe budownictwo; zwróć też uwagę na Victoria and Albert Museum, tam znajduje się wspiana ko-

lekcja sztuki wschodniej..." — Tak go zasypuje poleceniami erudyty na temat Anglii — ... St. Paul's Cathedral, dzielnica Adelphi, okaz świeckiego gotyku Crosby Hall... i tak dalej, i tak dalej...

— Niech sobie nie myśli — powiada w biurze — że my już nic, kompletnie o niczym nie mamy pojęcia... I może zbyt gwałtownie dzwoni wtedy łyżeczką w szklance mieszając herbatę.

Seweryn KWARC

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 192 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMNASTY

Zawiera m.in. S. Popkiewicza: *Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim*; S. Zochowskiego: *O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; J. Garlińskiego: *Ościępcim walczący. Działy: Na 25-lecie P.R.L. — W ZSSR o Powstaniu Warszawskim — Wspomnienia — Polemiki — Recenzje i Listy do Redakcji.*

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)

TOM 193 — SERIA „DOKUMENTY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

KRYZYS ROLNICTWA CZY KRYZYS POLITYKI ROLNEJ ?

Nowa analiza „błędów i wypaczeń” tym razem dotycząca polityki rolnej w PRL — napisana przez autora „Motorów i hamulec socjalizmu”.

Str. 64.

Cena F. 9 (dol. 2; 16 sh.)

Rewolucja O.K. - ale jaka ?

Znudzony nieco spokojnym i uporządkowanym życiem amerykańskiego uniwersytetu, gdzie przyszło mi pracować od kilku lat, przystąpiłem niedawno do stowarzyszenia wolnomyslicieli. Naszym mottem jest następujące zdanie:

„Polityk jest to dupa, na której siedzi każdy z wyjątkiem... człowieka”.

Trafnie powiedziane i jest tu też zawarte coś więcej niż po prostu definicja. Zdanie to formułuje ideową podstawę naszego stowarzyszenia i jest bardziej precyzyjne niż 20-stronicowy skrypt zawierający wykładnię działalności klubu. Klub nosi wdzięczną nazwę „Free University” lub, jeśli wolicie, „Wolny Uniwersytet” i faktycznie jest to związek nielegalny. Oczywiście w takim sensie nielegalny, jak to tylko może być w Ameryce. A więc adres i nazwisko szefa klubu figuruje na okładce książki, gdzie mowa o tym jakie są cele klubu oraz gdzie wskazany jest kierunek rozwojowy na najbliższą przyszłość. Rzecz wyłożona jest przystępnie i chociaż znam autora, nigdy bym nie przypuścił, że potrafi on zamknąć tyle prawdziwego żaru i niekłamane uczucia w ten prosty tekst. Nie bez przesady mogę powiedzieć, że tekst ten jest tu dzisiaj czymś w rodzaju Manifestu, jest Najwyższym Autorytetem. Twórca a zarazem szef klubu to były profesor socjologii, który wyleciał z naszej uczelni jakieś dwa lata temu. Nie tyle „odszedł” lub też „stracił posadę”, lecz właśnie wyleciał i to z hukiem tak wielkim, że słysząc go było w stolicy stanu, daleko stąd. Wtajemniczeni powiadają, że echa doszły do stolicy federalnej, Waszyngtonu. Jeszcze bardziej wtajemniczeni przytaczają dowody na to, jakoby wszechobecne FBI maczało w tej aferze palce. Tak też myśli sam Szef, z którym ostatnio rozmawiałem podczas wizyty na jego farmie położonej wśród lasów Północnego Arkansas. Tam bowiem

Szef wyniósł się po zerwaniu z uczelnią państwową. Lecz nie zamknął się sam w pustelni. Kupił przyzwoite *rancho* i ładny szmat ziemi, nie stroni od przyjaciół, dobrych trunków i pięknych kobiet. Przyjmuje u siebie uczniów, tych co ufają mu ślepo, a także tych, którzy nie są mu zbyt życzliwi. Farma, jak nietrudno zgadnąć, jest formą przejściową, początkiem nowej, nieobarczanej wstecznymi tradycjami szkoły. Oczywiście będzie to szkoła prywatna. To właśnie tam, w Arkansas, narodził się Wolny Uniwersytet, który chociaż odległy od nas o setki mil, jest naszą Przystanią oraz Kwaterą Główną.

Życie klubowe w niczym nie uwłacza życiu zawodowemu, skrojonemu dokładnie według lokalnego zegara od godziny ósmej do piątej popołudniu. A zatem spotkania odbywają się wieczorem, dopiero po pracy i to zazwyczaj pracy w piątek lub sobotę, tak aby następnego rana nie było kolizji między spaniem a punktualnością. Poza tym niewielkim konformistycznym ustępstwem na rzecz powszechnie uznanego porządku rzeczy, nasza praca klubowa niewiele ma wspólnego z konformizmem. Nie zamierzamy bowiem dostosowywać się do ograniczeń narzuconych współczesnemu człowiekowi przez świat zewnętrzny. Wprost przeciwnie: świat ten nie podoba nam się i chcemy go uleczyć. W wielkim skrócie: leczenie czy też może bardziej poprawnie, zabieg chirurgiczny, polegać będzie na obaleniu istniejącego aparatu państwowego i zastąpieniu rządowych półgłupków oraz niedorozwiniętych intelektualnie impotentów przez ludzi zdrowych i pięknych. Wyplenić krzywdę, wyzysk i niesprawiedliwość społeczną. Nasz ostatni decydujący krok będzie równoznaczny z zadaniem śmiertelnego ciosu kapitalizmowi państwowemu. Kapitalizmowi w jego najbardziej niebezpiecznej formie, takiej, jaka dziś istnieje w Ameryce: ulepszony kapitalizm, który chętnie przywdziewa skórę socjalizmu i demokracji. A zatem Rewolucja? Tak, tyleż właśnie mówi Program. I co dalej? Szef powiedział, że to jest bardzo trudne pytanie i ja myślę, że ma rację. Nie będzie więc, przynajmniej w tej chwili, jednoznacznej odpowiedzi na to ostatnie „i co dalej”. Rzecz znajduje się w fazie rozpoznawczej: tak przedstawia się sprawa w naszym lokalnym oddziale Wolnego Uniwersytetu. Być może trzeba tu wyjaśnić, że podzieliliśmy naszą sekcję na trzy grupy, przy czym każda z nich ma ładną nazwę *work study group* oraz sprecyzowany zakres studiów. Obiektem tych studiów, z grubsza powiedziawszy, są rozmaite modele społeczne, rozmaite drogi do osiągnięcia Celu Ostatecznego. Na pierwszy ogień idą te modele, które już ktoś kiedyś w historii próbował. Po przeprowadzeniu studiów, dyskusji oraz eliminacji, zadanie nasze sprowadzi się do wybrania najwłaściwszego modelu, takiego, który ma najlepsze szanse zastosowania w aktualnej sytu-

cji w Ameryce. Mamy więc grupę do studiów teorii Marksa i Engelsa; mamy także grupę studiującą bardziej praktyczne podejście do zagadnienia, tak jak to widział Lenin. Na koniec, najbardziej chyba fascynującą jest praca grupy trzeciej, która specjalizuje się w modelu współczesnego aktywnego komunizmu, nazwijmy ów model krótko „Castro-CheGuevara- Mao”. Nazwa ta jest o tyle sama przez się zrozumiała, że mogę chyba opuścić pisanie własnej interpretacji.

Dzisiaj jest niedziela, wczesne popołudnie. Śnieg opada cicho i horyzont zasłonięty gęstą warstwą chmur nie wydaje się tak odległy jak zazwyczaj, gdy sięga ku krajowi prerii, daleko, dalej niżli wzrok dopatrzysz. Dzisiaj ciemniejący krag, jak tło w teatrze dla białych i wirujących płatków śniegu, zamyka się bliżej, jakby tuż opodal ogrodu. Teraz w ciszy popołudnia wspominam sobie wczorajszą burzliwą wieczór... Gdyby nie zdecydowana postawa Grubego Johna, który na naszych posiedzeniach reprezentuje Kwaterę Główną, nie wiem doprawdy czy zebranie zakończyłoby się pokojowo. Chociaż w tymczasowej fazie nikt z nas nie opowiada się za *violence*, to jest za fizyczną gwałtownością działania, to jednak niewiele brakowało a zgrabna Kay byłaby uszkodziła pięknie uczesaną brodę Steve'a. Steve to ten przywódca od marszów przeciw wojnie w Wietnamie; był już dwukrotnie w telewizji i ogólnie mówiąc zasłużył sobie na powszechny szacunek studenckiej społeczności. Chodziło nie tyle o różnice w poglądach zasadniczych, tutaj nie było zdań podzielonych, lecz chodziło o szczegóły. O to który model, czy ten leninowski czy też ten maoistowski jest słuszny i bardziej użyteczny we współczesnym kontekście. Steve bronił ojca rewolucji rosyjskiej; i robił to, trzeba powiedzieć, w sposób przekonywujący, niemal naukowy. Wykładając swój punkt widzenia spokojnie i „na zimno” bez widocznego zaangażowania uczuciowego, co pewien czas odczytywał paragrafy z książki Lenina „Państwo a Rewolucja”, wydanie pekińskie w języku angielskim. Między innymi dowodził, że nie chodzi tu o zastąpienie jednego aparatu przemocy, to jest państwa burżuazyjnego, poprzez inny aparat przemocy, to jest poprzez państwo porewolucyjne. Powiada, że Lenin zalecał nie tylko obalić ale także zniszczyć, unicestwić, istniejący aparat. Tak aby ów, jak hydra, nie odrodził się w nowych warunkach i pod inną nazwą, w rękach nowych ludzi. „Tylko ci u szczytu piramidy oczywiście zmieniają się” — dowodził Steve — „środek i dół zostaje na ogół bez zmian. Facetowi, który torturuje więźniów w więzieniu państwowym, jest w gruncie rzeczy obojętne skąd otrzymuje rozkazy. Nie dba o to, czy więzień jest komunistą, chrześcijaninem czy też anty-komunistą, skazanym na cierpienie przez tych którzy aktualnie sprawują władzę. Lenin definiuje państwo jako narzędzie

ucisku w rękach klasy panującej, i pisze też wyraźnie, że powinno ono zaniknąć w ustroju, gdzie nie ma klas, gdzie zbieżność interesów społecznych jest wirtualnie całkowita". Tak więc, dowodził Steve, model leninowski jest słuszny. Ktoś podniósł, że przecież model ten nigdzie jeszcze na świecie nie został pomyślnie zrealizowany. Ktoś inny wymienił Związek Sowiecki, ale rzecz szybko upadła, bo istotnie trudno jest dowieść, że Związek Sowiecki i wraz ze swoim potężnym aparatem państwowym, który istnieje, choć pół z górą wieku upłynęło od czasu rewolucji, że kraj ten mógłby służyć jako przykład pomyślnego kontynuowania myśli leninowskiej. Steve nie był tym bynajmniej zniechęcony; jedyne ustępstwo jakie zrobił na rzecz oponentów, to było wyłączenie się nazwy „komunizm” w odniesieniu do Rosji oraz krajów Europy Wschodniej. Wyjaśnić być może należy, że Steve odbiega tu od powszechnie przyjętej klasyfikacji świata z amerykańskiego punktu widzenia: nie-komunistyczny Zachód i komunistyczny Wschód.

Cokolwiek by jednak brodaty Steve nie poruszył i jakiegokolwiek argumentu nie wydzwignął, daleki był od pokonania swego płomiennego adwersarza, przedstawiciela płci pięknej. Walka była być może trochę nierówna: trzeba było widzieć Kay, gdy zrywała się, sprężysta niby młody kot, w ciasno opiętych spodniach na krągłych krzywiznach, z płonącymi oczyma i rozwianym włossem. Była nie tylko zgrabna, ale i... przekonywująca. Kay występowała w roli referenta grupy trzeciej, tej najbardziej współczesnej. Dla niej istniała tylko jedna prawdziwa rewolucja, ta na Kubie i ta w Pekinie. Przerywając niekiedy płynny potok słów krótkim, lecz jakże poetyckim cytatem z czerwonej książki Mao, Kay z łatwością podbiła nasze serca. Ponieważ książkę tę można tu kupić w każdej księgarni i co drugi z członków naszego klubu czyta ją nie tylko „pod ławką” na mniej ciekawym wykładzie, lecz niektórzy czytają ją także jako lekturę uzupełniającą w naukach politycznych, przeto jej słowa padały na podatny grunt. Nie da się zaprzeczyć, że jest sporo romantyzmu i poezji w rewolucji, tak jak ją widzi Mao Tse-tung. Z tej odległości jest to rewolucja czysta, nieskalana sprzedajnością wodzów, zdradą wojskowych i krzywdą pokonanych. Gdy na koniec Kay poprosiła o wyświetlenie krótkiego filmu, który ze sobą przyniosła (tak, to była nie spodziewanka), nie było już najmniejszej wątpliwości w czyją stronę przechyliła się szala *popular support*. Steve wraz ze swym Leninem musiał ustąpić przed Kay i Mao, musiał ustąpić przed zorganizowaną większością. Szczegółów filmu nie mogę, niestety, wymienić, gdyż nie wszystkie partie pracy klubu są do opowiadania. Oto jego fragmenty: śniada twarz Che Guevary tak bardzo ludzka i żywa wypełnia na chwilę ekran. Guevara przemawia na

nowojorskim lotnisku Kennedy Airport w minutę po przybyciu tam z Havanny. Nie, nie przyleciał jednym z tych luksusowych olbrzymów. Samolot Che Guevary to mały jednopłatowiec, manewrujący pomiędzy wielkimi Boeingami jak mucha wśród słoni. Inni delegaci do Organizacji Narodów Zjednoczonych ukazywali swe dostojne oblicza na ekranie, na krótko, aby potem z pompą i poważnie zniknąć z pola widzenia w otoczeniu świty i służących sekretarzy. Ginęli w drzwiach czarnych limuzyn. A oto podchodzi uśmiechnięty Che. Żaden szofer nie czeka na niego zgjęty w pół-ukłonie. Dwaj towarzysze Che i on sam wsiadają do starego różowego (!) *convertible*, grat jakie tu się widzi niekiedy porzucone w rowie, na oko sądząc z roku 57 lub 58. Scena, o której mowa, sfilmowana została kilka lat temu, zanim dzisiejszy bohater Che Guevara wyprawił się „robić rewolucję” w Boliwii i gdzie zginął, zamordowany przez rzeczników systemu, który rządzi tą częścią świata.

Jakże to porównać ze lśniąca bielą ostatniego modelu „Cadillaca”, którym Mister Dobrynin przybywa na posiedzenia z prezydentem Nixonem? *A propos*, żaden z tych dwóch nie jest w naszym gronie popularny, a ktoś nawet wyraził się, by Nixona podarować Rumunii, bo tam go kochają, a tutaj ledwo tolerują.

Niezapomniany film. I chyba nietrudno zgadnąć, że Che Guevara i Kay opanowali nie tylko nasze umysły ale i serca. Mimo zimy i śniegu w pokoju było ciepło i swojsko. Ogień na kominku płonął jasnym płomieniem, pożerając zwolna brzoźowe polana. Potem obdartaś Jim, przypominający swym ubiorem Indianina z prerii, zanucił piosenkę „Pan Bóg mieszka w New York City”, a jego gitara brząkała rytmicznie w takt urzekającej melodii. Żar nie był zbyt wielki. Trzaskające drwa i migocący blask ognia sprawiły, że pokój wyolbrzymiał i zda się był schroniskiem w wielkich zawałonych śniegiem górach, takich jak Góry Skaliste w Colorado. Tam, gdzie wieczorem po nartach, wśród przyjaciół, godziny umykają w wieczność, niezauważone.

Opowiedziałem im o gromadzie *hippies*’ów na Ożarowie w stolicy Polski. „Jakżeż to możliwe?” — powiedział ktoś. A jednak przyjemnie pomyśleć, że gdzieś za oceanem, w dalekiej Polsce, żyje garstka szlachetnych pomyślników, którzy myślą swoją własną drogą. Skąd wiemy, że myślą tak samo jak my? To oczywiste, tak jak oczywiste są punkt, prosta i płaszczyzna, pojęcia podstawowe w geometrii, których nie definiuje się nigdy.



W posłowie, aby sprawy nie przedstawiać w fałszywych proporcjach, wypada mi wspomnieć, że grupa nasza jest niewielka

w stosunku do ludności Stanów Zjednoczonych. W istocie jest tak niewielka, że z punktu widzenia statystyk zapewne nie istnieje. Jakże różne światopoglądy, ten tutaj, w Wolnym Uniwersytecie i ten tam, w Wolnej Ameryce. Kiedyś, gdy szukaliśmy teoretycznie sojuszników klubu wśród farmerów, drobnych *businessmen*ów, robotników wreszcie... okazało się dosyć jednoznacznie, że żaden z przedstawicieli tych grup nie podpisałby się pod rewolucją. Przeciwnie, wielu *blue collar workers* (proletariuszy), którzy stanowią tutaj trzon tak zwanej *silent majority* (cichej większości), bardzo wielu z nich jest zdecydowanych. Powiadają oni, że czas już zrobić porządek na świecie. Na to godzimy się wszyscy. Tylko tyle, że oni chcą zacząć od rzucenia bomby na Hanoi, i drugiej podobnej, „dla pewności” jak powiadają, na Moskwę. Dla nich Wallace, dla nas poeta McCarthy. Zapewne kiedyś zrozumiemy się nawzajem.

T. T. JEŻ

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 22.0 lub \$ 5.00, F. 25.00.

Wiersze

Bolesław KOBRZYŃSKI

ZŁOTY KUBEK

Moje złote roztkliwienie,
Pociesz serce i sumienie,
Pociesz umysł mój i oczy,
Niech tkliwości łażą się stoczy.
Złote jabłka poza płotem,
A ja proszę: „Aniołowie,
Na pociechę, na tęsknotę,
Dajcież miłość — chociaż w słowie!...”

Nie wiedziałem ciężko chory,
Ze me artystyczne serce
Zrą bez przerwy dwa potwory —
Teraz jestem już w rozterce.
Pan Bóg, łaskaw wielce dla mnie,
Pokazuje złote jabłka.
Ktoś szczęśliwszy zje je za mnie,
Nie posłuży mi już drabka.
Wołam tedy do złotnika:
„Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Złoty kubek w lśnieniu bezlikach,
Zrób mi go z najlepszych próbek!
Wyrzeźb na dnie matkę moją,
Laur po brzegach niech się błyszczy;
W bólu matka mą ostoja,
Zanim wnet mnie kocur zniszczy”...

„Złoty kubek ja ci zrobię
 I wyksztalcę go najładniej,
 W krąg wawrzynem go ozdobię
 I wyrzeźbię matkę na dnie,
 A po bokach miasto małe
 I tańczące dzieci w koło,
 Dzieci tak wesole, wdane,
 Że rozjaśnią twoje czoło.
 Twoje ręce kubka godne,
 Niech zeń piją usta twoje,
 Niech odbiją się pogodne
 Oczy twe i niech je zgoje.
 Niech cię cieszy złoty kubek,
 Złoty kubek, złotusieńki,
 Nachyl do ust złoty dzióbek,
 Albo śpiewaj do luteńki!...”

Sam Pan Jezus i Maryja
 Błogosławią kubek złoty.
 Złotniczeńku, czas przemija,
 Pełen bólu i tęsknoty.
 Co jest ważne: kubek, czy ja?
 Wieczny kubek szczerozłoty.

Bolesław KOBRZYŃSKI

Obserwatorium

Z czarnego rejestru

NARODOBOJSTWO

The Nation Killers — *Narodobójcy*: taki jest tytuł nowej książki Roberta Conquesta, autora monumentalnego, omawianego tu niegdyś tomu *The Great Terror*. Książka jest nową tylko częściowo, stanowi rozszerzoną i w wielu punktach uściśloną reedycję dawnego studium Conquesta *The Soviet Deportation of Nationalities*. Chodzi o deportacje następujących (w porządku chronologicznym) narodów: Niemców nadwołżańskich w sierpniu 1941 r., Karaczajczyków w październiku-listopadzie 1943 r., Kałmuków w grudniu 1943 r., Czeczenów i Ingusów w lutym 1944 r., Bałkarów w marcu-kwietniu 1944 r., Tatarów krymskich w maju 1944 r., Mieszchetyczyków w listopadzie 1944 r. Deportacja Niemców nadwołżańskich była aktem przewencyjnym, przeprowadzonym nazi jutrz po ataku niemieckim na ZSSR. Tatarów krymskich, Kałmuków i cztery narody północnego Kaukazu (Karaczajczyków, Bałkarów, Czeczenów, Ingusów) wywieziono za karę z terenów do których dotarł pochód niemiecki, pod zarzutem współpracy z najeźdźcą i sabotowania partyzantki sowieckiej. Deportacja Mieszchetyczyków, poturczonych i zmahometanizowanych Gruzynów zamieszkałych nad granicą turecką, była również aktem przewencyjnym, tym razem na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej. Zmiana tytułu książki Conquesta z *Deportacji sowieckich* na *Narodobójców* jest w pełni uzasadniona, jeśli się zważy jakimi cyframi zamknięta została cała operacja. Wywieziono ogółem przeszło półtora miliona ludzi, z czego w trakcie operacji zginęło przeszło pół miliona, głównie starców, kobiet i dzieci. Naczelny Operator, generał Sierow, zasłużył sobie na Order Suworowa pierwszej klasy, odznaczenie nadawane wysokim dowódcom za zwycięstwa na polu bitwy.

Bitwa narodobójcza zaprowadziła milion ocalałych zesańców do różnych rejonów Związku Sowieckiego, przede wszystkim do

Kazachstanu i Kirgizji. Odpowiednie republiki i okręgi autonomiczne zlikwidowano i inkorporowano, zgodnie z takimi czy innymi wyrachowaniami, do sąsiednich jednostek. Narody skazane wyzuto nie tylko z krajów ojczystych, ale z egzystencji historycznej: na dziesięć z górą lat należałoby ukuć dla nich po orwelowsku nazwę *unnations*, wzorem indywidualnych *unpersons* z okresu wielkich czystek. Zapowiedź „rehabilitacji” pojawiła się w tajnym raporcie Chruszczowa pod koniec lutego 1956 roku:

„Towarzysze, sięgnijmy po inne fakty. Związek Sowiecki jest słusznie uważany za model państwa wielonarodowego, ponieważ zapewnił nam w praktyce równość i przyjaźń wszystkich narodów żyjących w naszej wielkiej ojczyźnie. Tym potworniejsze są akty, których inicjatorem był Stalin i które są pogwałceniem podstawowych leninowskich zasad polityki narodowościowej państwa sowieckiego. Mam na myśli masowe deportacje całych narodów z ich krajów rodzinnych, łącznie ze wszystkimi bez wyjątku komunistami i komsomolcami; akcja deportacyjna nie była podyktowana żadnymi względami militarnymi... Nie tylko żaden marksista-leninista, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie zrozumieć, jak można rozciągać odpowiedzialność za urogość działalność na całe narody, włączając w to kobiety, dzieci, starców, komunistów i komsomolców, jak można uciekać się do zbiorowych represji oraz wystawiać na nędzę i cierpienia wspólnoty narodowe za urogość akty poszczególnych osób czy grup ludzkich”.

Chruszczow wymienił pięć ofiar narodobójstwa; pominął Niemców nadwołżańskich, Tatarów krymskich i Mieszchetyjczyków. W pewnej chwili wtrącił: „Ukraińcy uniknęli podobnego losu, gdyż było ich za dużo i nie było ich gdzie deportować. W przeciwnym razie Stalin kazałby ich także wywieźć”. Stenogram tajnego raportu notuje tu w nawiasie „śmiech i ożywienie na sali”.

Począwszy od roku 1957, pięciu wymienionym przez Chruszczowa narodom umożliwiono stopniowo powrót z zesłania, restytuując w nieco innej konfiguracji zlikwidowane republiki i okręgi autonomiczne. Z trzech pozostałych narodów „zrehabilitowano” w końcu Niemców nadwołżańskich i Tatarów krymskich, ale z zakazem opuszczenia miejsc zesłania. Walka Tatarów krymskich o prawo do powrotu stała się ostatnio jednym z głównych tematów ruchu opozycyjnego w ZSSR, na równi z protestami przeciw inwazji Czechosłowacji i przeciw polityce represyjnej wobec inteligencji.

Do świętego oburzenia Chruszczowa trzeba się naturalnie odnosić z rezerwą. W roku 1951 *Socjalistический Вестник* ogłosił artykuł uciekiniera osetyńskiego, pułkownika Tokajewa, o pierwszych naradach dotyczących Czeczenów. Odbłyły się one w lutym 1943 roku podczas wspólnego posiedzenia Politbiura i Naczelnego Dowództwa. Mołotow, Żdanow, Wozniesienskij, Andrejew i Kosygin opowiedzieli się za natychmiastową i publiczną likwidacją republiki autonomicznej; Mikojan, zgadzając się z nimi w zasadzie, doradzał ostrożność; Stalin, Woroszyłow, Kaganowicz, Chruszczow, Kalinin i Beria byli za deportacją odroczonej do czasu

dalszego wyparcia Niemców. Nie od rzeczy jest też pamiętać, że pod rządami Chruszczowa długo jeszcze i wcale dobrze prosperował generał Sierow.

W *Russia and Her Colonies* Walter Kolarz uważa serię deportacji za coś w rodzaju ostrzeżenia pod adresem wszystkich przegranych narodów ZSSR, wystawionych w okresach konfliktów na działanie wroga. Sam Conquest mówi o względach taktycznych a nie dogmatycznych. Wiele w tym racji. Jako imperium kolonialne Rosja miała sposobność przeżyć w czasie wojny swoją „godzinę prawdy”. Struktura gmachu okazała się krucha, żeby nie powiedzieć więcej. Gdyby nie błędy Niemców, zwłaszcza na Ukrainie, wstrząsy byłyby głębsze. Lekcja nie poszła po wojnie w las, w sensie intensyfikacji rozprawy z „odchyleniami nacjonalistycznymi”. Ale w próbach umocnienia spójności imperium kolonialnego podbudowa dogmatyczna jest zawsze na podorędziu, „podstawowe leninowskie zasady polityki narodowościowej” nie kłóć się bynajmniej z wnioskami praktycznymi jakie z nich wyciągnął Stalin. Zanalizowane przez Conquesta wskazania Lenina w kwestii narodowościowej prowadzą prosto do pojęcia „narodowości ograniczonej”, dopuszczalnej czy tolerowanej w granicach o których każdorazowo decyduje Moskwa i całkowicie uzależnionej od arbitralnych dekretów Centrali. Już w roku 1923, a więc za życia Lenina, gruziński przywódca komunistyczny Macharadze pytał jak pogodzić teoretyczny postulat autonomii narodowych z rzeczywistą władzą jednej partii, jednego organu centralnego, który „w ostatecznej instancji ustala absolutnie wszystko dla wszystkich republik, nawet małych, łącznie z dyrektywami personalnymi odnośnie wyznaczania rządów”.

Odpowiednikiem doktryny „narodowości ograniczonej” w obrębie ZSSR jest doktryna „suwerenności ograniczonej” w stosunkach Rosji z krajami Europy Wschodniej. Conquest powiada: „Czechosłowacy i Tatarzy krymscy stoją w obliczu identycznego żądania, by interesy i życzenia Politbiura w Moskwie miały pierwszeństwo przed ich interesami i życzeniami”. Identyfikacja ograniczenia wywołuje podobieństwo reakcji. Rośnie, zamiast słabnąć, opór wśród „uślaskawionych” narodów północnego Kaukazu i „półuślaskawionych” Tatarów krymskich. W Czechosłowacji coraz powszechniej (również w wojsku) szerzy się przekonanie, że należało strzelać w sierpniu 1968 roku. Stary mechanizm wszelkich autokracji represja-złagodzenie-represja jest jedynym motorem politycznym Rosjan, którzy od roku 1970 schodzą poniżej 50 % ogólnej liczby ludności we własnym imperium kolonialnym.

LITWIN Z ZAŁOGI „SOWIECKIEJ LITWY”

Następną, po operacji krymskiej, misją Sierowa było „wyczesanie” Litwy. Jego doradcą i nadzorcą politycznym był Susłow. Z trzech państw bałtyckich wywieziono około miliona ludzi. Tylko trudności techniczne, podobne do tych o jakich wspominał

Chruszczow (wywołując „śmiech i ożywienie na sali”) w związku z Ukrainą, stanęły na przeszkodzie pełnej deportacji na skalę narodobójstwa.

Stany Zjednoczone nie uznały aneksji państw bałtyckich, przedstawicielstwa polityczne Litwy, Łotwy i Estonii za granicą są nadal formalnie respektowane przez rząd amerykański. W ostatnich dniach listopada wyznaczono koło wyspy Martha's Vineyard przy brzegach Massachusetts spotkanie amerykańsko-sowieckie w sprawie regulacji połowu ryb. Do statku przybrzeżnej straży amerykańskiej zbliżył się na odległość trzech metrów statek rybacki *Sowietskaja Litwa*. Ten bliski kontakt z wolnym światem postanowił wykorzystać marynarz litewski Simas: przeskoczył na pokład statku amerykańskiego i poprosił o azyl polityczny. Kapitan amerykański zatelefonował po instrukcje najpierw do swoich przełożonych w Bostonie, a potem do Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Otrzymał rozkaz odesłania Litwina na pokład *Sowietskaj Litwy*. Dla przeprowadzenia repatriacji w trybie doraźnym upoważniono do wejścia na pokład statku amerykańskiego czterech marynarzy sowieckich. Opierającego się Litwina pobito i siłą zawleczono na pokład *Sowietskaj Litwy*. Rzecznik Departamentu Stanu nie zdementował incydentu, oświadczył jedynie że gdyby był lepiej poinformowany o okolicznościach ekstrakcji, zażądałby prawdopodobnie od kapitana amerykańskiego zastosowania „innej procedury”. Chodziło mu, rzecz jasna, o zaoszczędzenie załodze amerykańskiej (a za jej pośrednictwem światu) spektaklu bicia. Epilog nieudanego skoku na wolność Litwina z załogi *Sowietskaj Litwy* powinien się być odbyć dyskretnie, wśród samych swoich, na pływającym łonie sowieckiej rodziny narodów. Tak żeby dobrzy Amerykanie, wpłacający składki na Dzwon Wolności, nie musieli sobie zadawać przykrych i kłopotliwych pytań na temat serca tego dzwonu; i żeby analogicznych pytań nie musieli sobie zadawać nasłuchujący jego dalekich dźwięków.

Jest to jedna z tych historii symbolicznych, nagle w błyskawicznym skrócie rozświetlających zmętniały horyzont ku pożytkowi widzów, które tracą swoją wymowę zaopatrzone w zbyt retoryczny komentarz. Nawet jeżeli Nixon, w trosce o głosy wyborcze Bałtów amerykańskich, każe pokazowo ukarać winnego zbrodni urzędnika Departamentu Stanu, nie zmieni to faktu że „dialogowy” nadgorliwiec postąpił zgodnie z tym co się myśli i w ramach „innej procedury” zamierza przypuszczalnie odtąd robić w Departamencie Stanu. Litwinom i nam z nimi nie pozostaje nic innego jak podziwiać małą Turcję.

MASARYK I CIĄG DALSZY

Książka dziennikarki amerykańskiej Claire Sterling *The Masaryk Case* przynosi sporo nowych i ciekawych danych, ale nie wyjaśnia ponad wszelką wątpliwość sekretu śmierci czechosłowackiego

kiego ministra spraw zagranicznych w nocy z 9 na 10 marca 1948, w dwa tygodnie po komunistycznym zamachu stanu. Samobójstwo czy defenestracja? Nie brak argumentów przemawiających za każdą z tych hipotez; nowe odkrycia Claire Sterling zdają się wskazywać na defenestrację z polecenia Moskwy. Jeśli tak, to warto przypomnieć co w przystępie szczerości powiedział kiedyś Togliatti Silonemu: „Decyzje o pewnej wadze nie podlegają na Kremlu nigdy zaprotokołowaniu, a odnośnych rozkazów nie wydaje się nigdy na piśmie” (eufemizm „o pewnej wadze” dotyczył właśnie rozmaitych cichych „likwidacji”). Być może więc bezsporny, a nie oparty na najcięższych choćby poszlakach, dowód zamordowania Masaryka jest w praktyce nie do zdobycia.

Oficjalna wersja, ogłoszona w pośpiechu już 10 marca 1948 roku, brzmiała naturalnie: samobójstwo. W ciągu dwudziestu lat tajemnica nocy z 9 na 10 marca w praskim Pałacu Czernina stała się dla Czechosłowaków do tego stopnia obsesją, że jednym z inauguracyjnych kroków Dubczeka i towarzyszy było wznowienie dochodzeń w kwietniu 1968 roku. Odkurzenia sprawy domagali się szczególnie studenci i intelektualiści (głośne artykuły Svítaka w tygodniku *Student*), wtedy też po raz pierwszy bodaj padły w prasie sowieckiej groźne słowa „prowokacja antysocjalistyczna”. Nie wykluczone że pod wpływem tej pogroźki prokuratura praska nadała od początku wznowionym dochodzeniom dość jednoznaczny bieg, zmierzający do potwierdzenia wersji samobójstwa z bogatszą i mniej powierzchowną motywacją. Sierpniowa inwazja ucięła i tę próbę. Istotę rzeczy ujął jednak trafnie praski program telewizyjny w okresie „nowego kursu”: czy Masaryk sam wyskoczył czy został wyrzucony przez okno, było to w każdym razie morderstwo polityczne.

Tyle o Masaryku. A ciąg dalszy? Na Zachodzie ukazało się ostatnio *Sprawozdanie komisji Centralnego Komitetu Czechosłowackiej Partii Komunistycznej o procesach politycznych i rehabilitacjach w Czechosłowacji w latach 1949-1968*. Kilkusettomnicowy elaborat, przygotowany na zjazd partii i po 21 sierpnia zamknięty w kasie ogniotrwałej, przeniknął jakimiś nieznany drogami za granicę. Opracował go i obszernie skomentował Jiri Pelikan, emigrant komunistyczny w Rzymie, niegdyś dyrektor telewizji praskiej i przewodniczący parlamentarnej komisji spraw zagranicznych.

Kto czytał *L'aveu* Artura Londona, nie znajdzie w tej księdze gangsterstwa politycznego nic nowego. I nie zdziwi się nadto, pamiętając w jakich warunkach powstała w Pradze, że jej autorzy zachowali ostrożność: na kilkuset stronicach *Sprawozdanie* oskrobuje cierpliwie rzeczywistość z grubych słojów urzędowego kłamstwa, ale nie zagłębia się w mechanizm systemu, odwołuje się chętnie do asekuracyjnych „zniekształceń i zwyrodnień przejściowych”, pomija krzywdy wyrządzone nie komunistom. Od emigranta komunistycznego wolno było oczekiwać czegoś więcej, zerwania z nakazami taktyki, sięgnięcia do korzeni. To prawda że Pelikan w przedmowie i posłowie uzupełnia tu i ówdzie jaskra-

we luki, prostuje rażące naiwności, stawia kropki nad i. A przecież czuje się i u niego nieprzekraczalną, magiczną cezurę. Nie wspomina ani słowem o sprawie Masaryka, która dla znakomitej większości Czechosłowaków jest (jak wykazała „praska wiosna”) obowiązковым wstępem do rachunku powojennego dwudziestolecia. Wpada w sprzeczność gdy pisze raz o „próbie kontynuowania własnej drogi do socjalizmu w latach 1948-54”, a kiedy indziej o „stopniowym porzuceniu, po lutym 1948 roku, specyficznego modelu rozwoju socjalizmu w Czechosłowacji i podporządkowaniu losu kraju i partii kierowniczej roli KPZS”.

Od takich magicznych, jałowych i pogmatwanych cezur nie są również wolni starsi emigranci komunistyczni z Polski po roku 1968. Często, rozmawiając z nimi, odnosi się wrażenie że historia PRL zaczęła się w latach 1955-56. Strefy nietykalne i opieczętowane milczeniem należą po Orwellowsku do *unhistory*.

B U R G O S

W Burgos byłem jesienią 1962 roku, opisałem tę podróż w *Kulturze* w notatniku zatytułowanym *Od Burgos do Barcelony*. Odczytuję go po ośmiu latach:

„W Burgos zatrzymujemy się nie tylko dla katedry. Tutaj znajduje się największe w Hiszpanii więzienie polityczne. Wolno sądzić, że nie przypadkowo. Stąd, 1 kwietnia 1939 roku, *El Generalísimo* ogłosił swój *Comunicado de la Victoria*, wyryty teraz na fasadach urzędów w wielu miastach i miasteczkach hiszpańskich, zakończony słowami: *La guerra ha terminado*. Wojna skończyła się przeszło dwadzieścia lat temu, ale grób Republiki w Burgos jest nadal więzieniem jej pogrobowców. O więzieniu w Burgos słyszeliśmy i czytaliśmy przed podróżą do Hiszpanii. Głośnym uczynił je świeżo czterdziestoletni poeta Marcos Ana, który spędził za jego murami dwadzieścia dwa lata, znalazł się niedawno na liście amnestyjnej i natychmiast po zwolnieniu wyjechał czy uciekł za granicę. Jego konferencje prasowe i odczyty ujawniły, że w więzieniu w Burgos przygotowują się kadry kierownice nowej, nadchodzącej nieuchronnie Hiszpanii; i że przebywa w nim ponad czterystu więźniów politycznych. Ten drugi punkt jest dość istotny. Hiszpańskie „czynniki miarodajne” zapewniają, że nie ma już dziś w Burgos więźniów politycznych. Nie ma ich na papierze: sędziowie hiszpańscy wtłaczają przestępstwa typowo polityczne w ramy paragrafów karzących za przestępstwa pospolite. Jako przestępstw pospolitych sądzono, na przykład, organizatorów wrześniowego strajku górników w Asturii. Kim są ci sędziowie? Członkami trybunałów wojskowych, które w ćwierć blisko wieku po zakończeniu wojny domowej działały według procedury zbliżonej do procedury sowieckich „sądów ludowych”... Pewien rozgłos więzieniu w Burgos nadał również przemysłowy do Rzymu przez Paryż list, jaki 422 jego więźniów politycznych, ośmielonych przypuszczać interwencję kardynała Montini w obronie skazanego studenta katalońskiego Jorge Conilla, wystosowało do Jana XXIII. Autorzy tej supliki prosili Papieża o wyznaczenie komisji międzynarodowej, złożonej z sędziów, lekarzy i dziennikarzy, i upoważnionej (oczywiście za zgodą Caudilla) do zbadania sytuacji w więzieniach w Burgos, Carabanchel, El Dueso i Alcala de Henares. List mówił o torturach w więzieniu w Burgos i dodawał: „Jest

nas tu 422, odsiedzieliśmy już 4.150 lat, mamy jeszcze do odsiedzenia 6.568 lat. Niektórzy z nas zostali skazani za zwykłą przynależność do partii politycznej”.

Osiem lat nie odebrało tym notatkom okrutnej aktualności. Ale w Hiszpanii — otoczonej czułą opieką przez Amerykę, zaostrywanej w węgiel łamistrajkowy przez PRL, kokietowanej przez ZSSR — coś nagle drgnęło. I właśnie w Burgos, które ma znowu szanse przejścia do historii, tym razem nie jako miejsce ogłoszenia frankistowskiego *Comunicado de la Victoria*. Proces Basków, ich mężna postawa na sali trybunału wojskowego, ich opowiadania o torturach w więzieniu, brzęk kajdan na ławie oskarżonych, okrzyki wznoszone na cześć niezależności baskijskiej i wolności politycznej: wszystko to nie tylko przykuło na chwilę uwagę świata (co jest mniej istotne, zważywszy jego znakomity system trawienia cudzych dramatów), ale zgalwanizowało kraj wykrwawiony w wojnie domowej i oczekujący początku końca. Tak reżymy totalitarne wkraczają w fazę powolnego konania, zniechęceni i zmurszałe; Amalrik, na nowym wygnaniu syberyjskim, mógłby lekcją pogładową Burgos wzbogacić swój głośny esej o jeszcze jeden odsyłacz. Iluż Basków w ZSSR, skazanych na „narodowość ograniczoną”; ile hiszpańskiego immobilizmu faszystowskiego w kadeelowskiej Europie z „ograniczoną suwerennością”. Brzęk kajdan w Burgos zostanie tam zapewne dosłyszany i zapamiętany.

W Prado ogląda się długo niewielki obraz Goyi *Panico y Caos*, przedstawiający ogromne i ciemne widmo o ludzkich kształtach. O podobnym widmie pisze Amalrik, w imię trzymania go na uwięzi rządzą władcy w Madrycie, w Moskwie, w Warszawie, w Pradze, uzyskując tyle że z każdym dniem staje się ogromniejsze i ciemniejsze.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

14 grudnia 1970

Nowość

TOM 198 - BIBLIOTEKI «KULTURY»

Seria „Dokumenty”

Zeszyt 34

O. N. BURBA-KOCHAŃSKI

LIST DO EMIGRANTA

Tekst otrzymany z Kraju, który jest pierwszą rzeczową analizą sytuacji w Polsce. Formuluje on przy tym postulaty wobec emigracji i daje zarys programu wspólnego działania.

Wydarzenia Grudniowe nadały temu dokumentowi specjalną wymowę.

Obowiązkiem każdego emigranta politycznego jest zastanowienie się nad tym dramatycznym apelem, przedyskutowanie go i wyciągnięcie konkretnych wytycznych dla swej działalności.

Str. 128.

Cena F. 12 (dol. 2,50; sh. 20)

Archiwum polityczne

Pierwszy rok lat 70-tych i Polska

Parafrazując piękny wiersz Lechonia można by powiedzieć, że Polska ma tylko politykę zagraniczną i właśnie jej nie ma. Po upadku pierwszej Rzeczypospolitej Polaków nie dzieliły sprawy ustrojowe, wewnętrzne — ale naczelny problem polityki zagranicznej, tj. niepodległość. Przez ubiegłe dwa stulecia niepodległość i bezpieczeństwo stanowiły zasadnicze nasze postulaty.

Prof. Adam Bromke w swojej klasycznej już dziś książce pt. „Poland's Politics” — wysunął teorię, że owo dążenie do niepodległości wyrażało się w dwóch nurtach: idealizmu i realizmu. Można dodać, że to są stałe nurty w polskiej polityce niepodległościowej i trwają do dziś.

Idealiści to byli powstańcy — realiści to byli Wokulscy. Jedni wierzyli, że niepodległość możemy odzyskać tylko poprzez walkę zbrojną — drudzy głosili program pracy organicznej, który miał na celu wzmocnić Polskę wewnątrz. Dla idealistów niepodległość oznaczała zwycięstwo nad Rosją — realiści natomiast uważali, że niepodległość jest zależna od potencjału gospodarczego. Inaczej mówiąc wyznawali filozofię, że kraj gospodarczo zacofany i ubogi nie może w gruncie rzeczy być niepodległy.

Polska dwudziestolecia szukała rozpaczliwie sojuszników na Zachodzie. Lecz owe egzotyczne sojusze nie uratowały nas przed klęską. Nasi ówcześni sojusznicy wyrazili zgodę, by Polska weszła w „sferę wpływów” sowieckich — co oznaczało powtórna utratę niepodległości.

Albert Sorel napisał, że Polaków można podzielić na tych „którzy wyobrażają sobie świat dostosowujący się do ich polityki, i tych, którzy swoją politykę dostosowują do realiów świata”.

Wypada stwierdzić, że tak idealisci jak i realiści nie zdołali zabezpieczyć niepodległości przez ubiegłe 200 lat. Czy to oznacza, że owe trwałe nurty w polityce polskiej nie prowadzą do nikąd? W drugiej części tego artykułu postaram się odpowiedzieć na to pytanie.

Głównymi wydarzeniami ubiegłego roku była śmierć de Gaul-

le'a, traktat sowiecko-niemiecki z 12 sierpnia, dalsza rozbudowa wpływów sowieckich w świecie i kosztowne dwu-biegunowe systemu, który jest niezdolny do rozwiązania wielkich zagadnień współczesnych.

W Moskwie rządzą konserwatyści, w Waszyngtonie rządzą konserwatyści, w Londynie rządzą konserwatyści itd. Natomiast w Afryce i w Azji w większości wypadków rządzą ludzie radykalnej lewicy. To jest niebezpieczna konfrontacja, która ostatnio uległa wybitnemu zaostreniu.

Lecz wróćmy do Europy, która jest naszym kontynentem. De Gaulle pragnął, by Europa była rządzona przez Europejczyków. Generał nie był anty-amerykański, tylko był anty-hegemoniczny. Jego wielki zamiysł obejmował zbliżenie Francji z Rosją. De Gaulle zdawał sobie sprawę, że Europa będzie lepiej zabezpieczona jeżeli nie Niemcy tylko Francja będzie miała z czasem *special relationship* z Rosją. Wówczas Niemcy byłyby równoważone i kontrolowane i w sumie niezdolne do zaprodukowania nowych niespodzianek. Celem wielkiego zamiysłu de Gaulle'a było rozbięcie podwójnej hegemonii i związanie Rosji z Europą.

Dziś wybitni polityczni naukowcy amerykańscy wysuwają projekt „super-wspólnego rynku”, który obejmowałby Stany Zjednoczone, Rosję Sowiecką i Japonię. Oczywiście tego rodzaju kombinacja byłaby niezwykła, ponieważ reprezentowałaby ponad 85 % technologii współczesnego świata.

Nie zamierzam analizować powyższego projektu, który ilustruje niewątpliwie trend do łączenia się bogatych i potężnych z bogatymi i potężnymi.

Niemcy zniweczyli zamiysł de Gaulle'a. Wprawdzie na linii Bonn-Moskwa po 12 sierpnia ub. roku nie mamy do zanotowania sensacyjnych posunięć — niemniej droga jest otwarta. Polacy na ogół nie zdają sobie sprawy, że traktat sierpniowy osłabił naszą pozycję przede wszystkim w stosunku do Niemiec. Wielu z nas odrzuca koncepcję „ani z Rosją ani z Niemcami”. Mieliśmy nie tylko Dmowskich lecz i Studnickich i Bocheńskich. Gdyby w owych fatalnych dwóch dekadach, które oddzielały zakończenie pierwszej wojny światowej od wybuchu drugiej wojny światowej, w Niemczech powstał był i utrzymał się przy władzy rząd prawdziwie demokratyczny — wówczas pro-niemiecka orientacja w Polsce miałaby tysiące a może dziesiątki tysięcy zwolenników. Mając po jednej stronie bolszewicką Rosję a po drugiej stronie demokratyczne Niemcy — wybór byłby sprawą przesądzoną.

Dziś Niemcy są demokratyczne, lecz Polska nie jest demokratyczna. Nie w tym jednak leży istota zagadnienia. Istota zagadnienia tkwi w fakcie, że Niemcy mają układ z naszym, nie tylko historycznym lecz i aktualnym, zaborcą. Z tej przyczyny orientacja pro-niemiecka wśród Polaków ma mniejsze szanse niż kiedykolwiek w przeszłości. Po podpisaniu układu NRF-PRL tysiące ludzi ze Śląska i z Ziemi Odzyskanych wyjedzie do Niemiec podając się za Niemców. Lecz to nie ma nic wspólnego z orientacją pro-niemiecką.

Jest jasne, że z polskiego punktu widzenia — orientacja pro-niemiecka — miała sens dopóki jej ostrze skierowane było przeciwko Sowietom. Tak rozumiał orientację pro-niemiecką Adolf Bocheński w swojej książce pt. „Między Rosją a Niemcami”. Identyfikacja orientację pro-niemiecką Studnicki.

W ubiegłym roku stanowisko Polski uległo pogorszeniu w stosunku do Niemiec — co nie oznacza, że nasz stosunek do Rosji uległ poprawie. W tym miejscu krótka uwaga na marginesie. Byłem wielokrotnie krytykowany za to, że w moich artykułach wprowadzam rozróżnienie pomiędzy Rosją a Sowietami. Wielu publicystów sądzi, że obecna sytuacja nie usprawiedliwia tego rodzaju rozróżnienia. Jest mi trudno zrozumieć takie stanowisko. Czy pomiędzy Sołżenicynem a Breżniewem nie ma różnicy? Czy pomiędzy KGB a powołanym przez prof. Andreja Sacharowa Komitetem Obrony Praw Człowieka w Związku Sowieckim — nie ma różnicy?

To rozróżnienie jest ważne z politycznego punktu widzenia. Projekty Dmowskiego w Petersburgu nie budziły żadnego odzwieku. Jestem jak najdalej od porównywania Dmowskiego z Gomułką — niemniej polityka Gomułki nie budzi również żadnego odzwieku w Moskwie. W stosunkach polsko-rosyjskich osoba rosyjskiego adresata odgrywa zasadniczą rolę. Do sprawy tej wrócimy w końcowych partiach tego artykułu.

Chiny i Rosja Sowiecka nawiązały dyplomatyczne stosunki zerwane 4 lata temu. Nie nazwałbym jednak tego wydarzenia „odwilżą” rosyjsko-chińską, jak czynią to pewni publicyści. W chwili gdy piszę te słowa Chiny nie są członkiem ONZ — lecz opinia, nawet w Stanach Zjednoczonych, przechyla się wyraźnie za przyjęciem Pekinu do ONZ. W mojej opinii Formoza ma prawo do członkostwa i reprezentacji w ONZ jak każdy inny kraj. Natomiast Formoza nie ma prawa ani tytułu do reprezentowania narodu chińskiego. Rząd Formozy nie ma również żadnych podstaw do określania się mianem „narodowego rządu chińskiego”. Jest bowiem oczywiste, że jedyny rząd chiński jaki istnieje urządza w Pekinie. Jestem przekonany, że przyjęcie innej nazwy przez „rząd Chin narodowych”, jak np. „rząd wolnej Formozy” ułatwiłoby znacznie rozwiązanie problemu chińskiego na terenie ONZ. Przyjąć można jednak za pewnik, że okres izolacji Chin dobiega kresu.

Rok ubiegły charakteryzowały dwa zjawiska trudno wytłumaczalne. Mam na myśli inflację i tzw. bunt młodzieży.

„Trend” inflacyjny staje się typową cechą wszystkich krajów wysoko uprzemysłowionych, od Ameryki zacząwszy na Anglii i Francji skończywszy. Zmieniają się rządy, polityki gospodarcze — lecz inflacja trwa nadal. Inflacja powoduje niepokój przemysłowy w permanencji. Ponieważ rośnie cena towarów, robotnicy walczą o podwyżki płac. Z chwilą gdy po tygodniach czy miesiącach negocjacji i strajków zdobędą żadaną podwyżkę — wzrost cen, który w danym okresie nastąpił — czyni tę podwyżkę płac nierealną. Trzeba więc dobijać się o nową podwyżkę. Zbędne do-

dawać, że każda podwyżka płac powoduje wzrost cen towarów i tak oto powstaje inflacyjny błędny koło. Nie jestem ekonomistą i nie mam odpowiedzi na powyższy problem. Wiem natomiast z całą pewnością, że reperkusje społeczne „trendu” inflacyjnego są coraz poważniejsze i coraz głębsze.

Przysłuchiwałem się wielu dyskusjom pomiędzy młodymi a przedstawicielami starszego pokolenia. Czytałem transkrypty analogicznych dyskusji, które w ubiegłym roku odbywały się w innych krajach.

Doszedłem do wniosku, że ma się taką młodzież jakiej się ma szkoły średnie. Za moich czasów w gimnazjach główny nacisk położony był na łacinę, grekę, historię literatury — czyli na tzw. humanistykę. Dziś główny nacisk kładzie się na przedmioty technologiczne, a więc na matematykę, fizykę, chemię itd. Przemiana ta w programach szkolnych była nieuchronna, ponieważ epoka technologiczna potrzebuje matematyków, fizyków, chemików a tylko bardzo niewielu filologów klasycznych.

Współczesne społeczeństwo jest organizmem niezmiernie skomplikowanym i tylko tym którzy go nie znają i nie rozumieją wydaje się podobne do społeczeństwa z epoki ubiegłej.

Dawniej doświadczenie życiowe było równoznaczne ze znajomością społeczeństwa, w którym danej jednostce żyć wypadło. Lecz dziś tak nie jest. Współczesne społeczeństwo — łącznie z młodzieżą — stanowi strukturę tak złożoną, że trzeba mieć przygotowanie teoretyczne, by móc rozeznaczyć się w tym gąszczu zagadnień. Słuchając dyskusji z młodymi odnosi się często podobne wrażenie jakiejś musiałaby wywołać dysputa laików o anatomii. Tak młodym jak i starym zbyt często brak jest podstawowej wiedzy na tematy społeczne. Z drugiej strony należy stwierdzić, że młody człowiek, który świeżo ukończył szkołę średnią — nie miał wiele sposobności do zapoznania się z naukami społecznymi.

Mówimy i piszemy do znużenia o fenomenalnym rozroście środków komunikacji. Lecz media komunikacji to nie jest wszystko. Konieczny jest jeszcze pewien uniwersalny poziom średniego wykształcenia. Wydaje mi się, że we wszystkich szkołach średnich w ostatnich 4 czy 3 wyższych klasach, socjologia powinna być przedmiotem obowiązkowym. Wówczas młodzi ludzie, dyskutując namiętnie problemy społeczne, nie mówiliby jak ślepi o kolorach. Ilu młodych, którzy krytykują strukturę społeczną a nawet głoszą konieczność ich obalenia — nie rozumie funkcjonowania i współzależności owych struktur.

Każdy uważa za rzecz oczywistą, że zna społeczeństwo, w którym się urodził i wychował. Jest to identyczny nonsens jak pogląd, że żyjąc z naszym ciałem, czy raczej w naszym ciele, nabieramy znajomości anatomii. Tak anatomii ludzkiego ciała jak i anatomii struktur społecznych trzeba się uczyć, jeżeli w powyższych sprawach pragnie się zabierać głos. Młodzi nie rozumieją, że rewolucja — podobnie jak chirurgia — to nie są zajęcia dla amatorów.

Lecz mimo niepokojów w przemyśle, mimo demonstracji stu-

denckich, mimo klęsk żywiołowych jak super-powódź w Pakistanie — ubiegły rok należałoby określić rokiem wielkiej stabilizacji. Brytyjski Foreign Office wydał krótki komunikat (11 linijek) w którym oświadczono, że rząd wita z zadowoleniem publikację układu polsko-niemieckiego. *The Guardian* z 21 listopada ub. roku zamieścił na ten temat artykuł pod charakterystycznym tytułem: „Wszystko wyrównane na Froncie Wschodnim”.

Wszystko??

Traktat polsko-niemiecki odczytano w Waszyngtonie i w stolicach zachodnioeuropejskich jako dalszy i ważny krok w kierunku stabilizacji.

Od czasu Sedanu problemem Europy były Niemcy. Zachodni Europejczycy wykrwawili się w dwóch wojnach światowych w tym celu, by nie dopuścić do hegemonii Niemiec na kontynencie.

Polityka rewizjonistyczna, antypoczdamska, która streszczała się w żądaniu zwrotu ziem utraconych przez Niemcy w konsekwencji drugiej wojny światowej — nie budziła nigdzie sympatii. Na Zachodzie zdawano sobie bowiem sprawę, że rewizjonizm niemiecki potencjalnie zagraża pokojowi i upragnionej stabilizacji. Mocarstwa zachodnie były jednak za słabe by wymusić na Niemcach uznanie granicy na Odrze i Nysie. Obawiano się również, że zdecydowany nacisk w tej sprawie mógłby odwrócić Niemcy od Zachodu.

Niemcy uznali granice na Odrze i Nysie na życzenie Sowietów. W zrozumieniu Anglika czy Francuza oznacza to, że nie będzie trzeba podejmować trzeciej wojny światowej przeciwko Niemcom — bo rolę, którą do tej pory spełniali Anglicy i Francuzi przejęła Rosja. Dziś Rosja chroni nas przed hegemonią niemiecką i przed niemieckimi apetytami terytorialnymi, które w przeszłości były zawsze zarzewiem wojny.

Tak oto w wielkim skrócie przedstawia się stabilizacyjna wartość układu polsko-niemieckiego.

Ktoś powie, że cenę za ową stabilizację płać Polacy, Czesi, Węgrzy i inne narody satelickie. *De facto* to nie jest „cena”, ponieważ Francuzi czy Anglicy mogą doskonale obyć się bez polskiej czy węgierskiej niepodległości. Anglicy czy Francuzi powitaliby z życzliwością rządy demokratyczne w Warszawie czy w Pradze, lecz nie za cenę wojny. Narody Zachodu wybiorą zawsze dziesiątki lat pokoju — choćby owe dziesiątki lat stabilizacji miały być okupione dziesiątkami lat naszej niewoli. W tej kwestii nie należy mieć żadnych złudzeń.

Mimo to jednak wśród Polaków — zwłaszcza wśród emigracji — istnieje silna orientacja zachodnia. Wypływa ona ze zrozumiałych sentymentów. Walczyliśmy w sojuszu z mocarstwami zachodnimi, Król angielski witał naszego Prezydenta gdy przybył do wojennego Londynu — byliśmy uznawani, cenieni i potrzebni.

Lecz dziś nie jesteśmy potrzebni. Gdy Rosjanie wkroczyli do Pragi, sympatie Anglików były w całości po stronie Czechosłowaków. Jednak uczciwe dzienniki, jak *The Guardian*, nie tały obaw, że ów kryzys może doprowadzić do wojny, której za wszel-

ką cenę należy uniknąć. Powstania czy rewolucje w Warszawie, w Pradze czy w Budapeszcie nie leżą w interesie mocarstw zachodnich, bo mogłyby zachwiać system stabilizacji poczdamskiej a nawet zagrozić pokojowi.

Rozpocząłem ten artykuł od rozważań na temat stałych nurtów w polityce polskiej. Dlaczego orientacja pro-rosyjska nigdy nie przyniosła żadnych owoców? Wydaje mi się, że owa orientacja była fałszywie adresowana. Polska orientacja rosyjska była zawsze uprawiana przez reakcjonistów i adresowana do rosyjskiego *establishment*. Z rosyjskim konserwatywnym *establishment* — czy to w wydaniu carskim czy sowieckim — nie porozumiemy się nigdy.

Rosja to nie tylko konserwatywny *establishment*. W Rosji nastają ruchy wolnościowe i demokratyczne i z tymi ruchami należałoby szukać porozumienia. W Sowietach istnieje „sowiecki ruch demokratyczny”, komitet ochrony praw obywatelskich, a przede wszystkim istnieją tysiące ludzi gotowych do walki i ofiary. W Rosji nie brak pisarzy odważnych, którzy zdecydowani są zawsze ryzykować więzienie, by ogłosić swoje książki. To jest nowa Rosja, z którą należy szukać kontaktu i porozumienia.

Nikt mnie nie przekona, że cenzura w Polsce jest surowsza niż w Sowietach. Jednak Rosjanie a nie Polacy zdobyli w krótkim okresie czasu dwie Nagrody Nobla (pomijam trzecią — Szołchowa).

Ktoś wyraził się podobno, że Polska nie potrzebuje „sami-zdatu”, bo... istnieje paryska *Kultura*. To jest sąd dla nas bardzo pochlebny — jednak fakt, że w Polsce nie ma literatury podziemnej na wielką skalę — posiada swoją wymowę.

W tym momencie gdy w Rosji budzą się ruchy demokratyczne i wolnościowe Polska mogłaby odegrać znaczną rolę — gdyby sama posiadała dynamiczną literaturę, własny potężny ruch wolnościowy i gdyby była „fabryką myśli” w bloku wschodnim.

Są Rosjanie z którymi warto rozmawiać. Lecz nie ma komu z nimi rozmawiać. Kto ma rozmawiać z Rosjanami typu Sołżenicyna czy Pawła Litwinowa? Kto? Iwaszkiewicz?

Orientacja pro-rosyjska, którą proponuję — opierać się musi nie tylko na właściwym adresacie, lecz również na właściwym nadawcy. Innymi słowy tylko polscy demokraci i postępowcy mogliby szukać kontaktów z nową Rosją. Polskich postępowych demokratów jest zbyt mało, a ci co są — nie mają wizji.

Tak oto Polska weszła w lata siedemdziesiąte jako uboga krewna Związku Sowieckiego. Czekamy na przemianę w Rosji w świętym przekonaniu, że my nie mamy powodu w niczym się zmieniać.

W okresie Października mówiono, że „myślenie w Polsce ma kolosalną przyszłość”. Gdzie ta przyszłość?

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

L I N I A

„Nie prenumeruję *Kultury* bo nie zgadzam się z jej linią polityczną”.

„Nie pisuję do *Kultury* bo nie zgadzam się z jej linią polityczną”.

Tego rodzaju opinie powtarzają się w listach, w prywatnych rozmowach, w dyskusjach.

Co to jest linia *Kultury*? *Kultura* szuka dróg wiodących do niepodległości. Polska jest w tak trudnej sytuacji, że należy przebadać każdą koncepcję i zastanowić się nad każdą możliwością. *Kultura* nie jest pismem ani socjalistycznym, ani rewizjonistycznym, ani neo-marksistowskim. Służymy tylko jednemu celowi, którym jest niepodległość Polski. Ten cel wyznacza polityczną linię *Kultury*.

Fakt, że moje artykuły pisane są z postawy socjalistycznej — niczego nie dowodzi. Jestem przekonany, że gdyby pojawił się pisarz prawicowy kalibru Adolfa Bocheńskiego — Giedroyc drukowałby jego artykuły. Chciałby bowiem dać mu możność zaprezentowania prawicowej koncepcji przejścia przez „morze czerwone”. Oczywiście ów prawicowy pisarz, podobnie jak Bocheński, musiałby być demokratą.

Redaktor *Kultury* posiada w swojej „orkiestrze” socjalistów i nie socjalistów — pilsudczyków i nie pilsudczyków — ludzi religijnych i agnostyków — ewolucjonistów i anty-ewolucjonistów. Czy nie na tym polega demokracja?

W bibliotece *Kultury* ukazały się moje książki pisane przez socjalistę i ewolucjonistę. Lecz równocześnie w tej samej bibliotece *Kultury* ukazały się książki, które potępiają socjalizm i ewolucjonizm. Lecz tak jedne jak i drugie są książkami niepodległościowymi i stanowią odrębne głosy w „parlamentarystyce polskiej” na obczyźnie.

Są i tacy, którzy zarzucają nam, że w ogóle nie mamy linii, ponieważ zbyt często zmieniamy naszą politykę.

Kultura tym się różni od innych ośrodków politycznych na emigracji, że nie zamyka problemu niepodległości w skamieniałej skorupie. Zdajemy sobie również sprawę, że w obecnej epoce różne drogi prowadzić mogą do niepodległości. Nikt nie ma monopolu na politykę niepodległościową i każda poważna koncepcja warta jest przeanalizowania.

Jeżeli ktoś mówi, że nie zgadza się z linią *Kultury* — oznacza to w rzeczywistości, że nie zgadza się z takim czy innym autorem i życzy sobie by jego „anty-faworyci” pozbawieni byli prawa głosu.

Na dwudziestolecie *Kultury* poprosiliśmy naszego pryncypalnego krytyka na emigracji, prof. Pragiera — by napisał artykuł wstępny do jubileuszowego numeru. Aparatczycy w Kraju podnieśli larum. „*Kultura* odesłoniła swoje prawdziwe oblicze” — pisano — „ponieważ drukuje arcyreakcjonistę Pragiera”.

Dla totalisty jest nie do pojęcia, że w tym samym zeszycie *Kultury* mogą być artykuły Pragiera i Mieroszeńskiego. Dla komunisty i dla wielu anty-komunistów na emigracji linia polityczna pisma jest pojęciem dogmatycznym.

Oczywiście *Kultura*, jak wszystkie ośrodki polityczne na całym świecie, w zasadniczych sprawach precyzuje swoje stanowisko. Lecz w określaniu naszego stanowiska nie kierujemy się nigdy taką czy inną ideologią, tym mniej polityką takiej czy innej partii — lecz wyłącznie niepodległościowymi interesami Polski. Ktoś może nie zgadzać się z naszymi opiniami w różnych sprawach. Lecz jeżeli ktoś mówi, że nie zgadza się z linią *Kultury* — to albo nie czytuje naszego miesięcznika albo jest zwolennikiem „linii” p. Gomułki.

NAUKA — POLITYKA — KOŚCIOŁY

We wszystkich mediach komunikacji pojawiają się stale ataki na naukowców. Nie brak również na ten temat artykułów i książek. Młodzi krytykują nie tylko naukowców lecz również „dziewiętnastowieczny racjonalizm”, który rzekomo zawiódł.

Podstawowe pytanie brzmi następująco: czy naukowiec ponosi moralną odpowiedzialność za swoje odkrycie? W mojej ocenie, w kraju demokratycznie rządzonej, za odkrycia naukowe w ostatecznym rozrachunku odpowiedzialność ponosi parlament i rząd czyli politycy.

Einstein zdecydował się napisać list do prez. Roosevelta — gdy go przekonano, że Niemcy dążą do biologicznej likwidacji Żydów w Europie. Tak powstał „Manhattan Project”, którego finałem było atomowe zbombardowanie Hiroszimy. Einstein chciał bronić narodu, z którego się wywodził, przed ludobójstwem. Uważał, że ponieważ Żydom groziła całkowita zagłada — był moralnie usprawiedliwiony sięgnąć po nową i strasliwą broń.

Jak wiadomo na Niemcy nie spadła ani jedna bomba atomowa. Natomiast bomby atomowe spadły na dwa miasta japońskie — pomimo, że Japończycy nie uczynili nigdy żadnej krzywdy Żydom. To jest klasyczny przykład, że naukowiec, choćby tak genialny jak Einstein, nawet jeżeli podejmie decyzję moralną, to z chwilą gdy ujawni swój projekt — automatycznie wydaje go w ręce polityków. Można zaryzykować pogląd, że gdyby hitlerowcy traktowali Żydów po ludzku — „Manhattan Project” nie powstałby tak wcześnie i Hiroszima uniknęłaby swojego koszmarnego losu.

Naukowiec — nie mówimy o technologach — prowadzi swoje badania z tą samą wewnętrzną pasją z jaką Picasso maluje obrazy. Żadnego badania nie można zatrzymać w połowie drogi, tylko dlatego, że jego wynik może być groźny dla ludzkości. Poza tym w tej sprawie nie ma obiektywnych kryteriów. Energia atomowa może przynieść zagładę miast a nawet całych narodów — lecz może być również użyta dla celów pokojowych i wzbogacić ludzkość.

Niebezpieczeństwo leży gdzie indziej. Postęp nauki w porównaniu z ubiegłymi stuleciami jest niezmiernie szybki i różnorodny. Technologia stanowi zastosowanie odkryć naukowych do życia praktycznego. Byłoby rzeczą śmieszną winić naukowców za zatrucie rzek, jezior i powietrza. W tej sprawie parlamenty muszą uchwalić odpowiednie ustawy a rządy powziąć odpowiednie decyzje. Naukowcy przestrzegali wiele lat temu przed niebezpieczeństwem pollution.

Dramat polega na tym, że postęp wiedzy, który umożliwił rozbudowę technologii, stworzył tak wielką ilość problemów bez precedensu, że politycy

są wobec nich bezradni. Wszystkie biurokracje świata pracują w oparciu o precedensy. Najsprawniejsza biurokratyczna maszyna staje, gdy pojawia się problem bez precedensu.

Niemniej amerykański czy angielski uczoney może sobie powiedzieć że w społeczeństwie demokratycznym istnieje mała szansa by odkrycie naukowe zostało użyte w złym celu. Istnieje wolna opinia publiczna, prasa, parlament i możliwość protestu. Lecz w zupełnie innej sytuacji jest sowiecki naukowiec. Czy wolno mu — z punktu widzenia moralnego — postawić swoje odkrycie do dyspozycji rządu, który opiera się na aparacie represji, który tłumi każdy przejaw krytyki i niezależności myśli, który — jednym słowem — nie jest godzien zaufania?

W akcji prof. Sacharowa, wybitnego fizyka sowieckiego, o czym wspominałem w moim artykule w bieżącym numerze *Kultury* — objawia się wyraźnie ów moralny niepokój.



„Ojciec Nasz” stanowi jedną z najpiękniejszych modlitw. Ludzi są milardy lecz człowiek w „Ojciec Nasz” zwraca się do Boga jako do swojego indywidualnego ojca. W zrozumieniu chrześcijaństwa zbawienie dotyczy jednostek i naprawa społeczeństwa możliwa jest tylko poprzez jednostki. Nie udziela się sakramentów społeczeństwu — zawsze tylko jednostkom. W konfesjonale klęczy indywidualny człowiek, który szuka indywidualnego zbawienia.

Marksizm — mówimy o czystym marksizmie — kładzie główny nacisk na społeczeństwo a nie na jednostkę. Człowiek tylko poprzez służbę dla swojego społeczeństwa znaleźć może pełnię rozwoju swoich sił twórczych i wewnętrzne zadowolenie. Idealną społeczność z marksistowskiego punktu widzenia należałoby określić następująco: jednostka wszystko dla społeczeństwa — społeczeństwo wszystko dla jednostki.

„Kochać bliźniego jak siebie samego” jest nakazem społecznym, który pokrywa się całkowicie z marksizmem. Jestem pewien, że kościoły chrześcijańskie mogłyby odegrać daleko większą rolę w współczesnym świecie gdyby w swojej polityce społecznej zaakceptowały choćby częściowo filozofię Marksa. W aspekcie socjalnym nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy chrześcijaństwem a marksizmem. W przykazaniu o miłości bliźniego Chrystus w jednym zdaniu zdefiniował istotę socjalizmu, piękniej i trafniej niż Marks.

Jednak chrześcijanie interpretują owo społeczne przykazanie indywidualistycznie. Jednostka winna je wypełniać poprzez dobre uczynki jak jałmużna, filantropia, wspomaganie dobroczynnych organizacji itp. Inaczej mówiąc Chrześcijaństwo łagodzi skutki lecz nie jest zainteresowane w usunięciu przyczyn prowadzących do tych skutków. Jest na pewno dobrym uczynkiem wspomóc biednego — lecz w moim rozumieniu jeszcze lepszym uczynkiem jest pracować nad systemem społecznym, w którym biednych by nie było.

Postęp nauki — a w konsekwencji i rozwój technologii — stwarzają setki problemów nowych i bez precedensu. Politycy są opóźnieni o dwie dekady w rozpoznaniu tych spraw. Równocześnie nie ulega wątpliwości, że rewolucja technologiczna produkuje bogactwo i owego bogactwa przybywać będzie z każdym rokiem. Nie oznacza to, że każdy z nas automatycznie będzie coraz bogatszy. Oznacza to jednak, że — jeżeli zechcemy — bieda jako fenomen społeczny zniknie ze sceny. Bieda zniknie w tych krajach,

które wejdą w nową fazę rozwoju ze sprawliwymi systemami społecznymi. Nalepka „demokracja” przykrywa wstydlwie zbyt wiele krzywd, zbyt wiele nierówności majątkowych, *slums'ów* i zwyczajnej nędzy. Kościoły zamiast organizować festiwale i koncerty brodatych gitarzystów — winny zreformować swą filozofię społeczną i zaangażować się w budowie socjalistycznego społeczeństwa. Socjalizm nie musi być ateistyczny. Pomimo postawy laickiej, socjalizm w swojej filozofii społecznej przejął niezmiernie wiele z chrześcijaństwa. Co przejęły kościoły z socjalizmu?

IRYTACJA INTELEKTUALNA

W połowie listopada ukazała się moja książka pt. „Modele i Praktyka” (Biblioteka Kultury, tom 195).

Moje książki nie są pisane dla pokrzepienia serc — tylko dla pobudzenia umysłów nawet za cenę intelektualnej irytacji. Uważam, że czasem lepiej jest zaryzykować irytację Czytelnika — lecz równocześnie zmusić go do skupienia uwagi na danym problemie — niż podać mu konwencjonalną papkę, która w 80 % składa się z truizmów.

Książka jest kontrowersyjna lecz jak podkreślałem wielokrotnie o rzeczach nie kontrowersyjnych nie ma powodu pisać. Postęp w każdej dziedzinie idzie poprzez kontrowersję. Transplantacja serca jest operacją kontrowersyjną, o której się pisze i namiętnie dyskutuje. Za kilkadziesiąt lat transplantacja serca będzie równie banalna jak operacja ślepej kiszki.

Zarówno w nauce jak i w pisarstwie kontrowersyjność nie jest pogonią za oryginalnością czy sensacją — lecz zazwyczaj jest próbą znalezienia nowych rozwiązań dla starych problemów.

Celem mojej książki nie jest zdobywanie Czytelnika czy przekonywanie kogokolwiek. Chciałbym natomiast sprowokować Czytelnika, by spojrzął na pewne istotne problemy z innej perspektywy. Jeżeli się chce filozofować trzeba odrzucić całą filozofię, bo albo się jest historykiem filozofii albo filozofem. To samo dotyczy pisarstwa politycznego. Jeżeli chce się wysunąć nowe koncepcje, trzeba stare odrzucić. Ów proces odrzucania budzi irytację intelektualną u Czytelników, ponieważ większość z nas ceni i kocha rzeczy stare, znane, namaszczone tradycją. W sumie zagadnienie sprowadza się do kwestii: co kto odrzuca? Konserwatyści odrzucają niezmiernie więcej rzeczy nowych niż ja starych.

ANKIETY

Londyński *Dziennik Polski* rozpiął ankietę, która mogłaby być bardzo pożyteczna interesująca, gdyby była dobrze sformułowana. Badanie opinii publicznej polega w całości na umiejętności stawiania właściwych pytań. Podobnie lekarz tylko wówczas dojdzie do prawdziwej diagnozy jeżeli zadawać będzie pacjentowi trafnie sformułowane pytania.

Ankieta w *Dzienniku Polskim* składa się z sześciu punktów. Główne pytanie brzmi następująco: „Czy popiera Pan(i) myśl doprowadzenia do zgody na emigracji i wytworzenia wspólnego ośrodka działalności niepodległościowej?”.

Kto z kim ma się zgadzać czy godzić, tego z ankiety nikt się nie dowie. Czy Mieroszewski z prof. Pragierem, czy p. Sakowski z p. Nowakiem, czy „Zamek” z Radą Trzech?

Wolno się domyślać, że chodzi w tym wypadku o zgodę pomiędzy prez. Zaleskim a Radą Trzech. Jeżeli tak jest istotnie — to centralne pytanie, które przytoczyłem powyżej winno być poprzedzone następującym zapytaniem: „Jak Pan(i) ocenia dotychczasową działalność polityczną ośrodka politycznego p.n. „Rada Trzech” i jak Pan(i) ocenia dotychczasową działalność polityczną ośrodka politycznego prez. Zaleskiego?”.

Jeżeli ktoś chce dowiedzieć się prawdy poprzez badanie opinii publicznej — nie może tchórzyc przed ewentualną krytyką, czy nawet wręcz negatywnymi opiniami. Jeżeli komuś nie zależy na prawdzie — to po co rozpisywać ankietę?

Lecz oczywiście autorom ankiety nie zależało na zbadaniu i ustaleniu obiektywnego stanu rzeczy. Zależało im na tym, by nie urazić panów z Rady Trzech i z Egzekutywy. Jestem bowiem przekonany, że opinia emigracyjna odnosi się bardzo krytycznie do obu londyńskich ośrodków politycznych i zaiste byłoby dziwne gdyby było inaczej. Ankieta opracowana nie tendencyjnie z całą pewnością ujawniłaby ów fakt, który *Dziennik Polski* naiwnie stara się zatuzować.

Na pocieszenie przedstawiam Czytelnikom moją własną ankietę której pytania — pochlebiam sobie — są chytrze skonstruowane. Ponieważ jednak następny numer *Kultury* ukaże się jak zwykle dopiero w marcu — Czytelnicy będą mieli dużo czasu do zastanowienia się i nadesłania trafnych odpowiedzi.

MINI-ANKIETA MICKIEWICZOWSKA

Ankieta dotyczy Pana Tadeusza. Każdy Czytelnik, który nadeśle prawidłowe odpowiedzi na poniżej przytoczone pytania — otrzyma odrębny list od Londyńczyka z podziękowaniem.

1. Soplicowo leżało w powiecie: oszmiańskim, lidzkim,?
2. Sędzia nazywał się Soplica. Jak mu było na imię i jakiego był herbu?
3. Wojski nazywał się Hreczecha. Jak mu było na imię?
4. Jak brzmiało drugie imię woźnego?
5. Pan Tadeusz był blondynem czy brunetem?
6. Hrabia był blondynem czy brunetem?
7. Telimena była kobietą piękną? Miała poważne braki urody. Jakie?
8. Mazurek Dąbrowskiego powstał około roku 1797 (słowa Wybickiego, kompozytor nieznany). Pan Tadeusz liczył sobie lat 20 w roku 1811. Inaczej mówiąc był urodzony w roku 1791 a więc przed datą powstania mazurka Dąbrowskiego. Niemniej:

„Nawet stary stojący zegar kurantowy
w drewnianej szafie poznał u wniesia alkowey
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek”.

W owych czasach mazurek nie był stary. Tadeusz nie mógł go pamiętać z lat dziecińczych i nie mogło być w roku 1811 starego zegara kurantowego.

wego, który reprodukowałby prawie jeszcze na Litwie nieznany mazurek Dąbrowskiego. Czym należy wyjaśnić powyższe sprzeczności?

9. Proszę przeczytać z uwagą następujący cytat:

*„I kołyszcie Horeszków pokolenie trzecie,
wprawiać do Scyzoryka Pani mojej dziecię.
Jeśli syn, a syn będzie, bo wojny nadchodzą”.*

Gerwazy wypowiada w tym wypadku oczywisty nonsens. Jaki? Dla ułatwienia zaznaczam, że nonsens nie dotyczy Horeszków.

10. Wszyscy pamiętamy jak wyglądała tabakiera Podkomorzego, w którą dzwonił palcami ilekroć chciał przemawiać. Lecz jak wyglądały i z czego były zrobione tabakiery Gerwazego i Protazego?

11. Czy w Soplicowie jadano szparagi lub pomidory?

12. Czy pito piwo, szampana lub malagę?

LONDYŃCZYK

Widziane z Brukseli

„Arma” i „Musae”

Ilekroć udaję się na brukselskie lotnisko, a zdarza mi się to stosunkowo często, zawsze z niesmakiem odwracam wzrok od kompleksu niewysokich, brzydkich, koszarowych budynków, do których na odległość dobrego kilometra wiodą ogromne drogowskazy z napisem „OTAN-NAVO”. Napis ten we francuskim i flamandzkim skrócie odpowiada angielskim inicjałom NATO, pod którymi znany i powszechnie znienawidzony jest w Polsce Pakt Atlantycki.

I byłoby tak zostało chyba na zawsze, gdybym się niedawno nie dowiedział z *Zycia Literackiego*, że mam z NATO znakomite stosunki rodzinne. Uzbrojony więc we wszystkie dokumenty, z metryką urodzenia i świadectwem ślubu włącznie, i z egzemplarzem *Zycia Literackiego* w ręku, postanowiłem stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem. Wykorzystując pretekst grudniowej sesji tej organizacji, pełen emocji stanąłem więc u wrót piekieł. Pokazałem najpierw *Zycie Literackie*, ale pewien zamaskowany imperialista z opaską *securité* na ramieniu nie chciał przeczytać artykułu p. Szafrąńskiego, natomiast kazał jechać dalej przez długie i kręte uliczki, którymi tylko z trudem można było się przecisnąć między szpalarami rozmaitych Fordów, Oplów i Citroënów, maskujących naturalnie wozy bojowe NATO. Dziwiłem się nawet, że puścili mojego Volkswagena bez eskorty, jechałem wolno, wiadomo przecież, że teren zaminowany, aż jakiś inny facet, typowy CIA, krzyknął mi po flamandzku, żebym się nie

wiercił tylko zaparkował wóz i poszedł za strzałkami. Zamknąłem samochód starannie, inaczej na pewno podrzuciliby mi jakieś prowokacyjne materiały i udałem się we wskazanym kierunku. Tam trafiłem na znakomitą imperialistkę w mini-NATO-spódniczce, która najpierw także odmówiła przeczytania krakowskiego tygodnika, potem zapytała mnie o nazwisko, imię i miejsce pracy. Zanim zdążyłem wyjąkać co i jak, znalazłem się w posiadaniu małej plakietki z moim nazwiskiem. Ładnie to z jej strony, pomyślałem, od razu prezencik i chciałem się jej nawet odwzajemnić jakimś drobiazgiem, ale na szczęście w porę zorientowałem się, że inni mają także plakietki w klapie, i szybko zrobiłem to samo. Kiedy odzyskałem równowagę i odwróciłem wzrok od mini-spódniczki, ujrzałem dokoła setki zaaferowanych ludzi, przeważnie pijących piwo. Okazało się, że są to dziennikarze, że lokal był biurem prasowym NATO. Stwierdziłem także obecność zamkniętego obwodu telewizyjnego, przez głośniki dochodziły mnie w dwóch językach poszukiwania nazwisk, jakie znałem już z prasy i radia, obok była sala prasowa i restauracja. W skrócie — byłem akredytowany, mogłem pić piwo jak inni, natomiast niepotrzebnie czekałem na jakieś wywołanie w dwóch językach. Nikt mnie szukał. Gorzej — nikt do końca sesji się mną nie zainteresował, chociaż drugiego dnia zapomniałem plakietki w domu. Tylko przy barze, co jakiś czas, kolejny kolega dziennikarz (na pewno przebrany) nachylał się nad moją klapę, kiwał głową, klepał mnie po plecach i mówił: „No, to teraz moja kolejka”.

Kak w kino!

Cały trzydniowy pobyt w NATO mógłbym więc uznać za zmarnowany, choć było tam przecie kilku panów, którzy mogliby *Zycie Literackie* przeczytać. Im jednak nie miało sensu go pokazywać, bo na pewno artykuł p. Szafrąńskiego już przeczytali, jeżeli w ogóle sami go nie pisali. Na szczęście coś się jednak poza barem działo. Jak się dowiedziałem z dwóch długich komunikatów, podjęto nawet pewne uchwały. Zanim jednak przejdę do rezultatów sesji, chciałbym kilka rzeczy ostro skrytykować.

Przed wszystkim, naturalnie, sprawa czujności. W NATO panuje okropny bałagan, każdy wchodzi i wychodzi kiedy chce, w barze i restauracji są wszystkie trunki, a wiadomo, że osłabiają one czujność. Co prawda restauracyjne menu zaczyna się od przestrogi „Uwaga! znajdujesz się poza strefą bezpieczeństwa”, ale to puste gadanie, bo równocześnie sprzedają tam wódkę i to rosyjską! W NATO!?

Gdzie im tam do sprawnej organizacji sesji Paktu Warszawskiego. Nie tylko, że nie ma tu żadnych drogowskazów, strzałek, mini-spódniczek czy barów, ale nie ma tam po prostu dziennikarzy. Tylko na chwilę przed otwarciem posiedzenia wpuszcza się kilku upoważnionych fotografów, pstryk, no i wont, do domu. W gazetach lakoniczny, jednobrzmiący komunikat o „atmosferze jedności, braterstwa i zaufania”.

Tutaj natomiast ktoś wymyślił instytucję *briefingów*. Polega to na tym, że po zakończeniu każdego posiedzenia szefowie po-

szczególnej delegacji skrzykują „swoich” dziennikarzy i przekazują im własne streszczenie obrad, przeważnie z komentarzem i z ujawnieniem różnic w stanowiskach. Bałagan rośnie, kiedy po *briefing*ach narodowych, zwołuje konferencję prasową rzecznik NATO. Jest to pewien Holender, mający do pomocy pewnego Turka. Tutaj jest spokojnie, nie ma komentarzy, są tylko rzeczowe streszczenia, a raczej wyjątki z przemówień. Na sali wyposażonej w świetnie działający system „simultanki”, czyli jednocześnie tłumaczenia na kilka języków, jest pustawo, i tylko w pierwszych rzędach zasiadają ci dziennikarze, którzy pozbawieni są oparcia o własne delegacje.

Było więc tam kilku Azjatów, nostalgiczni Hiszpanie (ciągle czekający u wrót NATO), kilku południowych Amerykanów, no i spory oddział dziennikarzy z krajów Europy Wschodniej ze Związkiem Sowieckim na czele. Słaby na ogół stan liczbowy wschodniej reprezentacji w Brukseli został na okres sesji NATO poważnie wzmocniony, np. ekipa dziennikarska sowiecka czy węgierska (!?) górowała nad Portugalią, Grecją czy Turcją, chociaż te ostatnie należą do NATO i nawet za to płacą. Był także jeden Czech, Rumunów zabrakło, bo oni nie uznają bloków; byli chyba jeszcze inni, ale jakoś nie poznałem...

W Brukseli nawet kawy nie można było spokojnie wypić. Właśnie siedziałem w barze przy stoliku, studiując niektóre materiały szpiegowskie, rozdawane przez biuro prasowe, kiedy zrobił się szum, hałas i — jak mówią reporterzy — zapłonęły jupitery i trzasnęły foto-aparaty. Okazało się, że obok mnie usiadł niejaki Laird, minister obrony USA. Był w towarzystwie kilku amerykańskich dziennikarzy, pił Coca Colę (na pewno ma akcje), miał najokropniejszy i największy krawat świata i swobodnie rozmawiał z wianuszkami otaczających go żurnalistów. Na szczęście udało mu się uniknąć wspólnej ze mną fotografii. Gdyby go potem w Pentagonie zobaczyli, dostałby za swoje w jakimś *Literary Life*.

Podobnie nieostrożny był min. Scheel, który na oczach wszystkich udowodnił, jak cyniczny jest zachodnioniemiecki system propagandowy. Po *briefing*u ze „swoimi” dziennikarzami, a była ich ze setka, Scheel w barze prasowym stanął przed kamerami TV i właściwie trzy razy powtórzył te same — jak pisze sowiecka prasa — „puste hasła propagandowe”. Zmieniali się natomiast dziennikarze reprezentujący kilka zachodnioniemieckich sieci telewizyjnych.

Pokazywali się także i inni ministrowie, ale na nich mało kto już zwracał uwagę. Aczkolwiek bowiem w NATO wszyscy są równi, to jednak niektórzy są równiejsi. Zdanie tych równiejszych właśnie przecięło ostry spór o to czy wypada aby następna sesja NATO odbyła się w Lizbonie, stolicy jednego z mniej równych państw i nie tak bardzo demokratycznych. Miejsce obrad podlega rotacji; każda z 15 stolic ma prawo do tego zaszczytu. Anty-portugalskie hasła rzucali przede wszystkim krnąbrni Nor-

wegowie i Duńczycy, ale ktoś ich przekonał, że lepiej zachować argumenty i siły na dyskusję na temat Aten, na które — zgodnie ze znaną teorią chorążego Orzeszki — też przyjdzie kolej.

Jaskrawych barw walce dwóch bloków dodaje najzupełniej przypadkowy zbieg okoliczności, to jest fakt, że już po raz trzeci obrady przywódców agresywnego ugrupowania atlantyckiego toczą się równocześnie ze spotkaniem szefów państw miłujących pokój. I że za każdym razem pustemu gadulstwu Atlantydwów przeciwstawiona jest męska zwięzłość Warszawistów. Rekord padł w sierpniu 70, kiedy to odprawa posłów socjalistycznych po podpisaniu traktatu Moskwa-Bonn, trwała jedynie 5 godzin. Jak na monolog to i tak sporo...

Manifest 5.000 słów

Sesja NATO zakończyła się opublikowaniem dwóch komunikatów, liczących razem 5.000 słów, z czego po pobieżnej analizie ok. 4.900 wydaje się zbędnych.

Streszczając komunikat polityczny, można powiedzieć, że pogodzono dwa poglądy. Pierwszy (rzekomo amerykański), że odprężenie jest niepodzielne i że Berlin nie jest bardziej ważny niż np. rakiety w Suezie czy flota sowiecka na Morzu Śródziemnym. I drugi, że owszem to prawda, ale że warto poddać ZSSR jakieś poważniejszej próbie i uzależnić wszelki postęp w sprawie np. konferencji europejskiej od egzaminu berlińskiego. Taki pogląd reprezentowała rzekomo Francja, która wskazywała, że w węzle berlińskim koncentruje się kilka ważnych rzeczy: ratyfikacja układów z ZSSR i z Polską, sukces rokowań między Niemcami, itp.

W sumie — jak powiedział jeden z rzeczników z miną głęboko konspiracyjną — komunikat polityczny to dokument wyrażający i zdecydowanie i wolę otwarcia. Dodał jeszcze z powagą, że jest to dokument skomplikowany, albowiem poruszane w nim sprawy nie są proste... Krótko więc i konkretnie. Wypadło to tym jaśniej, że sesja zakończyła się na chwilę przed ogłoszeniem wyników spotkania Paktu Warszawskiego. Komunikat ogłoszony w Berlinie Wschodnim stwierdza mianowicie — w ślad za przemówieniem Breżniewa z Erywania — że warto od czasu do czasu „brać pod uwagę życzenia mieszkańców Berlina Zachodniego”. Równocześnie zaś niepoprawny Ulbricht, sabotując ruch na szosach między Berlinem Zach. a NRF, udowodnił jak on to „branie pod uwagę” sobie wyobraża.

Po erywańskim przemówieniu Breżniewa ktoś w euforii wyraził w Brukseli pogląd, że może warto by od czasu do czasu brać również pod uwagę życzenia mieszkańców Pragi czy Warszawy, nie mówiąc już o Moskwie, ale po zademonstrowaniu przez VOPO jak sobie to towarzysze wyobrażają, natychmiast zrezygnował z tej propozycji.

Poważniej od politycznej wypadła naturalnie część wojskowa. Generałowie, zwłaszcza ci równiejsi, jak wiadomo na żartach się nie znają. Szybko więc doszli do wniosku, że niektórym partnerom przewróciło się w głowie od odprężeniowej fali, że realne środki przeznaczone w ZSSR na zbrojenia rosną średnio o 5 do 6 % rocznie, podczas gdy, liczony w porównywalnych wskaźnikach, odsetek produktu narodowego przeznaczany w niektórych państwach Zachodu na zbrojenia spadł w okresie 1964-69 o ok. 4 %. Komitet obrony NATO stwierdził, że rosnące siły wojskowe ZSSR stanowią istotny argument w sowieckiej dyplomacji i że tendencje ZSSR do rozszerzenia swoich wpływów i swej obecności „nie przestają wzbudzać pewnych wątpliwości co do jego intencji”.

Te subtelne zastrzeżenia przekonały europejskich partnerów USA, którzy w tej sytuacji postanowili wesprzeć wycieczką Amerykę sumą ok. 500 milionów dolarów w celu załatwienia dziur w kosztach utrzymania wojsk USA nad Renem.

W oczekiwaniu na berliński gest ze strony ZSSR, niezbędny dla odblokowania szans konferencji europejskiej, ostatnia sesja NATO trzy razy uniknęła otarcia się o granicę śmieszności.

Po raz pierwszy uratował sytuację belgijski minister Harmel. Doszedł on mianowicie do wniosku, że gdyby „konferencja na temat bezpieczeństwa europejskiego miała się sprowadzić jedynie do przeknięcia doktryny Breżniewa, to zostalibyśmy bezbronni wobec satyryków”.

Drugi raz — kiedy poszukiwano formuły mówiącej o możliwości porozumienia co do zmniejszenia zagranicznych sił zbrojnych stacjonujących po obu stronach Europy. Realizacja doszła mianowicie w porę do wniosku, iż powinna to być redukcja geograficznie symetryczna, to znaczy, że wycofaniu się Amerykanów do USA nie może odpowiadać wycofanie Rosjan z Berlina czy Warszawy do Królewca czy Lwowa. W tym miejscu właśnie śmiano się serdecznie, bo przecież nawet amerykańscy generałowie wiedzą, że wojska sowieckie w NRD, Czechosłowacji i w Polsce nie mają charakteru obronnego na wypadek agresji Danii czy nawet Islandii, a stanowią siłę po prostu okupacyjną, niezbędną w wypadku zagrożenia wewnętrznego, potrzebną więc np. dla stłumienia powstania berlińskiego w 1953 r. dla zaszantażowania VIII plenum w 1956 w Polsce, dla skrwawienia powstania węgierskiego w 1956 roku lub też inwazji Czechosłowacji 1968 roku.

W barze atlantyckim zorganizowano nawet wielostronnego totka na temat szans takiego porozumienia. Jest tam sporo forsy w rozmaitych dewizach. Ja już znam zwycięzcę...

Po raz trzeci uśmiech ukazał się na naszych twarzach, kiedy stwierdziliśmy, że zanim zredukujemy zachodnie wojska w Europie, to już zaczęliśmy ideologicznie osłabiać wroga. Okazało się mianowicie, że armia belgijska, mocna część sojuszu obronnego wolnego świata, maszeruje w kauczukowych botach produkcji...

NRD. Nie jest to przy tym pierwszy taki wypadek, bo niektóre bojowe oddziały belgijskie już kilka lat temu paradowały w NRD-owskich sandałach. Aczkolwiek trudno je uznać za materiał wojskowy z kategorii najbardziej ostatecznych, ale zawsze, przyjemnie pomyśleć, że w razie ataku rewanżystowskich sił belgijskich, wolne terytorium NRD nie zostanie dotknięte butem najeźdźcy lecz socjalistycznym sandałem.

Gwiazda Sołżenicyna...

Być może, że histeryzuję, ale spod tej piramidy głupoty i fałszu, tylko z rzadka wydostaje się okrzyk rozsądku i nadziei. Taką optymistyczną manifestacją był zryw studentów belgijskich w obronie ich zagranicznych kolegów. Czegoś takiego dawno już tu nie widziano. Precz poszły różnice walońsko-flamandzkie; „wszyscy jesteście obcokrajowcami” — krzyknęli pierwsi studenci KUL'u, czyli Katolickiego Uniwersytetu w Louvain. Za nimi poszli inni: strajki, głodówki, demonstracje, aż w końcu minister Sprawiedliwości, któremu tutaj bezpieczeństwo naprawdę podlega, ustąpił, zawiesił wszystkie decyzje wydalenia z Belgii tych obcych studentów, którzy nie byli w porządku z przepisami.

W marcu 68 za obronę jednych polskich studentów inni polscy studenci zostali skatowani przez policję, szli do więzienia, tracili studia, ich rodzice tracili często pracę, a niektórzy tracili też ojczyznę. W kapitalistycznej Belgii rząd nie tylko zawiesił deportacje, ale zapowiedział uchwalenie specjalnego „statutu obcokrajowca”, gwarantując mu pełnię praw obywatelskich.

Innym przejawem postawy nadziei i rozumu była Nagroda Nobla dla Sołżenicyna. Jest dla mnie rzeczą oczywistą i nie widzę w tym nic zdrożnego, że niezależnie od bezspornych kryteriów artystycznych i niezależnie od intencji jury, przyznanie Nobla Sołżenicynowi — tak jak przedtem przyznanie innej nagrody Lukaczowi, a jeszcze przedtem prof. Czerny'emu z Pragi — mają charakter polityczny w najlepszym sensie tego słowa. To bolesne, że pisarz nie mógł przybyć do Sztokholmu na uroczystość wręczenia nagrody. Ale stokroć ważniejsze jest, że ludzie w ZSSR dowiedzieli się, iż świat o nich pamięta, w ich bowiem oczach — i tak ocenił to sam pisarz — nagroda przyznana została nie tylko jemu, ale także wszystkim odważnym i dobrym, skazanym w jego kraju na milczenie. W ten sposób, gwiazda Sołżenicyna, choć w Sztokholmie nieobecna, świeci jasnym blaskiem w całej Rosji, Europie i w świecie.

Przyćmiła ona nawet obecną w Sztokholmie gwiazdę z otoku czapki marszałka Greczki, który właśnie odwiedził Szwecję. Można by tu snuć niekończące się rozważania na temat złośliwości historii, która lubi paradoksy, a która sprawiła, że zamiast pisa-
rza Sołżenicyna przybył marszałek Greczko, ale zostawmy to moralistom i satyrykom. Dla nas taki zbieg wydarzeń ma coś

z dziejowego skrótu, symbolizuje epokę, oddaje treść władzy, gdzie wolni są generałowie, a myśl jest w kryminale.

... gwiazda Dawida...

Następny skrót dziejowy dotyczy wizyty Brandta w Warszawie. Na innym miejscu *Kultura* zajmuje się traktatem polsko-niemieckim. Tutaj odnotujemy tylko, że zdjęcie Brandta, klęczącego u stóp pomnika w getcie, obiegło cały świat i było naprawdę wstrząsające. Ten człowiek odważny i wspaniałomyślny, był naprawdę wielki w momencie największej pokory, w momencie Canossy za cudze winy.

Szkoda tylko, że zabrakło w owej chwili i w owym miejscu tych nielicznych, którzy przeżyli getto, że zabrakło przedstawicieli wypędzonej niedawno z Polski społeczności żydowskiej.

Jest za to paradoksem historii, że nie zabrakło tam przedstawicieli organów odpowiedzialnych za to wypędzenie, i że na zdjęciu z podpisania traktatu, obok znieruchomiałej twarzy Gomułki, widać uśmiech Moczara, który właśnie na likwidacji Żydów i na kontrowaniu rokowań z NRF chciał wjechać na miejsce swego szefa.

Nie wiem ile w geście Brandta było prawdziwej pokory, a ile politycznego wyrachowania. Nie ważne zresztą. Ważne natomiast, że gest ten nosi skazę. Jest nią obecność w delegacji zachodnio-niemieckiej Ernsta Achenbacha, byłego radcy okupacyjnej ambasad w Paryżu, człowieka, którego podpis figuruje pod dokumentami decydującymi o likwidacji Żydów francuskich. Dojechał do Warszawy, chociaż, jak już o tym pisałem w *Kulturze*, na skutek protestu opinii publicznej, musiał on zrezygnować ze starań o wysoki fotel w kierownictwie Wspólnego Rynku w Brukseli.

... i gwiazda Mao

I na koniec znakomita reakcja Warszawy na fakt, iż uznanie granicy na Odrze i Nysie w traktacie z Polską następuje w 3 miesiące po złożeniu przez NRF gwarancji na temat tej granicy na ręce ZSSR: Mao Tse-tung mianowicie zawiadomił Warszawę o uznaniu granicy na Odrze i Nysie. Jako zachodniej granicy Chin. Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku.

BRUKSELCHYK

Pisane 14 grudnia 1970

Tekst Układu między PRL a NRF

UKŁAD MIĘDZY PRL A NRF
PARAFOWANY W WARSZAWIE 18. XI. 1970 R.
PRZEZ MINISTRÓW SPRAW ZAGRANICZNYCH
S. JĘDRYCHOWSKIEGO I W. SCHEELA

UKŁAD
MIĘDZY
POLSKĄ RZECZĄPOSPOLITĄ LUDOWĄ
A
REPUBLIKĄ FEDERALNĄ NIEMIEC
O PODSTAWACH NORMALIZACJI
ICH WZAJEMNYCH STOSUNKÓW

Polska Rzeczpospolita Ludowa i Republika Federalna Niemiec, zważywszy, że ponad 25 lat minęło od zakończenia drugiej wojny światowej, której pierwszą ofiarą padła Polska i która przyniosła ciężkie cierpienia narodom Europy,

pomnie tego, że w tym okresie w obu krajach wyrosło nowe pokolenie, któremu należy zapewnić pokojową przyszłość, pragnąc stworzyć trwałe podstawy dla pokojowego współżycia oraz rozwoju normalnych i dobrych stosunków między nimi, dążąc do umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie, świadome, że nienaruszalność granic i poszanowanie integralności terytorialnej i suwerenności wszystkich państw w Europie w ich obecnych granicach jest podstawowym warunkiem pokoju, uzgodniły, co następuje:

Artykuł I

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa i Republika Federalna Niemiec zgodnie stwierdzają, że istniejąca linia graniczna, której przebieg został ustalony w rozdziale IX uchwał Konferencji Poczdamskiej z dnia 2 sierpnia 1945 roku od Morza Bałtyckiego bezpośrednio na zachód od Swinoujścia i stąd wzdłuż rzeki Odry do miejsca, gdzie wpada Nysa Łużycka oraz wzdłuż Nysy Łużyckiej do granicy z Czechosłowacją, stanowi zachodnią granicę państwową Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

2. Potwierdzają one nienaruszalność ich istniejących granic teraz i w przyszłości, i zobowiązują się wzajemnie do bezwzględnego poszanowania ich integralności terytorialnej.

3. Oświadczają one, że nie mają żadnych roszczeń terytorialnych wobec siebie i nie będą takich roszczeń wysuwać także w przyszłości.

Artykuł II

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa i Republika Federalna Niemiec będą kierowały się w swych wzajemnych stosunkach oraz w sprawach zapewnienia bezpieczeństwa w Europie i na świecie celami i zasadami sformułowanymi w Karcie Narodów Zjednoczonych.

2. Zgodnie z tym, stosownie do artykułów 1 i 2 Karty Narodów Zjednoczonych, będą one rozwiązywały wszystkie swe kwestie sporne wyłącznie za

pomocą środków pokojowych, a w sprawach dotyczących bezpieczeństwa europejskiego i międzynarodowego, jak też w swych wzajemnych stosunkach, powstrzymają się od groźby przemocy lub stosowania przemocy.

Artykuł III

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa i Republika Federalna Niemiec będą podejmować dalsze kroki zmierzające do pełnej normalizacji i wszechstronnego rozwoju swych wzajemnych stosunków, których trwałą podstawę będzie stanowić niniejszy układ.

2. Są one zgodne co do tego, że we wspólnym ich interesie leży rozszerzenie ich współpracy w zakresie stosunków gospodarczych, naukowych, naukowo-technicznych, kulturalnych i innych.

Artykuł IV

Niniejszy układ nie dotyczy wcześniej zawartych przez strony lub ich dotyczących dwustronnych lub wielostronnych umów międzynarodowych.

Artykuł V

Układ niniejszy podlega ratyfikacji i wejdzie w życie w dniu wymiany dokumentów ratyfikacyjnych, która nastąpi w Bonn.

Na dowód czego, pełnomocnicy umawiających się stron podpisali niniejszy układ.

Układ niniejszy sporządzono w Warszawie, dnia w dwóch egzemplarzach, każdy w językach polskim i niemieckim, przy czym oba teksty są jednakowo autentyczne.

W imieniu
Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej

(—)

W imieniu
Republiki Federalnej Niemiec

(—)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

A więc Aleksander Sołżenicyn nie pojechał do Sztokholmu na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla. Nie pojechał z własnego wyboru, gdyż z jego otwartego listu do szwedzkiej Akademii Nauk wynika, że mógłby prawdopodobnie pojechać, ale po pierwsze obawiał się że nie będzie mógł wrócić, a po drugie uważał za upokarzające dla siebie prosić o rekomendację w partkomie Związku Pisarzy. Sołżenicyn mógł pojechać do Sztokholmu, i sądząc z niektórych informacji władze chciały by to zrobić. 20 listopada, na posiedzeniu zarządu Związku Pisarzy, jeden z wódzirejów Związku, Siergiej Wasiliew, wyraził swoje uczucia w wytwornej, jak wypada pocie, formie: Niech on (tj. Sołżenicyn) zabiera się do wszystkich diabłów.

Aleksander Sołżenicyn nie miał ochoty sprawić przyjemności Wasiliewom i im podobnym.

Zresztą nie należy sądzić że literatura sowiecka, odciawszy się od Sołżenicyna, została bez laureatów. Laureatów, ściślej jednego laureata, jej nie brak. W związku z 53-cią rocznicą Rewolucji Październikowej państwową nagrodę literacką — zupełnie nie wiedząc co z nią robić — dano Sergiejowi Sartakowowi za trylogię „Barbińskie opowieści”. Chwaląc trylogię, kompozytor Tichon Chrennikow (widocznie nikt z pisarzy nie chciał się podjąć tej roli) zdołał tylko wydusić, że „oświećla ona problem klasy robotniczej analizując naszą młodzież”.

Jest taka stara anegdota. W końcu lat dwudziestych przyjechał na studia do Mediolanu sowiecki śpiewak-bas W drodze do Włoch zatrzymał się w Paryżu i złożył wizytę Szaliapinowi, któremu z miejsca oświadczył, że zastępuje go w Związku Sowieckim. Wielki śpiewak poprosił swego kolegę o zaśpiewanie. Wysłuchawszy go, Szaliapin zapytał: A więc pan mnie zastępuje? — Tak — z dumą odpowiedział sowiecki śpiewak. — Dobrze im tak — rzekł na to Szaliapin. Myślę, że te słowa można powtórzyć wszystkim, którzy wybrali zamiast Sołżenicyna Sartakowa.

Naród sowiecki odetchnął z ulgą. Ogłoszono datę XXIV zjazdu partii — 30 marca 1971 roku. Znowu teraz, jak w sławne dni przygotowywania jubileuszu leninowskiego, będzie można wyrobić nadgodziny, przekraczać plan itd., itp.

Przygotowuje się i rząd. Podsumowuje się wyniki wykonania planu z zeszłego roku, Rada Najwyższa zatwierdza plan na rok 1971 (zjazd powinien zatwierdzić nowy plan pięcioletni).

Jak dotąd, można tylko stwierdzić dziwne rozbieżności w ocenie urodzaju w bieżącym roku.

27 listopada gazety zamieściły przemówienie członka politbiura Susłowa, wygłoszone na naradzie przedstawicieli wiejskich sołowiei Republiki Rosyjskiej (RSFSR). Susłow oświadczył, że „W 1970 roku osiągnięto najwyższy urodzaj w historii naszej gospodarki rolnej”. Ale 9 grudnia, na sesji Rady Najwyższej ZSSR, przedstawiciel Gosplanu Bajbakow określił ostatni urodzaj jako tylko dobry, nie przytaczając żadnych cyfr. Jak wiadomo, plan przewidywał mniej więcej 174 mln ton zboża, o 2 mln ton więcej niż urodzaj 1966 roku, najwyższy w historii Związku Sowieckiego. Jeśli nawet plan został wykonany, jeśli nawet zebrano o 2 mln ton więcej niż w 1966 r., to przecież za ten okres ludność ZSSR powiększyła się nie mniej niż o 12 milionów ludzi.

Możliwe, że dla tego właśnie Bajbakow nie chciał się chwalić. Jakby nie było jest on ekonomistą, a nie partyjnym pracownikiem jak Susłow.

A więc na chwałę zjazdu ludzie pracy więcej pracują, ekonomiści rachują i planują. Lecz istnieje jeszcze jedna dziedzina przygotowań do zjazdu, w której działalność z każdym dniem rośnie. Coraz częściej, coraz obficie nazwisko Leonida Iljicza Breżniewa pojawia się na stronicach gazet. Żelazne prawo kształtowania kultu jednostki działa bez najmniejszych zmian.

Pisałem niedawno o ukazaniu się dwóch tomów przemówień i referatów Breżniewa. Naturalnie to niewiele, ale ilość przemówień wygłoszonych ostatnio przez Breżniewa pozwala mieć nadzieję, że przed zjazdem ukaże się i trzeci tom. Brawo! W miesięczniku *Znamia* (nr 11) W. Sutocki pisze o znaczeniu myśli tow. Breżniewa. „Materiały zawarte w tych dwóch tomach pozwalają w pełni zrozumieć najważniejsze aspekty życia publicznego kraju i świata i trafnie wytyczać kierunki”.

Jak widzimy, nie tylko życie kraju lecz i świata staje się jasne po przeczytaniu dwóch tomów L. I. Breżniewa. Ale tradycja ustalona przez Stalina wymaga by wódz był nie tylko filozofem-marksistą, czyli myślicielem, ale i człowiekiem czynu tj. dowódcą wojskowym. Był dowódcą Stalin, stał się nim — gdy zaszła potrzeba — Chruszczow, staje się nim — skoro okazało się to potrzebne — Breżniew. To nie żart. Niedawno, w ramach przygotowań do zjazdu, pismo *Ogoniok* ogłosiło artykuł o wojennych zasługach Generalnego Sekretarza KC. Zajmował on stosunkowo niewysokie stanowisko członka Rady Wojennej 18-ej Armii. Ale, jak powiadają w *Ogonioku* — „robił rzeczy niemożliwe możliwymi”. „Był ulubieńcem Armii. Znał nastroje i myśli żołnierzy.

Prowadził ich do zwycięstwa”. Wszystko to dzięki wybitnym walorom osobistym nowego wodza: „W zgiełku bitwy słychać było jego pewny i spokojny głos. Wielokrotnie wykazywał swoją wyjątkową odwagę i żelazne opanowanie”.

Więc wszystko jest gotowe: filozof i wódz. Zresztą do zjazdu zostały jeszcze cztery miesiące, możliwe że u Breżniewa znajdują się i inne talenty.

I jeszcze jedna dziedzina, w której rozpoczęło się aktywne przygotowanie do zjazdu, — partia przeszła do ideologicznego ataku na inteligencję. Na zebraniach partyjnych referenci oskarżają uczonych, filozofów, ekonomistów, pisarzy, artystów o obojętność wobec zagadnień marksistowsko-leninowskiej ideologii. Sekretarz moskiewskiego komitetu partii, M. Griszyn, występując na zebraniu w Moskwie, gorzko skarżył się na to, że „propaganda polityczna ma charakter powierzchowny i prowadzi się ją od wypadku do wypadku”; że partyjne komitety instytutów Akademii Nauk nie troszczą się „o utwierdzenie ducha partyjnego w nauce”.

23 listopada *Prawda* ogłosiła artykuł wstępny pt. „Nieprzejednanie wobec burżuazyjnej ideologii”. Artykuł ten ukazał się natychmiast po oświadczeniu trzech uczonych Sacharowa, Turczyńska i Czalidze (17 listopada) o stworzeniu przez nich komitetu obrony praw człowieka w ZSSR.

Prawda podkreśla „konieczność systematycznego prowadzenia wśród uczonych propagandy marksistowsko-leninowskiego pojmowania politycznych, socjalno-ekonomicznych, filozoficznych zagadnień współczesności”. Gazeta oświadcza, że „ideowe zahartowanie twórczych pracowników całej inteligencji nabiera w naszych dniach coraz większego znaczenia”.

Ale oto co rzuca się w oczy. I na moskiewskiej konferencji i w *Prawdzie* wymieniono, jako nosicieli szkodliwego zarazka ideologii burżuazyjnej, tylko dwa moskiewskie teatry: Teatr na Tagance którym kieruje Lubimow, i Teatr Dramatu w którym pracuje reżyser Efros. Uczonych dotkniętych tym zarazkiem nie zdecydowano się wymienić.

I to można nazwać najbardziej charakterystyczną cechą obecnej sytuacji w Związku Sowieckim. Z jednej strony partia widzi niebezpieczeństwo w walce uczonych o rozszerzenie ich praw, z drugiej strony niezbędność uczonych staje się z każdym dniem coraz bardziej widoczna. W tychże samych gazetach, w których ogłasza się wezwania do wzmocnienia czujności ideologicznej, ogłasza się również (specjalnie w *Izwiestjach*) liczne materiały, świadczące o konieczności rozpoczęcia natychmiast, dziś jeszcze, ulepszenia systemu zarządzania gospodarką.

Główna uwaga prasy sowieckiej jest w ostatnim czasie skierowana na zagadnienia wymagające udziału uczonych. Zatyłowana rozprawa akademika N. Fedorenko, ogłoszonej w nrze 10 miesięcznika *Nowyj Mir*, „Naukowo-techniczna rewolucja i kierow-

nictwo" jest bardzo charakterystyczne. Ma się wrażenie, że sowieccy przywódcy dopiero teraz zdali sobie sprawę, że w świecie przebiega rewolucja naukowo-techniczna i że stare metody kierownictwa dziś są nieprzydatne. I ta myśl — czerwoną nicią — przewija się we wszystkich materiałach pojawiających się w druku. W szkicu o zakładach automobilowych nad Wołgą (*Izwestia*, 11. XI.) z pewnym zdumieniem mówi się o tym, że przy nowym systemie nie ma i nie może być rekordów, wystarczy wykonywać normy i bynajmniej nie należy ich przekraczać (rozumie się samo przez się, że ani słowem nie wspomina się o Włochach budujących zakład, o Fiacie który sprzedał licencję); w artykule o stylu kierownictwa (*Litieraturnaja Gazeta*, 2. XI.) wykazuje się wyższość „demokratycznego stylu kierownictwa gospodarczego” nad metodą autorytatywną, opierającą się na groźbach i przymusie.

19 marca 1970 Sacharow, Turczyn i Miedwiediew w liście do Breżniewa konstatowali z goryczą: „Rozpoczęła się druga rewolucja przemysłowa i obecnie, na początku 70-tych lat naszego stulecia, widzimy że nie dognawszy Ameryki, zostajemy za nią coraz bardziej i bardziej w tyle”.

Powstaje wrażenie, że kierownictwo sowieckie dosłyszało te słowa i stoi obecnie na rozdrożu. Jak przeprowadzić naukowo-techniczną rewolucję bez uczonych i techników? Odpowiedzi na to pytanie jeszcze nikt w Moskwie nie zna. Sądząc po ostatnich materiałach prasowych, wolno przypuszczać, że będzie podjęta próba rozbicia inteligencji sowieckiej na dwie kategorie. Jednej grupie — uczonym, technikom — będzie dana możliwość eksperymentowania w dziedzinie naukowego kierowania ekonomicznymi procesami rozwoju kraju, drugą grupę — pisarzy, artystów — utrzyma się pod ścisłym, ideowo twardym kierownictwem partii. Czy będzie to „wprowadzanie demokratyzacji z inicjatywy i pod kontrolą wyższych czynników”, jak mają nadzieję autorzy listu do Breżniewa, czy proces demokratyzacji wymknie się spod kontroli — pokaże przyszłość. Możliwe że „wyższe organy” dojdą do przekonania, że znakomicie mogą się obejść bez naukowo-technicznej rewolucji, jeśli zaczną ona zagrażać ich pozycji.

Nie jesteśmy odosobnieni w naszych wątpliwościach, czy obecnie sowieckie kierownictwo jest w stanie zrozumieć i rozwiązać skomplikowane zagadnienia dnia dzisiejszego. Tego rodzaju wątpliwości wyraził niedawno Walter Ulbricht, do niedawna największy przyjaciel i podpora Związku Sowieckiego. 13 listopada, na uroczystym posiedzeniu w 150-tą rocznicę urodzin Fryderyka Engelsa, wódz NRD wyłożył swoje bardzo poważne pretensje pod adresem kierowników pierwszego w świecie mocarstwa socjalistycznego. Nie licząc się ze słowami, skrytykował on wewnętrzną politykę Związku Sowieckiego, jego politykę w międzynarodowym ruchu komunistycznym i wreszcie jego politykę

wewnętrzno-ekonomiczną, podkreśliwszy że właśnie w NRD, a nie w Związku Sowieckim, został opracowany system, pozwalający na „osiągnięcie optymalnych decyzji przy realizowaniu naukowo-technicznej rewolucji”. I tu przypominają nam się słowa Lenina. Wkrótce po przewrocie październikowym Lenin, oczekujący z dnia na dzień światowej rewolucji, oświadczył że Rosja przeprowadziwszy rewolucję znalazła się w awangardzie ludzkości, ale gdy tylko rewolucja dokona się i w innych krajach, Rosja znowu zajmie to miejsce jakie zajmowała w rodzinie narodów przed rewolucją, to jest znów stanie się krajem zacofanym. Ulbricht chce widocznie powiedzieć, że ten czas już nadchodzi.

Przeczytawszy to co napisałem, ze zdumieniem widzę, że piszę bardzo dużo o niedostatkach. A jak wyglądają pozytywne? Czy w ogóle istnieją? Istnieją. O jednym takim pozytywnym fakcie chciałbym opowiedzieć. Semantyka — nauka o znaczeniu słów, nauka o której dużo pisał prof. Schaff, stała się w Związku Sowieckim zdobyczą szerokich mas ludowych. Oto co można przeczytać w piśmie *Ku nowemu życiu* (Nr 5/1970), organie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSSR: „Pismo niejednokrotnie drukowało listy naszych czytelników-nadzorców, którzy domagali się zmiany nazwy ich czynności. Zagadnienie to zostało rozwiązane. Obecnie starsi nadzorcy i nadzorcy śledczych izolatorów, więzień, szpitali psychiatrycznych specjalnej kategorii, kolonii pracy wychowawczej, będą się nazywali starszymi kontrolerami i kontrolerami”.

Byli nadzorcy, obecnie kontrolerzy, dobrze rozumieją że nie funkcja jest ważna, ale jej nazwa. Zupełnie możliwe, że obecnie więźniowie poproszą by nazwać ich kuracjuszami, wtedy problem więzień i łagrów w Związku Sowieckim można będzie uważać za rozwiązany.

Pomysł byłych nadzorców bardzo mi się podoba i z tego powodu, że zdecydowali się oni nazwać siebie kontrolerami, mając widocznie w pamięci słowa Władimira Iljicza: socjalizm to obrachunek (niech będzie nawet obrachunek uwięzionych).

Największej sensacji ostatniego miesiąca, „Pamiętnikom Chruszczowa”, gazety sowieckie poświęciły mało miejsca. Ale ogłoszony materiał wydaje mi się znacznie bardziej interesujący, niż to co napisały gazety całego świata. Zaczniemy jednak od początku. 23 listopada *Life* i jednocześnie londyński *Times*, francuski *France Soir*, niemiecki *Stern* rozpoczęły druk materiałów nazwanych „Pamiętnikami Chruszczowa”.

Posiadacz materiałów — koncern „Time” — nie zechciał wyjaśnić tajemnicy ich otrzymania, ale z miejsca oświadczył, że „Pamiętnikami” nie można ich nazwać w żadnym wypadku (nie-

mniej wszyscy tak je nazywają). Zostało wyjaśnione, że tekstu rękopiśmiennego nie ma, są tylko taśmy magnetofonowe, które „przełożył i opracował” 23-letni absolwent rosyjskiego działu uniwersytetu w Yale, Strobl Talbott. Autentyczność materiału stwierdził angielski dziennikarz i pisarz Edward Crankshaw, autor biografii Chruszczowa, ale także książek o Józefie Conradzie, Gestapo, domu Habsburgów, Marii Teresie, oraz szeregu powieści. W Moskwie o takich ludziach mówią „specjalista od zagadnień ogólnych”.

Od razu powstał spór, zajmujący dużo miejsca na stronach pism całego świata: czy to są prawdziwe wspomnienia Nikity Chruszczowa, czy fałszerstwo.

Spór był abstrakcyjny, gdyż nikt jeszcze „Pamiętników” nie czytał, ale są już gorący zwolennicy jednej i drugiej teorii. W czasie sporu wścibscy dziennikarze odkryli ciekawy szczegół. Okazało się, że między 20 a 27 sierpnia w wytwornym hotelu „Angleterre” w Kopenhadze, gdzie zatrzymało się trzech amerykańskich dziennikarzy, współpracowników „Time”, znajdował się również sowiecki dziennikarz Victor Luis, którego nazywają handlarzem tajemnicami i podejrzewają o współpracę z KGB.

„Pamiętniki” już się drukują, a spór o ich autentyczność trwa nadal. Znawcy twierdzą, że to „fałszywka”, gdyż Chruszczow mówi, że był wybrany kandydatem na członka Politbiura w 1936 r., a rzeczywistość miała to miejsce w roku 1938, Swietłana Stalin uważa „Pamiętniki” za podrobione, gdyż Chruszczow mówi, że był gościem Stalina wtedy, gdy go nie było w Moskwie itd.

Wystąpił sam zainteresowany, Nikita Siergiejewicz. W trzech głównych gazetach sowieckich ogłoszono jego oświadczenie. „To jest sfabrykowane, — oświadczył Chruszczow — jestem tym oburzony”. I dodał: „Żadnych pamiętników, ani materiałów o charakterze pamiętnikarskim nigdy nikomu nie przekazywałem — ani „Time”, ani innym zagranicznym wydawnictwom. Nie przekazywałem również takich materiałów sowieckim wydawnictwom”.

Chruszczow z naciskiem podkreśla, że „Pamiętników” nikomu „nie przekazywał”, dając w ten sposób do zrozumienia, że je napisał albo pisze.

Zaznajomienie się ze wspomnieniami, stanowiącymi jedynie część otrzymanych przez „Time” materiałów, które w końcu roku mają się ukazać w wydaniu książkowym, pozwala przypuszczać, że w dużym stopniu są one prawdziwe. Chciałbym powrócić do bardziej szczegółowej analizy dopiero po przeczytaniu książki, ale i teraz można np. powiedzieć, że jest wątpliwe, by ktoś z „zachodnich fałszyfikatorów” wymyślił opisaną w „Pamiętnikach” telefoniczną rozmowę Chruszczowa ze Stalinem, w czasie której wódz światowego proletariatu czynił wymówki moskiewskiemu sekretarzowi partii, że w Moskwie jest mało publicznych wychodków, a potem — jak pisze pamiętnikarz — uważnie doglądał budowy w stolicy ZSSR tych niezbędnych urządzeń.

Zaznajomienie się z „Pamiętnikami” pozwala mi, jak sądzę, wysunąć przypuszczenie o ich przygotowaniu w Moskwie przez

słynny departament dezinformacji KGB. Trzeba przypomnieć, że w ostatnich czasach ten departament przygotował dla zachodniego czytelnika „pamiętniki” sowieckich szpiegów Kima Philby i Gordona Lonsdale. Można wreszcie powołać się na artykuł w *Izwiestjach*, który miałem w myśli na początku tej wzmianki. Ukazał się on 24 listopada pod pięknym tytułem „W kuchni fałszyfikatorów”. Autorem jest nadzwyczaj poinformowany dziennikarz, który z nadmiaru skromności przybrał nazwisko S. Nowgorodzki. Jego zdaniem „Pamiętniki” Chruszczowa są dziełem wywiadu angielskiego, którego agentem jest Edward Crankshaw (poinformowany sowiecki dziennikarz podaje nawet numer, pod którym Crankshaw figuruje w kartotece *Intelligence Service*), oraz wywiadu amerykańskiego, którego agentem (młodym, ale utalentowanym) okazuje się Strobl Talbott. I dalej poinformowany S. Nowgorodzki opowiada o rozmowie, która miała miejsce pewnego „wiosennego dnia 1951 roku” między Allanem Dullem, szefem wywiadu amerykańskiego, i jakimś europejskim gościem. Chociaż rozmowa odbywała się w cztery oczy, S. Nowgorodzki zapewnia, że przytacza ją ze stenograficzną prawie dokładnością. O czym rozmawiano?

Dulles zamawiał u europejskiego gościa napisanie fałszyfikatorów pod tytułem „Pamiętniki Litwinowa”. I podał swój „przepis na fałszyfikację”. „Trzeba wziąć 90 % tego co było rzeczywiście powiedziane, dodać 1 % tego co my chcemy podać do wiadomości opinii publicznej. Pozostałe 9 %, nie zastanawiając się ani minuty, przeznaczam na opisy uroków przyrody. Choć brzmi to paradoksalnie, dezinformacja opinii publicznej staje się tym głębsza i skuteczniejsza, im obficie wykorzystane zostały w kłamstwie znane ludziom fakty i poglądy”.

Oto, wydaje mi się, rozwiązanie „tajemnicy” „Pamiętników” Chruszczowa: 90 % tego co było, 1 % zamierzonej dezinformacji, 9 % opisów przyrody. I wydaje mi się niewątpliwe, że ten 1 % dezinformacji dolano do „chruszczerwowskiego barszczu” w Moskwie. Jest to dla mnie widoczne w rozdziale o układzie sowiecko-niemieckim, o wojnie sowiecko-fińskiej i w innych miejscach.

Powstaje tylko pytanie, dlaczego „Pamiętniki” puszczono właśnie teraz. Można sądzić, że nie bez znaczenia był fakt przyznania Sołżenicynowi Nagrody Nobla. Chruszczow zasłonił Sołżenicyna. Przynajmniej tak zamierzali autorzy „Pamiętników”.

Adam KRUCZEK

Kraj

W cieniu układu Bonn - Warszawa

Zaraz po październiku 1956 roku powstało w Polsce Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich (w skrócie: TRZZ). Celem powołania nowej instytucji na pewno nie było szczególne zainteresowanie czynników oficjalnych rozwojem społeczno-gospodarczym tych ziem; przede wszystkim chciano naprawiać błędy popełnione w okresie tzw. kultu jednostki wobec miejscowej, autochtonicznej ludności.

Jeśli kiedykolwiek będą otwarte krajowe archiwa różnych placówek rządu komunistycznego w Polsce — szczególnie zaś archiwa partyjne — to przed przyszłym historykiem zarysuje się obraz, rzadko spotkany w historii jakiegoś państwa narodowego, wynaradawiania własnych obywateli pochodzenia polskiego. Lata 1947-1956 należą do tego smutnego okresu w naszej historii, kiedy to prowadzono prawdziwą wojnę krzyżową przeciwko wszystkiemu co Ślązaków czyniło Polakami. Dostępne z autopsji jak i z pewnych pisanych źródeł fakty postępowania władz wobec Polaków-Ślązaków należą do najciemniejszych kart historii Polski Ludowej.

Świadoma i celowa polityka usuwania Ślązaków z wszelkich ważniejszych stanowisk państwowych, represje wobec wsi śląskiej oraz nieprzytomna propaganda, wręcz nagonka przeciwko powstańcom śląskim i całemu ruchowi narodowemu, to drobne przykłady jak władze reżymowe traktowały polskość na tych ziemiach. Wystarczy powiedzieć, że w grupie 500 Niemców, wyjeżdżających w listopadzie 1956 roku do Niemiec, było aż 230 byłych powstańców śląskich. Późniejsze lata dostarczyły by mogły wiele dalszych, niemniej drastycznych przykładów ludzi wyjeżdżających z Polski do Niemiec a posiadających przeszłość jak najbardziej polską.

Wszyscy ci którzy wyjeżdżali w okresie tzw. października czynili to wskutek dawniejszego terroru UB, które szczególnie ostro zwalczało tradycje i idee polskiego Śląska.

W katowickim urzędzie bezpieczeństwa istniała specjalna komórka do rozpracowywania byłych działaczy polskich na Śląsku. Kierował nią płk Dowgang, w skład jej wchodził między innymi niejaki oficer UB, nazywający się Bukar, podlegali zaś oni przedstawicielowi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie, który legitymował się nazwiskiem Gołębiowski (przypuszczalnie pseudonim). Akcja infiltrowania, zastraszania czy aresztowania była szeroko przez tę komórkę prowadzona.

Przypomnijmy, że 21 października 1950 r. aresztowano na całym Śląsku około 200 działaczy polskich, Ślązaków lub związanych w przeszłości ze Śląskiem ludzi z innych części Polski. Więcej niż połowa z nich została w odpowiednio preparowanych procesach skazana na długoletnie więzienia.

W ślad za terrorem fizycznym szedł terror moralny. W radykalny sposób dążono do zlikwidowania wszelkich śladów polskości na tych ziemiach.

W roku 1948, z polecenia ówczesnego wojewody śląskiego Aleksandra Zawadzkiego, w Bytomiu zamieniono na szpital zakaźny gmach — zasłużonych dla polskości na Śląsku — gazety i wydawnictwa *Katolik*.

Długoletni przywódca Ślązaków, zmarły tuż przed wybuchem wojny — zresztą działacz na skalę ogólnopolską — Wojciech Korfanty, urucił nazwę jednej z ulic Katowic na rzecz nowej, wziętej z nazwiska czołowego komunisty śląskiego, polakożercy, Józefa Wieczorka. W ogóle nazwisko Korfantego należało do trefnych i nie wolno było o nim wspominać gdziekolwiek na forum publicznym. W różnych pseudo-pracach naukowych opluwano Korfantego jako sługusa i lokaja kapitalistów na Śląsku. Zaś nawet jeden „historyk” widział w nim przedstawiciela faszystowskiego — nacjonalistycznego kierunku polskiego, który szerzył się, o zgrozo, na Śląsku poprzez jego powstania. Ludzi, którzy w czasie II wojny światowej nazywani byli na Opolszczyźnie królami polskimi — w okresie szczytu terroru hitlerowskiego prowadzili w swoim domu tajną szkołę polską — wyrzucano ze wszystkich majątności. Zabrano dom, rolę, wszelki dobytek¹.

W szczególny zaś sposób szykanowano działaczy wielce zasłużonej dla polskości organizacji „Sokół”. Jak przyznano, po październiku, na łamach katowickiego *Dziennika Zachodniego* było tajne zarządzenie władz bezpieczeństwa, by tego rodzaju osób nie przyjmować nawet na nic nie znaczące stanowiska pracowników umysłowych w przemyśle. Na jednym z zebrań stalinowskiego Zbowidu w Gliwicach podnoszono ze strony byłych powstańców fakt wynoszenia Niemców na stanowiska w administracji państwowej i w organach partyjnych. W odpowiedzi na te głosy, było to w lutym 1955 r. gdy powoli zaczynała się destalinizacja, ówczesny szef milicji obywatelskiej w Katowicach, Fr. Słlachcic, zagroził dyskutującym, że każe ich przymusowo wy-

1. Nie podaje nazwisk osób ze względu na możliwość przebywania jeszcze kogoś z tych rodzin w kraju.

prowadzić z sali. Tajemnicą poliszynela było, że wielu dyskutantów musiało się później w wiadomym urzędzie tłumaczyć.

Rzeczywiście popierano w tym okresie na Śląsku osoby wywodzące się z dawniejszej Komunistycznej Partii Niemiec. Wszyscy ci ludzie nie tylko nigdy nie mieli nic wspólnego z polskością na Śląsku ale wręcz ją dawniej zwalczali. Nic też dziwnego, że i obecnie zwalczali polskość na Śląsku, dążąc do ostatecznej likwidacji tych Ślązaków którzy jeszcze przed I-szą wojną światową walczyli o polski Śląsk. Znany też jest na Śląsku okólnik (27. VII. 1945 r.) podpisany przez dawnego I sekretarza PPR w Katowicach, Romana Nowaka, o przyjmowaniu do partii chętnych wstąpienia do niej, choćby nawet związanych w przeszłości z okupantem hitlerowskim. Tak więc przyjmowano w jej szeregi notorycznych hitlerowców.

W Oleśnie, w województwie opolskim, przyjęto do PPR, i to jako funkcjonariusza partyjnego, osobnika odpowiedzialnego oświadczyć za wystrzelanie w 1941 r. 7-mioosobowej rodziny polskiej (nazywał się on Helmut Fasse). Zresztą powszechnie znana zaraz po wojnie sprawa konfidentów gestapo na Śląsku: Grolika, Kamperta i Ulczoka — wyciągnięta w Krajowej Radzie Narodowej przez PSL, a broniona przez obecnego najbliższego współpracownika Gomułki, Zenona Kliszkę — nie wymaga w tej materii żadnych dalszych komentarzy.

Dodajmy tylko, że oskarżyciel publiczny w tym procesie, dr J. Niekraś, znalazł się też — pomimo braku jakiegokolwiek działalności politycznej — w więzieniu bezpieki. Być może, że był to rewanż za oskarżenie agentów gestapo — członków PPR.

Innego rodzaju „kwiatuśzek” rządów komunistycznych na Śląsku opolskim to sprawa byłego (do roku 1957) przewodniczącego wojewódzkiej rady narodowej, Jana Mrochonia. Ten był członkiem Komunistycznej Partii Niemiec z zoologiczną nienawiścią niszczył wszystko co było polskie. Przechwalał się on podczas pewnego zebrania hutników w Zawadzku (1954 rok), że osobiście rozpędził ludzi chcących zbierać jakieś eksponaty książąt opolskich do muzeum w Opolu. Nam nie potrzeba tutaj żadnych śladów burżuazyjnej przeszłości Polski, bo my, towarzysze niemieccy (twierdził), walczyliśmy o klasowe wyzwolenie Śląska. Kacyk ten dostał się w 1957 roku na łamy warszawskiego *Przeglądu Kulturalnego*, gdy w jednym z reportaży opisywano jak to „pomógł dobrą radą” w przypadku zagrożonych, z braku konserwacji, historycznych kamienic w mieście Nysa. Mianowicie poradził, by związać dobry sznur, pociągnąć go na dół i kamienice rozsypią się w gruzy. Dzisiaj, w Polsce socjalistycznej, nie trzeba nam więcej tego rodzaju zabytków — pouczał dookoła, mową raczej niemiecką.

Ten zasłużony dla Niemiec nacjonalkomunista wyjechał w 1958 roku do państwa Ulbrichta, gdzie zapewne korzysta z poparcia towarzyszy niemieckich oraz swojego syna Günthera Mrochonia — generała pierwszej w historii Niemiec armii robotników i chłopów.

Jeśli tacy ludzie całymi latami w Polsce Ludowej kształtowali politykę „polską” na ziemiach zachodnich, to doprawdy trudno się już dziwić, że w latach 1956-1962 wśród wyjeżdżających do Niemiec byli także Polacy. Byli, i to niestety w poważnych ilościach.



Dowiedzieliśmy się obecnie, że po rocznych pertraktacjach doszło do podpisania układu, uznającego wreszcie nasze zachodnie granice ze strony Niemieckiej Republiki Federalnej.

Wstydliwym jednak listkiem figowym, ze strony reżymu panującego dziś w Warszawie, przykryta jest sprawa humanitarnych żądań, jakie podczas prowadzonych pertraktacji podniosły Niemcy. Wstydliwym dla reżymu, bo i po październiku 1956 roku, w świetle układu Bonn-Warszawa, przyjdzie mu zebrać fatalny plon swojej polityki na Śląsku. Trzeba bowiem wiedzieć, że i pod rządami Gomułki sytuacja Polaków-Ślązaków niewiele zmieniła się na lepsze.

Partyjny wielkorządca Śląska, Edward Gierek, skierował swoją politykę na Śląsku na tory szowinizmu dzielnicowego i nacjonalistycznego. W tym pierwszym pomógł mu fakt powojennego rozszerzenia — w sensie administracyjnym — województwa katowickiego poprzez przyłączenie do niego ziemi zagłębiowskiej. Umożliwia to chytrze ukartowaną grę, mającą na celu przeprowadzenie dwóch spraw na raz. Przykładowo: podnosząc zasługi Ślązaków w walce o polskość (zwłaszcza tych co nie żyją) równocześnie wszelkie czołowe stanowiska we wszystkich organach czy zakładach pracy rezerwuje się dla ludzi z tzw. czerwonego zagłębia. Dzieje się to teraz dlatego, ponieważ Ślązacy uważani są z kolei za niepewny klasowo element. W dalszym też ciągu uważa się ich za obywateli drugiej kategorii. Mentalność Gierka i jego otoczenia jest prosta. Zagłębiacy zawsze byli zaangażowani klasowo, czyli walczyli o komunizm, Ślązacy natomiast znajdowali się na linii zaangażowania narodowego. Idąca z góry tendencja do nieobszadniania nimi ważniejszych stanowisk pracy pociąga również za sobą groźbę i zbrodniczą konsekwencję w postaci utrzymywania, w niektórych kręgach społecznych, że Ślązacy to Niemcy.

Niewątpliwie na tego rodzaju terenach granicznych zawsze znajdują się różni ludzie — tacy, co pod wpływem rozczarowań zmienili się z Polaków w Niemców jak i Polacy wypowiadający się za koniecznością współpracy, w sensie gospodarczym, z Niemcami — którzy są dogodnym celem kontruderzenia propagandy partyjnej. Puszczą się w ruch najbardziej fałszywe argumenty propagandy nacjonalistycznej i do jednego mianownika sprowadza się wszystkich Ślązaków wraz z Niemcami. Nie uwzględniając przyczyn historycznych mówi się o innym zachowaniu podczas okupacji Zagłębiaków w przeciwstawieniu do Ślązaków. Obelżywe hasło Ślązak-Niemiec posiada swój podkład w partyjnej chęci skłócenia Zagłębiaków ze Ślązakami.

Rachunek krzywd dla tych ostatnich jest długi i bolesny. Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich nic nie pomaga w rozładowywaniu tej tragicznej sytuacji, chociaż można teraz mówić o Korfantym i powstaniach śląskich. Nie pomaga, bo dalej na jego czele stoją ludzie pokroju Mrochonia, jak przykładowo w Katowicach niejaki Walenty Kubica; członek dawniejszej Komunistycznej Partii Niemiec. Ma on zresztą wytyczne działania ograniczające się do wygłaszania propagandowych pogadek zarówno przeciwko Niemcom jak i wszelkiego rodzaju przeciwnikom władzy ludowej na Śląsku.

Z każdym rokiem warunki życia miejscowej ludności pogarszają się. Jest ona traktowana nieomal jako element zupełnie obcy. Powoduje to oczywiście określone skutki społeczne. Jak najbardziej nie pożądane, biorąc pod uwagę propolskie dążności, jakie zawsze występowały na Śląsku wśród miejscowej ludności.

Z przegłędanych przeze mnie najświeższych źródeł partyjnych (wrzesień 1969 rok) geografia osób zapisanych na wyjazd z województwa katowickiego do Niemiec Zachodnich wyglądała mniej więcej następująco w trzech miastach, których dane mogłem oglądać:

Wielkie miasto Katowice — zapisanych na wyjazd	18.000 osób,
według rozeznania partyjnego Niemców —	11.000.
Miasto Bytom — zapisanych na wyjazd	58.000 osób,
według rozeznania partyjnego Niemców —	37.000.
Miasto Zabrze — zapisanych na wyjazd	54.000 osób,
według rozeznania partyjnego Niemców —	31.000.

Tę resztę, sklasyfikowaną w kategorii nie Niemców (stanowi ona w przypadku Zabrze wręcz wstrząsającą cyfrę 23.000 osób), identyfikowano na podstawie dawniejszej działalności polskiej, zachowania się podczas okupacji (posługiwano się pozostawionym nieomal w stanie nienaruszonym archiwum gestapo w Katowicach), postawy zajmowanej zaraz po wojnie oraz w poszczególnych latach Polski Ludowej oraz rodowodem rodzinnym. Dyrektywy napływające z Warszawy z ministerstwa spraw wewnętrznych nakazywały represjonować kilkaset osób zapisanych na wyjazd, a uważanych zdecydowanie za Polaków. Niewiele to zresztą miało pomóc skoro działacz polski na Śląsku, nie posiadający renty z poparcia Zbowid, bez żadnej przesady przymiera z głodu. Niezwykle tragiczna jest jego sytuacja materialna w ustroju komunistycznym. Warunki bowiem materialne zwykłego śmiertelnika w tym najbogatszym ośrodku przemysłowym Polski należą ciągle do więcej niż skromnych. Nie one jednak przesądzały decydująco o chęci wydobycia się do Niemiec. Bezmiar ucisku politycznego w postaci traktowania ludzi, jako różnego rodzaju narzędzi w ręku partii, odrzuca przeciętnego Ślązaka od takich rządów aktualnej Polski. Stopniowo wzrasta w nich przekonanie o braku potrzeby składania nowych ofiar na rzecz swojego patriotyzmu. Nieszczęściem ludzi z każdego terytorium granicznego

jest to stałe i kolejne zarazem wyzbywanie ich z genealogii własnej przeszłości narodowej.

W warunkach Ślązaków jest to świadomie założony cel nie dopuszczenia do innej aniżeli komunistycznej, integracji narodowej. Można tu wskazać jako przykład, że rehabilitując przynajmniej w teorii powstania śląskie nie pozwala się w dalszym ciągu na mówienie głośno o niedawnej przeszłości, czyli o ruchu oporu AK na Śląsku. Szczegółowym z kolei przykładem mogą tutaj być losy wydanej dwa lata temu przez PAX książki płk. Waltera-Janke, pt. „Armia Krajowa w Łodzi i na Śląsku”. Nie tylko że nie pozwolono jej kolportować na Śląsku — podobnie było z inną (wcześniej wydaną też przez PAX) broszurą tegoż autora — ale na polecenie sekretarza komitetu wojewódzkiego partii w Katowicach, J. Pyki, Instytut Śląski zainicjował kampanię oszczerstw. Na łamach *Zarania Śląskiego* totalnie rozprawiano się z autorem.

Legenda AK-owska mogła być zbyt groźna z dwóch przyczyn.

Po pierwsze — puszczała w niepamięć urzędową legendę o tzw. Armii Ludowej w czerwonym Zagłębiu, kierowanej przez czołowego „partyzanta” z frakcji Moczara, Franciszka Szlachcica.

Po drugie — dawała mnóstwo dowodów na to, że pomimo kuszącej polityki Hitlera Ślązacy w przeważającej mierze pozostali Polakami.

Jeśli dziś warszawskie władze reżymowe zastrzegają się w swoim oświadczeniu skierowanym do Niemieckiego Czerwonego Krzyża przeciwko możliwości wypuszczenia obywateli polskich na emigrację zarobkową do Niemiec, to niewątpliwie chcą ukryć przed narodem i światem „białe plamy” występujące w podanej powyżej tabeli.

Dobrze jest jednak uczulić polską niezależną opinię publiczną na ten koszmarny rachunek, jaki nam wystawia władza ludowa po 25 latach swoich rządów na Śląsku.

Wiedźmy jakie to tragiczne sytuacje znajdują się w cieniu — słusznego, z punktu widzenia polskiej racji stanu — traktatu granicznego Warszawa-Bonn.

Aleksander ZABRZESKI

“Na martwej fali”

Martwa fala. Zbiór artykułów o antysemityzmie — tak się nazywa mała książeczka, opublikowana w roku 1947 w Warszawie nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza”. Po blisko czterdzieści lat nie straciła ona niestety swej aktualności i warta jest przypomnienia. Przedmowę do *Martwej fali* napisał Stanisław Ryszard Dobrowolski, tak, autor wydanej ostatnio w War-

szawie *Głupiej sprawy*. Zebrane w tomiku artykuły wyszły spod pióra Jerzego Andrzejewskiego, Stefana Flukowskiego, Juliusza Góreckiego, Marii Kann, Stefana Otwinowskiego, Juliana Przyboisia i Jerzego Zawieyskiego.

Autor *Głupiej sprawy* mógłby się wiele nauczyć od autora przedmowy do *Martwej fali*:

Nie jestem historykiem — i, o tyle o ile, mało mnie zajmuje sama historia tzw. kwestii żydowskiej. Gdybyż to zresztą owa „kwestia żydowska” po tragicznych wydarzeniach ostatniego dziesięciolecia należała już do problematyki historycznej! Niestety, wbrew wszelkiej — zdawałoby się — logice, na przekór zdrowemu rozsądkowi zjawisko antysemityzmu w Polsce żyje i choć poważnie już zahamowane w swoim rozwoju, gangrenuje nadal jeszcze nasze życie zbiorowe. Jako zagadnienie aktualne antysemityzm nie tylko oburza każdego uczciwego człowieka, najboleśniej znieważając nasze poczucie ludzkiej godności, ale musi i powinien budzić najżywsze zaniepokojenie ludzi myślących.

Logicznie rzecz biorąc, należałoby przypuszczać, że po strasliwym wyniszczeniu mas żydowskich w Polsce, po okrutnym mordzie dokonanym na niemal całej ludności żydowskiej zamieszkującej do niedawna wśród nas na obszarze Rzeczypospolitej zawałyły się wszelkie obiektywne podstawy istnienia „kwestii żydowskiej” w Polsce. Jednak — o czym tu mówić — tak nie jest. Antysemityzm u nas wciąż jeszcze daje o sobie znać, zakazując swoim moralnym fetorem życie młodego demokratycznego państwa.

W tych okolicznościach trudno nawet snuć rozważania na temat jakiejś sprawy żydowskiej w Polsce. Antysemityzm u nas — w obliczu tej nielicznej garści ocalałych z bezprzykładnego pogromu naszych współobywateli Żydów — przestał być niewątpliwie sprawą żydowską, natomiast, z natury swej będąc jako zjawisko życia zbiorowego czymś pokracznym i ohydny, wynaturzony do reszty w warunkach spowodowanych rozwojem historycznych wydarzeń, jest dzisiaj dla nas poza jego ogólnoludzkim aspektem przede wszystkim sprawą polską. I przynajmniej jako jedna z polskich spraw, jako jedno z zagadnień współczesnego polskiego życia bynajmniej nie najblahszych, musi nas wszystkich najżywiej zajmować.

Walka z antysemityzmem w Polsce dzisiaj — to już nie tylko problem przywrócenia najpowszechniej uznanym normom moralnym jakiegoś praktycznego sensu. To coś dla nas, jako narodu, o wiele więcej.

Trzeba sobie drobniutko wprost uprzytomnić, że od czystości etycznej naszego życia narodowego, naszych stosunków w odrodzonym państwie ściśle uzależniony jest nasz byt albo niebyt w przyszłości. Zdecydowane odgródzenie się od rasistowskiej bredni, najsurowsza bezkompromisowość wobec każdego najdrobniejszego nawet przejawu oddziaływania zgnilizny antysemityzmu zabezpiecza nas przed oparami bagniska, w które tak energicznie — i nie bez powodu — usiłował nas zepchnąć hitlerowski rzezimieszek. A trzeba pamiętać — są to krwawe opary.

Antysemityzm jako jeden z wrogich człowiekowi przejawów nienawiści ma to do siebie, że niesie z sobą śmierć nie tylko dla tych, przeciw którym jest wymierzony, ale jak każdy wybuch nienawiści — śmiertelnym jadem zatrąca szerzącego nim. I w tym sensie raczej należałoby może mówić o antysemityzmie jako o „martwej fali”...

...Niesposób być w pełnym tego słowa znaczeniu przeciwnikiem antysemityzmu, przeciwnikiem zawsze groźnego dla nas, i jako narodu i jako jednostek, rasizmu, bez pełnej świadomości, jakim celom owe „idee” dotychczas służyły i kto je i przeciwko czemu dzisiaj jeszcze pragnie mobilizować.

„Nowoczesny”, potreblinkowski i pomajdankowski antysemityzm polski,

ten zwłaszcza świadomy i bojowy, podejmował nieraz w ostatnich latach niedwuznaczne i śmiałe a nawet krwawe próby anarchizowania naszego życia zbiorowego. Trzeba chłodno się zastanowić nad tym, komu tego rodzaju akcja jest potrzebna i dla jakich celów.

Wszyscy przeciwnicy „makrej roboty” antysemityzmu — i ci, którzy wyznają bardziej humanitarną, „teoretyczną” jakoby tylko religię nienawiści, i ci, którzy nawet w ogóle jej nie wyznają — mają obowiązek rozważyć w swoich sumieniach, czy przez niezbyt bezkompromisową lub tylko lekkomyślną swoją postawę wobec zła nie przyczyniają się do podtrzymywania klimatu korzystnego dla działalności pospolitych zbirów. Wobec prawa moralnego odpowiedziałni są przecież nie tylko mordercy, ale i milczący świadkowie, nie mówiąc o przytakujących. Wszyscy oni dolewają oliwy do piekielnego ognia...

...Dlatego niech nikt nie twierdzi, że należy już zaniechać nużącego walczenia tych spraw, że są to sprawy umarłe, przebrzmiałe lub mało już znaczące. Umarłe, choć jeszcze nie przebrzmiałe są one rzeczywiście jako problem żydowski w Polsce — utrzymują się na martwej już tylko fali, żywe jednak jako problem polski. Trupi jad hitlerizmu wszczepiony w krwioobiegi naszego narodowego organizmu nie został dotychczas doszczętnie zeń wyeliminowany. Jeszcze działa.

W dwadzieścia trzy lata później odnajdujemy Dobrowolskiego w pierwszym szeregu ludzi, którzy „przyczyniają się do podtrzymywania klimatu korzystnego dla działalności pospolitych zbirów” i beztroško „dolewają oliwy do piekielnego ognia”.

Najgłębiej przemyślany jest w *Martwej fali* szkic Andrzejewskiego *Zagadnienie polskiego antysemityzmu*. Przytaczamy go tu w obszernych wyjątkach:

Mimo wojennych doświadczeń zagadnienie antysemityzmu w Polsce ciągle jest aktualne. Antysemityzm polski nie wypalił się w ruinach i pogorzeliśkach gett. Śmierć kilku milionów wymordowanych Żydów nie okazała się grozą dość przerażającą, aby jej wymowa starła polskie nawyki myślowe i uczuciowe. Hitlerowska szkoła pogardy i nienawiści nie stała się ostrzeżeniem dość nagłym. Ciężko o tym mówić, lecz tak jest. Daremność tylu ofiar, zniszczeń i cierpień, jakie w całej Europie, a w naszym kraju szczególnie w wielkich rozmiarach poniósł naród żydowski, staje się dla Polaka jedną z najbardziej gorzkich lekcji (nie jedyną niestety!) jakie wynieść mu trzeba z wojennych doświadczeń. O ileż spokojniej myśleć by można o milionach wymordowanych w obozach, więzieniach, w komorach gazowych i na ulicach miast, o tych wszystkich, którzy poginęli z bronią w rękę, gdyby śmierć ich stała się dla pozostałych przy życiu moralnym wstrząsem. Nie chodzi o spokój wobec zmarłych i pomordowanych. Nie ma tu spokoju. Ale ludzkość — użyjmy tego wielkiego słowa — w najokrutniejszych w dziejach świata walkach walczyła przez sześć lat o wolność i sprawiedliwość, o godność człowieka i biała narodom, które z tego doświadczenia nie potrafiły wyciągnąć właściwych wniosków. Nienawiść i pogarda oraz rasowe uprzedzenia na pewno wnioskami takimi nie są.

O antysemityzmie dużo się u nas pisze, jeszcze więcej mówi. Jest to sprawa bolesna i wstydliva. Za granicą nie przysparza nam przyjaciół. W stosunkach wewnętrznych zadrażnia i jętrzy. Hańbi moralność narodu polskiego i rzuca mroczny cień na dojrzałość naszego doświadczenia społeczno-politycznego. Czy to na naszych sztandarach wypisywaliśmy: „Za naszą i waszą wolność”?...

... W czasie wojny stykałem się z wieloma Żydami. Znałem jednostki niezwyklej wartości i ludzkie szmaty. Spotykałem Polaków, którzy z narażeniem życia własnego i swoich bliskich przechowywali u siebie Żydów. Nigdy im nie odmawiając pomocy, czynili to w sposób najbardziej ludzki. Spotykałem się także z kanalami i z teńbórzami, z oportunistami i z przymykaniem oczu na śmierć jeszcze cudzą, lecz która każdego z nas o każdej godzinie mogła wyrwać z szeregu żyjących. W czasie pierwszej likwidacji getta, jesienią roku czterdziestego drugiego, mieszkalem w najbliższym sąsiedztwie murów. Te dnie i noce, wypełnione odgłosami salw karabinowych i krótkimi seriami cekałów, były najcięższe z całej okupacji. Goryczą, wstydem bezsilności i zwątpieniem w sens Polski i sens Polaków wyrosły ponad nie tylko Wielkanoc roku następnego i powstanie warszawskie.

Dla wszystkich Polaków uczciwych los ginących Żydów musiał być szczególnie bolesny, umierali bowiem niewinnie ludzie, którym naród nasz nie miał prawa spojrzeć w oczy śmiało i z całkowicie czystym sumieniem. Polakom i Polakom ginącym za wolność, naród polski mógł w oczy patrzeć śmiało. Żydom walczącym w płonącym getcie — nie!

A przecież Żydzi chwycili za broń w obronie swojej godności. Stusnie się teraz podkreśla ze strony pozostałych przy życiu członków żydowskiego oporu, iż powstanie w warszawskim getcie nie było aktem rozpacz. Walczyła garstka bojowców, z których każdy prawie przy rozległych kontaktach z organizacjami polskimi mógł z getta uciec kanałami i cało unieść swoje życie. Jeśli pozostali wśród tłumu bezbronných rodaków, to po to, aby zaprotęstować przeciw barbarzyństwu i przemocy. Zwycięstwo militarne w ogóle nie wchodziło w rachubę. Powstanie upadło, ponieważ upaść musiało. Ci z Żydów, którzy nie zginęli w walkach, poszli na zagładę do komór gazowych Treblinki, Majdanka i Oświęcimia. Teren warszawskiego getta został zrównany z ziemią i zmienił się w wymarłą pustynię. A jednak ten zryw powstańców żydowskich stał się od pierwszego wystrzału poza mury wielkim zwycięstwem Żydów. W obliczu nieuchronnego zniszczenia i śmierci, z głębi najdotkliwszego poniżenia, najsamotniejsi ze wszystkich walczących w owych latach, walczili Żydzi o te same prawdy i wartości, o które w ciągu sześciu lat wojny walczyły na wszystkich frontach i ziemiach inne narody. O wolność, sprawiedliwość, o szacunek dla człowieka, o lepszy porządek świata społeczny i polityczny. Nie o co innego walczili Polacy.

Niedawno minęła trzecia rocznica powstania Żydów w Warszawie. Gdy dzisiaj posępną i wzniosłą treść tych dni wywołujemy na wolnej już ziemi i gdy cienie zmarłych Żydów, stojąc obok cieni zmarłych Polaków, świdczą o braterstwie broni i wspólnocie prawd, za które warto umierać, dzisiaj, gdy po tylu cierpieniach, po latach tak niewymownie ciężkich i pełnych goryczy działa jeszcze w naszym kraju, wbrew rozsądkowi i wbrew elementarnej ludzkiej godności, propaganda antysemitka — jak głos trzeba natężyć i jakich słów trzeba użyć, aby zatargnąć sumieniami, których sześć lat wojny nie warto z odrętwienia? Gdy getto warszawskie walczyło, nie mogliśmy, Polacy, mieć czystych sumień. Minęły trzy lata i rocznica getta nie może się dla nas niestety stać tylko hołdem pamięci. Ta rocznica żydowskiego bohaterstwa wciąż krwawi. Wyrzuty sumienia? O ileż łatwiej posiadać wyczulony i czujny instynkt moralny niż wyprowadzać z niego konsekwencje do ostatka! Tylko czyny mają moc uzdrawiania. Tylko wówczas złożylibyśmy warszawskiemu gettu należny hołd, gdybyśmy bronili namiętnie własnej godności i walczili z tym wszystkim, co w zakresie naszego stosunku do Żydów rzuca mroczny cień na naszą uczciwość, na naszą moralność, na nasze poczucie wolności i ludzkiej solidarności...

... Chciałbym bardzo móc szczerze odpowiedzieć: tak, antysemityzm w Polsce wygasa, naród polski zrozumiał, co powinien był zrozumieć. Niestety, po wielu latach rozmyślań nad tą sprawą, jak otwarta rana, ciągle na naszym

organizmie ropiejąca, patrząc na to wszystko, co się w Polsce działo przed wojną, w czasie wojny i co się dzieje teraz, słuchając ludzi najróżniejszych środowisk i umysłowych poziomów, obserwując ich odruchy i reakcje często zupełnie nieświadome, śledząc, jak pewne słowa i gesty automatycznie z nich wynikają, nie umiem i nie mogę dojść do przekonania innego, jak to, iż naród polski we wszystkich swoich warstwach i poprzez przekrój intelektualny od najwyższego aż po najniższy był i po wojnie nadal pozostał nastawiony antysemitką. Ta powszechna u nas niechęć do narodu żydowskiego przybiera najrozmaitsze formy i akcenty: od przyjaznego nieomal i serdecznego na pozór podśmiewania się z Żydów, żartu i kpiny, przez tzw. rzeczową krytykę Żydów odżegnywającą się jednocześnie od wszelkich posądzeń o antysemityzm aż po jawne i brutalne sformułowanie niechęci i wrogości...

... Nie chciałbym, o co u nas łatwo, zostać źle i fałszywie zrozumiany. Nie pragnę szkalować swego narodu. Każde z gorzkich słów, które pada tu pod adresem Polaków, uderza i we mnie samego. Mówię, co myślę i czego mnie nauczyło życie na tej ziemi. Pragnę jednego tylko: nakłonić moich rodaków do zastanowienia się nad zagadnieniem, w którym jak promienie w małym skłiefku ognisku się tak wiele naszych braków, wad, skaz i ułomności. Nie uwolnimy się od zabórzych i daleko sięgających macek własnej historii, dopóki nie przełamiemy w sobie tych wszystkich spazmów, które nam historia wstąpiła. Zagadnienie polskiego antysemityzmu przerasta swoją rozległością i doniosłością problem stosunku Polaków do Żydów. Jest jednym z aspektów stosunku człowieka do człowieka, stosunku do ludzkich wartości, do pojęć tak ostatnio niewieranych a przecież dzisiaj, mimo tylu jeszcze zadrażeń i nieporozumień, znowu zakwitających nowymi wartościami, jak sprawiedliwość, wolność, szacunek. Spoczywa na nas większy ciężar odpowiedzialności niż na tych z przyszłych pokoleń, których nowe warunki społeczne i obyczajowe od dzieciństwa być może kształtowała będą i wychowywać w doskonalszych niż nasze pojęciach ludzkiego współżycia. Żyjąc na przełomie i pierwsze zaledwie fundamenty jutra stawiając, czuwać musimy, aby nowych form społecznych nie wypełniać treścią starych nawyków. Organizacja własnych umysłów i serc wydaje się równie doniosła i nagląca, jak organizacja porządku społeczno-gospodarczego. Bez uznania i potwierdzenia niewzruszonych wartości życia nie damy najdoskonalszym nawet prawom nie poza skostnieniem i złudnymi pozorami życia...

... Wielu Polakom wydaje się najpewniej, że ich antysemityzm wspiera się na rozumowych racjach logicznie wyprowadzonych z rzeczywistości. Jakże się myli! Polski antysemityzm jest do gruntu przesycony irracjonalizmem, zakładając bowiem fałszywe, antyhistoryczne przesłanki wspiera je i rozbudowuje racjami tylko uczuciowymi: afektem, uprzedzeniami i niekontrolowanymi odruchami.

Dzień dzisiejszy potwierdza taką właśnie, nie inną ocenę. Zdawałoby się, że gdy z trzech milionów Żydów polskich pozostało przy życiu sto zaledwie tysięcy — dwudziestokilkumilionowy naród, jeśli nie zechce pozostać w rażącej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, nie może się dalej karmić plotką o niebezpieczeństwie żydowskim. Okazuje się jednak, iż Polacy, przesiąknięci irracjonalnym pojęciem „ducha żydowskiego”, nie są skłonni uznać zastanawiającej wymowy cyfr. Szeptane z ust do ust, oplątane fałszami i nieścisłościami a podszywane przez ludzi świadomie złej woli, znów krąży wśród nas wieści w rodzaju takich na przykład, jakoby wszystkie odpowiedzialne stanowiska w Polsce zajęte były przez Żydów. Któż z bardziej obecnie znanych ludzi w Polsce nie doczekał się to tu, to ówdzie, etykiety żydowskiej! Zarzuca się dalej Żydom, iż pchają się, jak się to mówi, na tzw. stanowiska. Pchają się? Jeśli posiadają odpowiednie kwalifikacje i dobrze swoją pracę służą Polsce? Czy nie są jej obywatelami? Czyżby Polacy którzy sami tyle przeszli, sądzili, iż ci nieliczni ocaleni Żydzi nie mają prawa do

pełnego, normalnego życia i gdy tyle się mówi, o demokracji, wieść muszą wstydliwą vegetację w ukryciu? Czy nie należy się raczej z naszej strony szacunek dla tych wszystkich Żydów, którzy mimo przeżyć tak straszliwych, mimo tylu lat pohańbienia i cierpień, znaleźli w sobie dość hartu, siły i woli, aby stanąć do pracy?...

...Rzeczywiście dość wiele stanowisk w dzisiejszej Polsce obsadzonych jest przez obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Złożyło się na to kilka przyczyn. Inteligencja żydowska w Polsce poniosła wprawdzie w czasie okupacji ogromne straty, jednak w porównaniu z proletariatem straty jej są procentowo mniejsze. Dzięki rezerwom finansowym i silniej niż w proletariacie rozgałęzionym stosunkom z Polakami, inteligenci żydowscy mieli więcej szans ocalenia życia od tysięcy żydowskiej biedoty. Znaczna poza tym ilość inteligentów i intelektualistów żydowskich znalazła się we wrześniu 39 roku na terenach wschodnich. Schroniwszy się później w głąb Rosji, ocalili. Dalej: inteligencja żydowska już przed wojną była na ogół o wiele bardziej lewicowa od polskiej. Większość spośród niej nie jest w obecnej Polsce ludźmi nowymi. Swoim przekonaniom, swojemu społecznemu radykalizmowi nie muszą dawać świadectwa neofityzmu.

Z drugiej strony i dzisiaj, tak samo jak przed wojną, spotkać można Żydów, którzy zajmując takie czy inne stanowiska nie mogą się wylegitymować, podobnie jak i liczni Polacy, odpowiednią miarą kwalifikacji zawodowych i moralnych. Ci Żydzi, których niczego nie nauczyło doświadczenie lat wojennych, dotkliwie szkodzą i sprawie żydowskiej i polskiej. I jeśli tu, na tej ziemi, która wśród największych trudności zaczyna się odbudowywać, jest się w prawie piętnować deprawację Polaków, takie same prawo bezwzględne i surowe uderzyć musi i w tych Żydów, którzy wykorzystując taką czy inną sytuację przekraczają granice społecznej solidarności. Niestety u nas walka z antysemityzmem zbyt często kieruje się fałszywym wstydem wobec Żydów i woli przemilczać te fakty, które mogłyby w niekorzystnym świetle ukazać pewne żydowskie jednostki. Jest to postawa wynikająca być może ze szlachetnych nawet pobudek, lecz nie licząca się z psychicznym nastawieniem społeczeństwa polskiego i dlatego jest najfatalniejsza najczęściej w skutkach. Nie wolno było np. nalepieć w kwietniu ubiegłego roku na murach zrujnowanej Warszawy sąsiadujących ze sobą plakatów propagandowych, z których jeden głosił: *Chwała bohaterom obroncom getta*, a drugi nawoływał: *Hańba faszystowskiemu pachołkom A.K.* Podobne i inne fakty są zbrodniami zarówno wobec Polaków, jak i Żydów. Prawdziwa walka z antysemityzmem udziela Żydom i Polakom jednakowych praw, lecz na jednych i drugich nakłada podobne obowiązki. Stawia znak równości pomiędzy Polakami i Żydami, lecz uznaje, iż z tej zasady wynikać muszą najszerzej pojęte i tylko na prawdzie i sprawiedliwości oparte konsekwencje. Żydzi powinni zrozumieć, iż Majdanek i Treblinka w żadnym wypadku nie okupują tych żydowskich jednostek, które ze względu na swoją obecną działalność zasługują na potępienie. To nie jest sprawa żydowska, to jest sprawa naszej wspólnej ojczyzny i naszego wspólnego państwa. Znowu Polacy muszą zrozumieć, iż skazy lub przestępstwa jednostek żydowskich nie mogą obciążać ogółu Żydów, ani świadczyć o jakimś wymyślanym „duchu żydostwa”. Mówmy sobie wzajemnie prawdę i żądamy, abyśmy prawdę mieli prawo mówić — to teraz znaczy więcej niż wspomnianie męczeństw i ofiar, a na pewno o wiele więcej niż potwierdzanie obecnych zadrzań latami dawnymi.

Gdyby naród polski zechciał się otrząsnąć z tradycyjnych nawyków odczuwania i myślenia antysemickiego, gdyby spojrzeć na problem żydowski w Polsce w jego prawdziwych wymiarach historycznych i trzeźwo ocenił to wszystko, co w tym zakresie było do tej pory i co jest obecnie, problem żydowski przestałby u nas istnieć, wygasłby w sposób naturalny, nie ma bowiem ani liczącego się liczebnie partnera, ani warunków klasowych, które

pozostałych przy życiu Żydów mogłyby wciągnąć w układ społeczno-gospodarczy sprzed września trzydziestego dziewiątego roku. Problem żydowski posiada obecnie jedną perspektywę: moralną. Wspomniałem wyżej, iż „zagadnienie polskiego antysemityzmu przerasta swoją rozległością i doniosłością sam problem stosunku Polaków do Żydów”, ponieważ „jest jednym z aspektów stosunku człowieka do człowieka, stosunku do ludzkich wartości”. Tak właśnie jest.

Akcenty szczególnie aktualne słysząc po latach w wypowiedzi Przebysia *Hańba antysemityzmu*:

Rzecz milionów Żydów w okresie niemieckiej okupacji nie wstrząsnęła sumieniami, niewinna krew nie oczyściła serc. Przeciwnie: hitleryzm zakaził wielu przeciwludzką nienawiścią i na tej nienawiści zerują hieny. Przed wojną — na człowieka, który dowodził że Żyd jest szkodnikiem dlatego, że jest Żydem — patrzyłem z politowaniem, jak patrzy się na człowieka niespełna rozum, z odrazą, jak na barbarzyńcę. Dzisiaj, po straszliwym doświadczeniu, które zdradziło, do czego wiedzie ta przeciwludzka bezmyślność i ta nieświadoma siebie żądza mordów — antysemityzm uważam za potencjalnego mordercę. Patrzę w twarz znajomych i obcych, krążę wśród ludzi w Polsce, słucham rozmów — i ileż razy ogarnia mnie przerażenie, że żyję wśród obłąkanych i wśród możliwych zbrodniarzy. Wśród nie-ludzi. Bo człowieczeństwo zaczyna się tam, gdzie się kończy obłąd antyhumanistyczny, gdzie znika nienawiść przeciwludzka. Człowieczeństwo, zwłaszcza u nas w Polsce, zaczyna się tam, gdzie się kończy antysemityzm. W Polsce, spośród krajów Europy jeszcze tylko w Polsce, stosunek do obywatela Żyda jest próbą człowieczeństwa...

...Najcenniejszą w państwie wartością jest człowiek, twórca wszelkich wartości. Emigrujący z Polski Żydzi — to ubytek najcenniejszej wartości państwa, wartości ludzkiej. A nade wszystko — to nasza wielka klęska moralna! Uchodzącym z kraju nigdy już nie wynagrodzimy tej krzywdy poniżenia, jakiej doznali od naszych ciemnych rodaków, nigdy już nie ocalimy w ich oczach honoru naszego człowieczeństwa. Należy wszystko uczynić aby ustały powody tej emigracji, rzucającej na nas cień i oskarżenie o barbarzyństwo. Współobywatele Żydzi winni znaleźć w Polsce najlepszą ojczyznę. Tu w kraju, w którym było ich w Europie najwięcej, gdzie los ich splótł się od wielu stuleci z losem naszym, winni znaleźć miejsce na ziemi przychylne i tak im drogę jak nam.

Jerzy Zawieyski zatytułował swój artykuł *Nadzieja ludzi dobrej woli* i pisał w nim między innymi:

Skąd się wziął antysemityzm w Polsce, jeśli nie było go aż do czasów współczesnych na całym obszarze dziejów i kultury? Nie badajmy genezy tych ciemnych sił, a raczej zastanówmy się, jak je zwalczyć i obezwładnić.

Czy są takie sposoby? Jak je w prowadzić w czyn?...

...Ma tu wiele do zrobienia chrześcijaństwo, a zwłaszcza kościół katolicki w Polsce i wszyscy katolicy, prawdziwie realizujący chrześcijaństwo w życiu codziennym. Nie tylko księża z ambon, ale właśnie my wszyscy powołani jesteśmy, aby dawać świadectwo chrześcijańskiego stosunku do bliźniego i aby walczyć ze złem. Nie ma granic charakter tej walki, ani nie można stawiać norm, bo normy nakreśla sumienie każdego z nas. Chodzi o to, aby uważyć w sobie sumienie i znaleźć sposób do walki ze złem tego świata. Jest to nakaz ewangeliczny, od którego nikt się uchylić nie może. Chrześcijaństwo nie ma nienawiści — jedyną nienawiść ma dla grzechu. A nie może być cięższego grzechu nad grzech chrześcijanina nienawidzącego bliźnich z powodu ich rasowej odrębności. Zjawisko antysemityzmu wśród grup katolickich jest odrażającym faryzeizmem.

Chełoby się dobyć siły proroków, aby zbudzić nieczułość sumień i aby ratować dusze bliźnich od zatury! Na innym krańcu ideowym mogą wiele zdziałać w sprawie zwalczania antysemityzmu ugrupowania socjalistyczne, które władają techniką oświatową i powinny rozpocząć mądrą i celową akcję rozładowywania urazów i kompleksów antysemickich. Zdaje się, że wiele jest do zrobienia w obrębie własnych organizacji przez pogłębienie świadomości, do jakich skutków może doprowadzić nienawiść rasowa.

Ale najważniejsze zadanie ma do spełnienia szkoła, więc wychowawcy. Na barkach nauczyciela szkoły powszechnej, w mieście czy na wsi, ciąży ta rzecz wielkiej doniosłości moralnej, kulturalnej, ogólnoludzkiej. Nauczycielstwo zatem, bardziej niż my, pisarze, bardziej niż ktokolwiek może zająć pozycję najwznieśszą, bo heroiczną, bo walczącą ze złem, z okrucieństwem — w imię dobra, w imię ludzkości i w imię Boga.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Sprawy i troski

O emigracji polskiej

Życie społeczne i polityczne emigracji ma swoje cechy charakterystyczne związane z przesiedleniem w nowe warunki. Szkoda, że brak jest w tym zakresie współczesnych studiów socjologicznych o kształtowaniu się wśród tej emigracji nowych grup społecznych, opinii publicznej, awansu zawodowego i społecznego, kompleksów powstałych na tle zmiany środowiska itp. Już powierzchowna obserwacja pozwala zauważyć, że kadrę kierowniczą polskich organizacji społecznych i politycznych stanowią często ludzie, którzy mieli większe trudności przystosowania się do nowych warunków i w życiu publicznym szukali kompensacji z utraty dotychczasowej pozycji zawodowej i społecznej. Stąd ich nadmierny krytycyzm wobec obyczajów i urządzeń społecznych krajów zamieszkania, stąd zastój nie tylko form organizacyjnych ale nawet i treści życia społecznego i chęć utrzymania tego życia takim, jakim ono było 30 lat temu, jako jedyne według nich symbolu polskości. Stąd również wpływa mała zmienność tych kadr kierowniczych, wielka drażliwość ambicji ale również i niestychana ofiarność na rzecz życia publicznego, które dla nich stanowi jedyny cel istnienia, bo jeśli nie żyją z renty czy skromnego stypendium, to mają zwykle jakąś nie znaczącą pracę zarobkową, która nie zaspakaja ich aspiracji życiowych. Organizacje polskie przez nich kierowane kurczą swoje szeregi przede wszystkim przez zupełny brak dopływu młodych. Są skazane na obumieranie wraz z pokoleniem, które je stworzyło. Stronnictwa polityczne, związki kombatanckie jak również i większości organizacji społecznych spełniają jedynie rolę archiwum politycznego. Sama należą do tych, którzy swój start polityczny rozpoczęli jeszcze przed wojną i mam wielkie przywiązanie do Ruchu Ludowego ale zdają sobie sprawę, że również PSL jest tutaj tylko symbolem i przeżywa swój okres końcowy wraz z wymieraniem członków. Stronnictwa polityczne na emigracji słusznie nazywają się „historycznymi”, bo przestały one

odtworzyć układ obecnych sił społeczno-politycznych w kraju — nie mówię oczywiście o oficjalnym układzie, ale o rzeczywistym nurcie myśli politycznej. Mają one wyłącznie swoje odpowiedniki w starszej wiekiem części społeczeństwa polskiego żyjącej wspomnieniami przeszłości co odnosi się również do środowisk kombatanckich. Organizacje polityczne na emigracji nie tylko nie są reprezentantami narodu polskiego, jak to mówią szumnie o sobie, ale co więcej przestały być reprezentatywne nawet dla emigracji zrzeszając jej tylko nikły procent. Wyrażały one w dużym stopniu dążenia emigracji bezpośrednio po wojnie, kiedy uważała się ona za tymczasową i z niecierpliwością oczekiwała zmian. Były one protestem tego pokolenia, które bądź kierowało polskim życiem politycznym podczas wojny, bądź wzięło w niej czynny, trzeba powiedzieć bohaterski udział. Od tego czasu skostniały one w swoich formach instytucjonalnych i nie spełniły nawet swego zadania wobec narastających potrzeb emigracji: Zapatrzone wyłącznie w przedwojenną Polskę nie podjęły one w sposób wystarczający obrony interesów bytowych emigracji a bez takiej bazy każda masowa akcja polityczna zawieszona jest w próżni. Nastrój chwilowości zaważył również na tym, że poza nielicznymi wyjątkami nie zostały stworzone na emigracji placówki typu gospodarczego, które zapewniłyby samodzielność finansową polskim organizacjom politycznym i społeczno-kulturalnym. Przykładu takiej działalności, która zabezpiecza niezależność nie potrzeba szukać wśród obcych, bo daje go najlepiej Polonia Amerykańska. Największym jednak błędem organizacji emigracyjnych jest brak przygotowania swoich członków do konfrontacji z komunizmem. Ustawicznym powtarzaniem w słowie i w piśmie sloganu „krwawy terror Kremla” ani nawet śpiewem pięknej pieśni „Ojczyźnie wolną racz nam wrócić Panie” nie wypełni się tego zadania. W okresie stalinowskim, który umożliwiał pełną izolację łatwo było ulec złudzeniu, że takie przygotowanie jest wystarczające. W miarę jednak usprawniania się metod propagandy komunistycznej zaczęła ona docierać coraz powszechniej na emigrację. Niejednokrotnie oddziaływała ona nawet na czołowych działaczy niepodległościowych nie mówiąc już o szarej masie członków. Jest to zresztą znany fakt w psychologii, że fałszywa informacja z chwilą kiedy nie wytrzymuje konfrontacji z życiem obraca się przeciwko swojemu źródłu. Dopiero w ostatnich latach wraz z coraz liczniejszym napływem ludzi z Polski i to wcale nie komunistów jak również w związku z wyjazdami emigrantów do kraju zaczyna docierać realna informacja o Polsce. Wobec jednak przykładów, że wiadomości napływające tymi drogami bywają bardzo przypadkowe, czasem w niezamierzony sposób zniekształcone, albo nawet świadomie wykorzystywane przez propagandę komunistyczną, nie zwalnia to organizacji emigracyjnych od rzetelnej, wielostronnej informacji, która jedynie może uodpornić przeciwko wpływom komunistycznym. Takie dyskusje mogą się również w pewnym stopniu przyczynić do zniwelowania bariery, jaka dzieli emigrację od większości społeczeństwa w kraju.

Zamiast spełniać swoje zadanie wobec emigracji organizacje polityczne prowadzą ustawiczne zażarte spory o postacie niewątpliwie historyczne jak Piłsudski, Sikorski, Mikołajczyk, Anders. Tymczasem są to sprawy dla historyków do metodycznej analizy zasług i błędów. Curiosum Polskiego Londynu jest istnienie tam fantomów władz Rzeczypospolitej Polskiej. Nie ma to żadnego znaczenia politycznego i można by spokojnie pozwolić tym ludziom zachować złudzenia aż do śmierci, gdyby nie to że sprawa ta ośmiesza emigrację wobec obcych jak i swoich w kraju i daje smutne skojarzenia z blakającym się po Paryżu ostatnim „legalnym” królem polskim, Władysławem IV. Znam reakcje polskich studentów powracających z wakacji w Anglii. Opowiadają o tych zjawiskach z serdecznym śmiechem i porównują z Madurodamem w Hadze, wspaniałym miasteczkiem w miniaturze. Ich to już nie denerwuje a doskonale bawi.

Pewną część emigracji stanowią ludzie, którzy nie przeżyli na Zachodzie zdeklasowania, bo przyszli tutaj bez zawodu jako niewykwalifikowana siła robocza. Żyją oni na ogół w większych zbiorowiskach polskich tworząc getta polskie i skupiają się w organizacjach mających swoją dawną tradycję na emigracji jak Związek Polaków, Sokół i inne, względnie wokół parafii w akcji katoickiej. Prowadzą one pożyteczną działalność przeciwko wynaradawianiu i zaspokajają w dużej mierze potrzeby życia religijnego, społecznego i towarzyskiego swoich członków. Mają one większe szanse przetrwania, gdyż awans społeczny i zawodowy tych grup ludzkich jest powolny. W miarę jednak podnoszenia się poziomu intelektualnego tych emigrantów i w ślad za tym zwiększonych szans życiowych, co dotyczy w szczególności lepiej do życia przygotowanych ich dzieci, organizacje na poziomie parafialnym przestają już im wystarczać. Ciągłe przecież obserwujemy proces kurczenia się tych organizacji. Nie chciałabym być źle zrozumiana, że krytykuję ich religijny charakter. Myślę tu raczej o ich poziomie, który przed inteligencją katolicką stawia zagadnienie nowych form oddziaływania dla pogłębienia życia społeczno-religijnego. Na razie jednak ta część emigracji powiększa stale szeregi Polaków pozostających poza życiem organizacyjnym.

Ogromna większość Polaków jest niezrzeszona, choć to wcale nie znaczy — wynarodowiona. Spotyka się ich we wszystkich miejscowościach i we wszystkich krajach. Są to ludzie zarówno ze starej emigracji jak również powojennej i późniejszej. Nie czują się oni dobrze w tradycyjnych organizacjach i mogliby się tylko znaleźć w nowocześniejszych formach organizacyjnych polskiego życia. Ta grupa zasilana jest ciągle przez świeżo przybywających z kraju, wśród których przeważa inteligencja twórcza i techniczna, najczęściej ludzie młodzi, niejednokrotnie bardzo zdolni, szukający dla siebie za granicą większych możliwości ekspansji. Nie będę chyba daleka od prawdy, jeśli w przybliżeniu powiem, że ponad 70 % emigracji jest niezrzeszone i tutaj leży zasadniczy problem emigracji polskiej na przyszłość. Są to na ogół ludzie

dobrze już przystosowani do warunków krajów zamieszkania, wyszkoleni zawodowo o ustalonej sytuacji materialnej.

Rzucona była kiedyś myśl klubów dyskusyjnych. Jest to niezwykle cenna inicjatywa pod warunkiem, że byłyby one rzeczywiście wolną trybuną. Tą drogą może się wyłonić nowy narybek polskich działaczy społecznych i politycznych. Zdaje sobie sprawę z trudności organizowania takich klubów choćby ze względu na powszechną niechęć do polityki emigracyjnej. Poza tym byłyby one atakowane z dwóch stron: oficjalnej propagandy komunistycznej i wstecznych sił emigracyjnych. Najważniejszą rzeczą jest zapewnienie klubom odpowiedniego kierownictwa gwarantującego ich poziom intelektualny i zasadniczy kierunek. Wyobrażam sobie, że grupa *Kultury*, która ma przecież swoich współpracowników redakcji w różnych krajach Zachodu, mogłaby stanowić kadrę inicjatorów tych klubów. Pieniądze na zapewnienie stałego kierownictwa musiałyby się znaleźć z opłat klubowych, choćby miało to spowodować ograniczony zasięg klubów. Jaką rolę mogą odegrać kluby dyskusyjne, najlepiej świadczy fakt, że nawet w Polsce, kiedy nastąpiły przy minimalnej odwilży warunki dla ich czasowego istnienia, odegrały one dużą rolę, że wymienię tylko najbardziej znane: Klub Krzywego Koła i Babel. Oczywiście w tamtych stosunkach mogły one mieć wyłącznie charakter rewizjonistyczno-marksistowski.

Ogromna większość niezrzeszonej emigracji nie da się wciągnąć do dyskusji politycznych ze względu na swoje wyjazdy do kraju lub bezpieczeństwo swoich rodzin albo też po prostu przez brak zainteresowań politycznych. Żyją oni na ogół tylko swoim życiem rodzinnym i zawodowym, najczęściej utrzymując nieliczne kontakty towarzyskie z zaprzyjaźnionymi rodzinami polskimi. Nie są oni wcale skłonni do zrzeszenia się w określonych sztywnych formach, ale są otwarci na luźne społeczne i towarzyskie kontakty z Polakami, co manifestują niejednokrotnie w bezpośredniej pomocy dla każdego Polaka będącego w potrzebie, a szczególnie świeżo przybyłego z kraju. Ponieważ żyją oni w rozproszeniu, ich możliwości nie są wykorzystywane należycie dla sprawy polskiej. Ze względu na to, że ludzie ci są bardzo różnicowani co do poziomu i zainteresowań najrozsądniej byłoby, gdyby spotykały się grupy zawodowe lub posiadające wspólne *hobby*, na zasadach klubowych. Nie potrzeba do tego specjalnych lokali, bo najłatwiej będzie odbywać te spotkania przy małej czarnej w określonej kawiarni i w określony dzień miesiąca. Można zacząć od bardzo małej ilości osób w gronie przyjaciół z tego samego zawodu, a potem wciągnąć innych aż wytworzyłyby się pewne tradycje tych spotkań. Oprócz celów towarzyskich dałoby to możliwości wymiany poglądów na warunki pracy w danym zawodzie, pomoc w wyszukiwaniu pracy itp. W przyszłości ludzie przybywający z Polski lub studenci przygotowujący się do tego zawodu mieliby też możliwość nawiązywania pierwszych kontaktów w swojej dziedzinie zainteresowań. Może tą drogą wytworzyłby się z czasem polski ruch zawodowy na emigracji,

by prowadzić obronę interesów bytowych członków swojej grupy.

Daleka jestem od przeceniania roli emigracji. Polityka polska rozegra się przede wszystkim w kraju przy sprzyjających warunkach w ślad za zmianami odbywającymi się w Związku Sowieckim. Rolę pozytywną mogą spełnić wówczas również rewizjoniści partyni pod presją społeczną. Emigracja nie będzie nigdy kierowniczą siłą narodu, ale może dawać rzetelną informację i prowadzić dyskusje polityczne na wolnych zasadach. Nie wykluczam jednak możliwości odegrania przez emigrację nieco większej roli jedynie wówczas, jeśli będzie ona nadążać za przemianami społeczeństwa polskiego.

Na zakończenie chcę wyrazić przekonanie, że dojrzała konieczność skoordynowania wysiłków tej części emigracji, którą nazywam „historyczną” lub „przeszłościową” pod warunkiem odrzucenia niektórych absurdalnych form strukturalnych. Pozostanie jednak otwarta droga do szukania nowego wyrazu współczesnej polskiej myśli społeczno-politycznej.

Hanna CHORAŻYNA

Emigracja polska we Francji

Niniejszy artykuł nie rości sobie pretensji do całościowego ujęcia problematyki życia emigracji polskiej we Francji. Każda taka próba jest przedsięwzięciem niesłychanie trudnym, biorąc pod uwagę złożoność zjawiska. Chciałbym jedynie zwrócić uwagę na kilka aspektów psycho-socjologicznych polskiej społeczności we Francji. Za każde sprostowanie lub obserwację w związku z traktowaną tematyką będę wdzięczny moim czytelnikom.

Krótki zarys historii Polonii francuskiej

Zręby pod emigrację polską we Francji położyła klęska napoleońskiej iluzji — Polski wolnej i niezależnej. Klęska powstania listopadowego to początek wielkiej emigracji. Wzbudzone przez Napoleona nadzieje kierowały Polaków ku Francji, „drugiej naszej Ojczyźnie”, której imię od lat „napęśnia Europę”, Francji, „której się Polacy poświęcili”, i w której „pokładali wszystkie swoje nadzieje”, z „którą łączą z ufnością swój los przyszły” (Przemówienie J. Lelewela wygłoszone w pierwszą rocznicę Powstania Listopadowego; to *credo* nie przeszkodziło jednak Francuzom wydalić jego autora z Francji...). Francja przyjmuje rozbitków Powstania Styczniowego, po którym naczynają napływać pierwsi emigranci „za chlebem”.

W latach 1908-1914 sprowadzono z Galicji około 20 tysięcy rolników. Począwszy od roku 1919 tysiące Polaków z Polski i z Westfalii (około 150 tysięcy) szuka pracy we Francji, która potrzebuje rąk do pracy. W 1923 pracuje już we Francji 262.677 Polaków, z tego 184.255 w przemyśle i 78.622 w rolnictwie¹. Liczba ta urasta do 411.592 w 1926 i 450.000 w 1927². Roczni statystyczne z 1931 roku podają już 507.811 Polaków. Praca M. Valet³ podaje statystykę przyjazdów emigrantów polskich w poszczególnych latach od 1925-1930:

Rok	Emigranci polscy	Emigranci włoscy	Emigranci belgijscy	Ogólna ilość emigrantów
1925	30.633	55.031	46.787	176.093
1926	34.134	26.762	19.552	99.948
1927	9.981	9.906	32.946	64.325
1928	24.617	18.111	33.951	97.742
1929	52.637	28.742	23.902	168.020
1930	8.727	7.712	236	29.918

Po roku 1930 maleje liczba przyjazdów. Kryzys ekonomiczny, rosnące bezrobocie zmusiły rząd Laval'a w r. 1934/35 do wydalenia wielu tysięcy Polaków, co zmniejszyło w znacznym stopniu dalsze kontyngenty emigrantów. W 1939 było we Francji 540 tysięcy obywateli polskich, z tego około 120 tysięcy zdolnych do służby wojskowej⁴.

W czasie drugiej wojny światowej Francja jeszcze raz staje się celem rozbitków klęski wrześniowej. Napływ emigrantów zostaje prawie że zahamowany po r. 1945. Między rokiem 1941-1943 Francja odebrała obywatelstwo około 1.420 Francuzom polskiego pochodzenia (przeważnie Żydom przybyłym do Francji z Westfalii; w 1941 — 549, w 1942 — 444, w 1943 — 422). W roku 1946 423.500 osób posiadało obywatelstwo polskie. Liczba ta ulega zmniejszeniu w latach 1945-1950 wskutek masowych powrotów Polaków do Ojczyzny, organizowanych przez rząd P.R.L. (około 75.000 osób).

W chwili obecnej, oprócz sporadycznych wypadków (uchodźcy polityczni, „turyści” zostający na okres 2-3 lat, by „zarobić samochód”), emigracja z Polski do Francji nie istnieje. Podaje się, że po roku 1945 około 50 tysięcy Polaków osiedliło się we Francji, liczba ta jednak wymaga jeszcze weryfikacji.

Kilka danych statystycznych

Według ostatnich danych statystycznych z marca 1968 Francja liczy 49.755.780 mieszkańców. W tym 2.664.000 cudzoziemców i 1.316.320 Francuzów naturalizowanych.

Najliczniejszą grupę cudzoziemców we Francji stanowią Hiszpanie — 618.200 (23,2 %), Włosi — 585.880 (22,0 %), Algierczycy

— 471.020 (17,7 %) i Portugalczycy — 303.280 (11,4 %). Dopiero na piątym miejscu znajdują się Polacy — 131.280 (49 % 65.320 mężczyzn i 65.960 tj. 50,2 % kobiet). Na 131.280 Polaków 46.200 pracuje zarobkowo. Na 100 % zarobkujących 26,9 % pracuje w regionie Nord; 24,7 % w regionie paryskim; 8,9 % w Picardii; 7,3 % w Champagne; 5,3 % w Loraine; 5,6 % w Rhône-Alpes; 3,7 % w Centre; 3,5 % w Bourgogne; 2,4 % w Auvergne; 3,0 % w Alsace; 1,9 % w Franche-Comté; 1,5 % w Haute-Normandie; 1,1 % w Basse-Normandie; 1,1 % w Aquitaine; 0,9 % w Midi-Pyrénées; 0,8 % w Poitou-Charentes; 0,4 % w Pays de la Loire; 0,2 % w Limousin; 0,2 % w Lanquedoc; 0,1 % w Bretanii.

Na 65.320 mężczyzn, 50,7 % pracuje zarobkowo; na 65.960 kobiet 20,0 % pracuje. Jeśli chodzi o kwalifikacje zawodowe: 26 % zarobkujących to *manœuvres*, 42,3 % — robotnicy *spécialisés*, 24,5 % — robotnicy *qualifiés*, 3,8 % — urzędnicy, 2,0 % — majstrzy, sztygarzy i technicy, 0,8 % to inżynierzy i „kadry”.

Liczebnie 7.000 (najwięcej) jest zatrudnionych w rolnictwie, rybołówstwie i przedsiębiorstwach leśnych, 5.740 w przemyśle mechanicznym i konstrukcjach elektrycznych, 5.000 w przemyśle węglowym, 4.460 w budownictwie i robotach publicznych, 4.060 (2.180 mężczyzn, 1.880 kobiet) w handlu, 2.900 w służbie domowej (2.760 kobiet i 140 mężczyzn), 2.640 w hutnictwie, 2.120 w przemyśle tekstylnym (1.000 mężczyzn, 1.120 kobiet), 1.680 w przemyśle chemicznym (1.460 mężczyzn, 220 kobiet), 1.000 w administracji publicznej i obronie narodowej (660 mężczyzn, 340 kobiet), 40 w radiu (20 mężczyzn, 20 kobiet).

Emigracja powojenna to ludzie często o wyższym wykształceniu, którzy wobec trudności znalezienia pracy opuszczają Francję w kierunku Stanów Zjednoczonych, Kanady lub Australii. Np. w 1967 r. 177 inżynierów polskich wyemigrowało do USA wobec 503 Niemców, 212 Szwajcarów, 170 Greków, 110 Francuzów i 107 Węgrów⁵.

Polonia francuska to jednak nie tylko te 131.280 obywateli polskich. To również około 600 tysięcy obywateli francuskich pochodzenia polskiego. Komitet wyborczy Polaków naturalizowanych (20, rue Legendre, Paris, 17^e) mówi o 800.000 Polaków we Francji. Cyfra ta jest trudna do zbiccia biorąc pod uwagę przyrost naturalny Polaków i statystyki naturalizacji Polaków w poszczególnych latach:

w 1931 — 13.535	w 1959 — 6.543
w 1932-36 — 26.171	w 1960 — 5.331
w 1951 — 6.002	w 1961 — 4.221
w 1952 — 7.318	w 1962 — 4.595
w 1953 — 9.147	w 1963 — 4.769
w 1954 — 8.869	w 1964 — 3.607
w 1955 — 9.838	w 1965 — 4.798
w 1956 — 7.751	w 1966 — 3.188
w 1957 — 7.203	w 1967 — 4.900
w 1958 — 6.549	

W ciągu 17 lat 104.619 Polaków przyjąłoby obywatelstwo francuskie. (Rocznie około 6.154). W ciągu ostatnich 50 lat około 307.700 obywateli polskich przyjąłoby obywatelstwo francuskie. Pozostaje do ustalenia liczba Francuzów polskiego pochodzenia (dzieci emigrantów są Francuzami *par naissance*) którzy przyznają się do swoich dziadów z lat 1831, 1863, 1900 itd. Nie wolno również zapominać o uchodźcach politycznych. W roku 1963 O.F.P.R.A. podawała liczbę, 26.489. W sumie na pewno będzie więcej, niż 800 tysięcy. (Francuskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podaje 750 tysięcy).

KTO prosi o obywatelstwo francuskie?

Oto co mówią na ten temat statystyki z roku 1966 i 1967:

Z a w ó d	R o k 1966	R o k 1967
1. Rolnictwo, rybołówstwo, lasy	117	212
2. <i>Métiers manuels</i>	944	1.530
3. Robotnicy	911	1.489
4. Górnicy	252	355
5. Budownictwo i roboty publiczne	57	98
6. Hutnictwo	214	343
7. Właściciele zakładów (<i>patrons</i>)	33	41
8. Kadry techniczne i administracyjne	45	49
9. Urzędnicy	74	95
10. Handel	17	25
11. Usługi	71	140
12. <i>Services sociaux</i>	5	9
w tym:		
<i>niezależni</i>	—	1
13. Zawody wolne i intelektualni	24	53
w tym:		
<i>salariés</i>	7	17
<i>niezależni</i>	17	36
14. Wojsko	7	8
Razem:		
a) Suma osób aktywnych	1.304	2.121
b) Suma osób nie zarabiających	1.053	1.719

Życie organizacyjne

Wielu działaczy emigracyjnych, pamiętających dawne „dobre czasy” kiedy to w jednej miejscowości (np. Rouvroy-Nouméa) było czynnych 27 organizacji polskich, załamuje ręce nad dzisiejszymi „resztkami” życia społeczności polskiej. Śmierć starego działacza emigracyjnego jest często równoznaczna ze śmiercią kwitnącego „ongis” towarzystwa czy zrzeszenia sportowego. Brak „świeżej” krwi z Polski, przemiany gospodarczo-społeczne na przestrzeni ostatnich 40 lat, zmiany w strukturze społeczno-zawo-

dowej, objawiające się przechodzeniem od pracy w rolnictwie i górnictwie do zawodów wymagających wyższych kwalifikacji (np. w 1931 w przemyśle wydobywczym i rolnictwie było zatrudnionych ok. 146 tysięcy Polaków, zaś w 1962 już tylko 26 tysięcy), awans społeczny nowego pokolenia synów emigrantów (wysoki odsetek kadr i inżynierów to dzieci robotników) wpłynęły na tworzenie się nowej „Polonii”, o kulturze polsko-francuskiej (np. zorganizowany przez chór „Millenium” w Marles-les-Mines „Tydzień kultury Polonii francuskiej”. 15-21. V. 1969) często już niezrozumiałej dla „starego” pokolenia, które nie odnajduje w niej atmosfery z lat 20 i 30-tych.

Wydać się, że Polonia francuska znajduje się na progu poważnych przemian duchowych. Często powtarzający się dylemat: getto-integracja czy asymilacja, zachowanie i ukształtowanie własnej osobowości czy stopienie się ze środowiskiem otaczającym (bardzo instruktywne są tutaj dyskusje Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich we Francji, zorganizowane z okazji obchodów uroczystości 50-lecia istnienia tejże organizacji) stawiają emigrację przed wyborem: dynamiczne życie w nowych warunkach czy powolna wegetacja we własnym „sosie”. Trudno w tej chwili przewidzieć wypadkową tych dwóch tendencji: realizmu i specyficznie pojętego patriotyzmu.

Przeglądając statystyki poszczególnych organizacji polskich ma się często wrażenie, że znajdują się one jeszcze w pełnej ekspansji. Obserwacja jednak ich codziennego życia nasuwa często pesymistyczne wnioski w stylu: „U nas istnieje teraz już tylko bractwo różańcowe i koło śpiewu”, do których stosunek nowego pokolenia, urodzonego już we Francji, jest często więcej niż obojętny. Różna percepcja „polskości” i obowiązków względem niej jest powodem wielu sytuacji konfliktowych.

Na terenie Francji czynnych jest kilkanaście organizacji o mniejszej czy większej żywotności. „Kongres Polonii Francuskiej”, założony w 1949 roku z inicjatywy ks. Inf. K. Kwaśnego, zrzesza w sobie następujące związki:

1. Związek Katolickich Stowarzyszeń Mężów, około 3 tys. członków (założony w 1924, w Lens);
2. Związek Towarzystw Kobiety, około 4 tys. członków;
3. Związek Bractw Żywego Różańca, 97 kół, ok. 11 tys. członków (założ. 20. V. 1926 w Lille);
4. Związek Kół Śpiewaczych, 25 kół, około 2 tys. członków;
5. Związek Chórów Kościelnych, 31 chórów, około 1.500 członków (założony w 1945 w Lens);
6. Związek K.S.M.P. (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej) żeński, około 3 tys. członków (założony w 1924 w Houdain);
7. Związek K.S.M.P. (męski), około 3 tys. członków;
8. Związek Działu Polskiej, około 4 tys. zrzeszonych dzieci;
9. Związek Rodzin Polskich Obrońców Ojczyzny (założony w w Douai w 1934);

10. Związek Sokolstwa Polskiego we Francji (pierwsze gniazdo we Francji powstało w 1901 roku w Paryżu).

Powyższe organizacje, przez młodsze pokolenie często określane jako „folklor”, „uznają za podstawę swojej działalności światopogląd chrześcijański. Ich wspólną troską jest pielęgnowanie tradycji ojczystych i dążenie do przyswajania kultury Narodu polskiego młodemu pokoleniu, a co za tym idzie, stała się dążność do śledzenia wszelkich przejawów życia w kraju ojczystym”.

Jest faktem ogólnie przyjętym, że kler polski we Francji spełnił ogromną rolę w podtrzymaniu polskości na obczyźnie. I kapłan polski to więcej niż jedna organizacja polonijna. W chwili obecnej, na terenie Francji pracuje około 150 duszpasterzy polskich (1/3 stanowią księża diecezjalni, 2/3 księża zakonnici: oblaci, pallotyni, chrystusowcy, misjonarze) w około 70 centrach duszpasterskich. Mają oni kontakt z około 250.000 katolikami polskimi. Dla wielu Francuzów polskiego pochodzenia wiara ściśle identyfikuje się z polskością (słynne, ale już coraz mniej aktualne „Polak = katolik”).

Organizacją o wielkich zasługach w krzewieniu znajomości języka i kultury polskiej był i jest jeszcze Niezależny Związek Nauczycielstwa Polskiego. Założony w roku 1924 liczy w chwili obecnej około 100 członków, którzy pracują w około 100 punktach nauczania języka polskiego, z około 10.000 dziećmi. W przeszłości Związek prowadził „akcję kolonii letnich dla dzieci polskich”.

Bardzo dynamicznie społecznie i kulturalnie jest założone w 1917 Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji. Skupia ono w swych szeregach zarówno Polaków jak i Francuzów polskiego pochodzenia (około 600 członków). Oprócz odczytów publicznych propagujących kulturę polską, organizacja ta jako jeden z celów swych poszukiwań postawiła problem: getto — integracja czy asymilacja emigracji polskiej we Francji. Stowarzyszenie podjęło hasło integracji, pojętej jako dynamiczna wymiana wartości między dwoma społecznościami: „Wnikajcie w kulturę francuską, ale nie zapominajcie o specyficznych walorach kultury polskiej”. Stowarzyszenie wydaje biuletyn oraz organizuje w osobach swoich członków liczne przekłady na język francuski polskich tekstów technicznych.

Organizacją o wielkich tradycjach kulturalno-społecznych jest Związek Harcerstwa Polskiego. Związek liczy w chwili obecnej około 1.000 członków.

Organizacją skupiającą w sobie więcej stowarzyszeń polskich jest „Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny” w skład której wchodzi:

1. Związek Rezerwistów i Byłych Wojskowych (około 6 tys. członków),
2. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów,
3. Związek Polskich Inwalidów Wojennych (ok. 1.500 członków),
4. Związek II Dywizji Strzelców Pieszych,
5. Związek P.O.W.N. (były ruch oporu),

6. Koło I Dywizji Pancernej,

7. Związek I Dywizji Grenadierów.

Wszystkie organizacje kombatanckie liczą około 30 tysięcy członków, w tym około 12 tys. płacących składki.

Należy jeszcze wspomnieć Związek Polskich Federalistów, który liczy około 400 członków.

W lutym 1953 r. powstał „Komitet wyborczy Polaków — naturalizowanych”. Komitet już kilkanaście razy zwracał się do mas wyborców polskich nawołując do „zorganizowania obrony interesów społeczności polskiej”.

Prasa polska we Francji

Jednym z mierników życia duchowego społeczności jest jej prasa. Była ona szczególnie bujna w latach przedwojennych aż do roku 1952. Niestety większość redaktorów corocznie stwierdza kurczenie się liczby polskich prenumeratorów. Każda śmierć to najczęściej jeden czytelnik mniej.

W chwili obecnej ukazuje się we Francji następująca prasa polska, w polskim lub francuskim języku:

1. *Narodowiec* — założony 1909, wydawany w Lens przez red. Michała Kwiatkowskiego, dziennik;
2. *Kultura* — miesięcznik intelektualistów polskich na emigracji. Założony w 1947 wydawany w Paryżu od grudnia 1947.
3. *Nasza praca* — organ sekcji polskich syndykatów chrześcijańskich wydawana w Paryżu, w zasadzie miesięcznik, wychodzi jednak nieregularnie.
4. *Niepokalana* — nakład około 20 tysięcy, miesięcznik religijny wydawany przez Ks.ks. Oblatów w La Ferté-sous-Jouarre.
5. *Głos Katolicki* — tygodnik, założony w 1945, nakład 5 tys. egzemplarzy, wydawany przez Ks.ks. Oblatów.
6. *Młode Serce* — miesięcznik, założony w 1947 roku, wydawany przez Ks.ks. Oblatów.
7. *Polskie Pachole* — trzymiesięcznik, pismo dla dzieci, wychodzące przed wojną i w czasie okupacji, służące jako podręcznik dla dzieci na kursach języka polskiego, wydawane przez Niezależny Związek Nauczycielstwa Polskiego.
8. *Nasze echo* — miesięcznik ilustrowany, wychodzi nieregularnie, Lille.
9. *Głos pracy (La voix du Travail)* — miesięcznik, wydawany dla robotników członków „Force Ouvrière”, wydawany w Paryżu.
10. *Nasza rodzina (Notre Famille)* — założony w 1945 r., miesięcznik katolicki, wydawany w Paryżu przez Ks.ks. Pallotyńów. Nakład ok. 20 tys. egzemplarzy.
11. *Polska w Europie (La Pologne en Europe)* — miesięcznik, nakład 4 tys. egzemplarzy.
12. *Panorama franco-polonais* — Le premier et le seul en France journal polonais indépendant d'information en langue polo-

naise, journal-revue — magazine. Założony w 1954, wydawany przez Arthur-Leon Pohl.

13. *Oder-Neisse (Odra-Nysa)* — Biuletyn informacyjny Stowarzyszenia Obrony Granic nad Odrą i Nysą.
14. *Tygodnik Polski (La semaine Polonaise)* — wydawany od roku 1957 przez Ambasadę P.R.L. w Paryżu. Drukowany w Polsce. Tygodnik ilustrowany.
15. *France-Pologne* — Revue de l'Association „France-Pologne”. Président-fondateur — Frederic Joliot-Curie.
16. *Bulletin d'information en langue polonaise* édité par le Parti Communiste Français — miesięcznik.

W 1953 r. wychodziło jeszcze we Francji około 40 pism polskich.

Problem świadomości narodowej Polonii francuskiej

W chwili obecnej 7% (ok. 3 milionów) ludności Francji to cudzoziemcy. Zjawisko zdawałoby się normalne, zdaniem jednak niektórych socjologów z chwilą przekroczenia 10% (do 1975 r. przemysł francuski będzie musiał zwerbować dalsze 3 miliony robotników zagranicznych) grozi Francji niebezpieczeństwo mniej czy bardziej świadomie zalegalizowanego *apartheid'u*. Coraz częściej spotykane na murach napisy „La France aux Français” (w ostatnich wyborach kantonalnych jeden z kandydatów w kantonie Villeneuve-Le-Roi — region paryski, reprezentował „partię”: „Défense du pays et des travailleurs français contre l'invasion étrangère”) przypominają o rosnącej ksenofobii. Rząd francuski w trosce o jedność kraju, rozwinął już w latach dwudziestych energiczną politykę asymilacyjną. Dekret o naturalizacji z 1927 r. przewidywał zmianę nazwiska oraz zaawansowany stan „francuzacji” (= asymilacji), jako *conditio sine qua non* otrzymania obywatelstwa francuskiego. W tych warunkach kandydaci żyjący poza „gettem” polskim, nie znający już języka polskiego, mieli więcej szans na pozytywną odpowiedź administracji, niż ci, którzy utrzymywali kontakty z „polskością” wykazując się przy tym dobrą znajomością języka francuskiego. Język, szkoła, warsztat pracy, postępująca absorpcja zwyczajów francuskich, ciągłe otoczenie francuskie, miały ułatwić proces rozpląnięcia się grup cudzoziemców w masie francuskiej. Parafię polską, organizację polską, traktowano jako zło konieczne. M.in. reakcją na ten program był artykuł Kukucza w *Gazecie Polskiej* (13. I. 1929) pod tytułem: „Gdy rozlegają się głosy: „róbmy przybyszów Francuzami” my odpowiadamy: „Brońmy Polaków przed wynarodowieniem”.

Dzisiaj, po 140, po 60, po 50 latach pobytu na terytorium francuskim, z dala od Polski, pod nieustannym oddziaływaniem społeczeństwa francuskiego jaka jest świadomość narodowa polskiej grupy? Kim są przybysze z Polski, ich dzieci, ich wnuki?

Podział administracyjny — statystyczny (na Polaków: obywa-

teli francuskich, polskich, uchodźców i bezpaństwowców) nie odpowiada rzeczywistości psychosocjologicznej. W tłumie Polaków spotkanych w kościele lub klubie polskim spotyka się obok siebie postawy typu:

1. „Jestem, czuję się Polakiem” („Zawsze będę czuł się Polakiem”). Grupa ta obejmuje większość emigrantów z lat 20-tych, część emigracji z czasów II wojny światowej oraz tzw. nową emigrację lat 60-tych (w przeważnej części młoda inteligencja techniczna), deklarującą się jako „apolityczna” — wyjątek stanowią uchodźcy z lat 1968-69 (unikający „getta” polskiego) — niezła znajomość języków obcych, nieufność wobec Polaków dawniej osiadłych, a tym samym bardziej skłonni do izolacji i wynarodowienia.

Wśród dzieci emigrantów (15-40 lat), urodzonych już we Francji nierzadko słyszy się oświadczenia jak np. te:

- 1) „Je me sens Polonais” — (gimnazjalista, 18 lat, ojciec wyższe wykształcenie, naturalizował się „dla syna”, który *nota-bene* słabo mówi po polsku).
- 2) „Urodziłem się we Francji i darzę ten kraj wielkim sentymentem. Ale Polska jest moją Ojczyzną” — (25 lat, student, ojciec robotnik z obywatelstwem polskim, podobnie syn).
- 3) „Kurwa! jak ja się będę czuł Francuzem?! Ojciec i matka byli Polakami. Jestem i zginę Polakiem” — (ok. 33 lat, mechanik, *carte de réfugié politique(!)* jak rodzice, 5 lat w Legii cudzoziemskiej).

2. Większość jednak zachęcona przez rodziców (którzy najczęściej zachowują stare polskie „papiery”, bo: „tego nie można zmienić”), przyjmuje obywatelstwo francuskie. Wśród tej grupy respondentów najczęściej spotyka się wypowiedzi typu: „Jestem Polakiem i Francuzem”. U starszych respondentów to „bycie Francuzem” ogranicza się, do 50 lub 30 lat pracy w „minach” lub fabryce francuskiej, faktu posiadania od kilkunastu lat (przeważnie po 1948 r.) obywatelstwa francuskiego („ale ja Francuz tylko na papierze... jutro jadę do Polski i z Francuza nic...”) i jako takiej znajomości języka francuskiego, podczas gdy „bycie Polakiem” to Polska, miejsce urodzenia, język, szkoła, wychowanie, zwyczaje i to wszystko co nazywa się kulturą i tradycją polską wraz z kompleksem bycia kimś innym.

U młodszych respondentów, urodzonych już we Francji (lub którzy w wieku od 0-7 lat osiedli się z rodzicami we Francji; często tragiczny jest *casus* dzieci urodzonych we Francji, które z rodzicami opuściły Francję w wieku 9-14 lat — w roku 1935 lub między 1945 i 1949 r. i potem wróciły do niej po około 20 latach pobytu w Polsce) sytuacja jest odwrotna i bardziej skomplikowana wewnętrznie. Polska dla nich to najczęściej Ojczyzna ich rodziców (w małżeństwach mieszanych dochodzi niekiedy do układów bardzo ciekawych), kupa sympatycznych wujków, ciotek

i kuzynów, trudny język, niefrancuskie nazwisko, mglista znajomość historii i języka polskiego. Francja — to *la patrie*, z tym wszystkim co ona reprezentuje (ziemia, język, szkoła, warsztat pracy, świadomość przynależności do grupy swoich rówieśników francuskich, kultura i mentalność francuska...).

3. Świadomość etniczno-historycznej więzi z krajem rodziców („zew krwi”) i wartości reprezentowanych przez nich i ich grupę oraz fakt jurydyczno-psychologicznej przynależności do Francji, ich Ojczyzny, prowadzi do wielu sytuacji konfliktowych jak:

a) dualizm:

„*Je suis les deux d'esprit*” — (35 lat, urodzony we Francji, wyższe wykształcenie, ojciec robotnik, w domu mówi się po polsku, unika raczej Polaków).

b) rozszczepienie jaźni graniczące ze schizofrenią:

„... *on est malgré soi-même (Français)... pas comme on aimerait être* — (ok. 40 lat, urodzona we Francji, wyższe wykształcenie, często odwiedza Polskę).

„... *Je suis Français pour certaines choses, eg. la liberté, je suis Polonais pour les principes de vie*” — (ok. 35 lat, wyższe wykształcenie, mówi słabo po polsku, ojciec górnik).

c) poczucia winy:

„... *Je n'ai pas cherché, je n'ai pas voulu lâcher le pays à l'âge de deux ans... C'est comme ça!*” — (ok. 45 lat, wyższe wykształcenie, często odwiedza Polskę, słabo mówi po polsku).

„... *Je ne peux rien à ma naissance...*” — (20 lat, studentka, urodzona we Francji, *nationalité: „réfugiée polonaise”*... tak jak ojciec; nigdy nie była w Polsce, mówi słabo po polsku).

d) wegetacji na pograniczu kultury polskiej i francuskiej wraz z odrzuceniem jakiegokolwiek *engagement* po jednej lub drugiej stronie ponieważ:

„... Ja nie mogę walczyć przeciwko Polakom, bo moja rodzina, ja nie mam żadnej rodziny we Francji, cała rodzina (rodziców) jest w Polsce... We Francji ja się urodziłam, skończyłam szkołę... Ja w Polsce bym nie mogła żyć... oni, moi rodzice są Polacy, jakże ja przeciwko nim...? — (30 lat, urodzony we Francji, robotnik kwalifikowany, słaba znajomość języka polskiego, często bywa w klubie polskim).

Oświadczenie: „czuję się Polakiem” lub „Francuzem” oznacza dla nich identyfikację z jedną lub drugą stroną, które podświadomie uważane są za dwie rzeczywistości sobie przeciwstawne. Dlatego lepiej być „*ni l'un, ni l'autre*”.

e) lub deklaracji w rodzaju:

„*je suis entièrement, entièrement Français!*”, które (często jest obroną przed konfliktowym dualizmem) oznacza radykalne

zerwanie ze społecznością polską, jej językiem i kulturą (chęć zatarcia jakichkolwiek śladów odrębności). Logikę tego rodzaju postawy wyraża takie np. oświadczenie:

„*A mon avis, quand on a choisi une nationalité c'est pour l'adopter tout à fait et non pour se complaire dans les amicales rappelant le pays qu'on a abandonné. Si le pays natal manque à ce point, on y retourne. Dans ma famille, lorsqu'on se naturalise, c'est pour adopter les mœurs et les coutumes du pays qu'on adopte. En un mot, devenir cent pour cent citoyen de ce pays*” — (ok. 45 lat, urodzony we Francji, robotnik kwalifikowany, nie mówi po polsku. „... *Je n'en souffre d'ailleurs absolument pas*”).

4. Próba pokonania sprzeczności, które implikuje fakt przynależności do dwu grup etnicznych są odpowiedzi typu:

„*Jestem, czuję się Europejczykiem*”, które wydaje się wyjściem z impasu wyboru „albo... albo...”. Udzielają jej najczęściej ludzie z wyższym wykształceniem (70 %), posiadający najczęściej już obywatelstwo francuskie (niektórzy zachowują „*carte de réfugié*”, ponieważ: „czekam na Europę”).

Problem tożsamości narodowej jest ogromnie skomplikowany, daleki od poprawności logicznej, trudny do przejrzystej klasyfikacji. Wyjaśnienia jego należałoby szukać w kręgu zjawisk emocjonalno-afektywnych (świadczą o tym, takie wyrażenia: „krew... serce... dusza polska...” podkreślające aspekt duchowo-mistyczny przynależności etnicznej), czysto ahistorycznych, ściśle związanych z przeżyciem „spotkania się” z grupą społeczną (ojciec, matka, rodzina, społeczeństwo), jej językiem, jej „kodeksem” praw i obowiązków (*le „Sur-moi” sociale*), które ożywiają pamięć (indywidualna, społeczna...) i wspomnienia. W wypadku kontaktu z dwoma społecznościami, z dwoma językami, z dwoma kulturami (w wyniku integracji tych dwóch rzeczywistości) zjawisko komplikuje się jeszcze bardziej.

Asymilacja czy... integracja?

Polityka asymilacyjna rządu francuskiego, o której wspominaliśmy poprzednio, przyniosła przewidywane efekty wśród mniejszości włoskiej, hiszpańskiej, belgijskiej, holenderskiej i szwajcarskiej. Emigracje słowiańskie, a szczególnie polska, odpowiedziały negatywnie na próbę wynarodowienia. Złożyło się na to wiele przyczyn:

1. Administracja francuska popełniła wiele „błędów” wobec emigrantów polskich:

- a) mimo tych samych kwalifikacji i wydajności robotnik polski był gorzej wynagradzany od jego kolegi Francuza.
- b) Fakt bycia *étranger* redukowal do zera możliwości awansu.
- c) Możliwość zajęcia kierowniczego stanowiska w organizacji syndykalnej była minimalna.
- d) Otrzymanie licencji na prowadzenie sklepu, zakładu rzemieślniczego

go lub praktykę wolnych zawodów było bardzo utrudnione, praktycznie niemożliwe.

- e) Otrzymanie obywatelstwa francuskiego (bardzo kosztowne) nie było identyczne z faktem bycia i włączenia w środowisko francuskie. Polak — obywatel francuski w większości wypadków pozostawał obywatelem drugorzędym, postawionym tak poza nawias społeczności francuskiej, jak i polskiej, która utożsamiała naturalizację ze zdradą sprawy polskiej.

2. Emigranci polscy opuszczali Ojczyznę z myślą rychłego powrotu do niej.

3. Nie bez znaczenia była inna koncepcja państwa i narodu. Podczas gdy w Europie Zachodniej państwo (*l'Etat*) tworzyło naród, w Polsce naród tworzył państwo. Świadomość narodowa nie identyfikowała się ze świadomością „państwową”, paszport francuski nie kolidował z uczuciem bycia Polakiem.

Wypadki wojenne lat 1939-45, wspólna walka w ruchu oporu przeciwko wspólnemu wrogowi zbliżyła do siebie społeczeństwo francuskie i Polonię. „Getto” psychosocjologiczne, które stworzyła w znacznej części ludność i administracja francuska, poczęło pękać. Zrodzona w walce solidarność rodziła wzajemne zaufanie, a wraz z nim rosnące zainteresowanie życiem gospodarczo-politycznym Francji. Niestety, uznanie rządu PRL, oddanie pod opiekę ambasady i konsulatów PRL instytucji emigracyjnych (np. liceum polskie w Paryżu, Polski Czerwony Krzyż, Polski Dom), zwolnienie z polskiej sekcji radia pracowników znanych z przekonań antykomunistycznych było bolesnym zawodem dla Polonii francuskiej. Niedosć tego, wiele organizacji polskich z braku obciętych funduszy przestało praktycznie istnieć. Miejsce ich zajęły organizacje „konsularne”. Inteligencja polska z braku rynku pracy opuszczała Francję udając się do Stanów Zjednoczonych lub Kanady. Polskie szkoły przejęły władze konsularne PRL, bowiem rząd francuski odmówił emigracji pomocy finansowej. Jeśli do tego dorzucić fakt powrotu do Polski, z ciłą „pomocą” władz francuskich około 75 tys. Polaków i tragedii z tym związanych, liczne tragikomiczne wypadki „kolaboracji” i „wybierania wolności” łatwo sobie wyobrazić rozgoryczeni, apatię i nieufność do Francji i Francuzów. Nie pomogły decyzje w sprawie szkolnictwa. Polacy obywatele francuscy pozostali pasywni. Rosnąca liczba naturalizowanych nie zwiększała liczby ludzi aktywnie biorących udział w życiu społeczno-politycznym Francji. Dezorientację i pasywność potęgują jeszcze władze konsularne PRL i jej czynniki zręcznie wygrywające nutę patriotycznego przywiązania do Polski. Wyjazd do Ojczyzny neutralizuje wielu byłych działaczy emigracyjnych. Obawa odmowy wizy, troska, „żeby, rodzinie w Polsce nie zaszkodzić”, prowadzi wielu do pasywnizmu i społeczno-politycznej abstynencji. Statystyki licznych organizacji polonijnych i jej członków są coraz bardziej fikcją¹⁰.

Aktualna rzeczywistość polityczna w Polsce a wraz z nią definitywna decyzja związania swoich losów z Francją, wymierające

kadry starych „przedwojennych” działaczy polonijnych i urodzone już we Francji drugie i trzecie pokolenie synów emigrantów, niepowodzenie polityki asymilacyjnej i potwierdzone praktyką walory pluralizmu kulturalnego stworzyły bazy do nowej dyskusji na temat współżycia między mniejszością polską i społeczeństwem francuskim, oraz sposobami zachowania, kultywowania i przekazywania kultury polskiej. Większość dyskutantów odrzuca asymilację (absorbację) jako zubożającą obu partnerów¹¹ przyjmują za punkt wyjścia integrację¹². W kontekście stosunków polonijno-francuskich padają często takie terminy jak: adhezja, adaptacja, akomodacja, inkrustacja, symbioza. Każde z wymienionych pojęć podkreśla pewien aspekt stosunków pomiędzy jednostkami społeczeństwa wielonarodowościowego. Wydaje się, jednak, że wymieniona powyżej terminologia podkreśla przede wszystkim akcję i wysiłek emigranta, podczas gdy jego partner Francuz pozostaje pasywnym obserwatorem i pierwszym „beneficjentem” tego „dialogu”. Pojęcie mutualizmu¹³ zdaje się, że wydatniej podkreśla wysiłek i aktywny udział obydwu stron. Mutualizm jest jedną z postaci współżycia dwóch (lub więcej) społeczności należących do różnych „etnii”, w której oba organizmy czerpią wzajemne korzyści bez eksploatacji któregośkolwiek z partnerów. Mutualizm psycho-socjologiczny jest oparty na zasadach:

1. pluralizmu społeczno-kulturalnego,
2. wolności osobistej (emigranta i mniejszości narodowej) partnerów,
3. tendencji do jedności społeczeństwa,
4. zachowania porządku społecznego,
5. obopólnego wkładu i wymiany dóbr materialno-duchowych.

Pojęcia integracji i mutualizmu są pojęciami uzupełniającymi się. Pierwsze wskazuje raczej na pewien stan dwu społeczeństw (społeczeństwo, jednostka zintegrowana), drugie podkreśla zasadę według której dokonuje się proces integracji, której punktem wyjścia jest uznanie cennej „inności” partnera (w przeciwstawieniu do asymilacji) i wzajemny respekt (uznanie wartości reprezentowanych przez drugiego). W kontekście polsko-francuskim tego rodzaju współżycie byłoby wzbogaceniem obydwu stron. Rewaloryzacja kultury polskiej poprzez wskrzeszenie szkół i instytucji polskich (Polacy obywatele francuscy — ok. 500 tysięcy wyborców — mają prawo do nich!) byłoby dalszą konsekwencją tego rodzaju stosunków, które wyeliminowałyby wiele kompleksów i konfliktów emigracji polskiej (szczególnie młodego pokolenia). Dwu-kulturowość, dwu-języczność... są wzbogaceniem tak jednostki jak i społeczeństwa, nie należy jednak zapominać o trudnościach (psychologicznych, pedagogicznych, ekonomiczno-politycznych etc.), które one ze sobą przynoszą.

BIBLIOGRAFIA

1. Wiśniewski Christiane, *Assimilation de la main-d'œuvre polonaise dans la Région du Nord entre les deux guerres*. Mémoire de recherche préparé sous la direction de Marcel Gillet, juin 1969, Université de Lille.
2. Rozwadowski Jean, *Immigration polonaise en France*, thèse pour le doctorat — 3 juin 1927.
3. M. Valet — *Réstriction à l'émigration*. Paris 1931.
4. Na podstawie referatu gen. Jaklicza, wygłoszonego 14 listopada 1969 r. w Domu Kombatantów Polskich w Paryżu.
5. *Patronat Français*, No. 298, VIII-IX. 1969, str. 29.
6. *Panorama emigracji polskiej* w „Nasza Rodzina”, numer specjalny 1968, str. 32.
7. *ibidem*.
8. *ibidem*.
9. Art. Jerzy Leyda, *Czy Anglik może być Polakiem*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, Londyn, 11 lutego 1970.
A. T. Zaleski, *Mój stosunek do Polski*, „Trybuna” (kwartalnik polityczny), Londyn, nr 3/59, IV, 1969.
10. Wśród kilkudziesięciu organizacji polonijnych jedynie trzy posiadają status organizacji francuskich:
1. Union des Commerçants et des Artisans d'origine polonaise;
2. Chór „Millenium”;
3. Société Historique et littéraire polonaise (uznana przez Napoleona III jako institution d'utilité publique).
11. *Assimilacja* — bhm. „upodobnienie się, przyswojenie, w szczególności upodobnienie się pod względem narodowym, przyswojenie kultury innego narodu: Słownik języka polskiego pod red. Doroszewskiego.
„L'assimilation, en effet consiste en une transformation des émigrés en citoyens de la nouvelle communauté, sans qu'ils aient la possibilité de conserver leur propre caractère national et culturel”.
Definicja podana przez ks. Lewickiego, Lille.
Assimilation — action de rendre semblable à qqch. Transformation d'une chose devenue semblable à une autre par contact, rapprochement — Robert.
12. *Integracja* — proces tworzenia się całości z drobnych części, scalenie.
Proces ujednolicania, harmonizowania różnych czynności organicznych ze sobą i z całym organizmem.
Słownik języka polskiego, Doroszewski.
L'intégration signifie que l'émigré remplit dans son milieu toutes ses activités (physiques, intellectuelles, morales), sans se renier lui-même et sans se montrer étranger.
Def. ks. Lewickiego, Lille.
13. *Mutualizm* — biol. „jedna z postaci współżycia dwóch organizmów należących do różnych gatunków, w której oba te organizmy czerpią wzajemne korzyści.
Słownik języka polskiego, Doroszewski.
„Association de deux animaux d'espèces différentes qui retirent des bénéfices réciproques de cette union, sans vivre aux dépens d'un de l'autre”. Robert.

Division : Blaski, cienie i nadzieje

(Wrażenia nowej emigrantki)

Na początek krótka historyjka. Latem, kiedy Ameryka zamienia się w wielkie obozowisko, a ludzie żyją bardziej w samochodach niż w domach, pewne małżeństwo w średnim wieku znalazło się we względnie wyludnionej okolicy, zdecydowało poprosić o nocleg. Podjechali do najbliższego z domów, gospodarz otworzył drzwi, powitał ich uprzejmie, naturalną koleją rzeczy zapytał skąd są. Było bardzo miło, dopóki nie powiedzieli, że są z Chicago. Aura gościnności ulotniła się błyskawicznie, gospodarz nie wdając się w wyjaśnienia, poprosił by opuścili jego dach. Podobnie odbyło się to w następnych domach, z niewielkimi zmianami w scenopisie. Byli spokojnie wyglądającym małżeństwem, nie mającym nic wspólnego z hippisami, Panterami i całą rewolucyjną lewicą, ale nazwa miasta w którym żyli miała taką siłę, że usuwała w cień wszelkie możliwe okoliczności łagodzące. Nocleg dostali dopiero wtedy, kiedy przemilczeli Chicago, i podali, że są z Illinois. Historyjka jest prawdziwa. Prawdziwa jest także reputacja miasta, trwająca od dawna i nie ulegająca poprawie. Wystarczy być w Chicago przez parę tygodni, czytając lokalne gazety jak *Sun Times*, czy *Chicago Daily News*, a po niedługim czasie człowiek uważa za osobisty sukces fakt, że nie został jeszcze ograbiony, poturbowany czy zgoła zabity. Zabieranie portmonetek w autobusach należy, na przykład, do zdarzeń całkiem pospolitych. W centrum Chicago, w wielkim kompleksie mieszkaniowym Cabrini-Green House, stoją niezajęte setki mieszkań, bo ludzie boją się tam przebywać. Windy są pułapką, z której ofiara nie może się wydostać, policjantów morduje się jednego za drugim w czasie regularnych patroli zwiadowczych. Walka policji ze zorganizowanym czarnym podziemiem jest zupełnie jawna, a przeciwny obywatel trzęsie się ze strachu, by nie znaleźć się przypadkiem na terenie rozgrywek między jednymi a drugimi, bo wówczas jego los jest przypieczętowany. W czasie ostatniej z takich potyczek *subway* chodził z wygaszonymi światłami, a ludzie wracający z pracy wypuszczani byli na krytycznych przystankach na własne ryzyko, zapewne w myśl mądrej zasady, że co komu sądzone, to go nie minie. Rankiem czytało się spokojny i obiektywny raport z potyczki, tytuł i tytuł zabitych, rannych etc., a zabawa trwała dalej, bez przewidywanego odwołania.

Z miasta wyniosły się już dawno wielkie reżnie, ale w mieście zostali bandyci i szeroko rozgałęzione podziemie. Samo miasto jest zresztą bardzo brzydkie, brzydota bez szans, rozbudowaną, tępą, bez cienia odrębności. W różnych dzielnicach powtarzają się te same brudne, nieotynkowane domy, te same nachalne

reklamy, te same rozległe cmentarze samochodowe. Nad jedną z głównych ulic centrum przebiega hałaśliwa kolejka miejska, a przechodzień, oblepiony *pollution*, ogłuszony hałasem, zamknięty z obu stron ścianami drapaczy i dotknięty wizualnie żelaznym rusztowaniem owej kolejki, porusza się jak w klatce, dysponując minimalną przestrzenią, nie mając nic do powiedzenia, ignorowany, zapomniany, ot, dziwne zwierzę na wymarciu. Jadąc z centrum w kierunku „suburbii”, mija się polską dzielnicę: Division. Już z daleka widać polskie reklamy zachęcające do wysyłania paczek PKO. Nawet ci, którzy dawno wynieśli się stąd do bogatszych części Chicago, przyjeżdżają tu po zakupy, albo po prostu po łokć folkloru. Tylko tu można kupić autentyczną polską kiełbasę, rdzennie po polsku kwaszone ogórki, tutaj mieszczą się polskie stacje benzynowe, gdzie obsługujący prezentują rozmaite biografie emigracyjne, od Andersa aż po przypadkowy azył w Szwecji, tutaj są kioski z gazetami i nigdy nie brak *Przekroju*, tutaj wreszcie mieści się siedziba polskich władz związkowych i dwie polonijne gazety. Jest masa polskich restauracji ze smętną atmosferą stałych bywalców, znających się jak łysie konie i nie pozostawiających na sobie suchej nitki, z paniami, które teraz obsługują, ale które były zawsze przedtem znakomitościami, albo przynajmniej przebywały w pobliżu znakomitości, i tylko potem im tak marnie zeszło na dolary, z polskimi salami bankietowymi, w których odbywają się polskie wesela. Umarłych grzebie się w polskich zakładach pogrzebowych, a w międzyczasie żyje się w parafiach, w ogrodach, w których urządzane są co niedziela pikniki. Klubów jest mnóstwo, co drugi ma w tytule słowo „narodowy”, co trzeci występuje przeciw pierwszemu, a każdy Polak przebywający w Chicago ma szansę zostania prezesem, albo wiceprezesem. Tytuły są nadawane dożywotnio, stąd w polskich gazetach wychodzących na Midwescie, przed każdym nazwiskiem widnieje jakiś tytuł. Po to, żeby być nie utytułowanym w Chicago, trzeba być albo absolutnym idiotą albo nie-Polakiem. Procedura tego kojącego procesu kompensacji jest prosta, wystarczy parę dolarów rocznej składki i podpis. Od pań żąda się dodatkowo pomocy przy robieniu kanapek na kolejny piknik. Wszyscy są zadowoleni, tylko nowoprzybyły czuje się początkowo nieswojo, zwłaszcza jeśli przyzwyczaił się do ładnej anglosaskiej dewizy, głoszącej, że: „*when you have really arrived you don't have to shout about it*”. Ta dewiza, jak i wiele innych znacznie cenniejszych fragmentów amerykańskiej kultury, nie została po prostu w rejonie Division, wchłonięta i zaakceptowana. Słowo intelekt, bez względu na narodowość posiadacza, ma dla Polonii odcień zdecydowanie komunistyczny. Bezpiecznym i polecany sposób zdobycia sobie uznania jest wygłoszenie pogadanki na tematy religijno-patriotyczne, albo napisanie wierszy na te same tematy, byle tradycyjnych w formie, żadnej moderny ani współczesnych sztuczek, tego się tutaj nie lubi. Oczywiście, że można powiedzieć, że są wyjątki, że nie wszyscy mieszkają na Division (co jest prawdą, bo jak tylko dorabiają się

grubszych pieniędzy wynoszą się stamtąd w te pędy, kupując domy na odległych i zacisznych suburbiach), podobnie jak można powiedzieć, że Chicago jest piękne, zwłaszcza, gdy patrzy się na nie z okien apartamentów na Lake Short Drive, apartamentów całkowicie bezpiecznych, bo strzeżonych przez prywatną i prywatnie opłacaną policję. Ponieważ jednak luksusowe Lake Short Drive jest niesłychanie małym wycinkiem Chicago, nie mającym żadnego wpływu na oblicze całego miasta, podobnie jak jednostki nietypowe nie mają wpływu na oblicze Polonii, dlatego lepiej jest pozostać przy obrazach całości, bo mówią one znacznie więcej. W kraju panuje przekonanie, że Polonia amerykańska to w jakimś sensie całość. Przeciętny rodak w PRL-u widzi Polonię jako blok, jest dumny z tego, że tyłu nas jest za granicą, widzi w tym dowód naszej prężności narodowej, naszego sprytu, naszego dawania sobie rady wbrew sąsiadom z prawej i z lewej. Rzeczywistość jest nieco inna. Pierwszy i zasadniczy rozdział przebiega na linii: emigracja stara i nowa. Między tymi ludźmi nie ma nic wspólnego. Dzieli ich wykształcenie i jego brak, inne poglądy polityczne, inne uformowanie, inne nawyki, inne aspiracje życiowe. Można być najdalszym od komunizmu, ale nie wyjeżdża się z kraju bez pewnych doświadczeń, które potem tutaj rzutują, które stanowią o tym „innym oku”. Szczególnie, że na Midwescie, przyjezdny styka się natychmiast z najbardziej konserwatywną, najbardziej ograniczoną warstwą amerykańskiej klasy średniej. Jeśli Midwest jest dnem intelektualnym Ameryki, czego nie kryją amerykańscy publicyści i co jest po prostu faktem, to Polonia znajduje się na samym dnie tego dna, dokładnie po myśli owego słynnego aforyzmu Leca. Większość członków Polonii to ludzie starzy, albo urodzeni już tutaj, typowi Polacy-Amerykanie. Jedni pamiętają głód i ciężką pracę na wsi, drudzy są typowymi przedstawicielami mniejszości narodowej. W obu wypadkach będą to ludzie syci, odziani, z własnym dachem nad głową, oddaleni od kultury kraju w którym żyją, nie mający pojęcia o kulturze kraju, z którego się wywodzą, klasyczni konsumenci o horyzontach zamkniętych *Seven Up*, strachem przed wojną, komunizmem, podatkami, pełni pogardy i nienawiści dla tych, którzy jeszcze nie doszli do statusu klasy średniej, pełni pokornego podziwu dla rodowitych WASP*, z dochodem rocznym ponad sto tysięcy. Ich narodowym bohaterem jest Wallace albo Agnew, ich osobistym wrogiem każdy członek uniwersyteckiego fakultetu, zwłaszcza z Kalifornii i Nowej Anglii. Są motywowani wyłącznie przez strach. Boją się dyskusji, boją się tego co nowe, boją się młodzieży, boją się wszelkich zmian. Wsteczność polityczna mniejszości narodowych w Ameryce nie jest dla nikogo tajemnicą, ale wsteczność polityczna Polonii to jest osiągnięcie samo w sobie, warte dokładniejszego przyjrzenia. Poglądy polityczne rozpowszechnia się zwykle za pomocą prasy, radia i telewizji. Polonia w Chicago ma dwie gazety. Jedną finansują księża, drugą

* White Anglo-Saxon Protestants.

Polski Związek Narodowy. Obydwie gazety, poza udzielaniem informacji z życia Polonii (pikniki, przemówienia, pikniki, przemówienia) i zamieszczaniem ogłoszeń propagujących działalność polskich firm, zajmują się, co jest naturalne, sprawami amerykańskimi. Oczywiście także i polityką. Jedną z tych gazet ma nawet specjalną rubrykę, w której omawia wyłącznie bardziej znaczące wydarzenia amerykańskiego dnia politycznego. Nie chodzi już o to, że polszczyzna tych gazet jest uboga i żenująca, że najczęściej zamieszcza się tłumaczenia z gazet amerykańskich, tłumaczenia dokonywane w pośpiechu, byle jak, tak że nie zmienia się nawet charakterystycznej składni zdaniowej na szyk poprawny, polski, nie chodzi już nawet o dobór tych informacji, istotny jest sposób ich podawania, sposób w jaki obie redakcje zamierzają formować poglądy swoich czytelników. Metody są proste, żeby nie powiedzieć prościutkie. Bierze się na przykład doskonały artykuł z *Times'a*, streszcza się go brutalnie w dwu zdaniach, i te dwa zdania stanowią już potem punkt wyjścia do ataku. Ataku mającego zapewnioną całkowitą bezkarność, jako że nikt z tych czołowych amerykańskich pism, nie wda się w polemikę z polską gazetą. I może lepiej, bo byłoby wstyd. Argumenty ataku są bowiem ciągle te same, prawicowość jest najniższego gatunku, a ponieważ redaktorów jest mało i pracują szybko, więc prawdy podawane są bez owijania w bawełnę, ot, nagie, tak jak je widzą czołowi ludzie z Polonii. A więc uniwersytety prezentowane są bez odmiany jak wylęgarnia czerwonych potworów, ssących pieniądze bezbronny poddany, słowo: profesor umieszczane jest prawie zawsze w cudzysłowie i brzmi w kontekście jak obelga, liberalni działacze z Nowej Anglii to komunistyczni agenci, tyle że nie zdołano im tego jeszcze udowodnić, ale proszę się nie niepokoić, to nastąpi, miejmy nadzieję niebawem, *Times* i *Newsweek* to czołowe czerwone szmatawce, jedyna przyzwoita amerykańska gazeta to naturalnie *Wall Street Journal*, a senator Fulbright powinien być powieszony na pierwszej dostatecznie mocnej gałęzi za to, że protestuje przeciwko wojnie w Wietnamie.

Kiedy z okazji *Independence Day* jeden z ekonomistów amerykańskich opublikował esej w *Times'ie*, wspominając mimochodem o ciężko pracujących Polakach z Gary i ich roli jako mniejszości narodowej w kształtowaniu obecnego oblicza amerykańskiej ekonomii, artykuł ten nie tylko nie został uczciwie streszczony, ale posłużył jako punkt wyjścia do ataku na rzekomo komunistyczną interpretację historii Ameryki. Autorzy owych codziennych ataków dumni są z tego, że są tacy „twardzi”, tacy wyczuleni na czerwone niebezpieczeństwo, na wszystko co pachnie choćby najślabiej marksizmem, w rzeczywistości jednak ich antykomunizm jest tak kiepskiego gatunku, tak daleki od procesów myślenia i analizy politycznej, że gdyby panowie z PRL-u mieli nieco więcej poczucia humoru, powinni ufundować nagrodę za tę polonijną publicystykę, która idzie po ich linii, bo tak jest bezbronna i tak łatwa do wykpienia.

Poza prasą, istnieje jeszcze polonijne radio i niedzielny krótki program telewizyjny. Radio jest zwyczajnie słabe, z nałogowym głędzeniem na tematy polityczne, przeplatanych starymi taśmami rozrywkowymi, wszystko w stylu przedwojennej dobroduszości, czyli ani dziennikarstwo ani rozrywka, natomiast telewizja ma pewne aspiracje, ale prezentuje inny, niemniej niebezpieczny, profil ograniczeń. Telewizja to jak wiadomo byznes, a zazwyczaj ci, którzy dopuszczani są do byznesu mają też głos co do końcowego kształtu wypuszczanego produktu. Ponieważ ten program telewizyjny korzysta bezpłatnie z taśm wypożyczanych przez rozgłośnie PRL, a dyrektor programu i zarazem właściciel, utrzymuje żywy kontakt z telewizyjnymi fachowcami w Warszawie, dlatego automatycznie profil audycji jest profilem bezkonfliktowym, w myśl mądrej życiowej zasady, żeby Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Jeśli urządzi się dyskusja, to już na tematy ukochane w PRL-u czyli na tematy ograniczeń rasowych, problem istotnie palący w Ameryce, ale tylko jeden z problemów, a nie jedyny.

Istnieje jeszcze inny, dodatkowy, chociaż bardzo szkodliwy aspekt działalności naszej prasy polonijnej. Chodzi mianowicie o stosunek, a raczej niezające stosunku w sprawie masowych wyjazdów do kraju. W Chicago znajdują się liczne biura podróży prowadzone przez Polaków i wszystkie one zajmują się namiętną propagandą wyjazdów do Polski. Jedną z form takiej propagandy jest dawanie ogłoszeń, umieszczanych następnie na łamach wspomnianych już gazet. Wyjazdy do Polski są tanie, jest to właściwie najtańszy sposób spędzenia wakacji w Europie, z dodatkową satysfakcją zobaczenia rodziny czy znajomych, zadawania fasonu za parę marnych dolarów i powrotu z przyjemną świadomością, że jakkolwiek ciężko nie pracowałoby się w rejonie Division, ocenione we właściwych proporcjach jest to dopiero z perspektyw małego miasteczka w Krakowskim czy wioski na Podhalu. Dla gości z Ameryki, w PRL-u jest cały szereg specjalnych przywilejów i stąd jakakolwiek próba oceny tamtejszej rzeczywistości, zwłaszcza robiona okiem niewprawnym, jest próbą nie mającą żadnej wartości obiektywnej. Oszoomionych rodaków z Chicago, przyholowanych na Okęcie specjalnymi jet'ami, zaprasza się dodatkowo na jakąś uroczystość ku ich czci, przy kawie i ciasteczkach robi się wyraźne zdjęcia które rozsyła się następnie do PRL-owskiej prasy, taśmy magnetofonu odnotowują clikliwe przemówienia, i stąd do całkowitego zrozumienia jest już bardzo niedaleko. Panowie z odpowiedniego wydziału w ministerstwie na Koszykowej zacierają ręce, a połaskotani w najczulsze punkty próżności i sentymentu, rodacy z Division, planują co by tu nowego posłać do kraju po powrocie. I tutaj następuje dziwny, aczkolwiek interesujący splót różnych interesów i tego samego kierunku działalności. Biura podróży wychodząc ze skóry żeby przechwycić jak największą ilość turystów, ofiarowują redaktorom chicagowskich gazet przeloty gratis w tę i z powrotem. Redaktorzy po powrocie, z wdzięczności, a także ze zrozumiałego

poczucia obowiązku względem swoich super-antykomunistycznych redakcji, piszą sążniste sprawozdania z pobytu w kraju, w Polsce jest to oczywiście odnotowywane z należytą satysfakcją, i wydawałoby się że wszystko gra. I tutaj chyba czarno na białym zarysowany jest przykład, do jakich absurdałnych sytuacji może doprowadzić słaby poziom środków masowego przekazu na emigracji. Te same bowiem czołowe dzienniki chicagowskie, uprawiające antykomunizm, w pewnych innych, znacznie subtelniejszych aspektach tego samego zagadnienia, wodzone są dosłownie za nos przez specjalistów od propagandy z Koszykowej czy nawet zwyczajnie z konsulatu w Chicago. Zalani łatwą falą sentymentu turyści, zapominają o podstawowym rozróżnieniu między Polską a PRL-em, i nie widać jakoś by ktokolwiek się trudził, aby im o tym przypomnieć. Przesadne wykrzykiwanie na wszelkie odcienie lewicy w Ameryce, idzie w parze z biernym akceptowaniem narzuconego przez Sowietów reżymu. Ci sami, którym dłonie puchną od okłaskiwania Agnew, udzielają potem wywiadów warszawskiemu radiu w czasie wizyty w Polsce i nie widzą w tym nic podejrzanego. Cała szeroka siatka propagandy kulturalnej, nastawionej na poprawienie *image* PRL-u na Zachodzie, właśnie w rejonie Division — symbolicznym rejonie niepoinformowanych albo poinformowanych słabo — działa najłatwiej i napotyka na najmniejszy opór. Oczywiście, że i przeciwdziałanie musi być umiejętnie dozowane. Nie można oczekiwać, że wychowa się Joannę D'Arc antykomunizmu z krawcowej, która wyjechała z Polski w poszukiwaniu amerykańskiego męża, podobnie jak z przypadkowego azylowca w Szwecji nie robi się specjalisty od analizy ekonomicznych fałszów, ogłaszanych przez prasę PRL-u jako rezultaty gospodarki narodowej; można jednak oczekiwać, a nawet należy żądać, by rozumiano i respektowano zasadnicze rozróżnienie między Polską jako krajem naszego urodzenia, a PRL-em jako tymczasową formą totalitarnych rządów komunistycznych. Jaki inny sens ma istnienie prasy polskiej na emigracji, prasy chronicznie kulejącej, dofinansowywanej ze składek? Jeśli chodziłoby o sam język polski, to znacznie prościej byłoby zaabonować *Trybunę Ludu*, w czym na pewno urzędnicy reżymowego konsulatu niektórym naiwnym redaktorom pomogą. Milczenie władz związkowych w tej sprawie także jest wielomówiące, bo solidarność narodowa, będąc uczuciem w zasadzie pozytywnym, nie może być wolna od rygorów rzetelnej analizy politycznej ani obowiązku minimalnej czujności jako odpowiedzi na sprytną propagandę. Za wielu jest Polaków rozsianych po świecie, Polaków, którzy wiedzą dlaczego opuścili kraj, by reszta mogła bez poczucia winy okłaskiwać przemówienia w Belwederze, nieodłączny punkt programu przy witaniu Polonii Amerykańskiej.

Taką to więc sieczką, doprawianą atrakcyjnymi notatkami z PRL-owskiej prasy, karmi się starych członków Polonii, tych którzy aktywnie uczestniczą w rozmaitych organizacjach, tych samych, którzy potem głosują. I tutaj właśnie zbliżamy się do sed-

na sprawę. Polonia nie jest uboga. Stanowiska w zarządzie poszczególnych instytucji polonijnych są atrakcyjne nawet jak na stosunki amerykańskie, zwłaszcza że nie obowiązują limit wieku, przestrzegany w większości amerykańskich instytucji. Każde z takich stanowisk ma wiele plusów, przy niemal nieistniejącej kontroli. Skandal z b. dygnitarzem Polonii, który dorobił się ciężkiego majątku na specyficznym gospodarzeniu polonijnymi składkami, inwestując je umiejętnie w domy i hotele, zatuszowano, by „nie szarpać polskiego imienia”. Takich skandali było więcej i prawdopodobnie się powtórzą. Pomińmy jednak skandale, bo zdarzają się one w każdej partii. Istotna jest atmosfera, istotny jest schemat wprowadzany w czyn. A schemat jest ubogi, nikogo bowiem z działaczy polonijnych, mających coś do powiedzenia, nie interesuje zacofanie i wyizolowanie amerykańskiej Polonii, przeciwnie, te rzeczy się popiera. Szeregowy członek Polonii wierzy swoim władzom związkowym, bo nawołuje go do tego polska gazeta, polska audycja radiowa, wreszcie ksiądz na parafii. Kiedy nadejdą wybory wypowie się więc za tymi, co trzeba, ci wybrani przez niego zostaną poklepani przez któregoś z rządowych sekretarzy do spraw mniejszości narodowych, w związku z czym trzeba ich potem będzie wybrać na nowo, by zostali poklepani po raz drugi. Gong, i nowa runda słodkiej aktywności. Oczywiście, że istnieją ludzie zainteresowani podniesieniem poziomu, ludzie bezinteresowni i światli, ale ponieważ wszystkie miejsca zostały już dawno zajęte i od lat uprawia się tylko przestawianie foteli i zmianę przymiotników w komplementach, więc kto ich dopuści do gry? Tym bardziej, że nowoprzybyłych z Polski, zwłaszcza, jeśli znają język i mają dość energii by rozepchnąć się w środowisku czysto amerykańskim, ta zabawa wcale nie nęci.

I jakie są właściwie zadania Związku? Walka z *polish joke*, żałosne protesty w nieczytanych przez Amerykanów gazetach? Jeśli się ma poczucie własnej wartości, to *Polish joke* nie boli, ale poczucie własnej wartości nie przychodzi drogą protestów, a wyłącznie drogą ciężkiej pracy. Dumy z faktu, że się jest Polakiem, nie należy używać jako klajstru, by zalepiać dziury, z których wieje ciemnotą i stęchliną. Śmieszni są ci świeżo upieczeni Amerykanie, którzy wywieszają nalepki z hasłem: „Ameryka, kochaj ją albo opuść”. Amerykanie, którzy mówią źle po angielsku, ale wstydzą się mówić po polsku, śmieszni są ci wodzeni na pasku cwaniaków mikroreakcjonści z Midwestu, nie mający pojęcia o prawdziwych problemach kraju którego obywatelstwem przyjęli, zadowalający się tłumaczonymi dowolnie informacjami z prasy amerykańskiej, dający kredyt zaufania politycznemu ludzom, którzy nie są tego warci, nie dopuszczający do dyskusji z lęku przed argumentem, który mógłby być słuszny, i który by natychmiast zakwalifikowali jako czerwony, śmieszni, ale i smutni, bo zdradzają nie tylko siebie, zdradzają oba kraje, obu ofiarowując to co najgorszego: zapomnienie, albo nienawiść. Ameryka widziana z perspektyw Division jest Ameryką nie-

pełną, skarłatą, pozbawioną myśli, Ameryką do której nie warto by było przyjechać. Ameryką, która na szczęście dla wielu, nie istnieje.

Zapewne i ze względu na ten spaczony obraz, obraz dokrojony ściśle do lokalnych potrzeb, młoda, świeża emigracja, od Polonii ucieka. Jest to inaczej mówiąc niewyrażanie zgody na obniżenie standartów przywiezionych z Europy, standartów pasujących zaakomicie do amerykańskiego życia, byle nie przyłożonych na terenie ograniczonym uprzednio przez prawa getta mniejszości narodowej. Co więc zostaje i dzięki czemu trzyma się całość? Może dzięki starym, niewygasłym sentymentom, a może dzięki atawistycznemu poczuciu solidarności, temu samemu, które każe bić brawo na meczu, i które napełnia rozczerwieniem, kiedy czyta się, jak to polscy porywacze samolotu z Gdańska do Kopenhagi, prerażeni czy aby nie wylądowali we wschodniej części Berlina długo nie wierzyli duńskiej policji, a przekonała ich dopiero moneta z wizerunkiem króla? Ponieważ jednak emocje nie pokrywają zapotrzebowania na afirmację w społeczeństwie, szczególnie jeśli wybrało się społeczeństwo nowe i mówiące innym językiem, dlatego może receptą byłaby pełna aklimatyzacja, przy czym poczucie odrębności powinno tylko pomagać, a nigdy nie przeszkadzać, czy hamować. I dlatego niedobra jest sytuacja, kiedy nowoprzybyły z kraju traktowany jest jak agent, tylko dlatego, że ma otwarte poglądy i nie zamierza ich ukrywać, bo niby po co przyjechał do wolnego kraju; niedobra jest sytuacja, kiedy zamiast patriotyzmu dużej jakości stosuje się demagogię, bo to łatwe i uderza do głowy; niedobra jest zaściankowość i niedobre są kłamstwa. Lepsza jest prawda, choćby brutalna, bo taką brutalną prawdą jest fakt, że w Ameryce z mniejszości narodowych liczą się tylko tak zwane tu trzy I, czyli: Irlandczycy, Włosi i Żydzi. Ich kokietuje się podczas kampanii wyborczych, oni nie przejmują się faktem, że istnieją na nich żarty. Wszystkie te grupy, zachowując odrębność, mając własne gazety czy lokalne audycje radiowe, wybrały jednak maksymalną aklimatyzację. Najbardziej prawicową z tych grup są Włosi, i co charakterystyczne mają najmniej do powiedzenia w rządach USA. Wynikałoby z tego, że wąskość poglądów nie popłaca.

Trzeba się więc dobrze zastanowić, zwłaszcza jeśli tą wąską dróżką ograniczonych poglądów politycznych ciągnie się za sobą rzesze nieopiniotformowanych należycie ludzi, oraz jeśli reprezentuje się coś, co ma być ciągłością kraju znajdującego się na drugiej półkuli. Prawdopodobnie jest już za późno, by tę zabawę przerwać i oczyścić z niepożądanych elementów demagogii i braku horyzontów, prawdopodobnie nie znalazłoby się nikogo, kto by podjął się tego zadania w miarę taktownie i rzetelnie, ale ponieważ nigdy nie można przewidzieć, więc poczekajmy, może w rejonie Division rośnie już odpowiednik Ralpa Nadera, tylko my o tym nie wiemy?

Jolanta DWORZECKA

Boston, listopad 1970

Jeszcze o nowej emigracji w Izraelu

W *Biuletynie Związku Długoletnich Działaczy Rewolucyjnego Ruchu Robotniczego*, który ukazuje się w Tel-Awivie, ukazał się artykuł p. Ch. Jurkowskiego pt. „Nowi olim i stare kłopoty”. Zamieszczamy go gdyż jest w pewnym sensie uzupełnieniem artykułu p. Aliny Grabowskiej pt. „Raj utracony — raj odzyskany”, który ukazał się w nrze 12/267 *Kultury*.

„Blisko rok temu sygnalizowałem na tych łamach (25. XI. 1969 r.) istnienie niepokojących zjawisk w środowisku nowych olim z Polski. Wspominałem wówczas, że propaganda antyizraelska, prowadzona przez rząd PRL, nie była jedynym czynnikiem, który spowodował znaczną emigrację Żydów z Polski zamiast do Izraela — do Skandynawii. Pisałem, że drugim, jeszcze ważniejszym czynnikiem odstrasającym potencjalnych olim, jest korespondencja z Izraela, w której autorzy skarżą się m.in. na kłopoty, na jakie napotyka mieszkające małżeństwa. Gen. Uzi Narkis, po zwiedzeniu w ubiegłym roku hotelu-statku w Kopenhadze, stwierdził publicznie, że jego zdaniem sytuacja ulegnie poprawie po upływie roku. Przez ten bowiem czas, jak mu się wydawało, młodzi ludzie uwolnią się od czadu propagandy antyizraelskiej i zaczną masowo przybywać do Izraela. Tymczasem stało się inaczej. Sytuacja nie tylko nie zmieniła się na lepsze, ale wręcz przeciwnie, pogorszyła się, tym razem nie tylko wśród emigracji skandynawskiej, ale również w Izraelu, w środowisku olim z Polski. Znalazło to wyraz przede wszystkim w często słabych postępach integracji olim ze społecznością izraelską, co w szczególności dotyczy licznych grup młodzieży. Jest to sprawa przykra, bolesna i najwyższy czas przyjrzeć się tej sprawie obiektywnie, bez zaciętrzewienia, szukając rzeczywistych przyczyn.

Niestety, istnieją obawy w pełni uzasadnione, że rzeczowa analiza będzie zastąpiona hurra-patriotycznym, historycznym pokrzykiwaniem na „niewdzięcznych” olim. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę fragment artykułu Henryka Dankowicza z dziennika *Nowiny i Kurier* (z dnia 18. IX. 1970 r.) pod bezsensownym i obraźliwym tytułem: „Polacy wygnania moźjeszowego”. W gazecie przeznaczanej w dużej mierze dla olim, a zatem powołanej do ułatwiania olim procesu absorpcji, pisze autor co następuje: „Szczególnie bolesne, ale jednocześnie tragicomiczne jest zagubienie narodowościowe niektórych młodych ludzi z ostatniej aliji. Znajdują się między nimi chyba członkowie słynnego klubu im. Babla, przy Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce”.

Dwa zdania, a ileż w nich złej woli i braku odpowiedzialności za słowa pisane. Czy to wina owych „niektórych młodych ludzi”, że nie mogą odnaleźć swego narodowościowego „ja”? Dlaczego dramat — bo jest to wielki dramat — autor nazywa „tragikomicznym zagubieniem”? Co w tym komiznego? Dankowicz — jak gdyby — daje do zrozumienia, że kiedy on sam przyjechał do kraju wraz z aliją „gomułkową”, nie czuł się zagubiony, momentalnie odnalazł w Izraelu swoje żydowskie „ja”. Być może, ale czy w tamtej aliji nie było dusz zagubionych? Oczywiście, były i nawet dość liczne. A jeśli

tak, trzeba próbować dojść przyczyn, które już wówczas utrudniały alię i absorbując i najwidoczniej przetrwały po dzień dzisiejszy. Czy Dankowicz nie zna tych przyczyn?

W tym samym numerze *Nowin i Kuriera* M. Tieger celnie wykpiwa ministra zdrowia Wiktora Szmętowa za nieopatrzne rzucenie podejrzenia, że cholera jest dziełem sabotażystów. Dankowicz, chociaż nie stawia sprawy w taki drastyczny sposób, ale też nie wskazując prawdziwych przyczyn takiej, a nie innej, postawy młodych olim z Polski, zdaje się sugerować, że ta „tragikomiczna” postawa jest nie tylko śmieszna, irracjonalna, lecz również wynikiem jakichś ukrytych sił... Niebezpiecznie zonglując słowami powiada, że wśród tej młodzieży znajdują się „chyba” członkowie klubu Bhabla. Co znaczy chyba? Tak, albo nie? Czy Dankowicz dysponuje odpowiednimi danymi, albo ich nie posiada? A jeśli informacje takie posiada, jeśli to więc prawda, że bablownicy, którzy identyfikowali się z żydostwem w trudnych warunkach reżymu Gomułki i Mocząra, tutaj nagle zaczynają manifestować swoją „polskość” — czy nie powinno to nasunąć Dankowiczowi, a w pierwszej mierze ludziom odpowiedzialnym za absorbcję, że coś tu nie gra, że jest niedobrze, że muszą istnieć jakieś powody? Zresztą, po co daleko szukać; jedną z przyczyn zagubienia tej młodzieży jest właśnie postawa publicznie już manifestowana przez samego Dankowicza i ludzi mu podobnych. Pisze on: „Ale oto po roku, czy dwóch, niektórzy spośród nich zaczynają uważać się za Polaków, demonstrując to, przy najmniej stosownych do tego okazjach, w formie nie zawsze zgodnej z wymogami minimalnej chociażby lojalności wobec „tubylców”, uczestniczących w pokrywaniu kosztów ich stypendiów uniwersyteckich”.

Skąd my to znamy? Oczywiście! To w Polsce zarrucano Żydom, że jedzą polski chleb i Dankowicz, nie siląc się na oryginalność, powtarza prymitywny chwyt.

Jak byśmy nie oceniali postawy młodzieży, o której mowa, jest to przecież przejaw jej niezadowolnienia. Z czego? To już Dankowicz nie obchodzi. Razi go tylko, że młodzież czyni to w sposób — jego zdaniem — niewłaściwy, w miejscach niestosownych, co razi „tubylców”...

Po takiej — pożałujcie! — „diagnozie” młodzież nie zmieni swej postawy, a Dankowicz i jemu podobni nigdy nie znajdują z nimi wspólnego języka, ponieważ w istocie wcale tego nie pragną! Ale w takim przypadku, nie powinni przynajmniej publikować artykułów, które jątrzą i pogłębiają dramat „dusz zagubionych”.



Młodzież przybyła z Polski przeżyła tam silny szok, którego skutki ciągle jeszcze trwają. Nie przebiegająca w środkach nagonka antysemita i połączona z nią różne metody dyskryminacji, uczyniły młodzież bardzo wrażliwą na wszelkie przejawy dyskryminacji rasowej i narodowościowej. Opuścili Polskę, żeby nie być poniżanymi z powodu swego żydowskiego pochodzenia. Tymczasem w Izraelu napotkali zjawiska raniące ich wyczułoną — może nawet za bardzo — mentalność, rodzące sprzeciw i niekiedy nie zawsze przemyślany spontaniczny bunt. Ale tak reaguje młodzież na całym świecie!

Co razi, gniewa, oburza, nie tylko zresztą młodzież? Oto garść przykładów, absolutnie autentycznych.

Na pewnym ślubie doszło do gorszącej sceny. Początkowo sala rozbrzmiewała różnorodnymi pieśniami. Z mikrofonu i przy stołach płynęły piosenki hebrajskie, żydowskie, rosyjskie, angielskie i również polskie. W pewnym momencie do stołu, przy którym siedzieli młodzi olim z Polski, podszedł jakiś pan i kategorycznie... zabronił śpiewać po polsku. A gdy młodzi ludzie nie przerwali śpiewu, rozbił wazon na stole (!), wywołał zbiegowisko, zamieszanie. A potem wykrzykiwał zjadale: „Parszywi Polacy — do Polski!”. Na

szczęście, młodzież, mimo alkoholu, zachowała się godnie, a ponadto znalazło się kilku rozsądnych „tubylców”, którzy poskromili szalejącego szowinistę i... zachęcili do kontynuowania śpiewów. Młodzież dalej śpiewała — tak jak poprzednio — po polsku, po hebrajsku, po francusku. Czy Dankowicz słyszał coś o tym przykrym incydencie?

Sprawa ta nie była incydentalna, wypadki zabraniają mówienia czy śpiewania po polsku są wciąż jeszcze dość liczne. Przewrażliwionych szowinistów nie razi mowa arabska, niemiecka, rosyjska — dostają natomiast białej gorączki, gdy słyszą mowę polską! W tej sytuacji młodzież, jak to młodzież, tym częściej posługuje się językiem polskim. Na przekór, na złość. Czy postępuje słusznie? To sprawa dyskusyjna, ale każdy człowiek znający się coś niecoś na problemach młodzieży powie, że w pierwszym rzędzie trzeba sięgnąć do przyczyn, które rodzą takie objawy. Nie można zaczynać od skutków, od wykrywania objawów, przechodząc do porządku dziennego nad źródłami frustracji.

Inny przykład, również nieodosobniony. W ubiegłym roku przybyło do kraju mieszane małżeństwo: on Żyd, ona Polka i jedno kilkunastoletnie dziecko. Na lotnisku w Lud, urzędnik zapisał ją jako „Żydówkę”. Ani mąż, a tym bardziej żona, nie znali wówczas hebrajskiego, poza tym warunki w jakich dokonywano formalności na lotnisku nie sprzyjały dokonaniu jakiegos świadomego wyboru. Po upływie kilku miesięcy, Polka zażądała sprostowania pomyłki w dowodzie osobistym i zastąpienia słowa „Jehudi” — słowem „Polanit”. Od tego momentu rozpoczęła się dla niej bieżączka od urzędu do urzędu — bez skutku. Nawet adwokat nie mógł pomóc. Czy dziennikarz Dankowicz nigdy nie zetknął się z takimi sprawami? Czy nigdy nie słyszał gorzkich słów męża Żyda?: „Nie chcę, żeby moja żona, która jest Polką, czuła się w Izraelu tak, jak ja się czułem w Polsce”.

Żydowizm, nietolerancja, obojętnie w kogo godzą — w Żydów, czy w nie-Żydów — są zawsze groźne, wszędzie brzemiennie w podobne skutki. Rodzą protest, który może się w pewnych warunkach przejawiać nawet w postaci, jak w tych przypadkach, manifestowanej „polskością”.

Zjawisko manifestacyjnego podkreślania „polskości” w rok czy dwa po przybyciu do kraju, jest sygnałem alarmowym. Chodzi o to, że ktoś, kto był *de jure* Polakiem, może nadal nim pozostać. To jego święte prawo! Jeśli kiedykolwiek zapagnie poczuć się Żydem, czy identyfikować z narodem żydowskim — będzie to również jego prawo. I nie rozdierałbym także szat z tego tylko powodu, że ten, czy ów młodzian (z mieszanego, czy niemieszanego małżeństwa) nadal lub „nagle” określa się Polakiem. Istnieje bowiem równocześnie dość przeciwnych przykładów, kiedy młodzież — nawet z rodzin dawniej bardzo zasymilowanych — szybko identyfikuje się z Żydostwem.

Istnieje natomiast problem wielkiej wagi, któremu na imię *nietolerancja*. Jest to zjawisko groźne, wręcz niebezpieczne, o wiele bowiem szersze od sprawy aliji z Polski. Izraelowi potrzebna jest alija, jak ludziom powietrze. Państwo poświęca aliji dużo uwagi, łoży na nią wielkie środki. Z utęsknieniem wypatrujemy wielkiej aliji z Ameryki, zwłaszcza ze Związku Radzieckiego. Ale powiedzmy sobie wyraźnie: nie pomogą miliardy funtów czy dolarów, jeśli nie zważywszy uciążliwej szeroko pokutującej nietolerancji! Walkę z tym schorzeniem trzeba jednak rozpocząć nie od ofiar nietolerancji, lecz od jej faktycznych nosicieli.

I jeszcze jeden przykład. W numerze 26 *Kol Haam* z dnia 24 września br. ukazał się list ojca żołnierza z mieszanego małżeństwa. Autor listu tak pisze:

„Dzieci z mieszanym małżeństwem są powoływane do Cahalu. Jeśli tylko nadają się do służby w jednostkach bojowych, są do nich przydzielani. Gdy jednak polegą w boju, nie ma dla nich miejsca na żadnym cmentarzu.

Są one traktowane gorzej niż członkowie różnych gmin wyznaniowych w Izraelu. Żyd chowany jest na cmentarzu żydowskim, Druz czy Czerkies znajdzie spoczynek na swym cmentarzu wyznaniowym, ale dla dzieci z mieszanych małżeństw — jeśli nie przeszły na judaizm — nie ma miejsca na żadnym cmentarzu. Są traktowane jak bezpańskie psy. A przy tym, jeśli „mieszaniec” odmówi służby wojskowej, zostanie aresztowany i stanie przed sądem.

Pytam więc: dlaczego nie ma cmentarzy dla bezwyznaniowców, dla dzieci z mieszanych małżeństw, a także dla Żydów bezwyznaniowych, którzy po śmierci woleliby tam spocząć? Znam wiele takich osób.

I jeszcze jedna sprawa. Dzieci mieszanych małżeństw nie są przyjmowane do szkół oficerskich. Żyd, admirał Staruss, może być wysokim oficerem w Stanach Zjednoczonych. Nawet w Związku Radzieckim, Żyd — Kaiser może być generałem. Ale „mieszaniec” nie może być oficerem Chahu.

I wreszcie, rodzice tych dzieci nie otrzymują z Ministerstwa Obrony pomocy, przysługującej rodzinie żołnierza”.



Wydawałoby się, że środowisko dziennikarskie, zajmujące się propagandowo absorbcją nowych *olim*, wyczułone na krzywdę, biurokrację i dyskryminację zawodową, w pierwszym rzędzie świecić będzie przykładem na swoim własnym podwórku. A jak to faktycznie wygląda?

W latach 1968/69 przybyła do kraju grupa wybitnych dziennikarzy z Polski, wielu z nich ze stażem 20-to, 30-letnim. Ministerstwo absorbcji, chcąc ułatwić dziennikarzom wejście do izraelskiej prasy, wyznaczyło im — na okres roku — dotacje i dzięki temu liczna grupa została zatrudniona w różnych dziennikach izraelskich.

Niestety, absorbcja dziennikarzy natrafia na niestychane przeszkody. Związek Dziennikarzy Izraelskich wyznaczył im „kwarantannę”, która ma trwać trzy lata, pomimo że wielu z nich pracuje dobrze, ku zadowoleniu kierownictwa i czytelników. Nie rozumiem czym jest uzasadniona taka decyzja w stosunku do dziennikarzy, którzy, przed repatriacją do Izraela, 20, a nie raz 30 lat należeli do Związku Dziennikarzy.

Czy, naprawdę ta nieliczna grupa dziennikarzy, *olim* z Polski, stanowi tak wielką siłę konkurencyjną dla *watików*, że ani jeden z dziennikarzy, kolegów po piórze, nie odważył się poruszyć dotychczas tego problemu w prasie, a wydaje mi się, że jest on dostatecznie ważny. Pensja dziennikarza, który nie jest członkiem Związku Dziennikarzy Izraelskich, jest o kilkaset funtów niższa od tej, jaka mu w rzeczywistości przysługuje. Czy jest to sprawiedliwe?”

Kronika kulturalna

Kompozytorzy polscy na obczyźnie - Antoni Szałowski

Historia polskiej muzyki w sposób logiczny i przekonujący dzieli się na trzy wyraźnie wyodrębnione okresy:

- 1) Okres staropolski, obejmujący twórczość polskich kompozytorów aż po ostatnie dziesięciolecie wieku XVIII.
- 2) Okres romantyzmu i neoromantyzmu, którego dominantami była twórczość Chopina na początku, a Szymanowskiego w jego końcowej fazie.
- 3) Okres współczesności rozpoczęty na początku lat trzydziestych przez dosyć liczną grupę kompozytorów o tendencji „konstruktywistycznej”, pozostają w większej lub mniejszej opozycji w stosunku do estetyki Szymanowskiego.

Wśród tych ostatnich szczególnie miejsce, zwłaszcza dla genezy orientacji stylistycznych należy się „grupie paryskiej”. Oczywiście trzeba tu podkreślić, że chodzi o dosyć dowolne określenie, a nie o charakterystykę kierunku artystycznego o wytyczonych celach i teoretycznie sformułowanym programie.

Dziś zresztą owa „szkoła” od dawna należy do historii choćby ze względu na fakt, że tylko jej nieliczni przedstawiciele na stałe związali się z Paryżem. Większość kompozytorów tej grupy działa lub działała w Polsce, jednym z jej wybitnych przedstawicieli jest Zygmunt Mycielski. Tym niemniej mimo krótkotrwałości istnienia omawianego kierunku jego twórcy dokonali w muzyce polskiej istotnego zwrotu, którego następstwem był kierunek rozwoju współczesności aż po awangardę ostatnich lat.

Najistotniejszym rysem stylistycznym owej „szkoły paryskiej” był antyromantyzm oparty na kulcie rzemiosła i na kultuwowaniu, w większej lub mniejszej mierze, neoklasycznej stylistyki.

Obok wspomnianego już Zygmunta Mycielskiego (którego twórczość kompozytorską należy chyba jednak widzieć jako zjawisko drugoplanowe w stosunku do działalności pisarskiej) najważniejszymi postaciami owej „szkoły” są Aleksander Tansmann, nie żyjący już Michał Spisak i Antoni Szałowski.

Twórczość Tansmanna, mimo jej niewątpliwych wartości, nie odegrała większej roli w kształtowaniu polskiej muzyki tamtych lat. Osiedlenie się kompozytora w Paryżu w okresie wczesnej młodości, kształtowanie stylu w bezpośrednim kontakcie z twórczością postimpresjonistów, a w pewnej mierze jeszcze późnego Ravela i wreszcie, aż do lat sześćdziesiątych, stosunkowo słaba recepcja jego muzyki w Polsce — stawiają ją w zasadzie poza tematem obecnych rozważań.

To co bowiem nas w tej chwili szczególnie interesuje, to nie określanie rangi dorobku tego lub innego kompozytora, ale śledzenie procesu przemian stylistycznych o zasadniczym znaczeniu dla orientacji twórczości dwu pokoleń kompozytorów.

Jak już wspominałem, aż po lata trzydzieste trwał w polskiej muzyce okres neoromantyzmu. Taki charakter miała przynajmniej dominująca w nim twórczość Karola Szymanowskiego. Zjawisko to było zresztą typowe nie tylko dla polskiej muzyki tamtych lat (a w żadnym już wypadku nie może być dowodem jej historycznego zapóźnienia); w istocie bowiem niezależnie od poszukiwania nowych form i struktur brzmieniowych (w tym procesie Szymanowski w istotnej mierze uczestniczył) estetyczna orientacja muzyki europejskiej tkwiła wciąż w neoromantycznej tradycji.

Przełom, który się wówczas w polskiej twórczości dokonał, miał szereg zbliżnych źródeł. Silna opozycja w stosunku do Szymanowskiego wynikała z niepowodzeń artystycznych jego naśladowców, z wątpliwych artystycznie efektów folkloryzowania, różniącego się od dziewiętnastowiecznych tradycji jedynie „modernizmem” dysonansowej harmonii. Dla kompozytorów ambitnych, świadomych swych przyszłych celów, było oczywiste że kontynuowanie tej drogi prowadzi na manowce.

Lata trzydzieste były też z wielu powodów brzemienne problemami. Był to okres wchodzenia w wiek twórczości muzyków ukształtowanych w okresie Polski niepodległej, dla których czasy rozbiorów były co najwyżej wspomnieniem dzieciństwa. Ich stosunek do istotnych zagadnień twórczości określały w całości nowe, tak odmienne warunki.

Nie jest też z pewnością sprawą przypadku, że lata 1900-1920 przyniosły polskiej muzyce całą plejadę talentów, które w latach trzydziestych miały ujawnić się w nader zróżnicowanej gamie twórczości. Dotyczyło to w głównej mierze Warszawy gdzie przejście od prowincjonalizmu do stołeczności, od tłumienia polskiej kultury do jej swobodnie ujawnionego bogactwa, oznaczało szczególnie ostrą cezurę. Studia artystyczne przestały być w zasięgu garstki jedynie i stały się dość szeroko dostępne. I wreszcie studia zagraniczne, będące nadal koniecznym niemal warunkiem osiągnięcia sprawności warsztatu, stały się możliwe dla wielu muzyków, którym nowa sytuacja polityczna szeroko otwierała bramy Paryża — w owych latach głównego centrum międzynarodowego życia muzycznego.

Tak więc w biografii większości polskich kompozytorów tam-

tego pokolenia figuruje dłuższy lub krótszy okres paryskiego „terminowania”, przeważnie w „szkole” Nadii Boulanger.

Dziś, z perspektywy czasu, ocena owej szkoły bywa z uzasadnionych powodów wysoce kontrowersyjna, a jej wpływ na twórczość najwierniejszych okazał się często zdecydowanie ujemny, prowadzący do manieryczności stylu, tym jednak którzy potrafili zachować własny profil pozwalała ona zdobyć solidne podstawy „rzemiosła”, oparte na rygorystycznym studium określonych dyscyplin techniki komponowania.

Uchwycenie proporcji wartości dorobku polskiej muzyki tamtego okresu jest trudne, mimo że perspektywa odległości w czasie jest już dostateczna. Wyłączywszy Tansmanna bardzo niewiele utworów powstałych w latach trzydziestych, a będących wyrazem twórczości ówczesnej polskiej awangardy, oparto się próbie czasu. Niewiele z nich zrobiło też wówczas międzynarodową karierę. Dziś poza stosunkowo nielicznymi wyjątkami traktować je musimy jako podbudowę twórczości pierwszych lat powojennych, twórczości już znacznie bardziej owocnej.

W tej sytuacji warto poświęcić szersze spojrzenie kompozytorowi, któremu przypadło w udziale obwieszczenie dokonanego przełomu, połączone z sukcesem międzynarodowym, który przez wiele lat torował po śmierci Szymanowskiego drogę polskiej awangardzie. Antoni Szałowski był w owych latach jednym z tych, którzy twórczość tę świadomie wyprowadzali na nowe drogi. Był również kompozytorem, któremu w ciągu ostatnich lat poprzedzających wybuch wojny dane było stać się jej głównym przedstawicielem na forum międzynarodowym.

Ówczesna twórczość Szałowskiego miała podwójne źródło inspiracji; z jednej strony był nim paryski neoklasycyzm, z drugiej programowe nawiązanie do wówczas po raz pierwszy szerzej udostępnionej muzyki staropolskiej.

Dziś wprawdzie może się to wydać niewiarygodne, ale jeszcze dla muzyków lat dwudziestych muzyka polska zaczynała się od Chopina. Udostępnione dzięki „Wydawnictwu Dawnej Muzyki Polskiej” (istnieje od roku 1928) zabytki twórczości wieku XVI i XVII stały się przedmiotem żywego zainteresowania nie tylko wykonawców, ale i kompozytorów.

Szałowski zresztą ani w latach trzydziestych ani później nie podjął stylizacji tej muzyki (jak uczynił to Panufnik w latach pięćdziesiątych), nawiązywał jedynie do jej wartości transponując te impulsy na język własnej wypowiedzi.

Zadebiutował jako dojrzały kompozytor „Uwerturą” na wielką orkiestrę (1936)¹, dziełem które z dorobku współczesnej symfoniki przez przeszło dziesięciolecie było jednym z najczęściej wykonywanych i bezsprzecznie najpopularniejszym utworem polskiej muzyki współczesnej.

Jak zwykle na sukces tak wyjątkowy złożyło się wiele przy-

1. Poprzedzające ją utwory symfoniczne, kameralne i solowe, powstałe w latach 1927-34, zostały przez autora wycofane.

czyn, tkwiących tak w samym dziele jak i poza nim. Nie bez znaczenia było zainteresowanie czołowych dyrygentów, jak Stokowski i Klecki², przez wiele lat często umieszczających „Uwerturę” w programach swych koncertów i nagrań. Z pewnością jednak zainteresowanie to miało jak najbardziej uzasadnione podstawy. „Uwertura” Szałowskiego w znakomity sposób łączy „neoklasyczną” przejrzystość i finezję stylu ze zdobyczami „wielkiej” nowoczesnej symfoniki, której najpełniejszą i najdoskonalszą postać przyniosły dopiero późne dzieła Bartoka.

Dla kompozytora „Uwertura” była nie tylko udanym debiutem, ale również zamknięciem pierwszego etapu twórczości. Patrząc z odległej perspektywy można dziś stwierdzić, że choć może jako całość twórczość Szałowskiego nie stała się harmonijnym rozwinięciem i pełnym potwierdzeniem jej świetnych początków, to jednak kompozytor szczęśliwie i świadomie uniknął największej zasadzki „neoklasycyzmu”: manieryzmu, pozwalającego z wielką łatwością powielać w kalejdoskopowy sposób te same formuły formalne i tematyczne, zamieniając po pewnym czasie twórczość w ślepy zaulek muzycznej kaligrafii.

Następny w pełni dla symfoniki Szałowskiego reprezentatywny utwór, „Symfonia” (1939), posiada zupełnie odmienne od „Uwertury” oblicze chociaż jest też w widoczny sposób wynikiem ewolucji tego samego stylu.

Zewnętrznym, a więc w ostatecznej mierze przypadkowym, czynnikiem przypisać należy zapomnienie tego dzieła. Symfonia, którą w r. 1948 zakupiła komisja zamówień Zw. Kompozytorów Polskich, doczekała się jednego tylko wykonania radiowego, zrealizowanego pod dyrekcją Grzegorza Fitelberga. Nagły cios „socrealizmu” uniemożliwił nie tylko zapowiedziane wydanie partytury (przez krakowskie „Polskie Wydawnictwo Muzyczne”), ale skazał nawet radiowe nagranie na wieloletni pobyt na półce prohibitorów. Miejsca tego nigdy już ono w praktyce nie opuściło, gdyż decyzji „minionego okresu” w odniesieniu do kompozytorów przebywających na emigracji w „Polskim Radio” nigdy nie zmieniono, choć, zdaje się, że już bez „odgórnego” nakazu.

Co więcej „zaginięcie” z biblioteki radiowej partytury uczyniło daremnymi wysiłki ZKP, zmierzające do zabezpieczenia i przypomnienia tego dzieła.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że stosunek polskich „czynników” do twórczości Szałowskiego jest jednym z klasycznych przykładów systematycznego odrzucania tych wartości polskiej nauki czy kultury, które nie przyczyniają choćby pośrednio wartości propagandowych.

Szałowski wybrał bowiem drogę dość rzadko praktykowaną i całkowicie indywidualną. Decydując się na pozostanie w okresie powojennym na Zachodzie, pozostał poza nurtem politycznej emi-

gracji, odrzucając jednocześnie tak wygodny status „ambasadora kultury PRL” jak i identyfikowanie się z muzyką francuską.

Zagadnienie to może wydać się marginesowe, w istocie jednak okoliczności, o których mowa, w dość istotny sposób określiły profil powojennej twórczości kompozytora.

Jak wiadomo, artyści stale mieszkający za granicą ale utrzymujący oficjalne kontakty z krajem, a jeszcze lepiej z przedstawicielstwami PRL, mogą liczyć na daleko idące ułatwienia w propagowaniu w kraju ich twórczości i na całkiem poważne udogodnienia materialne.

Niewiele mniej mile widziani są ci, którzy całkowicie zasymilowali się w krajach zamieszkania. Tych stara się znów pozyskać dla sprawy „wzajemnego zbliżenia”. Jak zwykle w „socjalistycznym” systemie podejrzane i tępiące jest to wszystko co indywidualne i „nietypowe”. Chociaż więc twórczość Szałowskiego nie była (poza odległym już okresem zwalczania „dekadenckiego formalizmu”) objęta zakazem wykonywania, a szereg jego utworów solowych i kameralnych figuruje stale w programach studiów „Wyższych Szkół Muzycznych”, propagowanie jej napotyka na nieustanne przeszkody. Jednym z najlepszych przykładów może być wycofanie przez krakowskie PWM głosów orkiestrowych „Uwertury” z zagranicznych przedstawicielstw tego wydawnictwa, posiadającego niewygasłe prawa do utworu. Dokonany w pełni powodzenia estradowego „Uwertury” ten prosty zabieg spowodował, że wskutek zrozumiałych trudności technicznych ilość jej wykonań znacznie zmalała.

Przytoczona metoda ma być widać poglądową lekcją zasady, że „są różne drogi do PRLu, ale w przeciwnym kierunku nie ma żadnej”. Czy jednak sytuacja ta zaważyła w znaczniejszej mierze na twórczości Szałowskiego? Na pytanie to trzeba chyba odpowiedzieć twierdząco. Co jest szczególnie widoczne w powojennej twórczości kompozytora, to silne związanie z instytucjami francuskiego życia muzycznego, w pierwszym rzędzie z radiofonią.

Przed dokonaniem szczegółowej charakterystyki twórczości Szałowskiego, inspirowanej w znacznej mierze jego udziałem we francuskim życiu muzycznym, warto jeszcze powrócić do recepcji jego muzyki w kraju w okresie „post-socrealistycznym”. Otóż lata 1960-64 były okresem kiedy utwory Szałowskiego pojawiały się dosyć często w programach koncertów filharmonicznych, w pierwszym rzędzie dzięki inicjatywom wybitnego dyrygenta Stanisława Wisłockiego.

Prócz znanej od dawna „Uwertury”, słuchacze mieli możliwość zapoznania się z szeregiem dzieł pochodzących ze stosunkowo niedawnego okresu, jak „Aria i toccata” na orkiestrę smyczkową (1957), „Koncert potrójny na obój, klarnet i fagot” (1958), koncertowa wersja baletu „Zaczarowana Oberża” (1952), oraz kilka dawniejszych utworów.

Również Opera Warszawska w roku 1962, wówczas pod ambitną programowo i wykonawczo dyrekcją Bohdana Wodiczki, wystawiła ten balet w pełnej wersji scenicznej. Realizacja ta, cho-

2. W roku 1946 „Uwertura” Szałowskiego otwierała uroczysty koncert orkiestry „La Scala” w Mediolanie pod dyrekcją Pawła Kleckiego, inaugurujący pierwszy powojenny Sezon słynnego teatru operowego.

ciaż przez cztery sezony figurowała niezmiennie w programie teatru, była jednak przedsięwzięciem w znacznej przynajmniej mierze chybionym.

Reżyser przedstawienia, Witold Gruca, utalentowany choreograf, ale jednocześnie zdecydowany przeciwnik „klasycyzujących” postaci baletu (zapewne też pod pewnym wpływem „odkrywanych” wówczas w Polsce baletów Bartóka), całkowicie zmienił libretto, przekształcając tym samym charakter „Zaczarowanej Oberży” z fantastycznego, o całkowicie umownej akcji „divertimento” na pełen naturalistycznych efektów spektakl, którego akcję z bukolicznej, renansansowej scenerii Stanisława Vincenza przeniesiono do nocnej knajpy. Co gorsza, Wodiczko dokonał również w partyturze niezbyt fortunnych retuszy instrumentacyjnych; jedno i drugie całkowicie bez porozumienia z autorem.

W sumie więc nic dziwnego, że tak wystawiona „Zaczarowana Oberża”, choć cieszyła się znacznym powodzeniem u publiczności, wzbudziła wątpliwości krytyków (nie znających właściwej postaci oryginału) rozbieżnością między charakterem muzyki a rodzajem akcji scenicznej.

W końcu jednak losy utworów Szałowskiego w Polsce mają raczej marginesowe znaczenie dla jego kariery kompozytorskiej. Najlepiej ilustruje to fakt, że spośród blisko pięćdziesięciu opublikowanych, trzy jedynie wydane zostały przez krajowego wydawcę, często zresztą na podstawie przejęcia praw wydawcy jeszcze przedwojennego.

Ogłoszenie drukiem pozostałych dzieł zawdzięczamy przede wszystkim czołowym wydawcom muzycznym Zachodu jak „Max Eschig” i E.F.M. (Paryż), „Chester” (Londyn), „Augener” (Londyn), „Omega” (Nowy Jork).

I tu zbliżamy się też do zasadniczego zagadnienia — do określenia roli twórczości Szałowskiego, jej miejsca w nurcie muzyki współczesnej, do scharakteryzowania wnoszonych przez nią wartości.

Nasuwa się tu spostrzeżenie zasadniczej wagi — twórczość Szałowskiego, mająca za sobą już przeszło czterdziestoletni okres rozwoju, pozostaje zasadniczo zjawiskiem stylistycznie jednolitym. Jednolitym, co nie oznacza jednak, że nie podlegała ona ewolucji. Brak w niej jedynie gwałtownych cesur, radykalnych przeobrażeń, przechodzenia z jednej konwencji stylistycznej do innej. Brak też, jeśli chodzi o ostatnie lata, tak typowych dla wielu kompozytorów mających za sobą już wieloletni okres twórczości „nawróceń”, wyrażających się mniej lub bardziej radykalnym akcesem do awangardy i jej stylistycznego radykalizmu.

Szałowski ukształtował podstawy swego stylu w latach trzydziestych poddawał go modyfikacjom i wzbogacaniu głównie poprzez obejmowanie swą twórczością coraz szerszego wachlarza form i gatunków.

Jakkolwiek pierwszy światowy sukces odniósł jako kompozytor pełnej blasku barw muzyki orkiestrowej, nie stała się ona dlań nigdy głównym środkiem wypowiedzi, świadczy o tym naj-

bardziej pociągający rzut oka na spis utworów. Ich przeszło połowa należy do różnych postaci muzyki kameralnej, podczas gdy reszta rozkłada się na utwory skomponowane na orkiestrę symfoniczną i smyczkową, kompozycje solowe i muzykę do słuchowisk radiowych. Tak charakterystyczna przewaga kameralistyki ujawnia się z jeszcze większą siłą, jeżeli przejdziemy do analizy samych kompozycji. Wpływ jej rozciąga się nie tylko na z natury rzeczy pokrewne formy muzyki ilustracyjnej, ale ujawnia się ze szczególną siłą w kompozycjach symfonicznych, zwłaszcza powojennego okresu. Takie utwory jak potrójny koncert na obój, klarnet i fagot z towarzyszeniem orkiestry, „Allegretto” koncertowe na fagot i orkiestrę (1958), ((Concertino” na flet (1951) czy „Koncert na skrzypce i orkiestrę” (1954) akcentują „kameralizujący” styl w zastosowaniu do form monumentalnych, nie mówiąc już, że oryginalny pomysł skomponowania „potrójnego koncertu” na instrumenty dęte w założeniu inspirowany był właściwościami brzmieniowymi ulubionego przez „neoklasyków” tria „stroikowego”.

Znaczenie muzyki kameralnej Szałowskiego nie polega jednak na tym, że jest ona inspiratorką pomysłów wykorzystywanych w symfonice, czy też główną retortą w której kształtuje się styl kompozytora. W tej dziedzinie dorobek Szałowskiego zapewnił mu od dawna szeroki krąg oddziaływania, nie mówiąc już o tym, że na terenie muzyki polskiej stanowi on zjawisko całkowicie wyjątkowe. Muzyka jego ujawniająca widoczną predylekcję do barw mniej „wyeksploatowanych” (jak klawesyn czy instrumenty dęte), utrzymana przeważnie w tonie klasycyzującego „divertimento” jest dziś klasyczną pozycją repertuaru instrumentalistów, mających jakieś zainteresowanie dla muzyki współczesnej. Ze względu na swą odkrywczość w odnajdywaniu szczególnych barw instrumentów stała się ona stałym elementem studiów na uczelniach muzycznych, czemu też w części przynajmniej przypisać należy jej sukces wydawniczy.

Dzięki niej Szałowski tak jest obecny, jak żaden kompozytor żyjący na emigracji w polskim środowisku muzycznym. Obecność ta, chociaż stosunkowo mało manifestowana na estradach koncertowych, ma jednak swą szczególną wagę — kształtowanie estetyki i praktycznych umiejętności wykonawczych adeptów jest z pewnością niejednokrotnie więcej warte niż szeroka popularność i poklask koncertowych bywalców.

Z muzyką kameralną w ścisłym związku pozostaje inna, raczej szczególna, dziedzina jaką są ilustracje muzyczne słuchowisk radiowych. Właściwie trudno je w tym wypadku określić tą tradycyjną nazwą, gdyż radiowa muzyka Szałowskiego nie ma nic wspólnego z doraźną użytkowością czy funkcjonalnym stosunkiem muzyki w stosunku do pozostałych elementów słuchowiska. Najlepszym tego dowodem jest późniejszy samodzielny żywot większości tych utworów i wydanie ich w postaci osobnych partytur. Najważniejsze z tych kompozycji to: „La femme tette” —

rodzaj kantaty na głos recytujący i piętnaście instrumentów³, do tekstu Jean Lescure'a, „Le merveilleux voyage” do tekstu José Pivin'a czy wreszcie kapitalny obraz symfoniczny „Wskrzeszenia Łazarza” (1960) skomponowany jako muzyczna interpretacja lub transpozycja treści obrazu Giotta pod tym samym tytułem. Utwór ten powstał w wyniku oryginalnej inicjatywy ORTF, polegającej na zamówieniu u wybitnych kompozytorów dzieł inspirowanych zabytkami malarstwa, stanowiącymi węzłowe punkty radiowych prelekcji z zakresu historii sztuki René Hughes'a.

Posiadając tak zróżnicowany pod względem uprawianych gatunków dorobek, którego znacznej części towarzyszył niewątpliwy sukces artystyczny, kompozytorska sylwetka Szałowskiego wydaje się dziś stosunkowo łatwa do określenia. Jak wspomniałem na początku, w dotychczasowym okresie swej twórczości pozostał on wierny swemu językowi muzycznemu, ukształtowanemu w latach trzydziestych, nie biorąc udziału ani w nurcie „klasycznej” dodekafonii zdobywającej, dzięki niestrudzonej działalności René Leibowitza, Paryż w pierwszych latach powojennych, ani tym bardziej nie próbując eksperymentów niejako drugiego pokolenia dodekafonistów — awangardy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

A mimo to przecież trudno byłoby Szałowskiego uznać za typowego przedstawiciela „neoklasycyzmu”. Już bowiem na początku swej twórczości dokonał on zasadniczej selekcji (choć zapewne zasadniczo intuicyjnej) środków stylistycznych tej „szkoły”. Szałowskiego różni od klasycznych przedstawicieli „neoklasycyzmu” ogromna indywidualność i bogactwo inwencji tematycznej, która, choć ujęta w kanony struktur formalnych właściwych temu stylowi, pozwoliła na realizację utworów charakteryzujących się nie tylko bardzo zróżnicowaną skalą typów ekspresji, ale także na uprawianie monumentalnych form symfonicznych jak wszelkich postaci muzycznej miniatury znajdując właściwy im typ języka muzycznego, wolnego od obsesyjnych formuł i manieryzmu. Z zagadnieniem tym w bezpośrednim związku pozostaje inny problem — na ile twórczość Szałowskiego pozostała w kręgu muzyki polskiej. Odpowiedź na to dać może wyłącznie sama muzyka.

Znajdujemy tu stosunkowo niewiele kompozycji inspirowanych bezpośrednio polską tematyką, lub skomponowanych do polskiego tekstu: „Trzy pieśni ludowe” (1942); Polskie melodie ludowe, (1956); „Mazurek” (1959). Jednocześnie jednak przyjmując w pewnej mierze konwencje „neoklasycyzmu” Szałowski nie przyswoił sobie typowej dla tego stylu „galijskiej” tematyki melodycznej, kształtując ją zawsze wedle własnych inwencji. Jak wiemy, jego zainteresowanie i zwrot ku pewnej „neobarokowości” wywołało zetknięcie z zabytkami muzyki staropolskiej. W wyrazie swym muzyka Szałowskiego, podobnie jak innych wybitnych przedstawicieli polskiej muzyki, czynnych w kraju czy na emigracji, oscy-

luje między polskością a uniwersalizmem stylistycznym. Polska inspiracja rzadko zresztą dochodzi tu do głosu w postaci cytatów folkloru czy opracowań opartych o stylizacje tematów zaczerpniętych z polskiej tradycji muzycznej. Jeżeli spotykamy ją w utworach Szałowskiego, to ma ona postać którą moglibyśmy nazwać „integralną”, zawarta jest w inwencji kompozytora kształtowanej impulsami, których mechanizm nie byłby z pewnością łatwy do wyjaśnienia. Ale nim jedynie tłumaczyć możemy, nawet w epokach silnie zaznaczonego uniwersalizmu stylu, obecność tego szczególnego zjawiska, które zwykle określamy mianem „stylu narodowego”. Nie jest on rzecz jasna szczególną właściwością współczesnej muzyki polskiej; jego przejawy znajdujemy już w wielu dziełach epoki renesansu, a w całkiem „współczesnej postaci” w dziełach Adama Jarzębskiego, jednego z najbardziej odkrywczych twórców muzyki instrumentalnej na początku ery baroku.

Jeżeli więc w muzyce polskiej znajdujemy dziś te szczególne, właściwe jej cechy, powstające jako wynik spontanicznej inwencji kompozytorów, a nie z góry przyjętego założenia, jest to jednocześnie dowód, że twórczość ta, mimo stałego uczestniczenia w rozwijaniu środków języka muzycznego naszej epoki, posiada skryształizowaną tradycję, której ciągłość, miejmy nadzieję, będzie zjawiskiem trwałym.

Powstaje tu także drugie pytanie — jaki jest udział kompozytorów tworzących na emigracji w całokształcie polskiej muzyki współczesnej?

Adam SUTKOWSKI

W sprawie żywych ludzi

Niedobrze jest gdy pietyzm w stosunku do przeszłości przesłania sprawę żywych ludzi. O konieczności ratowania zabytków np. dyskutuje się w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w sposób ciągły. Troska o te sprawy jest słuszna i zrozumiała w kraju, w którym materialne dziedziczenie jest raz za razem, z przerażliwą systematycznością, redukowane przez historię. Jednakże w niektórych przypadkach trudno oprzeć się wrażeniu, że mówienie o przeszłości ma na celu zamazanie istotnych problemów współczesności.

Ostatnia fala namiętnej dyskusji o zabytkach kulturalnych została podjęta ponad rok temu przez prof. Stanisława Lorenza. Prof. Lorenz opisał szereg drastycznych, działających na wyobraźnię, zarówno dawnych jak i świeżych przypadków sprzedawania za granicę skarbów malarstwa polskiego i światowego, przemys-

3. Nagrodzona pierwszą nagrodą francuskiej radiofonii w roku 1959.

cania na Zachód całych kolekcji, legalnego wywożenia rzeczy, które winny znajdować się w polskich muzeach itd.

Gwałtowność wystąpienia prof. Lorenza, nie pozbawiona była elementów mile chyba widzianych przez rządzących. Prof. Lorenz atakował więc kosmopolityzm arystokracji, żądał większych pełnomocnictw dla policji celnej, czynił aluzje do spustoszeń, jakie powoduje wywożenie dzieł sztuki przez akurat wtedy emigrujących „syjonistów” itd.

Widocznie pod wpływem prof. Lorenza, znany pół-malarz a na wpół pisarz, Bogdan Czeszko, począł na łamach prasy dowodzić, że zakazem wywozu trzeba objąć wszelkie nie powielone dobra kulturalne, że nie tylko obrazy znanych mistrzów ale i mało znanych lub wręcz nie znanych, klepiących współcześnie biedę, malarzy stanowić mogą w przyszłości skarby kultury narodowej. Tu już wskazujący palec został wymierzony wyraźnie w stronę emigrantów...

Po artykule prof. Lorenza prasę zapęłniły protesty i wyjaśnienia osób przez niego wytkniętych, nowe oskarżenia itd. Dyskusja nie umilkła po dzień dzisiejszy. W miesiącu lipcu 1970 roku, nastawiwszy odbiornik na fale rozgłośni „Wolna Europa”, usłyszałem już którąś z rzędu audycję o losach kolekcji dr. Merwina, o wiedeńskim marszandzie p. Bednarczyku, o dziwnym postępowaniu urzędniczek „Desy” itd.

A sprawy żywe pozostają w cieniu. I to nie jest chyba przypadkiem. Polska ma interesujące współczesne malarstwo. Polska ma również ciekawą rzeźbę współczesną. Osiągnięcia polskiego malarstwa są chętnie dyskutowane przez rząd PRL w rozmaitych okolicznościach. Ale znajdujące się w odległości stu metrów od Komitetu Centralnego PZPR, kierowane przez prof. Lorenza Muzeum Narodowe, wykazujące tyle pietyzmu dla rzeczy starych (częstokroć tylko dlatego, że stare), nie potrafiło, lub nie zechciało, stworzyć galerii polskiej sztuki współczesnej. Spróbujcie dziś, gdy to piszę, zobaczyć w Warszawie obraz W. B. Linkego, Cybisa, Rafałowskiego, Kantora, Jaremiński, Pronaszków itd. Wymieniam przecież nazwiska bezsporne, już historycznie sklasyfikowane, podprężnikowe. A cóż dopiero o wcale nie gorszych od wymienionych malarzach czterdziestoletnich i trzydziestoletnich!

To nie jest problem środków materialnych, bo w składach Ministerstwa Kultury i Sztuki, Muzeum Narodowego i innych instytucji państwowych znajdują się tysiące obrazów czekających na Godota. Dlaczego tak się dzieje? Jeśli porozmawiać z ludźmi odpowiedzialnymi za niniejszy stan rzeczy, otrzymuje się wyjaśnienia co najmniej wykrętne, żeby nie powiedzieć ostrzej. Odnosi się wrażenie, że towarzysze sekretarze, ministrowie, dyrektorowie, nie kochają polskiego malarstwa współczesnego, niezależnie zresztą czy figuratywnego, czy też nieprzedstawiającego, ale niezależnego duchowo.

Brak galerii współczesnego malarstwa polskiego ma swoje konsekwencje kulturalne, bo separuje społeczeństwo od własnej kultury plastycznej. To są rzeczy jasne, dobrze znane. Chęć zwró-

cić uwagę na jeszcze jeden moment, rzadziej dostrzegany: brak galerii wpływa bardzo istotnie na nieistnienie rynku na malarstwo w Polsce.

Malarstwo bowiem jest tworzone przez żywych ludzi, przez malarzy. Ale na ich dzieła nie ma w Polsce rynku zbytu. To znaczy, istnieją dwa potrzebne elementy rynku: twórcy i ich dzieła. Brak dwóch następnych, tj. sprzedających i nabywców.

O sprzedawcach: Istnieją specjalne przedsiębiorstwa, stworzone w celu zorganizowania rynku dzieł sztuki, „DESA”, „ART”, „PLASTYKA” i jeszcze jakieś inne, mniejsze. Ale te przedsiębiorstwa wykonują „plany” poprzez handel komisowy antykami i produktami rzemiosła artystycznego. Mają również na składzie trochę obrazów, przeważnie słabych. Ale obrazów prawie nie sprzedają.

Jeśli ktoś wątpi, niech sprawdzi w oknach wystawowych „ART”, w gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wiszą tam po dzień dzisiejszy te same obrazy, które oglądałem spacerując po Krakowskim Przedmieściu lat temu trzy czy nawet pięć. A może nawet dawniej. Po prostu przyzwyczaiłem się do nich jako do elementu stałej dekoracji wystawowej ulicy.

Handel sztuką współczesną nie istnieje. Ale żadnemu z tzw. „czynników” nie zależy na tym, by go stworzyć i zorganizować. Ani biurokratycznemu Związkowi Artystów-Plastyków, upojonemu przepychem kosztownej, wybudowanej kosztem milionów rezydencji przy ul. Mazowieckiej. Nie zależy również „DESIE” i innym przedsiębiorstwom (bo z tego tylko kłopot), ani sprzedawcom w sklepie (rzemiosło artystyczne jest i łatwiejsze do sprzedawania i łatwiejsze w dostarczaniu dochodów pokątnych). O Ministerstwie, o KC w ogóle nie ma co mówić. A u podłoża tej inercji leży chyba przeświadczenie, że państwo nie nadaje się do roli organizatora rynku w tej dziedzinie i do roli marszanda. I być może jest w tym dużo racji.

O nabywcach: Żeby kupować, trzeba chcieć kupić i trzeba na to mieć pieniądze. Ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na kupno obrazu jest w Polsce niezbyt wielu. Ale obrazy są tanie, co w jakiejś mierze równoważy trudności materialne. Mimo to, jeśli ktoś kupuje w Polsce przedmioty sztuki, to raczej rzeczy mniej wartościowe estetycznie, ale stare. Różne są tego przyczyny, ale poza powszechną modą na rzeczy stare, główną rolę odgrywa brak rynku i weryfikacji wartości poprzez rynek. Żeby wydać kilka tysięcy złotych na obraz, trzeba mieć przeświadczenie o wartości, zarówno estetycznej jak i materialnej kupionego dzieła. Sztuka współczesna jest trudna do oceny. Odróżnienie rzeczy wartościowych od „nowych szat króla” jest niekiedy bardzo trudne. Wartościowanie byłoby o ileż łatwiejsze gdyby istniała stała wystawa sztuki współczesnej w Muzeum Narodowym, krzewiąca kulturę plastyczną w społeczeństwie i stwarzająca możliwość choćby najogólniejszej klasyfikacji i komparystyki. Dużą rolę mogliby spełnić marszandzi z prawdziwego znaczenia. Ale cóż, ani tego, ani siego.

Chętnie kupowaliby przewijający się przez Warszawę (i w ogóle przez Polskę) obcokrajowcy. Ale znowu: brak galerii w Muzeum Narodowym, brak dobrych sklepów itd. A przy kupnie obrazu nawet w DESIE jeśli obraz ten jest droższy niż dwa tysiące złotych, nabywca musi się postarać o zezwolenie eksportowe, to znaczy: iść do konserwatora (wtorki, czwartki, soboty po dwie godziny każdorazowo), stanąć w kolejce, wypełnić odrębnie podanie, udać się gdzieś indziej po znaczki stemplowe, przyjść innego dnia po odbiór zezwolenia.

Dochodzimy do problemu, który porusza mnie najbardziej, który jest przyczyną napisania tego listu, a mianowicie, z czego więc malarze żyją? A więc można żyć z malarstwa, jeśli uprawia się je w sposób podobający się władzom, to znaczy malując sukcesy Gwardii i Armii Ludowej oraz I i II Armii Ludowego Wojska Polskiego. Oczywiście, bitwa pod Gruszką stoczona pod dowództwem tow. Mietka jest teraz bardziej preferowana niż bitwa pod Leninem, ale i na ostatnią jest koniunktura, podobnie jak i na niedawno odkrytą bitwę na przyczółku magnuszewskowareckim. Róża Luxemburg jest nie lubiana, bo miała błędy ale i tę Różę PRL kupuje. Nie muszą to nawet być dzieła w technice socrealizmu. Wystarczy niekiedy właściwy podpis, świadczący o „zaangażowaniu” pod zgoła nie przedstawiającym płótnem. Chętnych do zgrywania się nie tak wielu, ale cóż, bieda robi swoje...

Można przeżyć mając posadę w szkolnictwie artystycznym. Jest ono dość rozbudowane i kilkaset osób może łączyć nauczycielstwo z malowaniem dla siebie. Nie jest tak dobrze i na tym odcinku, ciężka łapa biurokracji ciąży coraz mocniej i na szkolnictwie, dobór kadr staje się coraz bardziej doborem *in minus* pobory asystenckie nie tak lukratywne, ale w każdym bądź razie istnieje duża grupa wartościowych artystów, którzy w ten sposób zdobywają sobie środki do życia.

Dużo ludzi było zmuszonych porzucić twórczość do której byli predysponowani, nie wytrzymując bezwzględnej biedą. Malując ręcznie dość tandetne tkaniny, można, po odliczeniu łapówek i kosztów surowca mieć 1.000-2.500 zł miesięcznie. Inni malują szyldy, urządzają wystawy sklepowe itd. Lepiej przygotowani do życia pod względem zawodowym starają się o dorywcze lub stałe prace w wydawnictwach. Najlepiej mają się ci, którzy potrafią „prawem i lewem” zdobyć pracę na terenie wystawiennictwa.

Wielu nie potrafi jednak lub nie chce malować tkanin ani też urządzać się przy pomocy łapówek, chcą natomiast malować. Utrzymują się z tego, jeśli potrafią już nie uplasować się, lecz przynajmniej zaczepić się o rynki zagraniczne, o Stany Zjednoczone, Niemiecką Republikę Federalną, Anglię, kraje skandynawskie.

Do tego potrzebne są dwa elementy: A. posiadanie za granicą krewnych lub przyjaciół, ewentualnie nazwiska, ułatwiającego kontakty z marszandami. Element B. — to umiejętność zręcznego wymijania coraz to nowych przeszkód stawianych przez

Państwo. Bo artysta-malarz nie ma prawa mieć kontaktu z potencjalnym zagranicznym nabywcą. Może sprzedawać tylko za pośrednictwem przedsiębiorstwa „DESA”, które (i tu od początku...).

Artysta nie ma prawa sprzedawać za granicę, ale może wysłać w ciągu roku 6 swoich dzieł jako upominki. Wysyła więc te upominki, a ze Stanów Zjednoczonych otrzymuje też tytułem daru dolary na Bank PeKaO lub ciuchy. Ale władze zamierzają i ten „przywilej” znieść.

Niektórzy artyści malują i sprzedają za granicą. Paromiesięczny, dobrze zorganizowany pobyt zagraniczny może być podstawą paroletniego utrzymania. Najłatwiej to zorganizować w czasie pobytu na stypendium zagranicznym. Ale nie każdy a) dostaje stypendium, b) ma użyteczne kontakty lub ma do kogo jechać, c) dostaje paszport.

Ścisłej statystyki brak, ale wiadomo, że rok rocznie dziesiątki młodych malarzy nie wraca do kraju. Nie czekają na nich bogactwa, przeciwnie, wielu z nich i za granicą boryka się z trudnościami, zarabia na życie dorywczymi zajęciami itd. Ale przynajmniej mają szansę. W kraju szansy nie mają. Na tę ucieczkę malarzy przed kilkoma jeszcze laty władze patrzyły przez palce, uważając, że jest to jeden ze sposobów łagodzenia malarskiej biedy. Ale teraz myślenie policyjne odgrywa coraz większą rolę. Łagodzić biedy nie zamierza się, wprowadzono natomiast duże utrudnienia w otrzymywaniu paszportów zagranicznych.

Trochę ożywienia na nieistniejącym rynku było w 1968 i 1969 roku. Wyjeżdżający „syjoniści” kupowali obrazy, prawdopodobnie zarówno przez sentyment jak i w chęci ulokowania posiadanych oszczędności. Wywieziono wówczas za granicę pewną ilość wartościowych dzieł, które w innym przypadku nigdy nie znalazłyby nabywców. Niektórzy malarze zarobili po 5 tysięcy, a niektórzy nawet po 10 tysięcy złotych. W Warszawie twierdzą, że ten ruch obrazów i gotówki był bezpośrednią przyczyną irytacji zarówno Lorenza jak i Czeszki. Być może, że są to zarzuty niesłuszne, ale pozory przemawiają za zarzutami.

Wróćmy jednak do malarzy, do tych, których interesy najbardziej leżą mi na sercu, do tych najmniej zaradnych. Podobnie jak zaradność i dostatek nie są, wbrew stereotypom, dowodem wartości artystycznej, tak samo niezaradność i niedostatek nie dyskwalifikują wartości tworzonych dzieł. Znam wybitnych artystów, żyjących w Polsce w autentycznej biedzie. Otóż ci najmniej zaradni, częstokroć należący do elity twórców, korzystali do niedawna z wprowadzonej w latach jeszcze berutowskich a rozszerzonej w okresie październikowym instytucji stypendiów artystycznych. Pożal się Boże, co to za stypendia! W sumie 6 do 9 tysięcy rocznie tj. 500-750 zł miesięcznie. Ale dla wielu te nędzne grosze były od lat deską ratunku.

Były. Nie są. Albowiem w ostatnich tygodniach zredukowano ilość stypendiów. Zmniejszono również kryteria ich przydziału. To, że się jest czynnym twórcą przestało odgrywać jakąś istotną rolę. By otrzymać stypendium trzeba wykazać się „właściwą

postawą ideową", „zaangażowaniem w dzieło budownictwa socjalistycznego” oraz „pracą organizacyjną i aktywnością społeczną”. Dobrze widziane są rekomendacje instytucji „pozaartystycznych”. Mamy podstawy do przypuszczenia że w wielu wypadkach podstawą przyznania lub odmowy stypendium było przyzwolenie lub brak takowego ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Ci wszyscy, którzy potrafili wykazać się użytecznymi walorami, otrzymują stypendia nawet jeśli nie reprezentują żadnych walorów i aktywności artystycznej. Stypendia otrzymują też ludzie dobrze sytuowani. Otrzymują je w zwiększonej wysokości. Dla swoich nie żal!

Nie dysponuję ścisłymi liczbami, ale z tego co wiem wynika, że dziesiątki biednych ludzi, żyjących od lat w niedostatku a nawet w biedzie, fanatyków sztuki i twórczości, zostało nawet bez tych groszy, które pruderia kazała nazwać „stypendiami”. Co będzie z tymi ludźmi?

Marian DROZD

Komunikaty

KONKURS NA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ PT. „KRAJ I EMIGRACJA”

Koło Studiów Spraw Międzynarodowych przy Instytucie im. gen. Sikorskiego (Londyn) ogłasza konkurs na najlepszą książkę pt. „Kraj i Emigracja”. Nagroda, ufundowana przez dra Henryka Grubera, wynosi trzysta funtów. Termin nadsyłania rękopisów upływa 31 grudnia 1972. Osoby, pragnące otrzymać bliższe informacje, zechcą napisać pod adresem:

The Secretary, The Study Circle for International Affairs,
20 Willow Avenue, Swanley, Kent, England.

NAJLEPSZE KSIĄŻKI ROKU

W Radio Free Europe odbyła się doroczna audycja, w której wybrano najlepsze książki roku wydane w Polsce i za granicą.

Jury w składzie Maria Danilewiczowa K. A. Jeleński, Józef Łobodowski i Bronisław Przytuśki, pod przewodnictwem Tadeusza Nowakowskiego uznało za najlepsze książki krajowe: I) Mirona Białoszewskiego: „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego”, II) Piotra Wojciechowskiego: „Czaszka w Czaszce” i III) Mieczysława Jastruna: „Wybór wolności”. Ponadto wyróżniono Macieja Stomeczyńskiego za tłumaczenie „Uliksa” Joyce’a.

Jury w składzie: K. A. Jeleński, Stefania Kossowska, Józef Łobodowski i Bronisław Przytuśki pod przewodnictwem Tadeusza Nowakowskiego uznało za najlepsze książki emigracyjne: 1) Sławomira Mrożka: „Dwa listy i inne opowiadania”; 2) Gustawa Herling-Grudzińskiego: „Upiory rewolucji” i 3) ex-aequo: Henryka Grynberga „Zwycięstwo” i Czesława Miłosza „Widzenia nad zatoką San Francisco”. (Wszystkie tytuły emigracyjne wydane zostały przez Instytut Literacki w Paryżu).

Książki

O prawdzie

(Z okazji tłumaczenia francuskiego prac A. Tarskiego)

W 1956 roku J. H. Woodger, przyjaciel logików polskich, a w szczególności Alfreda Tarskiego, wydał w Oksfordzie (at the Clarendon Press) tłumaczenie angielskie zasadniczych prac tegoż z lat 1923 do 1939. Książka nosi tytuł *Logic, Semantics, Metamathematics* i zawiera siedemnaście studiów naszego wybitnego matematyka, logika i filozofa, studiów, które w ten sposób stały się nie tylko całemu światu znane ale i każdemu łatwo dostępne. Najważniejszym z nich — jednym z najważniejszych, jakie w ogóle ukazały się w naszym stuleciu — jest *Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych*¹, częściowo zmienione przez słynne *Post scriptum* dołączone do tłumaczenia niemieckiego z 1936 roku, *Der Wahrheitsbegriff in den formalisierten Sprachen*². Kilka lat temu znany, paryski wydawca książek naukowych i filozoficznych Armand Colin powierzył Gillesowi Gastonowi Grangerowi, profesorowi na Uniwersytecie w Aix-en-Provence, przygotowanie tłumaczenia francuskiego tomu oksfordzkiego, wzbogaconego o cztery dalsze prace A. Tarskiego ogłoszone przez tego ostatniego po roku 1939³.

W chwili, gdy ma się ukazać *Logique, sémantique, métamathématique*, udostępniając z kolei dorobek A. Tarskiego w szczególniejszy sposób czytelnikowi francuskiemu, nie jest może rzeczą niepotrzebną przypomnieć pewnej przynajmniej liczbie czytelników

1. Warszawa, Nakładem Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, 1933.

2. *Studia Philosophica*, 1 (1936), str. 261-405. Odbitki noszą datę 1935. Tłumaczenia dokonał L. Blaustein.

3. *The Concept of Truth* z wydania oksfordzkiego jest tłumaczeniem na angielski z wersji niemieckiej. W wydaniu paryskim przetłumaczone jest na francuski *Pojęcie...* wprost z polskiego z uwzględnieniem zmian i uzupełnień dokonanych przez A. Tarskiego w tłumaczeniach niemieckim i angielskim, a w szczególności *Post scriptum*.

ków Kultury wagę dzieła naukowo-filozoficznego Alfreda Tarskiego.

Pełne przedstawienie sprawy wymagałoby ogólnego omówienia filozofii polskiej dwudziestego wieku jak też działalności polskiej szkoły logicznej, tzw. szkoły warszawskiej, stanowiących tło, na którym jawi się sylwetka A. Tarskiego i głębię, z której wyrastają jego prace o światowym znaczeniu. Zadanie to zbyt rozległe, byśmy mogli podjąć się go tutaj. Zresztą w pewnej mierze zostało ono wykonane przez Henryka Skolimowskiego w jego znakomitej — choć nie pozbawionej pewnych drobnych luk — książce *Polish Analytical Philosophy*⁴. Wobec tego do niej to pozwalamy sobie odesłać z konieczności czytelnika, który chciałby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Dodajmy na wszelki wypadek, że, poza pracą H. Skolimowskiego, szereg informacji o filozofach polskich dwudziestego stulecia i o logikach naszych z tego okresu, zwłaszcza należących do szkoły warszawskiej, podaje Wł. Tatarkiewicz w swej znanej i nieocenionej *Historii filozofii*, t. III. Na tym miejscu ograniczymy się jedynie do zaznaczenia, że zagadnienie prawdy jest jednym z głównych tematów filozofii polskiej obecnego stulecia, zagadnieniem, które poruszają w swych pracach liczni i różni filozofowie polscy: K. Twardowski, St. Leśniewski, J. Łukasiewicz, T. Kotarbiński, K. Ajdukiewicz, A. Tarski, A. Schaff, R. Suszko, P. Chojnacki i wielu innych.

Rozprawa poświęcona pojęciu prawdy przez A. Tarskiego jest wyjątkowego zupełnie znaczenia. W tych krótkich z konieczności uwagach będziemy starali się uwypuklić tylko dwa (ale za to całkowicie pierwszoplanowe) aspekty, mianowicie, z jednej strony, doprowadzenie współczesnej myśli naukowej do stopnia ścisłości nigdy jeszcze nie osiągniętej przed rokiem 1933, a z drugiej, wykazanie nie tylko, że pewne zdania wypowiedziane przez nas są prawdziwe, ale nadto, że mogą one być zdefiniowane najzupełniej zadawalająco z punktu widzenia naukowego, tj. w sposób formalnie poprawny i materialnie adekwatny.

Człowiek poznaje — świat i siebie — na różne sposoby. Szczególnie ważnym, naturalnie z pewnego określonego stanowiska, jest poznanie ludzkie systematyczne (układające się w system, w całość), metodyczne (prowadzone przy pomocy ustalonych środków, zwanych metodą), krytyczne (poddane wszelkim możliwym sprawdzaniom), intersubiektywne (dające się zakomunikować innym i przez nich odtworzyć), słowem naukowe. Historia zaś poznania naukowego, znów rozpatrywana pod pewnym wyróżnionym kątem, jest historią w zasadzie stałego, choć znającego krótsze lub dłuższe przerwy, a nawet niekiedy mniej lub więcej głębokie załamania, postępu w ścisłości myśli i wyrażającego myśl słowa.

4. London, Routledge and Kegan Paul, 1967. Książka H. Skolimowskiego jest omówiona m.in. w *Les études philosophiques*, juillet-septembre 1969, str. 421-423.

Gdy się mówi o ścisłości naukowej, ważne jest pamiętać, że nauk jest wiele i, co o wiele ważniejsze, że są różne rodzaje nauk: nauki formalne (logika i matematyka — zaraz powiemy o nich coś więcej) i nauki realne, a wśród tych ostatnich nauki przyrodnicze i nauki humanistyczne, nauki opisowe i nauki prawodkrywcze itd.). Jest wobec tego rzeczą zrozumiałą, że istnieje wiele odmian i szczebli ścisłości naukowej i że byłoby rzeczą nierozumną, jak to już zauważył Arystoteles, wymagać od wszystkich dziedzin wiedzy ścisłości tego samego typu i tego samego stopnia. Słusznie więc pisze Stagiryta w *Metafizyce*: „[...] jedni uznają wyłącznie język matematyczny; drudzy domagają się jedynie przykładów; inni jeszcze chcą, by odwoływać się do autoritetu jakiegoś poety; a są i tacy, którzy wszędzie wymagają ścisłych dowodów, co znowu uważane jest przez niektórych za przesadne, czy to z uwagi, że będąc słabego umysłu nie są zdolni nadążać za łańcuchem rozumowań, czy to z obawy, by nie utonąć w powodzi drobiazgów. Coś z tego tkwi istotnie w przesadnym wymaganiu ścisłości, która też bywa niekiedy uważana za niegodną człowieka wolnego tak w życiu codziennym jak i w dyskusji filozoficznej. Z tego powodu należy najpierw ustalić wymagania stawiane pod tym względem każdemu rodzajowi nauki, jest bowiem absurdem szukać równocześnie metody jakiejś nauki i samej tejże nauki, tym bardziej, że ni jedno ni drugie nie jest łatwe. W szczególności nie powinno wymagać się we wszystkim ścisłości matematycznej [...]”⁵.

Przytoczyliśmy ten długi, arystotelesowy cytat na dowód, że zdajemy sobie w pełni sprawę z wielorodzajowości i wielostopniowości ścisłości naukowej, że się całkowicie z Filozofem (jak nazywano w średniowieczu Arystotelesa) zgadzamy, że snując dalsze nasze rozważania stale będziemy o tym pamiętali, iż nauki formalne, logika i matematyka, są tylko jednym z rodzajów nauk o nieprześcigłym, ale tylko im właściwym, typie ścisłości naukowej. (Zwie się je formalnymi, gdyż biorą pod uwagę strukturę, a więc formę w pewnym tego słowa znaczeniu, właściwych sobie przedmiotów: pojęć i sądów w jednym wypadku, liczb i innych tworów matematycznych w drugim, a w następstwie tego również znaczących je wyrażań).

Tym niemniej nauki formalne są, w pewnym sensie i w pewnej mierze, wzorem ścisłości naukowej dla wszystkich innych nauk. Jest tak dlatego, że budowa właściwa każdej nauce jako takiej, doprowadzona w logice i w matematyce do skrajnej prostoty, występuje w tych naukach z wyrazistością niespotykaną poza nimi. Jeśli budowa właściwa każdej nauce może być obrazowo nazwana szkieletem nauki, to logika i matematyka spełniają niejako rolę podobną do ludzi prześwietlanych promieniami Rentgena: patrząc na tych ludzi w momencie, gdy są prześwietlani, widzimy ludzki szkielet, rzeczywisty lecz niewidoczny w innych wypadkach. Analogicznie, przyglądając się logice i matematyce,

widzimy, dzięki ich prostocie i przejrzystości, ich budowę, która jest, z grubsza biorąc, budową każdej innej nauki. Na przykładzie nauk formalnych, które są równocześnie naukami dedukcyjnymi, widzimy z całą możliwą wyrazistością, iż każda nauka jest zbiorem zdań, że zdania składające się na każdą naukę są dwójki rodzaju: jedne są zdaniami pierwszymi, przyjętymi nie w wyniku takiego czy innego rozumowania, lecz w następstwie umowy lub z racji ich oczywistości takiej lub innej, drugie zaś są właśnie wnioskami jakichś rozumowań, które mogą być — i faktycznie są — bardzo różne zależnie od nauki, z jaką mamy do czynienia. Zdania wtórne wiążą ze zdaniami pierwszymi reguły wnioskowania naukowego, tak liczne i tak różne, jak liczne i jak różne są wnioskowania dokonywane przez twórczych wciąż mnożące się dziś nauki. Niektóre z tych reguł upoważniają do zastępowania wyrażen definiujących wyrażeniami definiowanymi (nowymi).

Otóż nauki formalne, logika i matematyka, nie tylko mają budowę wspólną, w sposób analogiczny, wszystkim naukom, nie tylko pierwsze osiągnęły możliwie najwyższą doskonałość tej budowy, ale nadto pierwsze stały się tej budowy świadome, szczególnie i ściśle ją opisały, a następnie opis ten zamieniły w nową naukę, naukę o nich samych, mówiąc inaczej w metanaukę, a konkretniej w metalogikę i w metamatematykę, nauki znów, jak nauki stanowiące ich odpowiednie przedmioty, formalne, dedukcyjne, aksjomatyzowane i zformalizowane, przynajmniej dające się z łatwością sformalizować (jeśli nie są faktycznie sformalizowane, to formalizacja ich jest tylko zagadnieniem wyłącznie technicznym: sprawą wykonania tego, co powinno być w tym wypadku wykonane, co się wie, że jest do wykonania i co umie się wykonać).

Otóż tu właśnie natrafiamy na pracę A. Tarskiego o prawdzie, o której z pozoru przestaliśmy chwilowo mówić. W niej to bowiem, podjąwszy zadanie w pełni zadawałającego zdefiniowania wyrażenia „*x jest zdaniem prawdziwym*” (gdzie „*x*” jest zmienną reprezentującą nazwę dowolnego zdania), uczeń, młodszy kolega i współpracownik Jana Łukasiewicza i Stanisława Leśniewskiego zbudował pierwszą w świecie metanaukę, mianowicie metaalgebrę klas, tj. naukę o algebrze klas, naukę o strukturze tejsze algebry, o jej częściach składowych i o jej właściwościach, określając między innymi właśnie wyrażenie „*x jest zdaniem prawdziwym algebry klas*”. Nauce tej nadał A. Tarski postać możliwie najdoskonalszą: dał jej budowę systemu dedukcyjnego, aksjomatyzowanego, wirtualnie sformalizowanego. Tym samym wszystkie inne nauki osiągnęły potencjalnie ten dotąd nigdy jeszcze przez żadną naukę nie posiadany stopień doskonałości, pełni i ściśłości. A. Tarski pokazał jak się buduje metanaukę⁶. Za jego przykładem

6. Metanauka, jako teoria języka naukowego, jest również nazywana semiotyką. Od czasu, gdy Ch. W. Morris ogłosił swe znane studium *Foundations of The Theory of Signs* (International Encyclopedia of Unified Science, vol. I, nr 2, The University of Chicago Press, Illinois, 1938, str. 1-59),

przedstawiciele innych nauk mogą konstruować, w analogiczny sposób, tj. *mutatis mutandis*, metanauki uprawianych przez siebie nauk. Tak to osiągnięty został najwyższy w tej dziedzinie szczyt. Na szczyt ten wprowadził naukę świata Alfred Tarski, jeden z głównych przedstawicieli szkoły warszawskiej, tej polskiej szkoły logicznej, na której czele stali jego mistrzowie: Jan Łukasiewicz i Stanisław Leśniewski.

Wglądnięcie w ów pierwszy aspekt dzieła A. Tarskiego pozwala nam uchwycić równocześnie ten drugi, o którym tu chcemy z kolei mówić. Autor *Pojęcia prawdy w językach nauk dedukcyjnych* wypracował, jak powiedzieliśmy, pierwszą metanaukę, gdyż postawił sobie za zadanie zdefiniować w sposób formalnie poprawny i materialnie adekwatny wyrażenie „*x jest zdaniem prawdziwym*” (dorzucenie „*w takiej a takiej nauce*”, względnie, szerzej „*w takim a takim języku*”), a nie mógł tego zrobić inaczej, jak właśnie tworząc jakąś metanaukę. (Ze wybrał konstruowanie metaalgebry klas, to zadecydowała o tym prostota algebry klas, nauki, której prawa stwierdzają stałe stosunki zachodzące między klasami, stosunki takie na przykład jak równoważność między klasą alternatywną *a* lub *b* i klasą alternatywną *b* lub *a* lub zawieranie się klasy *a* w klasie *c* w wypadku, gdy klasa *a* zawiera się w klasie *b*, a klasa *b* w klasie *c* itp., nauki na ogół powszechnie znanej).

Próby określenia prawdy jawią się u różnych filozofów poczynając od starożytności. Arystoteles pisze w *Metafizyce*: „Powiedzieć o bycie, że jest, a o niebycie, że nie jest, jest prawdą”. Myślowo bliski Stagiryście Tomasz z Akwinu, szczególnie zainteresowany zagadnieniem prawdy — poświęcił mu m.in. swą słynną, obszerną *Quaestio disputata de veritate* — widział istotę prawdziwości wydawanych przez nas sądów w zgodności sądzącego intelektu z rzeczywistością: *veritas est adaequatio rei et intellectus* brzmi jego łacińska formuła określająca prawdę⁷. Stąd przyjęło się twierdzić, posługując się językiem pozostającym już pod wpływem logiki symbolicznej, iż „*p*” jest zdaniem prawdziwym,

wyróżnia się trzy części semiotyki: syntaktykę, badającą stosunki zachodzące między wyrażeniami danego języka, semantykę, studiującą stosunki zachodzące między znakami językowymi a tym, co znaki te oznaczają, względnie znaczą, i pragmatykę, zajmującą się stosunkami zachodzącymi między znakami językowymi a osobami posługującymi się nimi „a którymi są mówiący i ich słuchacze. Postawiwszy się przed zadaniem określenia „*x jest zdaniem prawdziwym algebry klas*”, A. Tarski wypracował semantykę algebry klas, a tym samym pokazał, czym jest semantyka ogólna i jak tworzyć semantyki szczegółowe.

7. 1011 b 27.

8. *De veritate*, q. I, art. 1, corpus articuli in fine. Ponieważ chodzi tu o określenie nie autentyczności rzeczy (prawda ontologiczna) lecz prawdziwości sądów (prawda logiczna) definicję tomaszową należy rozumieć jako mówiącą nie o zgodności rzeczy z intelektem lecz intelektu z rzeczą. [...] *per conformitatem intellectus et rei veritas definitur*” precyzuje św. Tomasz w *Sumie teologicznej* I, XVI, 2, respondeo.

gdy *p*, na przykład „*śnieg pada*” jest zdaniem prawdziwym, gdy *śnieg pada*. Otóż, jakkolwiek takie są nasze „intuicje”, jak się wyrażają współcześni logicy, dotyczące zdań prawdziwych i jakkolwiek wyżej przytoczona formuła pozostająca w zgodzie z tradycją, do wytworzenia której przyczynili się między innymi Arystoteles i Tomasz z Akwinu, zdaje się tych właśnie intuicji być dokładnym wyrazem, nie jest ona w pełni doskonała i zadawająca. O ile bowiem jest materialnie adekwatna (zgodna z naszym rozumieniem wyrażenia „zdanie prawdziwe”), o tyle nie jest formalnie poprawna, jak to przekonująco pokazuje A. Tarski w *Pojęciu prawdy...* A nie jest formalnie poprawna, ponieważ w pewnych wypadkach prowadzi do paradoksów, dokładniej mówiąc do antynomii kłamcy, której starożytne jeszcze sformułowanie przypisywane jest Eubulidesowi. (Przez antynomię należy tu rozumieć właściwość istotną takiego wyrażenia, z którego, rozumując poprawnie, wywnioskowuje się zdania sprzeczne). Ta właśnie formalna niepoprawność tradycyjnych określeń zdania prawdziwego, określeń skądinąd materialnie adekwatnych, skłoniła A. Tarskiego do podjęcia trudu budowania definicji wyrażenia „*x jest zdaniem prawdziwym*”, która byłaby i materialnie adekwatna i formalnie poprawna.

Autor *Pojęcia prawdy...* osiągnął wyniki jak najbardziej pozytywne. Stwierdził na obranym przykładzie, iż zbudowanie definicji zdania prawdziwego, materialnie adekwatnej i formalnie prawdziwej, jest możliwe, ale, rzecz jasna, pod pewnymi warunkami. Okazało się bowiem, że istnieje nie jeden język, lecz wiele języków. Skutkiem tego nie można określić w sposób w pełni zadawający wyrażenia „*x jest zdaniem prawdziwym*” bez odniesienia do języka, w którym sformułowane jest zdanie reprezentowane przez zmienną „*x*” figurującą w wyrażeniu, o którego zdefiniowanie chodzi. Innymi słowy, można zbudować definicję materialnie adekwatną i formalnie poprawną jedynie wyrażen typu „*x jest zdaniem prawdziwym języka L*”. Lecz to jeszcze nie wszystko: by wyrażenie tego typu mogło być zadawająco określone, trzeba, z jednej strony, by budowa języka, w którym formułowane są zdania podstawiane za „*x*” (język ten nazywa się *językiem-przedmiotem*), była w pełni ujawniona i określona, a z drugiej, by język, w którym konstruuje się odnosną definicję (język ten nazywa się *metajęzykiem*), był językiem bogatszym niż język zdań reprezentowanych przez „*x*”, mianowicie, by zawierał m.in. i wyrażenia będące tłumaczeniami na język, w którym budowa jest omawiana definicja, wyrażen należących do języka, w którym wypowiadane są zdania podstawiane za „*x*” i nazwy wyrażen języka zdań reprezentowanych przez „*x*”.

Nie miejsce tu wchodzić w szczegóły techniczne, których znajomość nie posiada pierwszorzędного znaczenia dla przeciętnego czytelnika *Kultury*, nie będącego skądinąd logikiem. A nawet zbędne wydaje się w tym wypadku dokładniejsze opisanie, choćby tylko w głównych liniach, sposobu, w jaki A. Tarski wykonał swoje zadanie. Zresztą zrobił on to z nieprześcignioną prostotą

i jasnością po dwakroć sam: w studium *The Semantic Conception of Truth and The Foundations of Semantics*⁹ i w artykule *Truth and Proof*¹⁰. Nawiąsem mówiąc, jest rzeczą niezrozumiałą, że dotąd żadne czasopismo polskie, czy krajowe czy emigracyjne, nie opublikowało polskiej wersji tych tak ciekawych i wielkiej wagi artykułów, w których sam A. Tarski popularyzuje, w najlepszym tego słowa znaczeniu, własne osiągnięcia. Co prawda *Truth and Proof* ukazało się niedawno (Francuzi już je jednak przedrukowali!). Ale *The Semantic Conception...* ma przeszło piętnaście lat i zostało przetłumaczone na francuski i na włoski¹¹). Do tych więc streszczeń pracy A. Tarskiego przez niego samego dokonanych odsyłamy ewentualnie czytelnika pragnącego zaznajomić się bliżej z zadaniem wykonanym w *Pojęciu prawdy...* Tu chcemy podkreślić tylko to, co istotne w tym osiągnięciu A. Tarskiego, a co może nawet nie było wprost przezeń zamierzone, gdyż jako oczywiste mogło wydawać się bezsporne.

A. Tarski zbudował merytorycznie trafną i formalnie poprawną definicję wyrażenia „*x jest zdaniem prawdziwym algebry klas*”. Równocześnie pokazał, w jakich warunkach i dla innych języków możliwe są analogiczne definicje zdań w nich prawdziwych. Tym samym zostało pośrednio stwierdzone, że *istnieją zdania prawdziwe, że nie jesteśmy skazani na bezwzględny, radykalny sceptycyzm, że możemy — w pewnych przynajmniej granicach — poznać to, co jest*. Wnikliwy czytelnik może zauważyć, że osiągnięcie A. Tarskiego zostało dokonane na terenie jednej z nauk formalnych, a więc nauk, mających za przedmiot nie byty realne lecz byty intencjonalne, nie rzeczy, przede wszystkim materialne, lecz pojęcia i sądy. Niewątpliwie. Sam jednak A. Tarski wskazuje w *The Semantic Conception of Truth...* na możliwość — i konieczność — zbudowania merytorycznie trafnych i formalnie poprawnych definicji zdania prawdziwego dla języków nauk empirycznych, a więc realnych. A Roman Suszko, opierając się na definicji A. Tarskiego pokazuje z kolei, na czym polega postęp w nauce i jak możemy go ściśle określić¹².

Tych kilka uwag o głównej pracy Alfreda Tarskiego wydaje się tym bardziej na czasie, że — pomijając już bliskie ukazanie

9. *Philosophy and Phenomenological Research* 4 (1944), str. 341-376, przedrukowane raz, przez H. Feigl i W. Sellarsa, w *Readings in Philosophical Analysis*, New York, 1949, drugi raz, przez L. Linsky'ego, w *Semantics and The Philosophy of Language*, The University of Illinois Press at Urbana, 1952.

10. *Scientific American*, June, 1969, vol. 220, nr 63-77, przedrukowane w *L'Age de la science*, Paris, Dunod, octobre-décembre 1969, str. 279-301.

11. Tłumaczenie francuskie ukazuje się w *Logique, sémantique, métamathématique*, Paryż, Armand Colin, t. II. Tłumaczenie włoskie, obejmujące tylko drugą część wzmiankowanego artykułu A. Tarskiego, znajduje się w A. TARSKI, *Il concetto di verità nei linguaggi formalizzati*, Milano, Vita e Pensiero, 1963, aneks.

12. *Logika formalna a niektóre zagadnienia teorii poznania* (*Logiczna teoria nauki*, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1966, str. 505-576, przedrukowane z *Myśli Filozoficznej* 2 (28) i 3 (29) 1957.

się tłumaczenia francuskiego zasadniczych jego pism, o czym była mowa na początku — jesteśmy jeszcze w fazie *Kongresu Nauki Polskiej na Obczyźnie*, kongresu, który odbył się, jak wiadomo, w Londynie w dniach od 9 do 12 września 1970, a w okół którego toczą się nadal debaty i dyskusje¹³. Alfred Tarski, wykładowca dziś w Stanach Zjednoczonych (University of California, Department of Mathematics, Berkeley), jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli naszej nauki za granicą.

Jerzy KALINOWSKI

Najwyższy czas mówić głośno

Ukazało się już kilka recenzji ostatniej powieści Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić”, ale gdyby ktoś, nie znając książki, przeczytał te wszystkie recenzje, to odniósłby mylnie wrażenie, iż głównym tematem książki są sprawy polskie na tzw. kresach północno-wschodnich w czasie ostatniej wojny. Tymczasem Józef Mackiewicz opisał w pierwszym rzędzie dzieje ludzi zamieszkujących okolice Wilna, Mińska i Kowna pod wielokrotnym terrorem: niemieckim, sowieckim, litewskim, białoruskim i... polskim, w latach 1941-1945.

Na terenach tych dominował chaos. Ludzie mordowali się wzajemnie z byle błahego powodu i często można się jedynie domyślać, kto był rzeczywistym sprawcą danego morderstwa. Taki stan rzeczy prowadził w pierwszym rzędzie do wyniszczenia miejscowej ludności.

Władze niemieckie oscylowały pomiędzy odmiennymi koncepcjami Ostministerium, Wehrmacht'u, Abwehry i ministerstwa spraw zagranicznych w stosunku do zagarniętych narodów. W zasadzie jednak stosowały się do dyrektyw Führera, nakazujących traktowanie wszystkich jako *Untermensch*ów. Niemcy mordowali Żydów, Polaków, partyzantów sowieckich, biskupów prawosławnych, księży katolickich, a czasami nawet Litwinów i Białorusinów.

Franciszek Brzozowicz, redaktor pisma *Bielaruskij Hołas* wypowiedział zdanie: — „Wszystko co było Litwą i Rusią, idzie przeciwko bolszewikom. Wszystko co było Koroną, idzie z bolszewikami”. (str. 49). W zasadzie to schematyczne stwierdzenie było słuszne, ale z biegiem czasu nastawienie władz niemieckich doprowadziło do powstania tajnych organizacji litewskich i biał-

łoruskich, a z drugiej strony polski ruch podziemny, pomimo oficjalnej postawy antyniemieckiej, walczył niekiedy z partyzantką sowiecką.

Jedynym konsekwentnym terrorem był terror sowiecki. Jedyne partyzantka sowiecka dążyła wyraźnie do celu mordując wszystkich, którzy byli jej przeciwni, bez względu na narodowość i wyznanie i jedynie ta koncepcja wygrała. Czytelnik odnosi wrażenie, iż wygrała może nie tylko dlatego, że posiadała najlepsze zaplecze materialne, ale może również dlatego, że była koncepcją ponadnarodową. Inne koncepcje oparte na wąskich nacjonalizmach zostały zlikwidowane przez koncepcję sowiecką.

Jednym z powodów istniejącego chaosu był brak zgranej reprezentacji lokalnej. Z biegiem czasu trzeźwi i niezacietrzewieni ludzie usiłowali nawiązać rozmowy porozumiewawcze między Polakami i Białorusinami z jednej strony i Polakami i Litwinami z drugiej. Niestety, rozmowy te nie dały pożądanego wyniku, gdyż w panującym chaosie uzbierało się już zbyt wiele wzajemnej goryczy, a poza tym główny inicjator rozmów ze strony polskiej, Zygmunt Andruszkiewicz, zginął zadenuncjowany przed Niemcami, a reprezentant strony białoruskiej, Franciszek Brzozowicz, zginął zadenuncjowany przed agentami sowieckimi. Poza tym kością niezgody pomiędzy poszczególnymi grupami było Wilno, z którym wszystkie trzy nacjonalizmy — polski, litewski i białoruski — były związane historycznie i emocjonalnie.

Jak dotychczas powieść Józefa Mackiewicza jest jedyną próbą przedstawienia w sposób całościowy wypadków w okolicach Wilna, Mińska i Kowna pod okupacją niemiecką i wątpliwe, żeby wkrótce ukazały się jakieś źródłowe opracowania naukowe na ten temat, gdyż po pierwsze brak jest dokumentów, a istniejące relacje na ten temat są często jednostronne, a po drugie brak jest na Zachodzie świadków, którzy tylko w nielicznych wypadkach zdołali wydostać się z matni pod koniec wojny. Jak dotychczas z polskiej strony zostały opracowane relacje dotyczące jedynie poszczególnych incydentów, tak jak dzieje 5 batalionu 77 pułku piechoty Armii Krajowej opisane przez majora Stanisława Truszkowskiego, praca Cezarego Chlebowskiego na temat akcji „Wachlarz” w rejonie Mińska, czy też opracowanie Józefa Garlińskiego o akcji Armii Krajowej na Wilno w lipcu 1944 roku.

O ile można zorientować się w sytuacji na podstawie fragmentarycznych danych podawanych nieraz z ust do ust, całościowe przedstawienie sprawy przez Józefa Mackiewicza odpowiada prawdzie historycznej. Tragedia polegała nietylko na obecności dwóch terrorów zewnętrznych — niemieckiego i sowieckiego, co na braku wspólnej reprezentacji polsko-litewsko-białoruskiej, która występowałaby w imieniu wszystkich mieszkańców.

13. Na przykład zebranie sprawozdawcze zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Historyczno-literackie, 16 października 1970, w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Należy jednak podejrzewać, iż ostatnia powieść Mackiewicza nie zostanie dobrze odczytana przez polskich czytelników, którzy już odeszli zbyt daleko od postawy, jaką zajmuje Mackiewicz. Przytłaczająca większość Polaków myśli kategoriami wyłącznie nacjonalistycznymi, natomiast Mackiewicz przemawia w imieniu wszystkich ludzi zamieszkujących okolice Wilna, Mińska i Kowna. Jak słusznie wykazał niedawno zmarły Paweł Jasienica (Leon Lech Beynar — były adiutant majora Łupaszki) w dziele „Rzeczypospolita Obojga Narodów”, elita tych okolic uległa stopniowej polonizacji. W pierwszym stadium, które trwało kilka wieków, elita ta włączyła się w kulturę polską zachowując jednak pewną odrębność, dzięki czemu mogła w dalszym ciągu występować w imieniu wszystkich ludzi zamieszkujących północną część Wielkiego Księstwa Litewskiego. Drugie stadium rozpoczęło się w XIX wieku i zostało poważnie przyspieszone przez klęskę powstania styczniowego. Polegało ono na tym, iż ta spolszczona elita zaczęła się włączać całkowicie i bez zastrzeżeń do narodu polskiego, przez to wyobcowywała się coraz bardziej z terytorium, które zamieszkiwała i traciła prawo przemawiania w imieniu wszystkich ludzi zamieszkujących to terytorium. Proces ten został powtórnie przyspieszony przez powstanie niepodległego państwa polskiego, które pomimo, iż posiadało jeszcze znaczne terytoria mieszane pod względem narodowościowym, przybrało w szybkim tempie charakter państwa nacjonalistycznego wyznającego zasadę „Polska dla Polaków”. Po roku 1945 koncepcja jedn narodowej Polski w granicach piastowskich została ostatecznie zrealizowana przez ZSSR i obecnie przytłaczająca większość Polaków myśli wyłącznie kategoriami nacjonalistycznymi i z tego powodu będzie miała poważne trudności w zrozumieniu Mackiewicza, który jest już chyba ostatnim przedstawicielem elity kresowej, spolonizowanej jedynie w sensie przynależności kulturalnej, i z tego stanowiska przemawia imieniem wszystkich ludzi zamieszkujących okolice Wilna, Mińska i Kowna.

„Nie trzeba głośno mówić” przedstawia skutki odejścia od wspólnoty polsko-litewsko-białoruskiej do poszczególnych nacjonalizmów — polskiego, litewskiego i białoruskiego. Odchodzenie od wspólnoty zostało spowodowane w pierwszym rzędzie tym, iż zarówno rdzenni Polacy jak i spolonizowana elita litewsko-białoruska zaczęła coraz bardziej operować nacjonalistycznymi kategoriami myślenia. Budzenie się nacjonalizmu litewskiego i białoruskiego, które rozpoczęło się pod koniec XIX wieku, miało jedynie drugorzędne znaczenie.

Jednak należy przyznać, iż większość mieszkańców na terenach polsko-białoruskich nie zdążyła jeszcze ulec wpływom nacjonalistycznym. Wśród nich granice podziału narodowego właściwie nie istniały i dlatego wielu „malców” mówiących w domu po białorusku brało udział w działalności Armii Krajowej w czasie ostat-

niej wojny. Należy też przypomnieć, iż na terytoriach polsko-litewskich granice podziału narodowościowego nie były aż tak ostre, jak to się normalnie przedstawia. Dopiero w okresie, opisywanym przez Józefa Mackiewicza, głównie na skutek tego, iż Polacy byli w zasadzie antyniemieccy, a Litwini i Białorusini w zasadzie proniemieccy, padły między tymi narodami pierwsze trupy.

W powieści polską postawę określił zamieszkały w Wilnie Jurij Wasiljewicz Rogożyn w sposób następujący: — „Dobry Polak, też jasne; to taki któremu mniej chodzi o Polskę, a więcej o pobicie Niemców” (str. 332). Polska reprezentacja była zdecydowanie antyniemiecka, przynajmniej oficjalnie. Jednak postawa ta z jednoczesnym określeniem ZSSR jako „sojusznika naszych sojuszników”, która przestrzegana była w pełni w Polsce centralnej, na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie nie wytrzymywała próby życiowej na skutek działania partyzantki sowieckiej, wychodzącej z założenia, iż ziemię tę są integralną częścią ZSSR. I chociaż formalna postawa AK na tych terenach była taka sama jak i w Polsce centralnej, to jednak w praktyce terenowa organizacja AK w wielu powiatach była w dobrych stosunkach z zorganizowaną i uzbrojoną przez Niemców milicją białoruską i przez nią, a w niektórych wypadkach i bezpośrednio, dostawała broń od Niemców. Bo i jakie było inne wyjście? Niemcy panowali na trasach przelotowych i w większych miasteczkach, a w terenie wchodziła w grę uzbrojona przez Niemców milicja białoruska, sowieccy *okrużenicy* w lasach i siatka organizacji AKowskiej. W jednych lasach, jak dajmy na to w puszczy nalibockiej, sowieccy *okrużenicy* byli dobrze zorganizowani, i dlatego, jak wiadomo na podstawie opublikowanych już dokumentów, byli zdecydowanie agresywni w stosunku do polskiego elementu. W innych lasach *okrużenicy* byli gorzej zorganizowani i dlatego mniej agresywni. W takim wypadku zadawałali się wydobyć z okolicznych wiosek żywności i odzieży. Jako przykład mogą tu posłużyć opisywani przez Truszkowskiego *okrużenicy* w puszczy rudnickiej, którzy zachowywali się raczej pokojowo, z wyjątkiem spalania wsi Koniuchy wspierającej czynnie batalion Truszkowskiego (str. 133), która nie była zbyt skora do dostarczania im żywności. Ma się rozumieć Truszkowski mógł opisać ten incydent jedynie w formie bardzo łagodnej.

Zachodzi więc pytanie, jak miał postąpić lokalny dowódca AK, którego jedną z ważnych funkcji była obrona ludności, skoro na jego terenie w lasach znajdowali się dobrze zorganizowani *okrużenicy* agresywni w stosunku do elementu polskiego i białoruskiego sprzyjającego Polakom? Warszawa przysyłała jedynie trochę pieniędzy i rozkazy. Broń z rzutów na Kresy nie dochodziła, więc skąd miał dostać broń w celu ochrony ludności? Ktoś powie, iż mógł ją zdobyć w walce z Niemcami osadzonymi w większych miasteczkach, lub w walce z milicją białoruską. Stawia-

łoby go to w sytuacji beznadziejnej, gdyż oprócz sowieckiej partyzantki miałyby na swej głowie Niemców i milicję białoruską. Zresztą z białoruską milicją nie mógł walczyć, gdyż zbyt wielu swoim podkomendnym kazał wstąpić do milicji w celu uzyskania informacji, wykupu broni i trzymania ręki na pulsie. Broń więc musiała pochodzić od Niemców i to nie w drodze walki, albo poprzez jakieś kombinacje lub po prostu jako darowizna. W wielu wypadkach pośredniczyła milicja białoruska. (Powyższe stwierdzenia oparte są na relacji ustnej jednego z oficerów AK pełniącego funkcje komendanta powiatowego na Wileńszczyźnie).

Skrajnym przykładem darowizny był wypadek pobrania broni z magazynów niemieckich przez stołpecki oddział AK, dowodzony przez por. Adolfa Pilcha (Góra, Dolina), który był zrzutkiem spadochronowym z Anglii, czyli tzw. cichociemnym. Oddział stołpecki był w bezpośrednim zagrożeniu przez partyzantkę sowiecką z puszczy nalibockiej. Ten fakt pobrania broni od Niemców posłużył premierowi Mikołajczykowi do wysunięcia pisemnego zarzutu przeciwko gen. Sosnkowskiemu, iż podległe mu oddziały AK współpracują z Niemcami.

O ile chodzi o oddziały partyzanckie AK, to niektóre z nich walczyły prawie wyłącznie z partyzantką sowiecką. Na przykład w marcu 1944 roku z wileńskiego Kedywu, który nazywano „Bazą”, wysłano w teren grupę około 30 żołnierzy, która działała w okolicy Trok, Landwarowa, Niemenczyna. Była ona zaangażowana w pierwszym rzędzie w zwalczaniu sowieckich grup partyzanckich. Walka miała charakter bezwzględny, obie strony rozstrzeliwały jeńców. Oddział ten, zasilany przez miejscowych „malców” rozrósł się do ponad 100 osób. (Powyższe stwierdzenia oparte są na ustnej relacji jednego z uczestników tych działań).

Jednym ze skrajnych przykładów zwalczania sowieckiej partyzantki była 5 brygada wileńskiej AK, dowodzona przez przedwojennego oficera służby stałej z 4 pułku ułanów zaniemeńskich majora Zygmunta Szendzielarza (Łupaszko). Na przełomie 1942 i 1943 roku Łupaszko, który w owym czasie działał w okolicy Michaliszek, został aresztowany przez Niemców. Zwolniono go pod warunkiem, iż będzie walczył z partyzantami sowieckimi. Łupaszko umowy dotrzymał.

W powieści taktykę oddziałów wileńskiej AK przedstawił Skowroński, oficer 3 brygady, dowodzonej przez porucznika broni pancernej Gracjana Fróga (Szczerebiec) w sposób następujący: „My się komunistów nie boimy. Ale do tego potrzeba nie patyczkować się, nie bawić w zasady. Tylko stosować te same bezwzględne metody co oni, i inni, dla jednego celu: dla dobra Rzeczypospolitej. Niemcy dają broń, bracie. Dają rozkaz policji i SS nie strzelać pierwsi do partyzantów polskich, to korzystać z tego” (str. 329). W wypadku wykrycia tego rodzaju taktyki Skowroński sugeruje: „Od czegoż więc są zaprzeczenia: 'Nieprawda, tego nie było!' Od czego świadkowie naoczni: Janek, Franek, Kazio, Staś i Kryśia, powiedzcie, było tak, co nam zarzucają? — Nie! Nie było!.. Jeżeli dla dobra Rzeczypospolitej można sa-

memu zginąć, to dlaczego nie można krzywoprzysiąc? Krzywoprzysięstwo jest mniejszym grzechem niż zabicie człowieka” (str. 330).

Ignorowanie przez dowództwo AK zarówno w Wilnie jak i w Warszawie rzeczywistości polegającej na tym iż oddziały AK walczyły już od dawna z partyzantką sowiecką doprowadziło do samobójczego oddania w ręce sowieckie w lipcu 1944 r. bez mała całej wileńskiej i nowogródzkiej organizacji wojskowej. Jednak musiały być pewne opory przeciwko akcji, która miała się zakończyć ujawnieniem się przed władzami sowieckimi, gdyż początkowo zarządzono kompletną mobilizację organizacji terenowej (teoretycznie batalion z każdego powiatu), jednak później rozkazy zmieniono w tym sensie, iż jedynie ochotnicy mieli zgłosić się do akcji na Wilno. Natomiast oddziały partyzanckie stały się w całości z wyjątkiem 5 brygady majora Szendzielarza, który uważał, iż jedynym wyjściem jest wycofanie się na zachód.

Niewątpliwie Mackiewicz ma rację twierdząc, iż zasada bezwzględnej antyniemieckości z jednoczesnym określeniem ZSSR jako „sojusznika naszych sojuszników” sprzeczna była ze stanem faktycznym na terytoriach północno-wschodnich bez mała od samego początku, od roku 1941. W centralnej Polsce zasada ta stała się również sprzeczna z rzeczywistością w miarę posuwania się na zachód sowieckiej partyzantki, a za nią sowieckiego frontu.



Mackiewicz omówił dzieje ludzi na terenach północno-wschodnich na tle wielu problemów pokrewnych. Naświetlił niezmiernie interesującą sytuację w jakiej znaleźli się Rosjanie i inne narody sowieckie, w której Niemcy uniemożliwili im jakikolwiek inny wybór niż zdecydowanie się na obronę ZSSR. Ciekawy jest również opis spontanicznej dążności do odbudowania cerkwi na terenach zajętych przez armię niemiecką (str. 62), jak również działalność zarówno kościoła katolickiego jak i cerkwi prawosławnej na tych terenach. Akcja misyjna kościoła katolickiego, a szczególnie polskiego i częściowo białoruskiego duchowieństwa, przed którym ofensywa niemiecka w głąb ZSSR otworzyła, wydawałoby się, poważne możliwości jest całkowicie wśród Polaków nieznana, pomimo że wielu księży oddało swe życie w tej akcji. Toteż temat, o którym „nie trzeba głośno mówić”. Sposób w jaki Mackiewicz przedstawił te sprawy (str. 79 i 268), o ile zdołałem dowiedzieć się u osób zorientowanych, odpowiada prawdzie.

Ogromna ilość problemów poruszonych sprawia, iż powieść jest trudna do opanowania w całości i czytelnik zastanawia się, czy nie byłoby lepiej gdyby, ze względu na zwięzłość i jasność pewne sprawy zostały pominięte. Jednak po zastanowieniu się trudno wybrać te zagadnienia które można by wyeliminować, nie zniekształcając jednocześnie zagmatwanej sytuacji na Wschodzie. Można by sądzić, iż autor poświęcił formę literacką w celu przedstawienia prawdy historycznej.

Należy zanotować kilka drobnych nieścisłości. Na str. 204 Zacharow mówi, iż pasierb jego siostry „kolejarzem w Dziśnie służy”, niestety w Dziśnie nie było kolei. Wspomniane jest również, iż 4 pułk ułanów zaniemeńskich miał „granatowy otok” (str. 255), to chyba pomyłka. O ile mnie pamięć wzrokowa nie myli pułk ten miał otok jasnoniebieski, może błękitny, ale na pewno nie granatowy. I trzeci drobny szczegół, wydaje mi się, że prawidłowa nazwa miejscowości położonej już za granicą ryską powinna brzmieć Uszacz, a nie Uszaczce (str. 187). Uszacz to rosyjska nazwa tej miejscowości.

Szkoda, że większość rozmów odbywa się w literackiej polszczyźnie, jedynie tu i ówdzie spotyka się zwroty typowe dla tamtejszych terenów. Można sobie jedynie wyobrazić jak specyficznym językiem, typowym dla mińszczan, mówił Romuald Ławrynowicz, lub jak pełna rosyjskich pozostałości była mowa Rogożina. Niestety trzeba jednak przyznać, iż Mackiewicz nie mógł posługiwać się autentycznym językiem swoich bohaterów, gdyż język ten nie byłby już zrozumiały dla większości polskich czytelników.

Wiele już napisano na temat wartości artystycznej „Nie trzeba głośno mówić”, mnie się jednak wydaje, iż podobnie do „Doktora Żiwago” Pasternaka powieść ta ma większą wartość jako prawdziwa relacja dziejów ludzkich niż jako dzieło artystyczne. Najlepiej udały się te sceny, które umieszczone są w lasach, na polach, w wioskach lub drewnianych domkach na przedmieściach Wilna, czy Mińska. Za przykład może tu posłużyć opis początkowej działalności sowieckiego patrolu Raczenki-Nikitina (str. 137 do 149) lub sceny w chacie Michała Kuszelenki we wsi Taran-kowicze (str. 150 do 160). Dobrze też wypadły podróże, zarówno Henryka z archimandrytą Serafimem (str. 69 do 76), jak i Antona Panisienki z belgijskim oficerem Janem van Orley (str. 355 do 364). Pełen wymowy jest również opis mordowania Żydów na Ponarach, chyba jeden z najlepszych obrazów kaźni, jaki dotychczas czytałem, a wielu ludzi opisywało już niemieckie mordy. Szczególną cechą tego opisu jest zwrócenie uwagi na morderców: „Po ludzku bladzi, spoceni, jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłądnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu...” (str. 285).

Mackiewicz wypada najlepiej w otoczeniu przyrody lub w ruchu. Natomiast sceny w stolicach — w Berlinie, w Warszawie i w Moskwie — są dużo słabsze.

Świetnie zostało uwypuklone znaczenie propagandy prosowieckiej. Polacy w Wilnie powtarzają z dziecinną naiwnością, iż Stalin zapowiedział, że za każdego zamordowanego Polaka zamorduje stu Niemców (str. 59), lub że żona znajdującego się na liście katyńskiej rotmistrza Konstantego Antona otrzymała od swego męża list z Turcji i mówią zazdroszcząc mu „szczęśliwy człowiek” (str. 255). Natomiast warszawiacy z taką samą naiwnością wmawiają sobie, iż po wkroczeniu do Łucka władze sowieckie mianowały burmistrzem biskupa Szczęśliwego (str. 465).

Niektóre sylwetki wypadły wspaniale. Prześladowany Wulfka, dla którego, pomimo pomocy Anatola Uszkowa i proboszcza od Wszystkich Świętych, nie ma już znikąd ratunku i pozostaje mu jedynie marzenie aby niepostrzeżenie przedostać się do getta. Bogu ducha winny przewodniczący sielsowietu Drużko, który nie znajduje już dla siebie wyjścia i wiesza się na „niewieliczeńskiej sosence, na skórzanym szewskim pasku” (str. 262). Dobrze też wypadł Konrad, typowe połączenie bohaterskiego łgarstwa z miękkim ukłonem w stosunku do ZSSR. Jakże wielu ma on naśladowców obecnie. Jednak uwagę polskiego czytelnika przykuwa Romuald Ławrynowicz i na pierwszy rzut oka postać ta wydaje się świetna. Jednak po chwili wkradają się pewne wątpliwości: jak to, rezydent polskiego wywiadu w Mińsku przez cały czas rządów sowieckich, który potrafił prześliznąć się przez sita Czeki, GPU, NKWD i NKGB nie zdawał sobie sprawy, iż kiedy odmówi jawnie i otwarcie dalszej współpracy z polskim wywiadem, tym razem działającym na korzyść ZSSR, to ściągnie na siebie wielkie niebezpieczeństwo? Wydaje się, iż człowiek z tego rodzaju doświadczeniem, skoro doszedł do wniosku, iż praca na korzyść ZSSR nie licuje z jego godnością, znalazłby jakieś inne wyjście z sytuacji i nie wygłaszałby oficjalnej deklaracji odmownej. Tym bardziej, iż musiał zdawać sobie z tego sprawę, że wystarczy jedno małe słówko, a już agenci sowieccy w Mińsku będą u jego gardła.

Sporo jest dobrych męskich charakterów, ale za to kobiece są słabe. Najlepiej chyba wypadła sztywna i sucha konspiratorka, właścicielka wypożyczalni książek na ulicy Tatarskiej pani Janina Narkowska. Inne, „kurka domestica” Hala, seksualno-brudna spekulanka Klaudia, nie mogąca się zdecydować Nastazja Ipolitowna Blaser, decydująca się szybko i to we dwie Irka, piękna warszawianka Dorota, która zginęła przywiązana do niemieckiego czołgu, wypadły raczej słabo.

Powieść ma jeszcze jedną wadę, a mianowicie powoływanie się na „pralnię” Zakrzewskiego z „Drogi do nikąd”. Dla czytelnika, który już tamtej powieści nie pamięta, albo jej nigdy nie czytał, pozostaje to zagadką bez wyjaśnienia.

Miejmy nadzieję, że Józef Mackiewicz na tym nie skończy, że pójdzie dalej śladami swych bohaterów. Do Kaługi ze Skowronskim, do lasów tucholskich z Henrykiem, na Ziemię Odzyskaną z repatriantami (tak Polakami jak i Białorusinami), do łagrów z Litwinami, którzy stawiali opór władzy sowieckiej, do Niemiec z DP'sami, „na rodzinę” z deportowanymi przymusowo armiami wyzwolenicznymi. A może pozostanie na miejscu i pokaże opanowywanie Wilna, Mińska i Kowna przez władze sowieckie i tych Polaków i księży katolickich, którym obowiązek nakazywał pozostanie. Zobaczymy.

Z. S. SIEMASZKO

"Dzieje słowa polskiego za granicą"

Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie wydał ostatnio obszerną pracę dr. Stanisława Pazyry pt. *Z dziejów książki polskiej w czasie drugiej wojny światowej*. Rozplanowanie materiału, ilość miejsca poświęcona poszczególnym tematom, braki w indeksie i bibliografii źródeł, od razu nastrojają sceptycznie co do kompetencji, czy dobrych chęci autora. Dalsza lektura nie pozostawi wątpliwości, że mamy do czynienia z jeszcze jedną polityczną interpretacją zagadnienia, a nie z uczciwą próbą przedstawienia prawdziwego stanu rzeczy. Oto kilka przykładów dla ilustracji. Autor ogranicza dzieje książki polskiej do Generalnej Gubernii i obszarów włączonych do Rzeszy, przemilczając tereny zajęte przez Sowiety. Załącza spis pracowników książki polskiej zamordowanych przez Niemców, a opuszcza spis tych, którzy zostali rozstrzelani w Katyniu, lub zginęli w łagrach sowieckich. Siedem rozdziałów poświęca książce polskiej na ziemiach na zachód od Bugu, a tylko jeden rozdział, ostatnich 90 stron blisko 500-stronnicowego dzieła, poświęca książce polskiej na obczyźnie, co najogólniej się wyrażając, napiętnować trzeba jako rażącą dysproporcję.

Dysproporcja ta wzrasta do rozmiarów absurdu, kiedy porównamy teksty podrozdziałów tego ostatniego odcinka książki. Polskie słowo drukowane w Anglii omówiono na pięciu stronach, tyleż miejsca poświęcono Stanom Zjednoczonym. Cztery i pół stronnicy zajęła działalność wydawnicza na Bliskim i Środkowym Wschodzie, niecałe trzy stronnice poświęcono Włochom, czyli trochę więcej niż Francji. Niemcom dano pięć stron, zaś Kanadę zbyto trzynastoma linijkami. Natomiast działalność wydawniczą w ZSSR, której proporcję stosunku do wydawnictw pozostałego obszaru Diaspory porównać można jako ziarno piasku do całej plaży, omówiona i zilustrowana została na 32 stronach!

Pisząc o wydawnictwach kraju, Autor pomija prasę. W rozdziale o działalności wydawniczej na obczyźnie omawia jednak prasę na równi z książkami, wychodząc ze słusznego założenia, że należy mówić raczej ogólnie o słowie drukowanym, nie odróżniając wydawnictw zwartych od periodycznych. Rozszerza też klamry swojego datownika, i zamiast ściśle ograniczyć się do lat 1939-1944, omawia również publikacje z przełomu lat 1945-46.

W latach 1939-1946 Polacy prowadzili działalność wydawniczą w 55-ciu krajach świata. Dr Pazyra zredukował topografię zagadnienia o połowę. Wśród pominiętych przez niego krajów znajdują się: Argentyna, Austria, Belgia, Brazylia, Chile, Hiszpania, Holandia, Japonia, Kolumbia, Kuba, Litwa z Łotwą, Meksyk, Norwegia, Płd. Afryka, Tanganyika, Turcja i Uganda.

Nie ma więc mowy o kacetowych wydawnictwach w Mautausen i Ebensee, przemilczano bogatą prasę czasu wojny w Argentynie i Urugwaju, nawet nie fatygując się zaglądnąć do studium dr. Chojnackiego, ogłoszonego w rocznikach *Problemy Polonii Zagranicznej*. Podziemne wydawnictwa Belgii i Holandii, imponujące publikacje żołnierskie I Dywizji Pancernej i Samodzielnej Brygady Spadochronowej (*Dziennik Żołnierza*, *Spadochron*) uznano za niestniejące. Nie dostrzeżono dramatycznej walki prasy wychodzącej w Brazylii z nacjonalistycznym ustawodawstwem Getulio Vargasa. Zapomniano o studenckich wydawnictwach w Hiszpanii, o biuletynie socjalistów polskich na Kubie, o placówce wydawniczej polskich franciszkanów w Japonii. Brak wzmianki o meksykańskich wydawnictwach, ani słówka o przepojonej tęsknotą za krajem prasie obozowej w Norwegii. Zignorowano też doskonale robiony periodyk *Polska pod dwoma okupacjami*, istniejący przez cały czas wojny, najpierw w Turcji, a potem w Aleppo, w Syrii. Jeszcze bardziej dziwić musi fakt pominięcia prasy polskiej na Litwie i Łotwie, tak wojskowo-jenickiej, jak i cywilnej (*Kurier Wileński*, *Gazeta Codzienna*, *Prawda*).

Sądę jednak, że kraje pominięte w ogólnym obrazie, mniej zostały skrzywdzone, niż kraje, które w tej osobliwej książce „historycznej” omówiono. Weźmy taką Anglię. Wspomniano zaledwie dwa pisma: *Wiadomości Wydawnicze* i *Przegląd Polski*, a to dlatego, że prowadziły bieżącą bibliografię druków. Autor nie zna ani *Wiadomości Polskich*, ani nawet *Nowej Polski* Słonińskiego, nie mówiąc już o paruset pismach żołnierskich, młodzieżowych, religijnych, o wydawnictwach stronnictw politycznych, agencji prasowych, a przede wszystkim o wydawnictwach legalnego, emigracyjnego Rządu Polskiego w Londynie.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z działalnością wydawniczą w Stanach Zjednoczonych. Tutaj nie wymieniono ani jednego periodyku, a jako reprezentacyjną książkę wydaną w czasie wojny, wymieniono *Chłopów* Reymonta, oraz czytankę *Wypisy Polskie*, a także Arkadego Fiedlera *Dywizjon 303*. Kanadę załatwiono ogólnikiem, że „tutaj polska działalność wydawnicza miała charakter informacyjno-propagandowy”, również bez podania ani jednego tytułu prasy, wychodzącej nieprzerwanie od lat w tym kraju.

Pisząc o Persji, Autor podaje, że założony w Buzułuku *Orzeł Biały* otrzymał w Teheranie podtytuł *Polska Jagiellonów*. Wymieniając tytuły prasy na Bliskim i Środkowym Wschodzie nie wspomniano o *Wolnej Polsce*, *W Drodze*, czy o *Junaku*, podano natomiast fikcyjną powielaczówkę *Gotuj Kotwicę* i *Kurerek Codzienny*. W Egipcie nigdy nie było *Parady*, najlepszego żołnierskiego ilustrowanego magazynu na obczyźnie. Prasa w Indiach omówiona została w słowach: „Natomiast w Bombaju wychodziło polityczno-literackie pismo w języku angielskim pt. *Polish News* oraz dwutygodnik *Polak w Indiach*”. Największą krzywdę wyrządzono chyba Niemcom i Francji. We Francji rozwijała się obfita prasa podziemna, zarówno narodowa, jak i komunistyczna. Grupy pol-

skie w Lyonie, Grenoble, oraz Polska YMCA, wydawały z narażeniem życia druki polskie, o których w książce dr. Pazyry głucho. Zaś wśród tych kilku pism które wymienia, brak takich reprezentacyjnych pozycji jak: *Polska Walcząca*, *Wróćmy*, *Razem Młodzi Przyjaciele*, *Gospodarz Polski we Francji*, i *Niepodległość*, aby wymienić kilka z brzegu przykładów.

Co do Niemiec: Stefan Koper zebrał 400 tytułów prasy polskiej w Niemczech za czas 1945-47. Klukowski spisał 200 druków z terenu samej tylko strefy amerykańskiej okupacji. Kowalik ogłosił niekompletną bibliografię druków polskich zwartych z terenu b. Rzeszy, która liczy około 1.000 tytułów. Dr Pazyra załatwia się z tym dorobkiem na 5-ciu stronach rozwodząc się nad efemeryczną działalnością *Zrzeszenia Wydawców i Księgarzy Polskich* w strefie brytyjskiej, i nad organem tej grupy pt. *Biuletyn Informacyjny Spraw Wydawniczych i Kulturalnych*, zbywając paru słowami działalność pozostałych dwu stref okupacyjnych. Dlaczego wyszczególniono skromny biuletyn, a przemilczano takie poważne pisma owego czasu, jak hrabyskowską *Kronikę* we Frankfurcie, ratyboński *Dziennik Polski*, *Pismo Żołnierza*, wydawane przez Białasiewicza pod Norymbergą, *Defiladę* czy *Dziennik Żołnierza i Dywizji Pancerniej*, a więc prasy która się liczy, pozostanie tajemnicą poliszynela. Inny poważny zarzut jaki trzeba postawić, to ten, że Autor nie zauważył istnienia na terenie Niemiec działalności wydawniczej Stalagów i Oflagów, o której pojawiły się tak w kraju (Sadzewicz, Albin, Langowski, Gomółec) jak i na emigracji (Koper, Kowalik, Szemborowicz, etc.) relacje, przyczynki i wspomnienia. Podobnie skandalicznie potraktowane zostały Włochy, gdzie przecież działał największy wydawca czasów wojny: 2 Korpus, gdzie w podziemiu prosperował Tyszkiewicz, gdzie działał Polski Ośrodek Duszpasterstwa na Obczyźnie. Autor wspomina *Bibliotekę „Orła Białego”*, zmieniając jej nazwę na lepiej w jego uszach brzmiącą „Biblioteczka Orła Białego”, wspomina o kilku książkach, głównie drukach Tyszkiewicza, i ignoruje bezceremonialnie całą cenną i bogatą literaturę periodyczną polskiego żołnierza, a więc: *Orła Białego*, *W Imię Boże*, *Gazetę Żołnierza*, *Gońca Karpackiego*, *Ku Wolnej Polsce*, *Na Szlaku Kresowej*, i *Ochotniczkę*, żeby pozostać na kilku przykładach. Cenne wydawnictwa ks. Meysztowicza też nie znajdują uznania. Jedyne ośrodki polskiej Diaspory jako tako obiektywnie i obszerniej omówione, to Węgry i Rumunia.

Rzut oka na warsztat autora, zreflektowany w przypisach, indeksach, bibliografii źródeł, wyjaśnia dostatecznie, dlaczego książka nie mogła być inną niż jest. Źródła, których użył do omówienia dziejów książki w kraju, aczkolwiek stronniczo dobrane, są jednak obfite. Jeśli chodzi o za granicę, stwierdzić trzeba, że Autor nie zna, lub nie wykorzystał podstawowych istniejących publikacji. Człowiek nie chce wierzyć że to możliwe, gdy czyta taką oto uwagę: „Ciekawe dane na pewno zawiera spis wydawnictw książkowych z lat 1939-1951 opracowany przez Janinę Zabielską...”. Autor nie zna także 2-tomowej *Literatury*

Polskiej na Obczyźnie 1940-60, wydanej w Londynie, ani żadnej z tuzina bibliografii Jana Kowalika. Nic nie wie o Danilewiczowej, Haimanie, Giergielewiczu, Folejewskim, Trypućce, Horainie, Błotnickim, Schlesingerze, X. Sojce, Dittmarze i Stępowskim, Moreirze, Jurkszusównie, itd., itd. Nie czytał nawet krajowych autorów jak: Chojnacki, Hahn, Hulewicz, Hleb-Koszańska, czy Sawoniak, nie zna widocznie nawet bibliografii warszawskiej pt. *Polonica Zagraniczne*, od szeregu lat próbującej wśród trudnych warunków zestawień możliwie pełne spisy zagranicznych wydawnictw.

Zadaje sobie mimo woli pytanie, dla kogo została książka ta napisana, bo przecież PIW nie liczy chyba na zamówienia zagranicznych instytucji naukowych, jeśli chodzi o pracę dr. Pazyry. Myślę, że przeliczono się też, licząc że książka ta zostanie strawiona przez krajowego czytelnika. Przecież w kraju żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy w latach 1940-46, w taki czy inny sposób związani byli z działalnością kulturalno-wydawniczą poza Polską, i którzy wiedzą jak sprawa w rzeczywistości wygląda.

Wydawcy nie łudzą się chyba co do tego, jak książka dr. Pazyry przyjęta zostanie przez Polaków poza krajem: jako jeszcze jedna próba sfałszowania roli, jaką uchodźstwo wojenne odegrało w latach 1939-46 poza granicami ojczyzny. Jakoś nie idzie to w parze, ze wzmogoną ostatnio akcją Warszawy, mającą wykazać Polonii, że Ojczyzna jest *wspólnym* dobrem obu stron.

Jan KOWALIK

Jest czym się niepokoić

Krajowi historycy literatury nie zdobyli się dotąd na opracowanie zarysu dziejów piśmiennictwa polskiego podczas II wojny światowej, choć nie brak dobrych znawców tego okresu. Dość wymienić nazwiska Wyki, Bartelskiego, Jastrzębskiego, Dobroszyckiego, Chojnackiego.

Czym wytłumaczyć tę dotkliwą lukę rysującą się coraz wyraźniej? Zrobiono przecież tyle w zakresie studiów nad Oświeceniem, Młodą Polską, czy wreszcie literaturą krajową ostatniego 25-lecia. Tym chyba, że jest to okres szczególnie trudny zarówno ze względu na charakter i rozrzut materiałów jak i drażliwości natury politycznej.

Podbudowa bibliograficzna uległa w ostatnich miesiącach wzmocnieniu, gdy do opracowań Dobroszyckiego (prasa podziemna) dołączył się Wł. Chojnacki ze swym opracowaniem literatury

Uwagi o książce Stanisława Pazyry pt. *Z dziejów książki polskiej w czasie Drugiej Wojny Światowej* (Warszawa, 1970, PIW, str. 452, ilustr.).

podziemnej. Na Emigracji zrobiono więcej. Mam na myśli odpowiednio rozdziały (lub części rozdziałów) „Literatury polskiej na Obczyźnie” pod red. Tymona Terleckiego i opracowania bibliograficzne Tadeusza Sawickiego, Janiny Zabielskiej, Jana Bielatowicza, Stanisława Kościakowskiego, Jakuba Hoffmana, Jana Kowalika i in. Brak dotąd naukowego opracowania bibliograficznego pseudo-polskiej produkcji wydawniczej w Sowietach.

Pisarze krajowi, podejmujący opracowania tego okresu, stają wobec ograniczeń cenzury zastrzegającej z reguły swą czujność, gdy w grę wchodzi wydawnictwa emigracyjne. Z drugiej strony autorzy licznych publikacji sowieckich czują się nie mniej pilnie, by wyczynić ich z czasów wojny nie przypominać.

Rzadko zdarzają się okresy, w których czynniki pozaliterackie dochodzą do głosu w tak wyraźnym nasileniu. Okoliczności rozdzieliły pisarzy. Dość przypomnieć niesłusznie zapomniane żniwo poetyckie II Korpusu albo podziemne debiuty krajowe, w jednym tylko wypadku Baczyńskiego należycie uhonorowane wzorowymi wydawnictwami — a jak żywo przyjmowane przez czytelników! Historyk literatury, powracający do naszej epoki za lat sto, odniesie się zapewne chłodniej do tej produkcji, bądź co bądź „okolicznościowej” i domagającej się stosowania tego typu taryfy ulgowej jaką zastosować wypadło wcześniej do Cypriana Godebskiego, Mieczysława Romanowskiego czy Józefa Mączki. Tym niemniej odnotować trzeba jako zawstydzające przemilczenie ukrywanie dorobku Andrzeja Trzebińskiego czy Tadeusza Gajcego — a na Emigracji — bo i my nie bez winy — np. autentycznej poezji żołnierskiej Bolesława Koberzyńskiego.

Nie łatwo, nawet najwierniejszym sługom PRLu, wracać do lektury a tym bardziej omawiać zawartości *Nowych Widnokręgów* czy zbiorów wierszy typu „Z ziemi gościnnej do Polski” nieśczęsnego Szenwalda.

Inną trudność nastręcza ogrom materiału i trudność dotarcia do często unikatowych egzemplarzy. Jeszcze inną konieczność dobrej znajomości tła działalności wydawniczej i ludzi, którzy nią kierowali. Braki w tej dziedzinie uniemożliwiają przygotowanie obiektywnego zarysu dziejów piśmiennictwa tego jakże ważnego okresu.

Na próbę ogarnięcia całości porwał się ostatnio w Kraju doc. dr Stanisław Pazyra w 452-stronicowym opracowaniu pt. „Z dziejów książki polskiej w czasie II wojny światowej”, wydany przez PIW i jako książka bardzo zła stanowiącym przykre nowum w dorobku tej instytucji. Nie jest to bynajmniej ocena ograniczona do tej strony Żelaznej Kurtyny. Recenzja Lesława Bartelskiego w warszawskiej *Kulturze* z 20 września 1970 świadczy, że nie tylko rozdziały o „Książce polskiej w latach wojny na obczyźnie” ale i łatwiejsze niewątpliwie do opracowania rozdziały o Kraju zostały w haniebny sposób „skopane”. Patronem dotyczących nas rozdziałów mógłby być niezapomniany autor bzdury pt. „Książka szła za emigrantem” — Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Ta sama łatwość uogólnień, skłonność do uproszczeń i pry-

mitywnych wyliczeń zatruwająca całość. Bartelski stwierdził ponad wszelką wątpliwość, iż Pazyra pominął ważne, jeśli nie najważniejsze pozycje literatury podziemnej. Dość powiedzieć, że nazwiska Baczyńskiego, Gajcego, Trzebińskiego nie pojawiają się w książce, a dane o antologiach poetyckich roją się od zasadniczych błędów. Konkluzja Bartelskiego: „Nie wolno zniekształcać historii lat okupacji, podając informacje rojące się od błędów rzeczowych”. Recenzja wywołała napastliwą i nieprzekonywującą odpowiedź redaktora książki z ramienia PIW niejakiego Tomasza Jodełki-Burzeckiego. Ciekawe, jak zareaguje na wykazanie dalszych braków opracowania. Argument, iż 452-stronicowa książka jest przyczynkiem a nie zarysem dziejów, co implikować ma początek tytułu („Z dziejów...”) nie chwyta, bo w grę wchodzi nie tylko niepełność opracowania, ale grubymi nićmi szyte „przeoczenia” i błędy.

Na front opracowania produkcji wydawniczej poza Krajem wysunął Pazyra Sowiety. Pięknie że zaliczył Związek Sowiecki, „ziemię gościnną” do obczyzny. Powinien jednak pójść dalej i w obrębie tamtejszej produkcji wydawniczej wprowadzić różniczenie między a) publikacjami firmowanymi przez urzędowe sowieckie Wydawnictwo Literatury w Językach Obcych (czy wydawnictwo Mniejszości Narodowych USSR) a b) świństwem firmowanym przez Związek Patriotów Polskich w ZSSR i c) właściwymi publikacjami polskimi takimi jak znany Pazyrze, bo cytowany *Orzeł Biały* — *Białej Oriol* (! — tak podaje brzmienie tytułu!). Pismo to, wyliczone jednym tchem z *Nowymi Widnokręgami* „przyczyniło się w znacznej mierze do podniesienia morale i podtrzymania wiary w ostateczne zwycięstwo”.

Wydawnictwa Związku Patriotów Polskich „z natury rzeczy wybijały się w ówczesnych warunkach na pierwszy plan”, przygotowując „podbudowę ideologiczną”. Lekko tylko dotyka Pazyra masowości zjawiska — ilości i wysokości nakładów pseudopolskich wydawnictw sowieckich, rozkazów Stalina itp., którymi zasypywano uchodźców, ową „najliczniejszą bodaj rzeszę Polaków, i to obejmującą wszystkie niemal warstwy społeczne”.

Moment, w którym rozpoczęto działalność wydawniczą określony jest wymijająco i zręcznie: „realne warunki umożliwiające podjęcie planowej akcji zaspokajania palących potrzeb w tej dziedzinie zaistniały dopiero po powstaniu Związku Patriotów Polskich” (tj. w roku 1942). „Szczytowe wyniki” osiągnięto w 1944-45. Przedtem radzono sobie różnie, sięgając m.in. „do książek pozostałych po dawnych zesłańcach polskich z czasów carskich”. Wcześniej pojawiły się pisma — a więc np. w „obozie dla internowanych” w Kozielsku (na „gościnnej ziemi”!) od stycznia 1940 wychodził *Monitor Kozielski* przemianowany następnie na *Monitor X Pawilonu*. „Czasopismo to wykonywane było ręcznie”; ukazało się 17 numerów. „Zmiana stosunków politycznych” (znów piękny eufemizm) sprawiła, że w roku 1941 zaczęło wychodzić więcej czasopism, a więc np. *Żołnierz w polu* (od listopada 1941 r., „wykonywany ręcznie”), gazетка ścienna *W marszu*

oraz inne pisma „jak np. *Dojdziemy* lub *Ochotniczka, Polska, Orzeł Biały* — i *Nowe Widnokreśli*, z dodatkiem dla dzieci pt. *Płomyczek*.

Z nakreślonego przez Pazyrę obrazu nie wyłania się prawda o kompletnym odcieciu zarówno „internowanych” jak i „goszczonych” od możliwości wydawniczych w zakresie prasy codziennej (nie zastąpiły jej i później ręcznie pisane gazetki ścienne), podręczników i lektury szkolnej, — a właściwie wszelkich form komunikacji przy pomocy słowa drukowanego. Ten stan rzeczy, w pełni porównywalny z sytuacją na ziemiach włączonych do Reichu trwał przez czarne dni i noce długich miesięcy poprzedzających świetlany moment utworzenia ZPP. Gdyby Pazyra nie ograniczył się do podziwiania kart tytułowych zręcznie dobranych wydawnictw, ale wczytał się w ich treść, stanąłby oko w oko z najbrutalniejszymi formami propagandy komunistycznej budzącymi do dziś przerażenie.

Czy oznacza to złą wolę autora? Chyba nie. Raczej tę formę ogłupienia, która zdobywa się na usprawiedliwienie każdego ustępstwa a zniekształcenia i ograniczenia materiału uważa za złe konieczne. Pazyra daleki jest np. od pomniejszania roli wydawnictw emigracyjnych z Zachodniej Europy. Na str. 278-ej pisze: „Największa w dziejach Polski emigracja wojenna walczyła przyczyniła się do wyrównania w pewnym przynajmniej stopniu poniesionych strat”. Na str. 280-tej produkcję wydawniczą Emigracji określa nawet jako „pewien ekwiwalent za straty poniesione w Kraju przez okupanta”.

Dobre chęci nie wystarczyły. Nie ulega wątpliwości, iż Pazyra starał się o zdobycie maksimum informacji i dotarcie do egzemplarzy wymienianych przez siebie wydawnictw. Reprodukują nawet karty tytułowe niektórych z nich i nie bez pikanterii odnotować warto fakt iż jedna z nich świadczy, iż miał w ręku egzemplarz, który zginął z biblioteki podręcznej redakcji paryskiej *Kultury*.

Przy bliższej analizie źródeł, na których się oparł, stajemy wobec zagadek nie do rozwiązania. Tak np. na str. 366 reprodukowana jest karta tytułowa „Bibliography of books in Polish or relating to Poland published outside Poland since September 1st 1939” czyli bibliografia emigracyjna w opracowaniu Janiny Zabielskiej z Bibl. Polskiej w Londynie. Na str. 369, gdy Pazyra wraca do tego wydawnictwa, znajdujemy kryptyczne oświadczenie, iż ów „spis wydawnictw książkowych” zawiera „na pewno ciekawe dane”. Ergo: Pazyra nie miał go w ręku, albo ograniczył się do obejrzenia karty tytułowej. Co więcej: wie tylko o istnieniu tomu pierwszego i drugiego tego podstawowego opracowania, którego tom trzeci ukazał się już w roku 1966 i na pewno dotarł do Biblioteki Narodowej i bibliotek uniwersyteckich tudzież IBL.

W latach 1964-65 ukazało się w Londynie dwutomowe dzieło zbiorowe pt. „Literatura polska na Obczyźnie, 1940-60” pod red. Tymona Terleckiego. Obejmuje ono okres II wojny światowej, będący tematem opracowania Pazyry i przynosi m.in. takie opra-

cowania, jak: Jana Kowalika „Bibliografia bibliografii” i „Czasopiśmiennictwo” i Janiny Zabielskiej: „Instytucje i firmy wydawnicze — Oficyny drukarskie”. Podstawowe to opracowanie nasuwa się automatycznie jako punkt wyjścia rozdziału o piśmiennictwie czasu wojny poza Krajem. U Pazyry nie figuruje ono w bibliografii a nazwisko Kowalika nie pojawia się w indeksie; nie jest w książce jego wspomniane.

Dotykamy tu zagadnienia ważniejszego od złej książki Pazyry. Co sądzić o redaktorze książki z ramienia PIW (choć czy istotnie PIW?) Tomasz Jodek-Burzeckim i „tych wszystkich, którzy — jak głosi przedmowa — przyczynili się do powstania książki” doc. dra Stanisława Pazyry? — a więc brali czynny udział w fałszowaniu obrazu dziejów piśmiennictwa polskiego w dramatycznych i jakże brzemienne w następstwa latach II wojny światowej? Metoda naukowa, którą przyswoić sobie powinien każdy „docent dr” wymaga przed przystąpieniem do pisania książki zebrania materiałów i zapoznania się z dziełami o podstawowym znaczeniu. Trudno uwierzyć, by Pazyra i pracownicy PIW nie mieli dostępu do wydawnictw emigracyjnych nawet — idę tu na najdalej idące ustępstwa — jeśli znajdują się one w dziale tzw. „książek zastrzeżonych”. W grę wchodzi stawka największej wagi: sprawa rzetelności piszącego i poziomu firmy wydawniczej, której nazwa figuruje na karcie tytułowej. Autor ze stopniem naukowym popełniając odstępstwa od podstawowych zasad pracy naukowej łamie przysięgę doktorską i krzywdzi osoby i instytucje, których dorobek przemilczał lub ukazał w fałszywym świetle.

W książce Pazyry spotykamy się z wielorakimi formami odstępstwa od prawdy. Wspomniałam o przemilczeniu. Jest i ich odwrotność: na str. 340 w dorobku Księgarni Polskiej w Paryżu obok wydawnictw, które ukazały się po roku 1945 (a więc formalnie nie należą do okresu objętego opracowaniem) wyliczony jest „Słownik biograficzny Polaków w świecie”, który do dziś dnia się nie ukazał. Pazyra oparł się prawdopodobnie na wezwaniu do subskrypcji, które zapowiadało to opracowanie i obietnicę wziąć za fakt dokonany.

W rozdziale 10 o Wielkiej Brytanii Pazyra używa stale określeń „zebrano i opracowano”, „wydano” itp. na określenie wydawnictw ministerstw i urzędów państwowych, których siedzibą był Londyn. Były one inicjatorami ważnych opracowań zbiorowych takich jak np. „Straty kultury polskiej” pod red. Adama Ordegi (prof. Jana Hulewicza) i Tymona Terleckiego, wydane w roku 1945 z inicjatywy Funduszu Kultury Narodowej (nie wspomnianego przez Pazyrę) pod firmą Książnicy Polskiej w Glasgowie. Działalność tej firmy, prowadzonej przez Jadwigę Harasowską, Pazyra sprowadza do przedruków klasyków i Józ. Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”, nie wiedząc najwidoczniej o tym, że była to najczynniejsza placówka księgarska, obsługująca Szkocję, a więc miejsca postoju najważniejszych jednostek wojskowych.

Uwagę Pazyry zdaje się wymykać fakt, iż działalność wydawnicza w Wielkiej Brytanii szła w czterech kierunkach. Pierwszy da się porównać do angielskiego Her Majesty's Stationery Office tj. placówki (w naszym wypadku placówek) rządowych wydających teksty ustaw, białe księgi, wydawnictwa informacyjne i propagandowe. Drugi wiązał się z koniecznością zaopatrzenia Polaków w broń (z lotnictwem i marynarką nasuwającymi dodatkowe problemy) w regulaminy, instrukcje itp. — a także prasę i lekturę rozrywkową. Bardzo ważnym problemem było dostarczanie słowników i podręczników do nauki języka angielskiego i wydawnictw informacyjnych o Wielkiej Brytanii. Pazyra pomija ten aspekt zupełnie — a przecież na odnotowanie zasługiwała na pewno książka zbiorowa pt. „Wielka Brytania” wydana również z inicjatywy Funduszu Kultury Narodowej a firmowana przez PEN-Club Polski oraz olbrzymie nakłady słownika Stanisławskiego, Eckersleya itd. Kierunek trzeci — to produkcja wydawnicza zmierzająca do dostarczenia lektury wojsku i cywilom w zakresie a) klasyków, b) autorów współczesnych przebywających poza Krajem — a także w miarę możliwości krajowych (ukazał się np. bezimienny przedruk „Apelu” J. Andrzejewskiego i „Antologia poezji współczesnej wydana w podziemnej Warszawie” w roku 1942, przedrukowana w Londynie z przedmową Tymona Terleckiego). Kierunek czwarty — to produkcja podręczników szkolnych i zawodowych, związana w pierwszym okresie z Urzędem do Spraw Oświaty i Ministerstwem W.R.i.O.P. w Londynie a rozszerzona na Środkowy Wschód, Indie, Afrykę, Nową Zelandię itp.

Pazyra zdaje sobie sprawę z rozmiarów „ogromnego polskiego dorobku wydawniczego w Wielkiej Brytanii”. Myli się jednak, gdy do wydawców polskich (?) włącza stare szkockie firmy wydawnicze określone nazwami „Nelson Thomas et Sons LTD” (sic!) i „Oliveret Boyd LTD” (sic!), co oznaczać ma: „Thomas Nelson and Sons Ltd.” i „Oliver and Boyd Ltd.”. Występują one w osobliwej mieszance firm o przekręconych nazwach (np. „Coldra House”). W zestawach tych pojawia się niepokojąco często nazwisko Stefana Dippla, wymienionego w żarysie 19 razy (indeks — str. 418), podczas gdy nie znalazła się w książce ani jedna wzmianka o rzeczywiste czynnych i zasłużonych działaczach takich jak Mieczysław Grydzewski, Jadwiga Harasowska, Jan Hulewicz, Tymon Terlecki, Irena Wiczorkowa, których inicjatywie i działalności zawdzięczamy najważniejsze wydawnictwa z okresu wojny. Pazyra twierdzi, iż dorobek z terenu W. Brytanii „został upamiętniony w pracy Alfonsa Wolanina pt. „Polonica in English” opublikowanej w Chicago w roku 1950. Pewnym uzupełnieniem tego obrazu jest opracowana przez W.W. „Bibliografia harcerska”, wydana w roku 1943 w Londynie”. Bzdura na bzdurze. Wolanin jest autorem opracowania bibliograficznego pt. „Polonica Americana” (1950), i „Polonica in English” (1945), będącego katalogiem biblioteki Muzeum Zjedn. Rz.-Kat. w: Chicago. 12-stronicowa „Bibliografia harcerska” z roku 1943 jest przyczynkiem o małym

zasięgu, jednym z dziesiątków podobnych opracowań specjalnych, których wyliczenie wypełnia cały rozdział wspomniany wyżej „Literatury polskiej na Obczyźnie”, t. II, str. 645-680 — w oprac. Jana Kowalika. Jest to tym dziwniejsze, iż autor na str. 370-1 daje faksymilia dwu stron „Rocznika Bibliograficznego” Tadeusza Sawickiego, który był bibliografem Nr 1 okresu wojennego w Wielkiej Brytanii.

Pazyra wyeliminował z produkcji wydawniczej W. Brytanii czasopisma, z takim olśniewającym rezultatem, że znikły w jego opracowaniu takie tytuły, jak *Polska Walcząca*, *Skrzydła*, *Wiadomości Polskie*, *Nowa Polska*, *Poradnik Światłocowy*, cała prasa codzienna (*Dziennik Polski*, *Dziennik Żołnierza*), wszystkie pisma polityczne (np. *Robotnik Polski*, *Jutro Polski*, *Myśl Polska* itd.), pisma w języku angielskim — od *Polish Science and Learning* do *Polish Fortnightly Review*, które to pismo Kowalik określa jako „wzór biuletynów prasowych”.

Pod adresem Pazyry i firmującego jego elaborat wydawnictwa skierować można ciężki zarzut zniekształcania i pomniejszania polskiego dorobku na Obczyźnie, dotyczący w pierwszym rzędzie wydawnictw związanych z Polskimi Siłami Zbrojnymi a następnie pisarzy polskich, których utwory ukazały się poza Krajem w czarnych latach wojennych, a więc np. Antoniego Słonimskiego, którego nazwisko wymienione jest tylko jeden raz w związku z przedrukiem jego wierszy w tomiku pt. „Poezja polska, 1939-1944”, wydanym w Sowietach przez Związek Patriotów Polskich. Wzmianki o Wierzyńskim ograniczone są do nicejskiego wydania „Barbakanu warszawskiego” (w rozdziale pt. „Włochy”) i wymienienia nazwiska wśród klasyków literatury polskiej wydawanych w W. Brytanii (... „M. Karłowicz, L. Rydel oraz K. Wierzyński, J. Lechoń itd.”). W cytacie tej kryje się także jedyna wzmianka o Lechońiu. Uszedł także uwagi Pazyry tryumf Balińskiego z czasów wojny, gdy tomiki jego „Wielka podróż”, „Rzecz sumienia”, „Tamten brzeg nocy” i „Trzy poematy o Warszawie” cieszyły się popularnością do dziś nieprześcignioną przez żadnego poetę emigracyjnego. Popularność imponującą i na pewno zasługującą na wzmiankę osiągnął „Alarm” Słonimskiego, przedrukowany sześciokrotnie w r. 1940 i 1941 przez firmę Kolin, której właścicielami byli Kohn i Lindenfeld (nie Lilienfeld, jak podaje Pazyra). O Marii Pawlikowskiej — ani słowa. Podobnie jak o Łobodzowskim.

Z odległości Londynu trudno osądzić, kto zawinił najbardziej i kogo obarczać odpowiedzialnością za tę żalosną książkę. Zawiniła niewątpliwie i redakcja wydawnictwa i autor. Czy kierowały nimi wyraźne zalecenia cenzury czy po prostu służalcza autocenzura wyprzedzająca krytyczne uwagi władz? Pazyra kończy książkę zdaniem: „Niezmierzające pożyteczne bytoby, gdyby ktoś z naszych wielkich bibliotek czy kilka z nich wspólnie podjęło ogromny trud zebrania całości tego dorobku wydawniczego. Stworzenie takiego możliwie kompletnego księgozbioru nie tylko

miałoby charakter niejako zabytkowy, ale mogłoby też posłużyć jako baza dla podjęcia odpowiednich badań".

Z niezdarnego tego sformułowania wynika jasno, że Pazyra — w ostatnim słowie — szuka usprawiedliwienia niedociągnięcia opracowania. Jodełka-Burzecki w odpowiedzi Bartelskiemu na łamach warszawskiej *Kultury* (6. X.) chroni się murem tytułu: „Z dziejów” a nie „Dzieje”. Zwolennicy „programów minimalnych” cieszą się faktem, że wspomniane zostało w wyliczeniu autorów antologii nazwisko tego czy innego źle widzianego poety. Idąc w tym tempie nie dojdziemy nigdy do prawdy, której należy się domagać głośno i wszędzie: na zebraniach Związku Literatów, na posiedzeniach zespołów redakcyjnych, przy stolikach kawiarnianych. Czas najwyższy, by wydobyć się ze stanu umysłu, którego cechą główną i zasadniczą jest pobłażliwa aprobata „błędów i wypaczeń” *obecnego* a nie „minionego” okresu.

Maria DANILEWICZOWA

1. XI. 70

„Skończcie jak najszybciej Polaków”

Profesor Józef Dutkiewicz jest niezaprzeczoną autorytetem historii dyplomatycznej powstania listopadowego. Po wcześniejszych pracach dotyczących stanowiska Austrii i Francji opracował obecnie politykę Anglii¹. Należy dodać, iż temat ten już wcześniej dość szczegółowo opisał historyk emigracyjny Jan Betley².

W pierwszym rozdziale mamy omówienie sytuacji dyplomatycznej na jesieni 1830 roku, charakteryzującej się napięciem wywołanym rewolucją lipcową we Francji, powstaniem belgijskim oraz poważną groźbą wojny europejskiej, spowodowaną rosyjską mobilizacją ogłoszoną 6 listopada i ruchami korpusów carskich, które złowrogo zbliżały się do granic zachodnich. Prasa francuska i angielska, komentując nadchodzącą wojnę, zaczęły mówić o odbudowaniu Polski jako koniecznego przedmurza przeciw Rosji. Wybuch warszawski zmienił od razu sytuację. Rosjanie i Austriacy stali się grzeczni i uprzejmi. Talleyrand, wtedy ambasador francuski w Londynie, uważał, iż „polskie powstanie odjęło kró-

lowi Holandii wszelkie nadzieje na czynną pomoc cara”. Prusy postanowiły wzmocnić garnizony na Pomorzu i w Wielkim Księstwie Poznańskim z ujmą sił w fortcach nadreńskich. Dla Rosji, jak stwierdzał ambasador angielski w Petersburgu, „walka z polskim powstaniem staje się sprawą najdonioślejszą”. Toteż pierwszym rezultatem nowej sytuacji było podpisanie 20 grudnia protokołu, który otwierał Belgom drogę do pełnej niepodległości. Ale jednocześnie zarysowywała się już i polityka głównych mocarstw względem Polski. Francuski minister spraw zagranicznych, podobnie zresztą jak i Austriacy, zastanawiał się co zrobi Rosja po stłumieniu powstania, a Palmerston zgadzał się, iż Dybicz musi „energicznie” zgnieść Polaków. Jedyną Talleyrand, jakby nawiązując do tradycji napoleońskich, dostrzegał potrzebę istnienia polskiej monarchii jako bariery europejskiej, tłumaczył Austriakom, iż Polska w granicach przedrozbiorowych będzie dla nich najlepszym sąsiadem. Daremnie. Metternich określił sprawę polską jako „najniebezpieczniejszą” dla monarchii habsburskiej. Z oburzeniem odrzucał wszelkie rady zachowania neutralności w walce polsko-rosyjskiej. Ostrzegał Anglików, jakby ci tego nie wiedzieli, iż niepodległa Polska to wzmocnienie Francji. Rosjanie ze swej strony uprzedzali mocarstwa zachodnie, że Polska ich nic nie obchodzi i że walka z Polakami i Litwinami jest wewnętrzną sprawą rosyjską.

Pierwszym polskim dyplomatą nad Tamiżą był Leon Sapieha. Pod koniec grudnia został przyjęty przez premiera Greya, który wręcz mu oświadczył, iż interes angielski wymaga, wobec sprawy belgijskiej, oparcia się o Rosję przeciwko Francji. Ambasador rosyjski donosił w tym czasie z Londynu o szczerych życzeniach gabinetu angielskiego by jak najszybciej doszło do zgniecenia Polaków (str. 31). Identyczne wyjaśnienia otrzymał od lorda Palmerstona, ministra spraw zagranicznych, i drugi polski wysłannik, Aleksander Wielopolski. Wszystkie argumenty wskazujące na potrzebę osłabienia świętego przymierza i przywrócenia równowagi europejskiej przez odbudowanie polskiej niepodległości spotykały się z oświadczeniem o konieczności, w obliczu francuskiego niebezpieczeństwa, silnej Rosji. A czy polska rewolucja, zapytywał Palmerston, nie wynika z poduszczenia Francji? Toteż gdy doszła Londyn wiadomość, iż ambasador francuski w Konstantynopolu zachęca Turcję do czynnego poparcia Polaków nastąpiły natychmiast ostre protesty w Paryżu. Rząd angielski rozszedł się wyraźnie w swej polityce polskiej z własną opinią publiczną, która była wyraźnie propolską i oczekiwała interwencji w obronie powstania.

Nie lepiej powiodło się i trzeciemu polskiemu dyplomacie Aleksandrowi Walewskiemu. I on usłyszał od Greya wyjaśnienie, iż Anglia nie widzi korzystnych perspektyw dla polskiej niepodległości. Gdy więc w czerwcu 1831 r. Francuzi zaproponowali oficjalnie Anglikom wspólną interwencję w Petersburgu w sprawie polskiej, ci, jakby na urągawisko, odparli, iż zgodzą się chętnie na nią gdy obie zainteresowane strony o to poproszą. Rząd fran-

1. Józef Dutkiewicz: *Anglia a sprawa polska w latach 1830-1831*, Łódź 1967, 88 str.

2. J. A. Betley: *Belgium and Poland in International Relations 1830-1831*, Haga 1960. Vide recenzja w *Kulturze* z listopada 1961 r.

cuski ponowił swą propozycję w drugiej połowie lipca. Została bezwzględnie odrzucona. Anglicy otrzymali za to wyrazy „żywego zadowolenia cara” (str. 69). Pod koniec sierpnia Paryż po raz trzeci zaproponował Londynowi wspólną akcję. Grey i Palmerston nie tylko że odmówili ale zaczęli nalegać na Rosjan by ci jak najszybciej „skończyli Polaków”. Jednocześnie premier brytyjski oświadczył sędziwemu Julianowi Niemcewiczowi, czwartemu już przedstawicielowi Polski walczącej nad Tamizą, iż Anglia nie Polakom pomóc nie zamierza. Gdy padła Warszawa, ambasador angielski pośpieszył złożyć Nesselrodowi gratulacje zwycięstwa. Za całkiem naturalne przyjął wiadomości o licznych konfiskatach. Księżna Lieven, żona ambasadora rosyjskiego stwierdziła z zadowoleniem: „Anglia jest rosyjska” (str. 83). W tym samym czasie książę Adam Czartoryski pisał z Lipska do Niemcewicza: „Sprawa nasza nie jest skończoną... Nigdy przyszłość nie jest zamkniętą dla narodu... [trzeba] mówić o prawach narodowych Litwy i Rusi”.

Na zakończenie, analizując całość badanego okresu, autor podkreśla, iż książę Adam Czartoryski w grudniu 1830 więcej liczył na Anglię niż Francję. Spędzając okres drugiej niepodległości (Księstwa Warszawskiego) w służbie rosyjskiej nie rozumiał zasadniczej wrogości angielskiej wobec Francji. Stąd błędnie ocenił stanowisko Londynu wobec Rosji, łudził się, iż temu ostatniemu zależy na osłabieniu pozycji rosyjskiej w Europie. Ale, jak słusznie kończy swą pracę autor, „szanse powstania rozstrzygały się na polach bitew, a nie w pokojach dyplomatów”.

Na końcu podano streszczenie angielskie, pod błędnym tytułem i pełne żenujących błędów stylistycznych.

Książka jest wydana niechlujnie, poniżej wszelkiego minimum wymaganego dla prac naukowych, bez indeksu i bibliografii. Stąd szereg niejasności i utrudnień, w których zgubił się sam autor. By podać jeden z długiego szeregu przykładów: Dutkiewicz powołuje się na autora, którego ani przedtem ani potem nie cytuję; przypisek 22 na stronie 15 powinien podać pracę Hoffmana pod pełnym tytułem³. Autor recenzji musiał kilkakrotnie zajrzeć do innych prac, by zorientować się w źródłach, cytowanych książkach i wzmiankowanych osobach.

Wielką zaletą pracy jest uwzględnienie korespondencji rosyjskiej ambasady w Londynie, którą możność przejrzenia miał autor w archiwum moskiewskim. Ciśnienie jest pytanie dlaczego nie przejrzał korespondencji z innych placówek.

We wstępie, przy omawianiu najważniejszych pozycji dotyczących badanego zagadnienia, pominięte zostały następujące pozycje: M. Kukiel: *La révolution de 1830 et la Pologne*⁴, oraz szereg rozpraw J. Rappoport⁵.

3. Chodzi tu o pracę: Hoffman K.: *Preussen und die Julimonarchie 1830-34*, Berlin 1936. Identyczne uwagi dotyczą innych prac: Neumanna, Gleasona, Le Strange.

4. *Revue internationale d'histoire politique et constitutionnelle*, 1955.

5. *Le Monde Slave*, 1931-37.

Praca ta niewiele przynosi nowego, ani co do stanowiska Anglii ani do zachowania się innych mocarstw. Ciekawe i nowe są szczegóły zaczerpnięte z archiwum moskiewskiego. Ale tych jakoś niewiele. Książka ta wyszła drukiem w roku 1967, ale już w lutym 1966 była przedstawiona na posiedzeniu Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Nikt w kraju, na emigracji poza generałem Marianem Kukielem, nie byłby lepiej przygotowany do napisania pełnej historii dyplomatycznej powstania listopadowego, włączając w to stanowisko Prus, Szwecji, Turcji i Watykanu. Czy wolno się spodziewać, iż Józef Dutkiewicz podejmie się tego, pilnego dla historiografii polskiej, zadania?

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Błaganie o korektę

Czytam rosyjskie zbiorowe wydania pisarzy źle widzianych w Związku Sowieckim: z satysfakcją, z ciągłym tym samym i rosnącym zachwytem, z wdzięcznością dla redaktorów i znakomitych specjalistów jak G. P. Struve i B. A. Filippow. Dochodzę do cennych, niezwykle pracowitych bibliografii — i cierpnę. Wygląda to tak, jak gdyby nieznane było pojęcie korekty. Ilekroć zjawi się odsyłacz do polskich przekładów czy innych publikacji — tyle razy rojowisko najbardziej nieprawdopodobnych błędów. Rzadko znajdujemy trzy kolejne wyrazy bez błędu, a nierzadko po kilka błędów w jednym słowie.

Zacytuję przykłady z trzech wydań:

(A.) Anna Achmatowa „Soczinienija” t. II, Inter-Language Literary Associates, 1968.

(M.) Osip Mandelsztam „Sobranije soczinienij” t. III, to samo wydawnictwo, 1969.

(P.) Boris Pasternak „Stichi 1936-1959”, The University of Michigan Press, 1961.

W tym miejscu uklon i prośba pod adresem zecera i korektora *Kultury*: bardzo proszę o staranne zreprodukowanie przytoczonych tu cytatów wraz z błędami. Przepraszam za kłopot i rozumiem, jak trudno nie „poprawiać” tych błędów w druku, choćby odruchowo i nieumyślnie. Dziękuję.

Oto garstka wymownych przykładów. „Przeł. Józef Łobodowski” (A. str. 483). „Roza (czyżby proza?) Anny Achmatowej” (A. 590). „Stucki Arnold” zamiast „Stucki” (A. 592). „Miód złotysty gęsty z butelki” (M. 453). „Wiersi. Przeł. Jarosław Marek Rymkiewicz. Współczesność”; „poeci”; „Odrodzenie”; „Twórczść” (M. 454). „Piecdziesiąt lat” (M. 528). Czasem aż trudno się domyślić, co to miało być: „Kozmianek-Sascianek” (M. 540). „Doktor Żiwago. Przełożył Paweł Hostowiec. Wiersze w przekładzie Józefa Łobodowskiego. Paryż, Instytut Literacki” (P. 293). To tylko drobna cząstka tych drukarskich potworków.

Nie wynika to wcale z braku polskich czcionek, ponieważ wszystkie one są używane, tylko nie tam gdzie trzeba. Takie litery jak np. l-l, z-z, z-z są mieszane z całkowitą obojętnością. Znaki diakrytyczne nad ó albo ś często znikają tylko po to, aby pojawić się w tym samym słowie w sposób całkiem

zwariowany, np. „Badań” zmienia się w „Badán” (M. 540), „poetów” w „poetów” (M. 454). Inne znów wyrazy pisane są z konsekwentnym uporem nie tak jak po polsku, np. z reguły „institut” zamiast „instytut”.

Zresztą dotyczy to nie tylko języka polskiego.

Np. w bibliografii niemieckiej „umlauty” oddawane są nagminnie przez ae, oe, ue (np. A. 480), choć w innych miejscach widać, że czcionek ä, ö, ü wcale nie brakowało. Jeszcze garstka przykładów wybranych na chybił-trafił: po niemiecku „Sowiet” zamiast „Sowjet” (M. 524). Po czesku (?) „Tixo plyvet Tixij Don” (A. 482), „V sedivych, vsednich chodivam šatech” zamiast „V šedivych, všedních chodivám” (A. 589). I to samo nawet w transkrybowanych wyrazach... rosyjskich: „Sobranie socinenij” zamiast „sočinenij” (A. 588), „Vobrosy” zamiast „Voprosy” (A. 592).

Co tu jeszcze dodać? Chyba tylko prośbę, aby redaktorzy i wydawcy przypomnieli sobie o istnieniu korekty i nie obniżali przez takie błahostki wartości swoich znakomitych wydań.

Jerzy SZPERAK

Nadesłane nowości wydawnicze

SAKOWSKI (Juliusz). *Dawne i nowe lata*. Str. 375 i 1 nłb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż, 1970).

Ziemie zachodnie w polskiej literaturze socjologicznej. Wybór tekstów Andrzej Kwilecki. Str. 468. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1970).

LUBAC (de Henri, S. J.). *Na drogach bożych*. Str. 271 i 1 nłb. Przeł. z francuskiego Anna Turwiczowa. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1970).

PIEPER (Josef). *Śmierć i nieśmiertelność*. Str. 131 i 3 nłb. Przełożyła z niemieckiego Anna Morawska. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1970).

MICKIEWICZ (Adam). *Les sonnets de Crimée*. Str. 105 i 5 nłb. Collection: Classiques Slaves. Opracowanie i przekład Edmond Marek. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, Lausanne, 1969).

Jewish Population Studies. Str. 174 i 2 nłb. Pod redakcją U. O. Schmelz i P. Glikson. (Wyd. The Hebrew University of Jerusalem, Institute of Contemporary Jewry oraz Institute of Jewish Affairs, Jerusalem-London, 1970).

WEINTRAUB (Wiktor). *Niewypatrzone pamiętniki*. Str. 15 i 1 nłb. (Odbitka z „Tematów”, Nr 31-32 — Jesień-Zima 1969).

WEINTRAUB (Wiktor). *Czesław Miłosz. The History of Polish Literature*. (Nadbitka z „The Slavic and East European Journal”, Volume XIV, Number 2, Summer 1970, str. 218-224).

KLIMESZ (Henryk). *Poland's Trade Through The Black Sea In The Eighteenth Century*. Str. 28. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. XV, No. 2, Spring, 1970, pp. 55-80, New York).

Kalendar Almanach „Mitla” na 1971 rok. Str. 128. (Wyd. Julij Serebiak, Buenos Aires, 1970).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-11-70

Radomskie Zakłady Metalowe im. Gen. Waltera wypuściły na rynek pierwsze krajowe maszyny do pisania „Łucznik”, produkowane na licencji szwedzkiej. ■ Z okazji 25-lecia Stowarzyszenia PAX przyznano nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka Janowi Dobraczyńskiemu, Ernestowi Bryllowi, ks. prof. Mieczysławowi Żywiecowskiemu i prof. dr. Alfonsowi Klafkowskemu. ■ Zmarł w Warszawie Stanisław Janczewski, w wieku lat 83. Był on wybitnym cywilistą, autorem szeregu książek z dziedziny prawa handlowego i działaczem społecznym. ■ PZPR liczy obecnie 2296 tys. członków i kandydatów (stanowią oni 9 % ogólnej liczby). Największą procentowo grupę stanowią wśród członków PZPR pracownicy umysłowi. ■ W Krakowie zmarł, w wieku lat 84, światowej sławy botanik, prof. Władysław Szafer. Był on autorem około 700 publikacji naukowych. ■ Zmarł w Warszawie Zygmunt Padowicz, prezes Głównego Urzędu Statystycznego w latach 1949-65. Padowicz pracował w GUS nieprzerwanie od 1922 roku. ■ Ostatni spis czerwcowy wykazał, że pogłowie bydła zmniejszyło się w ciągu roku o 210 tys., a trzody — o 900 tys. sztuk. Dostawy zwierząt rzeźnych są więc o ponad milion sztuk mniejsze. ■ Na polskich uczelniach kształci się ok. 3.000 studentów zagranicznych. Najwięcej z krajów socjalistycznych i rozwijających się. Studiują przeważnie na uczelniach technicznych, a także matematykę i fizykę uniwersytecką. ■ Poziom zatrudnienia w rolnictwie w 1975 r. będzie taki sam jak obecnie. Migracja ludności wiejskiej zmalała do 0,7 % rocznie, podczas gdy w krajach rozwiniętych wynosi 2-4 %. Pełne przejęcie nadwyżek siły roboczej ze wsi jest niemożliwe ze względu na kryzys gospodarczy w Polsce. ■ W wywiadzie dla tygodnika *Ogoniok* min. spraw wewnętrznych ZSSR, N. Szczelokow, powiedział, że „dla struktury przestępczości w ZSSR charakterystyczne jest rozprzestrzenianie się przestępstw gospodarczych”. Łącznie z chuliganstwem stanowią one przytłaczającą część wszystkich przestępstw. Minister zwrócił uwagę na wysoką liczbę tzw. przestępstw obyczajowych, które są przejawem „braku wrażliwości, niskiego poziomu świadomości i kultury”. Podłożem 70 % przestępstw jest pijaństwo. ■ W Rzeszowie, na wojewódzkiej konferencji stowarzyszeń technicznych, Wł. Kruczek oświadczył m.in., że wartość majątku całego województwa wynosi ok. 40 mld złotych. Efektywność jednak jest pod znakiem zapytania. Np. ujawniono, że około 1.700 maszyn stoi bezczynnie w zakładach pracy. Nie ma przy tym konkretnych planów ich wykorzystania. ■ W Warszawie odbyła się uroczystość otwarcia nowego gmachu ambasady kanadyjskiej. Na otwarcie przybył kanadyjski minister Drury, który w latach 1945-1947 był dyrektorem UNRRA w Polsce. Towarzyszyli mu jego dyrektor gabinetu Jerzy Szablowski, syn znanego adwokata warszawskiego, dr Stanley Hajdasz, poseł do Izby Gmin i rzecznik Polonii Kanadyjskiej, Ted A. Glista prezes zarządu głównego Związku Polaków w Kanadzie, działacz partii liberalnej, B. Heydenkorn — redaktor *Związkowca* oraz Józef Hebda, były lotnik z Hamiltonu.

17-11-70

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 63, gen. dyw. Wiktor Ziemliński, b. Kwatermistrz Wojska Polskiego, ostatnio doradca Ministra Obrony Narodowej do spraw gospodarczych. Brał on udział w kampanii wrześniowej 1939 jako oficer 14-go Pułku Ułanów.

18-11-70

Sprawy nieudanego porwania samolotu pasażerskiego PLL LOT w dniu 4. 9. 70 r. zostali skazani przez Sąd Wojewódzki w Szczecinie: Adam Ostrowski i Włodzimierz Kazuła na 6 lat, a Mieczysław Bieniaś na 1 rok więzienia.

21-11-70

W Wilnie została otwarta wystawa polskiej grafiki i plakatu ciesząca się dużym powodzeniem.

25-11-70

W czasie obrad grupy polsko-francuskiej do spraw wymiany stażystów i specjalistów obu krajów ustalono, że w roku 1971 wyjedzie do Francji na indywidualne i grupowe staże stu polskich specjalistów. Staże trwają przeciętnie trzy-cztery miesiące. ■ W Lublinie rozpoczął się I Ogólnopolski Festiwal Młodych Skrzypków. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku lat 75, aktor dramatyczny Stanisław Jaworski.

26-11-70

Premier Francji Chaban-Delmas odwiedził Polskę. ■ Awizują nam z kraju, że Ambasada francuska w Warszawie skreśliła z listy osób normalnie zapraszanych do ambasady wszystkich pisarzy i artystów źle widzianych przez reżym. Tak samo — podobno — ambasador wewnętrznym okólnikiem zabronił zatrudniać w ambasadzie i podległych jej instytucjach członków rodzin osób „skompromitowanych” politycznie. ■ W czasie ostatnich rokowań polsko-niemieckich w Warszawie agenci kontrwywiadu niemieckiego wykryli w lokalu delegacji niemieckiej 8 aparatów podsłuchowych. Min. Seheel nie chciał składać protestów i polecił, by towarzyszący mu dyplomaci porozumiewali się między sobą jedynie na piśmie.

28-11-70

Prof. dr Czesław Zgorzelski obchodzi jubileusz 40-lecia pracy naukowej i 20-lecia pracy na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Prof. Zgorzelski jest wychowankiem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

1-12-70

Zmarł wybitny pisarz czeski Jan Drda, czołowy przedstawiciel realizmu socjalistycznego w literaturze. Będąc prezesem Związku Pisarzy przyłączył się jednak do ruchu odnowy w roku 1968 i występował energicznie przeciwko okupacji sowieckiej. ■ Sąd Wojewódzki w Katowicach skazał 21-letniego Andrzeja Nowręła na 3 lata więzienia za przygotowywanie planu porwania polskiego samolotu do Szwecji. ■ W Pradze rozpoczęło się sympozjum, którego tematem jest dywersja ideologiczna burżuazyjnych środków masowego przekazu przeciwko krajom socjalistycznym. Na zaproszenie centrali związku dziennikarzy czechosłowackich w sympozjum tym biorą udział delegacje związków dziennikarzy z Bułgarii, NRD, Węgier i ZSSR, a także 3-osobowa delegacja z Polski z dyrektorem ośrodka badań stosunków Wschód-Zachód — „dr” J. Koleczyńskim.

2-12-70

W Berlinie Wschodnim rozpoczęła się konferencja państw Paktu Warszawskiego, poświęcona problemowi niemieckiemu. Na czele delegacji sowieckiej stoją: Breżniew, Kosygin i Gromyko. Z ramienia PRL biorą udział: Gomułka, Cyrankiewicz, Jędrzejowski i Kłiszko. Jest to druga konferencja na ten temat. Pierwsza miała miejsce w Moskwie 20. 8. 70. ■ Prof. Wiktor Silin, sekretarz komitetu partyjnego w moskiewskim Instytucie Liebiegowa, zapowiedział w wywiadzie udzielonym *Prawdzie*, że nastąpi „wzmocnienie wychowawczej pracy ideologicznej” w tej ważnej placówce Akademii Nauk. „Każdy uczonek sowiecki” — oświadczył Silin — „musi być uodporniony na zarazki antykomunizmu i rewizjonizmu”. W Instytucie Liebiegowa pracuje m.in. prof. A. Sacharow oraz prof. Igor Tamm. ■ Znana aktorka Mieczysława Cwiklińska obchodziła jubileusz 70-ciu lat pracy scenicznej, występując

w swym rodzinnym mieście Lublinie w sztuce „Drzewa umierają stojąc”. Cwiklińska występuje w tej sztuce już ponad 1.200 razy.

4-12-70

Dr Petrys, adiunkt Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, został aresztowany przez policję austriacką pod zarzutem przestępstw dewizowych. Jest on autorem 16-tu prac naukowych z dziedziny chemii. ■ W wydawnictwie „Dniro” w Kijowie ukazała się książka R. Liskowackiego: „Dzień siódmy i znów pierwszy”. Również w Kijowie ukazały się w języku ukraińskim dzieła Wandy Wasilewskiej w ośmiu tomach. W Bułgarii wydano wybór artykułów Gomułki w dwóch tomach. Ponadto wydano w Sofii w języku rosyjskim J. Szczepańskiego „Socjologia a społeczeństwo”, a w Moskwie antologię polskiej noweli w wydawnictwie „Progress”. Antologia zawiera opowiadania pisarzy: W. Beńko, E. Bryll, A. Brycht, L. Wantuła, B. Wojdowski, A. Gierłowski, E. Głuchowski, St. Grochowski, Irena Dowgielewicz, E. Kabac, R. Kapuściński, M. Kotowska, J. Krasieński, J. Krasicki, Cz. Kuriata, J. Lenart, Magda Leja, A. Lisowska, T. Łubieński, T. Mikołajek, A. Minkowski, B. Madej, T. Nowak, M. Nowakowski, K. Orłoś, M. Pilot, A. Strońska, Wł. Terlecki, Z. Umiński, R. Samel.

5-12-70

Tadeusz Różewicz otrzymał tegoroczną nagrodę miesięcznika *Odra*. Jury wyróżniło tom wierszy „Reggio”, utwór dramatyczny pt. „Teatr niekonsekwencji”, a z dziedziny prozy „Śmierć w starych dekoracjach”. ■ W Lublinie powołano studencki oddział ORMU, który będzie utrzymywać ład i porządek na terenie miasteczka uniwersyteckiego. Ormowcy będą prowadzić także szeroko zakrojoną akcję profilaktyczno-informacyjną wśród młodzieży studenckiej w zakresie dyscypliny obywatelsko-prawnej. ■ Polscy specjaliści pracują obecnie w 31 krajach czterech kontynentów. Najliczniejsze grupy Polaków pracują w krajach afrykańskich. Np. w Algierii — 33-ch, w Ghanie — 29-ciu, w Kongo - Kinzasa — 26-ciu, w Maroku — 62-ch, w Nigerii — 93-ch, w Tunezji — 42 osoby. W strukturze zawodowej wyróżniają się następujące grupy: inżynierowie, wykładowcy, lekarze, ekonomiści, architekci, inżynierowie rolnicy, a także oficerowie marynarki handlowej, oraz spora grupa geologów. ■ W Warszawie odbyła się sesja naukowa zorganizowana przez Instytut Badań Literackich PAN, poświęcona twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza. Referaty wygłosili m.in. Jan Błoński, Michał Głowiński, Krzysztof Pomian, Konstanty Puzyna oraz prof. Daniel Gerould ze Stanów Zjednoczonych.

6-12-70

W Moskwie — na placu Puszkina — odbyła się milcząca manifestacja w rocznicę uchwalenia Konstytucji sowieckiej. Około setki osób z odkrytymi głowami zachowało minutę milczenia. Konstytucja sowiecka uchwalona w 1936 roku gwarantuje m.in. prawa obywatela, wolność prasy i wolność wypowiedzi. Te milczące manifestacje są regułą od 1965 r., w którym Daniel i Siniawski zostali skazani za „zniesławienie ojczyzny”. Policja po 15 minutach rozproszyła manifestantów.

7-12-70

Agencja Tass ogłasza, że XXIV Kongres sowieckiej partii komunistycznej jest zwołany na 30 marca 1971. ■ Władze sowieckie osadziły żonę Aleksandra Sołżenicyna, Natalię Reszetowską, w zakładzie dla umysłowo chorych pod pretekstem, że tego wymaga jej stan zdrowia. Wiadomość tę podał C. Costantini w rzymskim *Messagero*. ■ Według informacji z Warszawy J. Winiewicz, wiceminister Spraw Zagranicznych PRL ma być pierwszym

ambasorem PRL w Bonn, a na jego miejsce ma przyjsć Bohdan Lewandowski b. ambasador PRL w Waszyngtonie.

9-12-70

Odkryto się w Warszawie pierwsze plenarne posiedzenie „Komitetu do Badań nad Współczesnym Imperializmem i jego Ideologią przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk”. Na posiedzeniu omówiono aktualny stan badań nad imperializmem i potrzebę w tej dziedzinie, a także cele i zadania Komitetu w najbliższych latach. Przewodniczącym Komitetu jest prof. A. Łopatka, zastępcami prof. W. Markiewicz i „dr” J. Kozłowski, sekretarzem dr K. Ostrowski. W skład prezydium wchodzi ponadto dr R. Frelek, doc. J. Gołębowski, doc. T. M. Jaroszewski, prof. K. Secomski, prof. J. Wiatr i prof. W. Zasławny.

10-12-70

W Warszawie zmarł płk Stanisław Nadzin.

11-12-70

Na posiedzeniu plenarnym Komitetu Centralnego Czechosłowackiej Partii Komunistycznej uchwalono poprawki do konstytucji ograniczające ustrój federacyjny, wprowadzono scentralizowanie ekonomii likwidując szereg instytucji i ministerstw narodowych. Jest to definitywne przekreślenie „programu akcji”, opracowanego w kwietniu 1968. Ponadto Oldrich Czernik, b. prezes rady ministrów w okresie 1968 r., został wykluczony z partii. Natomiast nie powzięto żadnych kroków w sprawie wyjaśnienia odpowiedzialności b. prezydenta Antonína Novotného i 6 dygnitarzy partyjnych, zawieszonych w maju 1968 r. za procesy polityczne lat pięćdziesiątych.

12-12-70

„Istnieje konieczność zrównoważenia popytu na artykuły mięsne z podażą, przy równoczesnym zwiększeniu sprzedaży innych artykułów spożywczych, których mamy pod dostatkiem” — powiedział W. Gomułka na barburkowej akademii w Zabrzu. Mówca zwrócił uwagę, że z jednej strony handel zagraniczny, a z drugiej trudności z produkcją rolną warunkują swobodę manewru naszej gospodarki. Górniczo jest jedną z najważniejszych jej gałęzi: w br. wydobyliśmy 140 mln ton węgla kamiennego, 33 mln ton brunatnego, 6 mln ton rud miedzi, 4 mln ton rud cynku i ołowiu, 3 mln ton siarki. Obok wielu zjawisk pozytywnych i tu wystąpił jednak szybszy wzrost technicznego uzbrojenia pracy, niż jej wydajności. ■ Wartość wymiany towarowej między NRD i ZSSR wyniesie ma w latach 1971-1975 100 mld marek dewizowych. Są to rozmiary rzadko spotykane w międzynarodowych stosunkach handlowych. ■ Wydobyte i zbyt rudy uranowej w Czechosłowacji wzrosły 25-krotnie w porównaniu z okresem 1945-1951. Wartość eksportu na 1 robotnika w latach 1966-1970 wzrosła 14,5 razy w porównaniu z okresem 1946-1950. Czechosłowacki uran zajmuje ważne miejsce w handlu zagranicznym między CSRS i ZSSR. W najbliższych latach w szybkim tempie będzie rozwijać się wydobywanie uranu z nowych pokładów w powiecie Hamr (województwo północnoczeskie). ■ Rada Ministrów PRL podjęła uchwałę o zmianie cen detalicznych całego szeregu wyrobów. Nowe ceny detaliczne obowiązować będą od 13 grudnia 1970. Zostają podwyższone ceny następujących grup artykułów średnio o procent:

1. Mięso i przetwory mięsne . 17,6	smalec 33,4
w tym: mięso wołowe . . 19,1	przetwory mięsne . . . 18,0
mięso wieprzowe 16,9	podroby 14,0
ślonina 11,1	2. Mąka pszenna i żytnia . . 16,0

3. Mleko konsumpcyjne na sezon zimowy 8,0	22. Tkaniny z jedwabiu naturalnego 37,0
4. Przetwory mleczne 3,8	23. Niektóre tkaniny wełniane niskoprocentowe 19,0
5. Ryby i przetwory rybne . . 11,7	24. Niektóre tkaniny z jedwabiu sztucznego 28,0
w tym: ryby morskie świeże i mrożone 10,5	25. Dywany i chodniki 25,4
śledzie solone 19,3	26. Koce i pledy wełniane . . . 15,0
filety 14,6	27. Niektóre wyroby dziewiar-skie z bawełny 15,0
ryby słodkowodne 8,4	28. Niektóre wyroby pończosz-nicze z bawełny 19,3
konserwy rybne 6,0	29. Koszule i piżamy popelino-we, odzież z tkanin zgrzeb-nych 10,0
6. Dżem, marmolada, powidła 36,8	30. Worki lniano-konopne . . . 44,0
7. Niektóre cukierki twarde i cukier kostka 14,2	31. Płachty żniwne 69,0
8. Pieczywo cukiernicze i pie-karskie drobne 12,4	32. Niektóre rodzaje obuwia skózanego 23,8
9. Kawa zbożowa 92,1	33. Rękawiczki skórzane . . . 14,0
10. Kasza manna 23,0	34. Środki opatrunkowe 15,5
11. Kasza jęczmienna 31,0	w tym: wata 19,1
12. Płatki owsiane 13,0	gaza 3,6
13. Makaron 15,3	35. Niektóre wyroby farmaceu-tyczne 0,9
14. Niektóre koncentraty spoż. 3,9	36. Naczynia blaszane i żeliwne 19,8
15. Niektóre materiały budow. 28,2	37. Wyroby hutnicze 12,0
w tym: cegła ceramiczna . 36,8	38. Wyroby metalowe 6,7
dachówka ceramiczna . . 67,8	w tym: gwoździe 20,3
kafle 19,9	łańcuchy 27,1
16. Tarcica, drewno tartaczne, żerdzie i słupki 20,1	39. Niektóre szklanki 33,0
w tym: drewno tartaczne z drzew iglastych 24,5	40. Rowery, motorowery i nie-które artykuły sportowe . . 12,0
tarcica z drewna iglaste-go (obryzowana) 20,5	41. Motocykle WSK 12,5
17. Koks i brykiety 19,2	42. Sprzęt fotooptyczny 15,0
w tym koks 20,0	43. Papiery fotograficzne . . . 29,1
18. Węgiel kamienny 10,0	44. Niektóre artykuły papier-nicze 22,0
19. Węgiel brunatny 14,0	45. Niektóre meble i galanteria drzewna 15,6
20. Tkaniny bawełniane i ba-wełno-podobne 14,5	46. Pasta do zębów „Nivea”, oliwki i zasyпки dla dzieci 15,7
21. Tkaniny lniano- pakulane, niei lniano-konopne 54,0	

Wraz ze zmianą cen detalicznych artykułów żywnościowych podwyższone zostały o 22,4 % ceny mieszanek paszowych. Jednocześnie w celu przyspieszenia rozwoju produkcji zwierzęcej podwyższono ceny skupu żywca wieprzowego o 3,30 zł za 1 kg, ceny skupu drobiu o 2 zł za kg i ceny skupu mleka w sezonie zimowym o 0,18 zł za litr. (Jednym słowem — wbrew pozorom wieś została również drastycznie uderzona. Stosunkowo niewielka podwyżka cen skupu została z nadwyżką „zrekompensowana” podniesieniem cen na materiały budowlane i mieszkanki paszowe. Artykuły, których ceny wzrosły stanowią 70 % przeciętnego budżetu rodzinnego. ■ Jednocześnie zlikwidowano stypendia państwowe i naukowe dla studentów. Ta decyzja uderza w pierwszym rzędzie studentów pochodzenia robotniczego. ■ W Warszawie mówi się, że rozważano w Biurze Politycznym trzy możliwości zaradczę wobec katastrofalnej sytuacji ekonomicznej PRL: Zawieszenie płatności zobo-

wiązań zagranicznych; wprowadzenie systemu kartkowego lub podwyższenie cen na artykuły pierwszej potrzeby. Jak widzimy wybrano to ostatnie rozwiązanie. ■ W Czechosłowacji zdecydowano zlikwidować z dn. 1. I. 71: 10 periodyków (9 czeskich i 1 słowacki) literackich i technicznych; Dotyczy to: *Plamen*, organ Zw. Literatów (zawieszony zresztą w maju 1969, od tego czasu nie ukazuje się), *Kmen*, *Orientace*, *Novinky Literatury*, *Historie aktuality*, *Melodie*, *Kurýr*, *Standard*, *Technika a Politika* oraz *Mlada Tvorbe*, organ Zw. Literatów Słowackich (pismo to zawieszono 10. XII. 70 ze względu na to że „treść numerów tego pisma uniemożliwiała Zw. Literatów Słowackich normalizację życia literackiego?”). ■ Profesorowie Józef Chałasiński, Bohdan Suchodolski, Jan Szczepański i Kazimierz Wyka są czynnymi profesorami i członkami Polskiej Akademii Nauk. Ostatnio Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, Henryk Jabłoński, opierając się na istniejących przepisach, zażądał, aby wybrali albo pracę na uniwersytetach albo w PAN'ie. Profesorowie wybrali uniwersytety. Wybór ten został odrzucony — pozostawiono ich tylko w PAN'ie. Idzie tu o odciepienie młodzieży akademickiej od „niepożądanych” wpływów wybitnych profesorów nauk humanistycznych — nawet tak ostrożnych czy uległych jak wyżej wymienieni.

14-12-70

Rozpoczęło się VI plenum Komitetu Centralnego PZPR, poświęcone analizie sytuacji gospodarczej.

15-12-70

Z dniem 1 stycznia 1971 paszporty na wyjazd za granicę będą wydawane jedynie na zaproszenie najbliższej rodziny, z tym że wyjazdy te nie mogą być częstsze niż raz na trzy lata. Według nie sprawdzonych ale kursujących bardzo uprzednio w Warszawie pogłosek zapraszający obywatela PRL będzie musiał zdeponować w konsulacie kaucję w wysokości 2.000 F. (ok. 400 dol.), która przepada w razie niewrócenia do kraju w przepisany termin. ■ W Polsce zakończył się spis powszechny obejmujący ludzi, mieszkania, gospodarze i gospodarstwa. ■ Polska sprowadziła ostatnio z ZSSR 2 miliony ton zboża. ■ Od czasu uchwalenia trzy lata temu ustawy komasacyjnej scalono w PRL zaledwie milion ha gruntów. Do scalenia pozostaje ponad 3,5 miliona ha. ■ Chińska Republika Ludowa zwróciła się oficjalnie do rządu Tanzanii o obniżenie poborów zatrudnionych w Tanzanii ekspertów chińskich do wysokości 57 dol. miesięcznie. Ma to na celu danie przez nich przykładu bezinteresowności. W Tanzanii znajduje się wielotysięczna grupa ekspertów chińskich. ■ W Leningradzie rozpoczął się proces 11 obywateli sowieckich — w większości pochodzenia żydowskiego — oskarżonych o próbę porwania samolotu w czerwcu 1970. ■ Nowa taryfa celna obowiązująca w Polsce od września br. obłożyła 200 % cłem wyroby ludowe co praktycznie likwiduje działalność Cepelii i eksport pamiątek turystycznych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-11-70

Teatr miejski w Göteborgu (Szwecja) wystawił „Yvonne” Gombrowicza w reżyserii Staffan Aspelin'a. ■ Zmarł w New Yorku, w wieku lat 85, Edward S. Witkowski, założyciel i wieloletni prezes Fundacji Paderewskiego. ■ Dr Ludwik Gross, który kieruje w Nowym Jorku działem badawczym nad rakiem w Veterans Administration Hospital, znalazł szczepionkę przeciw leukemii, która dała rezultaty przy szczepieniu myszy. Dr Gross jest przekonany, że rak jest spowodowany wirusem. Ponieważ rak i leukemia są identyczne u człowieka i u zwierząt, dr Gross jest przekonany, że identyczne

są również przyczyny. ■ W Théâtre de Poche w Genewie wystawiono sztukę St. I. Witkiewicza pt. „Metafizyka dwugłowego cielęcia” bardzo dobrze przyjętą przez publiczność i krytykę. Jednocześnie w Paryżu wystawiono inną sztukę Witkiewicza pt. „Matka”. ■ Mark Weinbaum, który od 50-ciu lat jest redaktorem najstarszego dziennika w języku rosyjskim na Zachodzie *Nowoje Russkoje Slovo* w Nowym Jorku, obchodzi 80-lecie swoich urodzin. ■ Rada Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznała na rok 1970 trzy nagrody literackie: Jerzy Gieraltowski frs 3.000 — za zbiór opowiadań pt. „Wakacje kata”; Janina Kowalska frs 3.000 — za cykle autobiograficzne pt. „Moje uniwersytety” i „Kraj lat dziecińczy”; Kazimierz Orłowski frs 3.000 — za zbiór opowiadań pt. „Ciemne drzewa”. ■ Na XI walnym zjeździe delegatów Polonii Kanadyjskiej, który się odbył w Winnipegu, prezesem Zarządu Głównego został wybrany adw. Kazimierz Bielski z Toronto. ■ P. Tadeusz Krychowski ustąpił ze stanowiska dyrektora polsko-kanadyjskiego Instytutu Badawczego w Toronto. Na jego miejsce został wybrany Rudolf

18-11-70

Papież odmówił przyjęcia rodzin oskarżonych Basków, których proces rozpoczął się w Burgos. Powodem są zajęcia Papieża w związku ze zbliżającą się podróżą. Ksiądz Don Juan Mari Arregui, który towarzyszył delegacji, zaprzeczył przeciwko, oświadczeniu rzecznika prasowego Watykanu, że delegacja miała charakter polityczny. Jednocześnie stwierdził, że biskupi Bilbao i San Sebastian odmówili wizytowania oskarżonych w więzieniu, mimo dowodów, że byli oni torturowani. ■ Papież odmówił zatrzymania się na Formozie mimo żyjącej tam znacznie większej ilości katolików niż w Hong Kongu. ■ W Chicago odbywał się zjazd Związku Polskich adwokatów, lekarzy i dentystów. Organizacja ta liczy 3.000 członków.

20-11-70

W głosowaniu w Narodach Zjednoczonych Republika Chińska otrzymała 51 głosów, przeciwko 49, za przyjęciem jej do ONZ. Chiny nie zostały przyjęte, gdyż regulamin wymaga większości 2/3 głosów.

21-11-70

Trybunał w Trebizondzie (Turcja) uznał dwóch Litwinów — którzy zmusili 15. 10. 70 r. do przymusowego lądowania w Turcji samolot sowiecki, zabijając hostesę — za przestępców politycznych, nie podlegających ekstradycji. ■ Koło przyjaciół Kultury w Melbourne zorganizowało w miejscowym Domu Polskim wieczór towarzyski. Tematem było słuchowisko opracowane przez p. J. Szczepańskiego, znanego fotografa, przedstawiające wędrowkę emigranta po odbudowanej Warszawie. Słuchowisko polegało na zsynchronizowaniu przezroczy z taśmą dźwiękową, na którą złożyły się fragmenty muzyczne i recytacje poezji. Wieczór był licznie obsesany i wywołał duże zainteresowanie. ■ Kustoszem Muzeum Polskiego w Chicago został ks. D. Bieleński.

22-11-70

Nowy rząd syryjski przystąpił do konfederacji Egiptu, Libii i Sudanu. ■ Zmarła w Milanowku p. Warszawą Celina Nahlik-Petry, artystka operowa, długoletnia speakerka Polskiego Radia we Lwowie.

23-11-70

Prix Goncourt została w tym roku przyznana Michel Tournier za książkę „Le roi des aulnes” (Gallimard), zaś Prix Renaudot Jann Freustie za książkę „Isabelle ou l'arrière-saison” (la Table Ronde). ■ Na uniwersytecie w Toronto odbyła się pierwsza promocja doktorska z zakresu historii Polski.

P. Kazimiera Janina Cottam uzyskała tytuł doktorski za pracę o Bolesławie Limanowskim. P. Cottam studiowała u prof. Peter Brocka. Prof. Peter Brock zaprosił na egzaminatora dr. Feliksa Grossa — profesora New York City University, wybitnego znawcę dziejów Polskiej Partii Socjalistycznej. ■ Dla uczczenia ostatniego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury — Aleksandra Sołżenicyna, dyrekcja Biblioteki Publicznej w Toronto zorganizowała w swym oddziale, w dzielnicy Parkdale, wystawę obrazującą jego twórczość. Część centralną wielkiej sali bibliotecznej zajęły gablotki, w których umieszczono oryginalne wydanie „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza” z miesięcznika *Nowy Mir*, wycinki z prasy światowej o Sołżenicynie, jego książki w tłumaczeniach na różne języki. Na czołowym miejscu znajdują się numery *Kultury* z jego opowiadaniem, powieść „Kąś pierwszy”, egzemplarze torontońskiego *Związkowca*, który drukował w odcinkach „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza”, oraz omawiał jego dzieła. W dużych powiększeniach na ściankach umieszczono kilka fotografii autora, a na pomysłowo rozstawionych blokach sentencje z utworów Sołżenicyna w językach: rosyjskim, angielskim, francuskim, polskim i ukraińskim. Znakomitym dopełnieniem wystawy jest możliwość wysłuchania w wyżej wymienionych językach nagranych na taśmie fragmentu z utworów Sołżenicyna. Każda audycja trwa 10 minut. Inicjatorem wystawy jest dyrektor Biblioteki Publicznej p. Harry Campbell, a przygotowała ją p. Maria Czerniakowska.

25-11-70

Na walnym zebraniu polsko-amerykańskiej Rady Emerytów w Chicago uchwalono apel, aby na skutek rosnącej drożyzny w Polsce podnieść kurs dolara w przeliczeniu PKO. W Polsce żyje 3.100 emerytów ze Stanów Zjednoczonych. ■ Dr A. Ryteł został członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Medycyny Wewnętrznej.

26-11-70

Józef Szall, który był ambasadorem Węgier przy Kwirynale od 1962 do 1970, zwrócił się do rządu włoskiego z prośbą o azyl. To samo zrobił we Francji Victor Dunitriu, ambasador rumuński w Paryżu (1964-1968). ■ W Instytucie im. Gen. Sikorskiego w Londynie odbył się wieczór autorski Józefa Łubowskiego.

27-11-70

W Chicago odbyła się konferencja polsko-żydowska z udziałem 70-ciu przedstawicieli organizacji polonijnych i żydowskich. Ze strony polskiej przemawiali m.in. prezes Mazewski, prof. L. Krzyżanowski i red. Białasiewicz. Ze strony Żydów: dr J. Lichten z New Yorku i A. Rosen z Chicago. Omawiano zagadnienia polsko-żydowskie i współpracę na gruncie amerykańskim w zwalczaniu wrogiej propagandy. Postanowiono kontynuować wzajemne konsultacje.

28-11-70

W Teologicznej Seminarium w Lidköping (dzielnica Sztokholmu) wystawia swoje prace — ikony, rysunki, gwasze i oleje — Teresa Lewandowska. Wystawa cieszyła się szerokim uznaniem zwiedzających. Wystawa trwała do 10 grudnia.

29-11-70

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się uroczysty obchód 140-iej rocznicy Powstania Listopadowego z odczytem Jana Winczakiewicza: „Ludwik Mierosławski jako literat”.

30-11-70

Prix Femina została przyznana François Nourissier za książkę „La crève”

(Grasset), zaś Prix Medicis przyznano: za powieść francuską — Camille Bourniquel za książkę „Sélinonte ou la chambre impériale” (Le Seuil); za powieść zagraniczną — Luigi Malerba „Saut de la Mort” (Grasset).

1-12-70

Zmarła w Londynie p. Jadwiga Raczkiewiczowa, wdowa po śp. Prezydencie Rzeczypospolitej Władysławie Raczkiewicz. Przeżyła lat 75. ■ Jean Paul Paleski, przewodniczący grupy parlamentarnej przyjaciół polsko-francuskich, oświadczył w czasie konferencji prasowej, że spodziewa się iż w niedługim czasie Londyn i Waszyngton ogłoszą deklarację o definitywnym charakterze granicy Odra-Nysa. ■ Fundacja Kościuszkowska w b. roku nagrodziła dwie prace. Jedną z nich jest praca Siostry M. Florence Tumas pt. „Eighteenth Century English Literature and the Polish Enlightenment (1764-1822)”, za którą Siostra Tumas otrzymała doktorat na uniwersytecie Fordham. Drugą jest praca prof. Davida Welsha pt. „The Art of Henryk Sienkiewicz with Special Reference to the Trilogy”, za którą prof. Welsh otrzymał doktorat w London School of Slavic Studies. ■ We Francji ukazały się ostatnio następujące przekłady z polskiego: Bechlerowa Helena: „La maison sous les marronniers” („Dom pod kasztanami”) — Ed. La Farandole; Gołębiewska Zofia „Le problème des acariens dans les produits entreposés en magasin”, Paryż Org. Europ. et Méditerranéenne pour la Protection des Plantes; Mrozek Sławomir „Une souris dans l'armoire” w tłum. Thérèse Douchy, wyd. Albin Michel; Kula Witold „Théorie économique du système féodal. Pour un modèle de l'économie polonaise, 16^e-18^e siècles” — wydana przez L'Ecole Pratique des Hautes Etudes, Sorbonne VI^e Section, w tłum. François Kaczorowski, wyd. Mouton; Kalecki Michel „Introduction à la théorie de la croissance en économie socialiste w kolekcji „Fondements de l'économie moderne, wyd. Sirey; Malinowski B. „Les Dynamiques de l'évolution culturelle”, w tłum. z angielskiego Phyllis M. Kaberry, wyd. Payot, Paryż. ■ A w Niemczech Zachodnich: w wydawnictwie Surkamp, Frankfurt, Wiesława Brudzińskiego „Die Rote Katz”, aforyzmy, w opracowaniu i tłum. Karola Dedeciusa z 10 ilustracjami Szymona Kobylńskiego; w wydawnictwie Vandenhoeck i Ruprecht, Goettingen: Janusza Korezaka „Das Recht des Kindes auf Achtung”, w redakcji Elisabeth Hempel i Hansa Ross, w tłum. Armin Dross i „Koenig Haenschen I”, w tłum. Katii Weintraub z 10 ilustracjami Jerzego Srokowskiego; wydawnictwo Henssel Verlag, Berlin, Sławomira Mrozka: „Was uns treagt” (trzy opowiadania), „Stuecke III” („Der Truthahn”, „Noch mal von vorn”, „Die Propheten”), „Watzlaff” (sztuka teatralna), „Laurens von der Post” (Die Nacht des Neuen Mondes) — „Speichen 70”; w wydawnictwie Verlag Wissenschaft und Politik, Koeln, Peter Raina: „Gomulka”, Politische Biographie. Ukazało się ponadto nowe angielskie wydanie „Soli Ziemi” J. Wittlina nakładem firm Stackpole i Ginniger w serii „Great Novels and memoirs of world war I”.

2-12-70

W związku z przyjazdem do Szwecji z oficjalną wizytą sowieckiego ministra obrony, marszałka Greczki, szwedzkie stowarzyszenia obrońców pokoju z Demokratisk Allians na czele zorganizowały na Gustav Adolf Torg wiec, protestujący przeciw wizycie Greczki. Na wiecu zabrał głos, w imieniu uchodźców polskich, Marek Trokenheim.

5-12-70

Ukraińscy biskupi katolicy w Kanadzie zdecydowali, że z dn. 1 stycznia 1971 r. będzie wprowadzony język ukraiński w obrzędach liturgicznych. ■ Historyk wojskowości płk dr A. Sawczyński z Londynu, otrzymał nagrodę w wysokości 500 dol. przyznaną przez Instytut J. Piłsudskiego w Nowym

Jorku za redakcję I tomu dzieła „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej”. ■ Kazimierz Brandys rozpoczął wykłady o literaturze krajów słowiańskich oraz objął kierownictwo seminarium przy katedrze estetyki na Sorbonie. ■ Z inicjatywy Koła Pań przy Polskim Instytucie Naukowym w Ameryce pod kierownictwem p. Karen Tiche-Falenckiej odbył się pierwszy w Nowym Jorku kiermasz książki polskiej. Wywołał on żywe zainteresowanie wśród kilkuset Polaków i Amerykanów, którzy przewinęli się przez sale Instytutu. Do powodzenia Kiermaszu przyczyniły się dary w książkach od kilku wydawnictw jak Instytut Literacki w Paryżu, Fundacja Kulturalna w Londynie i Roy Publishers w Nowym Jorku. Polski Instytut Naukowy zamierza zorganizować kiermasze książek co roku. ■ W Chicago odbyła się manifestacja Litwinów z udziałem Kongresu Polonii Amerykańskiej protestująca przeciwko odmówieniu azylu politycznego litewskiemu marynarzowi. ■ W Chicago obchodzono 10-lecie Polskiego Komitetu Imigracyjnego. ■ Została otwarta wystawa polskich artystów plastyków na Kiermaszu artystycznym w Chicago. Wystawiali polonijni plastycy R. Loza, A. Smolak, J. Kocana, St. Dudek, St. Murmano, J. Bobrowska i A. Banio.

6-12-70

Jeśli warszawiak wydał na książki w ub. roku 210 zł., to już mieszkaniowiec woj. warszawskiego zaledwie 20 zł. Rekordy *in minus* biją obywatele wsi i gromad lubelszczyni: wydali w ciągu roku na książki 2 zł. Uogólniając: każdy Polak kupuje rocznie niewiele ponad 3 książki wartości ok. 60 zł. — (Radio Warszawa 1).

7-12-70

Prix Interallié została przyznana Michel Deon za książkę „Ponney sauvage” (Gallimard). ■ Trzech wysokich urzędników sowieckiej misji handlowej w Londynie zostało wysiedlonych z Anglii za działalność szpiegowską, wykrytą w czasie przygotowań do wizyty sowieckiego ministra Spraw Zagranicznych Gromyko w ub. miesiącu. ■ P. K. Lanckorońska i prof. M. Paszkiewicz zrezygnowali bez podania powodów z członkostwa w Polskim Towarzystwie naukowym i Towarzystwie Historycznym w Londynie. ■ Firma zachodnioniemiecka Sanfield, k/Monachium, pierwsza w Europie wprowadziła czterodniowy tydzień pracy. Dzień pracy zaczyna się o godz. 6-ej rano i kończy się o 16-ej 30 w pierwszych trzech dniach tygodnia, w czwartek zaś o godz. 16-ej. W ciągu dnia pracy są dwie przerwy: 20 min. rano i 40 min. na obiad. W sumie tydzień pracy wynosi 37 godzin i 30 min. tygodniowo. Reforma ta wywołała entuzjazm pracowników z wyjątkiem robotników cudzoziemskich, którzy nie mają w Niemczech ani rodzin ani przyjaciół i którzy przybyli do Niemiec aby jak najwięcej zarobić w najkrótszym okresie czasu. Związki zawodowe i szereg lekarzy odniosło się do tej reformy sceptycznie.

8-12-70

Zmarł w Paryżu, w wieku lat 90, Konstanty Brandel, wybitny malarz. W roku 1960 otrzymał nagrodę plastyczną Kultury.

10-12-70

W Santa Barbara, California, zmarł nagle na atak serca prof. dr Jerzy Karcz, wybitny ekonomista, profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego. Przeżył lat 49. W czasie ostatniej wojny został odznaczony Krzyżem Walecznych, francuskim Croix de guerre i British War Medal. Był synem płk. Jana Karcza, d-cy I-go pułku Sawoleżerów, który zginął w Oświęcimiu.

Listy do Redakcji

18 listopada, 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Muszę zaprotestować przeciwko nieścisłej części artykułu pana W.S. *Polecaki*. Szczególnie niezgodne z prawdą jest naświetlanie wypadku pobicia studentów przez nowojorskich robotników. Pan W.S. pisze: „Najprostszą reakcją na knowania mędrkujących wichrzycieli jest cios w głowę, pięścią, względnie żelazną rurą...”.

Pan W.S. nie potrudził się podaniem przyczyn tej nagłej furii robotników. Prawdą jest, o tym każdy wie nowojorczyk, że „mędrkujący wichrzyciele” ściągali z masztu sztandar Stanów Zjednoczonych i usiłowali wciągnąć nań sztandar Wiet-kongu i to przy uciążliwych wrzaskach i słowniku, jakiego się nie używa w druku. Jestem ciekawy jaką byłaby reakcja polskich robotników w Warszawie w 1939 roku, gdyby tak na maszt wciągnięto sztandar z sierpem i młotem lub swastyką? Prezydent Warszawy na pewno by nie nazwał tych robotników faszystami.

Aż dziw bierze, że pan W.S., wyliczając siły przeciwko wietnamskiej wojnie, przeoczył największą i najhańsliwszą, to jest „New Left” — zbiorowisko komunistów, anarchistów, trockistów, Black-panterowców, SDS-owców, Hipisów, Weathermanów, Women for Peace, Clergy for Peace, Lawyers for Peace, Executives (milionerzy) for Peace itd. — ponad setkę grup i grupiek domagających się wycofania z Wietnamu, czyli klęski ideologicznej i militarnej Ameryki na tym odcinku walki z czerwoną agresją. A Harvard, intelektualistyczny? Każdy tu wie że Harvard to siedlisko *brainwashed* uczonych, domagających się zastosowania nauk Marksa w Ameryce. Oczywiście jest ich mała grupka, sześciu czy ośmiu, ale są popularni w liberalnej i lewicowej prasie.

Ja też natknąłem się na grupkę młodzieńców z wygolonymi głowami, stukającymi w paleczki. Na pytanie czego życzą Ameryce jeden odpowiedział: „Takiego ustroju jaki jest na Kubie”. Podziękowałem mu za szczerość.

Stany Zjednoczone — to dziś ostatnia zaporą na drodze światowej dominacji komunizmu. O tym powinien wiedzieć zwłaszcza doświadczony Polak (mądry po szkodzie). I tu przypominam sobie ciekawe powiedzenie wykształconego Amerykanina: „USA will be one day liberated by Russians!”. Jak to? — zapytałem zdumiony. Znałem jego zdrowe zapatrywania. — A bo tak — powiedział — w Sovietach uczeni i pisarze domagają się wolności, nasi uczeni i grafomani są przejeżdżeni (*sick*) wolnością i chcą wykurować się tyranią...”. — Aha, teraz rozumiem! — Nie pozwoliłem mu dokończyć. — Wolna i demokratyczna Rosja wyzwoli zniewoloną Amerykę. — Co za paradoks! A jednak? Czy pan W.S. to rozumie? Jeżeli nie, radziłbym mu

przeczytać następujące prace: „Guide to the American Left”, by Laird M. Wilcox. U.S. Directory Service, P.O. Box 1832, Kansas City, Mo. 64141, oraz „Teachers of Destruction” by Alice Widener, Crestwood Books, P.O. Box 2096, Arlington, Va. 22202.

Ameryka jest krajem bardzo skomplikowanym. Przeżywa kryzys w każdej dziedzinie życia zbiorowego. Jest pod atakiem międzynarodowego komunizmu. Ferment szerzy się — podniecany fantastycznymi środkami pieniężnymi. W tym zamieszaniu, oczywiście, łatwo jest zgubić się naiwnym.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku,

W. NORT

P.S. Sądzę że znajdzie się w Ameryce więcej osób, które zaprotestują skłanianiu prawdy i wyraźnej stronniczości pana W.S.

W. N.

Alabama, 6 grudnia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam wycinek z *Time* magazine (16. 11. 70) zatytułowany „Poland, The Threshold of Change”.

Ten artykuł na jednej drukowanej stronie (nie licząc zdjęć) powiedział mi więcej o Polsce terazniejszej niż dwanaście egzemplarzy *Kultury* z całego roku. Ja już w ogóle nie rozumiem jakie są cele *Kultury*? Te bzdurne opowiadanki rosyjskie albo te niekończące się opowiadania o prześladowaniach Żydów w Polsce, już mnie gardłem wychodzą. Ja szukam wiadomości z Polski i reportaży o Polsce. Niestety, *Kultura* już tego mnie nie daje, więc z przykrością będę kończył prenumeratę w tym roku.

Z poważaniem,

Henry PAULSON
Decatur, Alabama, USA.

W artykule *Time* czytamy, że Polska znajduje się obecnie na „krawędzi przemiany”. Tygodnik amerykański pisze: „Gospodarczo kraj, po trzech latach frustrującej stagnacji, jest u progu swego pierwszego startu w kierunku bardziej sprawnego kierownictwa przemysłowego. W dziedzinie kulturalnej polscy pisarze, dramaturdzy i filmowcy, którzy w późnych latach pięćdziesiątych przeżyli krótki okres względnie nieskrępowanej twórczości, żywią nadzieję większej swobody artystycznej”. Z artykułu dowiadujemy się także, że „nowy plan gospodarczy, który wehodzi w życie od 1 stycznia, zamierza do skierowania polskich energii gospodarczych w stronę przemysłów bardziej dynamicznych i rentownych”. Mimo sceptycyzmu „niektórych obserwatorów zachodnich”, zdaniem *Time*, „większość Polaków jest pełna nadziei”. Z nazwiska wymienia się tylko jednego przedstawiciela tej „większości Polaków”. Jest nim redaktor *Polityki*, Mieczysław Rakowski. Zapewnia on, w rozmowie z dziennikarzem amerykańskim, że „Polska dojrzała do wejścia w stadium ograniczonej demokracji”. Zanim to wejście nastąpi, i zanim na Polaków spadną wszystkie błogosławieństwa nowego planu gospodarczego (niektóre już spadły w postaci drastycznej podwyżki cen przed świętami Bożego Narodzenia), Polacy — według *Time* — mogą sycić swoje „silne poczucie dumy narodowej” słuchając codziennie hejnału z Wieży Mariackiej.

REDAKCJA

Givataim, 5 grudnia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem „sporadycznej” czytelniczki, zamieszczonym w nrze 11 *Kultury*, 1970, pragnę wyjaśnić co następuje:

Przedmiotem mojego artykułu, zamieszczonego w nrze 4 *Kultury* (1970), było ustalenie zmian jakie dokonane zostały w dwu edycjach MEP, tej z 1959 oraz tej z 1969 roku. W pierwszej, pod hasłem „Kamińska” widniało nazwisko Idy Kamińskiej, uzupełnione informacją, iż „od 1947 kieruje Państw. Teatrem Żyd. w Polsce”. W drugiej edycji brak już nazwiska założycielki, co ipso zniknęła informacja o istnieniu teatru żyd. w Polsce. Powtarzam zatem, co już napisałem poprzednio: „Tak więc za jednym pociągnięciem pozbawiono się zarówno Idy Kamińskiej jak i wstydliviego elementu jakim było tolerowanie przez jakiś czas teatru w języku żydowskim”. Ponieważ ciągle mowa o MEP, tolerancja lub brak tolerancji dotyczy obu omawianych publikacji.

Nie porównywałem wykazu działających w Polsce teatrów z tym co zawiera MEP: porównywałem dwie edycje i doszedłem do wniosku — zgodnego z prawdą — mianowicie, że do pewnego czasu, tzn. do 1959 r. MEP tolerowała założycielkę teatru oraz jej instytucję, natomiast w 1969 już nie tolerowano ani Idy Kamińskiej ani jej placówki.

Istnieje w Warszawie teatr żydowski, „sporadyczna” czytelniczka powinna więc upomnieć się u wydawcy, aby w następnej edycji przywrócono to, co już kiedyś w MEP widniało, a co zostało w 1969 r. wstydlivie pominięte. Wówczas nikt nie wypomni, iż MEP przestała tolerować pewne nazwiska oraz niektóre instytucje.

Jeśli w toku „likwidacji” w MEP zarówno Idy Kamińskiej jak i jej teatru, nie towarzyszyło uczucie wstydu — jak nieopatrznie napisałem — może inne uczucia powodowały wydawcami. Nie zmierzałem dociekać jakiego rodzaju to były uczucia.

Teatr żydowski jest „szczególnie” popierany — informuje „sporadyczna” czytelniczka, czego dowodem wysoka subwencja pieniężna. Ta subwencja nie jest czymś wyjątkowym: wszystkie teatry w Polsce działają dzięki wysokim subwencjom. Nowy budynek na Placu Grzybowskim, w którym obecnie działa teatr żydowski wybudowany został w całości za dolary żydowskiej organizacji „Joint”. Najbardziej zaskakujący jest p. c) w którym mowa o tym, że wszyscy pracownicy mają mieszkania. Czy należy z tego wnioskować, że i w danym wypadku nastąpiło coś zupełnie wyjątkowego, albowiem mogli tych mieszkań nie mieć?

„Sporadyczna” czytelniczka porusza Panu, Panie Redaktorze, zadanie „sprawdzenia” mojej uczciwości. Sprawdzić człowieka, zbadać człowieka... Z jakiego to *vocabularium* wywodzi się to słownictwo?

Łączę wyrazy szacunku,

St. WYGODZKI

Göteborg, 28 listopada 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytaliśmy list do redakcji *Kultury*, w numerze 11/278 - 1970, w sprawie żydowskiego teatru, podpisany przez Sporadyczną czytelniczkę i do prawdy nie wiemy co bardziej podziwiać, czy naiwność autorki która sądzi

że ukryje prawdę, znaną przez dziesiątki tysięcy uchodźców, czy też podziwiać perfidię, która prawdę chce zastąpić półprawdami.

Jak się bowiem przedstawiają jej „fakty”?

ad 1) To prawda. Można by też dodać, że Ida Kamińska opuściła Polskę i teatr, gdyż życie pod rządami rasistów nie było jej miłe.

ad 2) Teatr żydowski wprowadzie jeszcze istnieje, ale jak? Na przedstawieniu można spotkać zaledwie kilka osób i to parę z nich odzywa się do siebie per „Towarzyszu Pułkowniku!”.

Bilety są rozsyłane do instytucji i rozdzielane między pracownikami, za zapłatą albo i bez, władze bowiem chcą utrzymać fikcję teatru.

Aktorzy teatru nie wszyscy są Żydami i nie wszyscy znają język żydowski, nie trudno przekonać się o tym przysłuchując się ich grze bez słuchawek. Ci nie znający języka, wykuwają na pamięć tekst w polskiej transkrypcji. Brak po prostu aktorów żydowskich, zarówno jak i publiczności.

Żydzi wyjechali, pozostał teatr-widmo, teatr-cień.

ad 3) To znowu półprawda, teatr jest popierany, ale nowy budynek na Placu Grzybowskim, wraz ze sceną obrotową, został wzniesiony za pieniądze Żydów amerykańskich, poprzez organizację Joint.

Podobnie jest z mieszkaniami. Mieszkania dla pozostałych aktorów itd. na Konopackiej 16, mieszczą się w domu zbudowanym przy pomocy Jointu. Tam również w domu teatru mieszczą się spółdzielnie żydowskie jak „Bumet”, „Odrodzenie” itd.

Warto może wspomnieć o faksie, że wiceminister Handlu Zagranicznego poszedł pod sąd za zwolnienie darów Jointu od cła. Pomoc dla obywateli polskich mianowicie, miała być w dodatku clona.

A w ogóle co za pozory, jaki obraz chce tu wytworzyć Sporadyczna czytelniczka?

Żydzi po tysiącletnim pobycie w Polsce, zostali wyszczuci przez panującą obecnie władzę. Została na palcach liczona garsteczka, firmowana przez paru „alibistów”, ludzi w rodzaju Szyra, Gerharda, Lewina czy Wittlina.

Co tu pomoże popieranie pustego teatru żydowskiego?

Kończymy przytaczając się do apelu Sporadycznej czytelniczki: Warto chyba aby Pan sprawdził uczciwość autorki artykułu!

STALI CZYTELNICY
Uchodźcy w Göteborgu

Z ostatniej chwili

Polski grudzień

Na ulicach polskich miast połała się krew.
Robotnicza.

Na ulicach polskiego Wybrzeża strzelali chłopscy synowie w mundurach do robotników, żądających praw do ludzkiego życia.

Prawdziwi sprawcy wypadków pozostają w cieniu. Za barykadami biurów w warszawskim Domu Partii. Za murami Kremla. Za demonstracyjnymi kordonami „strażaków” zbrojnych w działka wodne w śródmieściu polskiej stolicy i za przemysłowymi kordonami „ochrony”, dzielącej ich od rządzonego narodu. „Ludowa”, „demokratyczna” władza, uznająca jedynie orzekanie *ex cathedra*, „dialog” ze społeczeństwem w formie radiowego czy prasowego przekazu, aktywność obywatelską w postaci serwilizmu i bezkrytycznego poparcia. Wszelkie przejawy naturalnej aktywności społecznej — nie reżyserowane i nie inspirowane przez biurokrację partyjną bądź przez policyjną agenturę — przyjmuje za prowokację, za imperialistyczne dywersje, za chuligaństwo. Odpowiada na nie pałką, kastetem, wyrokami, szarżowaniem czołgów na nieuzbrojone tłumy.

W chwili gdy numer idzie na maszyny — 22 grudnia 1970 — za wcześniej jeszcze na wnikanie w szczegóły rewolty robotniczej w Trójmieście, Szczecinie i innych miastach polskich. Ale widoczne są tło i sens wypadków; oraz nauki na przyszłość.

Poznań — 1956 ma wartość symbolu. W ogromnej większości komentarzy zachodnich powtarza się ta nazwa i data. Nieznajomość polskich spraw pozwala na efektowne analogie tam, gdzie ich nie ma.

Poznański wybuch poprzedziły długotrwałe pertraktacje załogi z władzami centralnymi. Robotnicy Cegielskiego nie mogli jeszcze uwierzyć w bezduszość i nieodpowiedzialność przywód-

ców partyjnych i państwowych; nawet wówczas, gdy 50-tysięczny tłum spokojnie oczekiwał na placu Wolności na przyjazd premiera Cyrankiewicza. W Gdańsku, Słupsku, Szczecinie robotnicy nie mieli najmniejszych wątpliwości co do charakteru i kwalifikacji biurokratycznej „góry”.

W Poznaniu, robotnicy Cegielskiego, ZNTK, POMET'u, fabryk obuwniczych i odzieżowych roztopili się w anonimowym tłumie. Manifestacja, podjęta w imię likwidacji krzywdzących warunków pracy w dwóch zakładach wydziałach fabrycznych Cegielskiego, na ulicach miasta przekształciła się w wybuch o charakterze politycznym. Wszystko wskazuje, że ostatnie wypadki na Wybrzeżu przez cały czas sterowane były przez robotników — że udział innych warstw ludności w pierwszej fazie wydarzeń był nieznaczny, że demonstracje od razu miały charakter polityczny. Bowiem w świadomości obywateli PRL każda samowolna demonstracja publiczna uchodzi za przejaw sprzeciwu politycznego. To właśnie na Wybrzeżu, a nie przed czterema laty w Poznaniu, robotnicy w najbardziej drastyczny i dramatyczny sposób wyrazili pełną dezaprobatę władzy. Tym dramatyczniejszy, że obecnie jest to jedynie demonstracja sprzeciwu, bez formułowania jakiegokolwiek alternatywy politycznej.

Wypadki poznańskie były odosobnione, zlokalizowane. Ich akcja zamknęła się w krótkich 24 godzinach — od wyjścia z fabryk na ulice do wystawienia wojskowych posterunków we wszystkich punktach spacyfikowanego miasta. Później, pod pogodnym czerwcowym niebem, zawisła nad miastem zgroza i żaloba. Chronologia wypadków na Wybrzeżu zwraca uwagę wzrastającym przez kilka dni natężeniem ulicznych starć w Trójmieście i solidarnym odzewem w Słupsku, Szczecinie oraz — choć to z przekazów informacyjnych jasno nie wynika — prawdopodobnie w wielu robotniczych ośrodkach całego kraju. Sprzeciw nie zawsze wyraża się gwałtownym wybuchem. Milczenie robotnicze bywa często groźniejszą zapowiedzią dla rządów, niż gwałtowne ale krótkotrwałe starcie.

W ogólnym rezultacie Poznań stanowił bodziec dla dokonania reform koniecznych, osiągalnych i oczekiwanych. Nastroje po Październiku dowiodły, że naród nie oczekiwał generalnych zmian, lecz tylko zwrotu w polityce partyjnej; zwrotu akceptowanego przez całe społeczeństwo i tworzącego dla tegoż społeczeństwa perspektywy rozwojowej. Był to czas po XX Zjeździe KPZS, czas gwałtownych konfrontacji ideologicznych i politycznych wewnątrz PZPR, czas potężniejącej z dnia na dzień fali przewartościowań, które wydawały się prowadzić do odrodzenia wartości etycznych dotychczas jedynie obłudnie deklarowanych przez komunizm. Dla wszystkich oczywiste były możliwości gos-

podarcze takiego zwrotu: dynamizacja produkcji rolnej przez odwołanie niebezpieczeństwa kolektywizacji, osłabienie zależności gospodarczej od ZSSR i wprowadzenie równoprawnych stosunków w dziedzinie produkcji i między państwowej wymiany towarowej, uzyskanie poparcia gospodarczego z Zachodu, uzyskanie chłonnych rynków zbytu na towary, które Polska mogła ofiarować dolarowym nabywcom.

Ostatnie wypadki mają zupełnie inny charakter. Tu nie chodzi już o zwrot w partyjnej polityce. Nadzieje nań zdecydowanie zbankrutowały w latach popaździernikowych. Wybuch na polskich stoczniach wyrażał pełną dezaprobatę i całkowity brak zaufania do władzy partyjnych biurokratów. Nie sugeruje on zwrotu, lecz zasadnicze zmiany. Tym razem użycie określenia *rewolucja* nie będzie przesadne. W każdym razie wybuch na Wybrzeżu jest widomym znakiem sytuacji, którą zwykło się nazywać dojrzewaniem nastrojów rewolucyjnych.

Pod względem gospodarczym sytuacja obecna jest wielokrotnie trudniejsza niż w latach przed- i popaździernikowych nadziei. Wyczerpane możliwości niezreformowanego rolnictwa chłopskiego, pogłębiająca zależność od ZSSR, pozycja najsłabszego partnera w organizacji RWPG, zaprzepaszczenie różnych możliwości gospodarczych (handlowych, kooperacyjnych, inwestycyjnych), jakie otworzyła przed Polską jesień 1956 roku.

Pod względem politycznym dzień dzisiejszy nie da się porównać z żadnym poprzednim: brak zorganizowanej opozycji ideowej w łonie partii, brak koncepcji przeprowadzenia radykalnych zmian o charakterze pragmatycznym, kryzys ideowy i moralny partii i społeczeństwa, nasilający się terror policyjny, rozbięcie liberalnych, demokratycznych, racjonalistycznych ośrodków myśli społecznej w kraju, zrzucenie maski przez imperializm sowiecki w Czechosłowacji i — w związku z tym strach przed interwencją w Polsce — naturalny i bezwstydnie podsycany przez biurokrację dla pacyfikacji nastrojów.

Cyrankiewicz w swoim haniebnym wystąpieniu — apelu radiowym, w którym ujawnił się jako agent sowiecki, straszący społeczeństwo utratą niezależności na rzecz ZSSR, słusznie podkreślił uposażeniowe uprzywilejowanie stoczniovców. Warunki materialne na Wybrzeżu zdecydowanie górują nad większością innych regionów kraju i pod wieloma względami skutecznie konkurują z siedliskiem biurokratyczno-partyjnej zasobności — stolicą. Na wysokie ukształtowanie wskaźników zasobów oszczędnościowych, budownictwa indywidualnego i „zmotoryzowania” woj. gdańskiego stoczniovcy wpływają w nie mniejszym stopniu od marynarzy. Zwróćmy uwagę premierowi PRL, że jest to nie tylko kwestia relatywnie wysokich średnich płac czy korzyści

z karty stoczniońca. To wiele innych, nieuchwytnych dla władz centralnych, elementów, istotnie wyróżniających stoczniońców — szczególnie stoczniońców z pełnymi kwalifikacjami zawodowymi — spośród kilkumilionowej masy robotniczej w Polsce.

Tak więc masowy, powszechny akt sprzeciwu, zainicjowany w stoczni gdańskiej, trudno uważać wyłącznie za wyraz rozpaczy, czy przejaw niekontrolowanych namiętności.

Doniesienia agencyjne, dyplomatyczne, przypadkowych świadków, itd. — jakimi dysponuje opinia światowa — potwierdzają charakterystyczny rozwój wydarzeń. Najpierw strajk okupacyjny w stoczni, a dopiero później, dopiero następnego dnia wypadki na ulicach miasta. Kto wie, czy gdyby w poniedziałkowy wieczór partyjno-policyjni nadzorcy nie użyli wobec kilkusetosobowej grupy manifestantów działek wodnych i pałek — czy we wtorek wysypałaby się z bram stoczni wielotysięczna rzesza robotnicza i w potężniejszej kolumnie ruszyła do śródmieścia.

W Słupsku, Gdyni, Szczecinie także ruszyły nie anonimowe tłumy, ale manifestujące rozgoryczone załogi miejscowych stoczní. Na znak solidarności. Protestując przeciwko nazywaniu ich kolegów i towarzyszy gdańskich chuliganami i łobuzami. Z identycznymi postulatami. Z podobnymi metodami demonstrowania sprzeciwu. Na polskim Wybrzeżu „uprzywilejowany” wielotysięczny tłum robotników wielkoprzemysłowych dał kategorycznie do zrozumienia, że cierpliwość wyczerpała się, że robotnicy nie mają zaufania do przywództwa partyjnego, państwowego i związkowego, że oczekują zasadniczych zmian i decydują się o nie walczyć. Wbrew wieloletnim zabiegom władz i wyjątkowo niesprzyjającym warunkom robotnicy łatwo przypominają sobie klasowe sposoby reagowania przeciwko swoim ciemnościom i w obronie własnych oraz narodowych interesów.

Gdy w marcu 1968 roku studenci wyszli na ulice z okrzykiem „nie ma chleba bez wolności”, robotnicy zachowali wyczekującą passywność; oznaki solidarności robotniczej z demonstrującymi studentami dały się zauważyć dopiero w fazie dogasania wydarzeń marcowych; było już naturalnie za późno. Teraz widać lepiej i dramatyczniej niż kiedykolwiek, że nie ma istotnie chleba bez wolności. Lecz systematyczne przemienianie społeczeństwa polskiego w bezwolny tłum daje swoje rezultaty. U boku walczących dziś robotników polskich brak bitej wczoraj inteligencji polskiej. Dopóki nie nastąpi zgranie wszystkich rewindykacji i żądań w jedną całość, dopóki w obliczu gnicia reżymu nie zostanie stworzona więź autentycznej wspólnoty rewolucyjnej robotników i inteligencji, dopóty nieuniknione sporadyczne wybuchy buntu i niezadowolnienia skazane będą na groźbę izolacji, pozostaną aktami rozpacz bez alternatywy politycznej i bez programu politycznego.

Dokładnie to samo dotyczy miejsca Polski w „bloku”. Nasz los rozstrzyga się na Wschodzie. Naszą tragedią jest to że polska cisza towarzyszy czechosłowackiemu wrzeniu i na odwrót. Jeśli kraje „demokracji ludowej” podniosą się kiedyś razem, zachwieje się również system sowiecki — słabszy i bardziej targany wewnętrznymi sprzecznościami niż się to wydaje tym, którzy wszystko zwykli oceniać w kategoriach siły militarnej.

Narody zachodnich i północnych rubieży europejskiej części ZSSR stawiają bierny opór sowieckim despotom. Ferment ogarnia coraz szersze kręgi rosyjskiej inteligencji. Zniewolenie przez imperializm sowiecki odczuwają szczególnie boleśnie społeczeństwa, których przywódcy — podobnie jak Gomułka — w serwilistycznym zapamiętaniu lekceważą podstawowe interesy narodu. Iskra wzniecona przez polskich stoczniońców może rozpłomić pożar oczyszczający ludy Wschodniej Europy, jeżeli polska inteligencja dorośnie do wymogów sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej.

Wyrzucenie Gomułki i jego najwierniejszych popleczników będzie prawdopodobnie w propagandzie szeptanej użyte do prób odciążenia i usprawiedliwienia reszty ekipy rządzącej. W momentach wielkiego napięcia takie uspokajające i pojednawcze gesty psychologiczne odnoszą czasem jakiś skutek, ale tym razem gra na zwłokę jest zbyt przejrzysta by mogła zasłonić komukolwiek prawdę. Przemeblowanie pałacowe w Warszawie ma charakter typowego kompromisu prowizorycznego, ukartowanego w popłochu i z myślą o doraźnym przynajmniej rozładowaniu wybuchowej sytuacji. Razem z „wzorowym gospodarzem śląskim” i „patronem technokratów” do steru władzy zbliżył się Moczar. Nie ma więc i nie może być żadnej przerwy w walce klasy robotniczej i całego społeczeństwa o swój ludzki byt. Jako absolutnego i bezzwłocznego MINIMUM należy się domagać: powołania do życia samorządów robotniczych w fabrykach, rozszerzenia uprawnień związków zawodowych, wyrwania najbardziej elementarnych praw obywatelskich spod całkowitej już dziś kontroli policji.

Kiedy w Polsce rozlegają się strzały i leje się krew, na emigracji zwykło uderzać się w lament. Jest on naiwną politycznie ucieczką od rzeczywistości. W obliczu zagrożenia egzystencji narodu płacz, załamywanie rąk i supliki, oparte na łagodnej perswazji, nic nie znaczą. Polski grudzień, zrodzony z rozpacz i nagromadzonej od lat nienawiści do rosnącego wciąż ucisku, był miśnięciem prerewolucyjnym. Pomóc mu konkretnie stąd można w trojaki sposób: przez spowodowanie by związki zawodowe na Zachodzie stworzyły fundusz strajkowy dla robotników polskich; przez doprowadzenie do powstania Trybunału Międzynarodowego, na podobieństwo Trybunału Wietnamskiego Russella, który zaj-

mowały się systematycznie analizą, ujawnianiem i osądzaniem sytuacji robotniczej oraz gwałtów przeciw wolności we wszystkich krajach bloku sowieckiego; przez natychmiastowe uruchomienie specjalnej akcji materialnej we wszelkich możliwych formach ze strony Polaków za granicą — zwłaszcza Polonii amerykańskiej — na rzecz kraju.

To także jest MINIMUM.

REDAKCJA

CZARNA LISTA

Za bicie studentów polskich i rozpętanie antysemizmu w marcu 1968 r., za inwazję Czechosłowacji, za strzelanie do robotników polskich w grudniu 1970 r., za doprowadzenie Kraju do katastrofy:

Członkowie Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR

Józef Cyrankiewicz, Edward Gierek, Władysław Gomułka, Bolesław Jaszczuk, Stefan Jędrzychowski, Zenon Kliszko, Stanisław Kociołek, Władysław Kruczek, Ignacy Łoga-Sowiński, Marian Spychalski, Ryszard Strzelecki, Józef Tejchma, Stefan Olszowski.

Zastępcy członków Biura Politycznego KC PZPR

Mieczysław Jagielski, Piotr Jaroszewicz, Mieczysław Moczar, Jan Szydłak.

Sekretariat KC PZPR

I. sekretarz Władysław Gomułka. Sekretarze: Bolesław Jaszczuk, Zenon Kliszko, Mieczysław Moczar, Stefan Olszowski, Artur Starewicz, Ryszard Strzelecki, Jan Szydłak, Józef Tejchma.

Pierwsi Sekretarze KW PZPR

Gdańskie — Alojzy Karkoska, Katowickie — Edward Gierek, Poznańskie — Kazimierz Barekowski, Szczecińskie — Antoni Walaszek.

R z g d

Premier — Józef Cyrankiewicz; Minister Spraw Wewnętrznych — Kazimierz Świąta; wice ministrowie Spraw Wewnętrznych: Tadeusz Dryzek, Ryszard Matejewski, Tadeusz Pietrzak, Henryk Stabczyk, Bogusław Stachura, Franciszek Szlachet. Minister Obrony Narodowej — gen. broni Wojciech Jaruzelski; wice ministrowie: Bolesław Chocha, Grzegorz Korczyński, Józef Tuczapski, Józef Urbanowicz.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1971

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
AUSTRIA: Henryk Odianicki-Pocobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA: Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel. 40-73, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Michardzinski, « Polish Voice », 1089 Queen St., W. Toronto, Ont.; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel. 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY: St. Mikicuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7, Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90048; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoys Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziekanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Prace, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Belflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA: P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 194 — ANDRZEJ BOBKOWSKI

COCO DE ORO

SZKICE I OPOWIADANIA

Wybór opowiadań przedwcześnie zmarłego pisarza, którego chcemy przypomnieć czytelnikom w przededniu 10-ej rocznicy jego śmierci.

Str. 272.

Cena F. 20 (dol. 4,25; 33 sh.)



TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Wybór artykułów czołowego publicysty „Kultury”.

Str. 224.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)



TOM 196 — TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY - END

Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej.

Str. 208

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)



TOM 197 — SERIA „DOKUMENTY”

GŁOSY STAMTAŃ

ZSSR I PRL

(OD OPOZYCJI DO REWOLUCJI)

Materiały otrzymane z Kraju oraz tłumaczenia z „samizdatu”:
S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu Demokratycznego w Związku Sowieckim*. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32).

Cena 11,00 F